ARWEN ELYS DAYTON

PRZEBUDZENIE

Arwen Elys Dayton

PRZEBUDZENIE

Przekład
Bartłomiej Ulatowski

Tytuł oryginału: *Resurrection*
Copyright © 2001 by Arwen Elys Dayton
Originally published in the United States by Amazon Publishing, 2012. This edition made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing.
Copyright © for the Polish translation by Bartłomiej Ulatowski, MMXIV
Copyright © by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV
Wydanie I
Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

O autorce

Dramatis personae/słownik

Przypisy

Mojemu wspólnikowi w zbrodni

Podziękowania

Chciałabym podziękować Erichowi von Dänikenowi i Zecharii Sitchinowi za wskazanie drogi do naszych możliwych przeszłości. Bez względu na to, jak nieprawdopodobne są ich teorie, przynajmniej szukali odpowiedzi. Dziękuję także Johnowi Anthony'emu Westowi za to, że prowadził mnie ze swoją latarką. J.E. Manchip White i Guillemette Andreu napisali znakomite książki o Egipcie, które były mi bardzo pomocne.

Nie byłam konsekwentna w stosowaniu starożytnych imion. Niektóre pojawiają się w ich egipskim brzmieniu, inne w greckim. Obie wersje są powszechnie akceptowane i wybór tej czy innej jest kwestią osobistych upodobań. Egipscy królowie nie są nazywani w tej książce faraonami. Słowo „faraon" oznaczające dosłownie „wielki dom" zaczęło być używane jako tytuł władcy dopiero za czasów osiemnastej dynastii.

Rozdział 1

Cztery lata temu.

Wrażenie było szare jak przedświt, ale mniej wyraziste. Pruit wynurzała się, wznosząc przez warstwy świadomości, które zdawały się omywać ją zmiennymi odcieniami światła. Upłynęło wiele minut – być może godzin – zanim uzmysłowiła sobie, że się budzi. Nim wątłe poczucie istnienia przemieniło się w jaźń, przyszło jej przedrzeć się przez niezliczone powłoki szarości.

Nareszcie poczuła ruch własnej oddychającej piersi; odzyskała świadomość pozycji ciała, a zaraz potem władzę nad mięśniami. Delektując się wrażeniem ciepła otaczającego ją płynu, przypomniała sobie o oczach.

Otworzyła je. Poczuła dotyk biofluidu i było to przyjemne. Przez drżącą pomarańczową mętnię ponad sobą ujrzała pochyloną sylwetkę Niksa. Jego twarz była zbyt niewyraźna, by Pruit mogła odczytać jej wyraz, ale wiedziała, że jej towarzysz się uśmiecha.

Ujrzała jego rękę wędrującą do pulpitu sterowniczego kojca. W płynie wokół niej zaszła nieuchwytna zmiana, a po chwili Pruit poczuła, że kojec zaczyna się opróżniać. Biofluid spłynął jej z oczu i twarz Niksa nabrała wyrazistości. Pokrywa ze szkłotworu odsunęła się i Pruit poczuła powiew powietrza statku. Wydało jej się zbyt zimne. Wokół jej ciała przewody krwionośne i odżywcze delikatnie wyzwalały ją ze swoich splotów i znikały w ścianach biowyściółki kojca, nie pozostawiając najmniejszego śladu swojej obecności. Trzcinowaty biopęd powietrzny wysunął się z jej tchawicy, wywołując chwilowe uczucie dławienia.

Wypluła biofluid, który pozostał jej w ustach, i drżącymi rękami sięgnęła do krawędzi kojca. Niks złapał ją za dłonie i pomógł usiąść. Delikatnie otarł jej powieki, a ona uniosła na niego wzrok.

– Cześć, śpiochu – powiedział miękko, z uśmiechem.

Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, skórę koloru miedzi i rudobrązową czuprynę. Jego oczy były niebieskie. Opis ten dość dokładnie pasował także do Pruit, jeśli wyłączyć włosy, które sięgały jej do ramienia i odróżniały się nieco ciemniejszym odcieniem brązu. W istocie opis ten pasował do wszystkich widywanych przez nich osób: krewnych, przyjaciół i nieznajomych w wąskich korytarzach ulic ich miasta.

Uświadomiła sobie, że Niks jest już ubrany, i przeszył ją impuls paniki na myśl o naruszeniu regulaminu. Powinien był obudzić się jednocześnie z nią, nie pierwszy.

– Cześć – skrzeknęła z wysiłkiem. – Który to rok, czternasty?

Jej umysł wciąż zmagał się z sennością.

Niks skinął głową i pomógł jej wstać. Reszta biofluidu spłynęła do kojca, skąd centralny układ statku miał odessać go do regeneracji i ponownego wykorzystania. Niks okrył jej ramiona kocem i Pruit ostrożnie wystąpiła z kojca, dopiero teraz w pełni czując słabość swoich mięśni.

Ogarnęła wzrokiem wnętrze ich małej jednostki. Kojce stały na samym środku kabiny: dwie podługowate skrzynie o zaokrąglonych krawędziach, sporządzone z jasnobrązowej twardotrzciny uprawianej specjalnie w miejscu montażu statku. Ściany każdego z kojców pokrywała różowopomarańczowa porowata gąbka. Wyrastające z niej łodygowate przewody o organicznym wyglądzie były podłączone do ciał podróżnych i utrzymywały ich przy życiu w ciągu lat hibernacji.

Wzdłuż ścian po obu stronach kojców ciągnęły się pulpity kontrolne komputerowych układów, które prowadziły statek i czuwały nad nim w każdej sekundzie jego długiej podróży. Na jednym końcu owalnej kabiny były dwie prycze, schowek ze sprzętem gimnastycznym oraz otwarty kącik z matą do ćwiczeń. Po drugiej stronie znajdowała się stacja medyczna, stacja żywieniowa, jak również duża, ciemna szafa, z grubsza prostopadłościenna, wznosząca się od podłogi do samego stropu. Była to komora sensoryczna. Miała im się przydać dopiero w dalszej części ich wyprawy.

Tuż obok komory mieściła się kabina prysznicowa i Pruit ruszyła chwiejnie w jej stronę. Ani ona, ani Niks nie odzywali się już do siebie – jeszcze nie. Odzyskanie pełnej orientacji po przebudzeniu musiało potrwać dobrych kilka minut i Niks dawał jej czas na dojście do siebie.

Zrzuciła koc z ramion i weszła pod prysznic. Wystawiając twarz i ciało na ożywczą chłostę strużek wody, czuła strach – ten sam, z którym walczyła już trzynaście razy: dziwne, mroźne uczucie sączące się z miejsca tuż poniżej mostka. Kolejny dzień kolejnego roku. Czternastego roku. Kilka godzin albo dni czuwania, a potem rok snu, a z każdym przebudzeniem ich świat był coraz dalej i dalej.

Umyła się, czując pod dłońmi, jak bardzo jest chuda i atroficzna. Niks także wyglądał mizernie z liniami żeber wyraźnie odcinającymi się na jego niegdyś muskularnej klatce piersiowej.

Dokończyła kąpiel, a Niks pomógł jej się ubrać w błękitną jednoczęściową bieliznę i biały kombinezon. Sam odziany był w identyczny strój.

– Czuję się strasznie słaba – wyznała. – A ty?

– Ja też – odrzekł, zapinając paski jej kombinezonu.

Uświadomiła sobie, że nie stara się jej pieścić, i poczuła ulgę. Powinni trzymać się regulaminu. Na inne rzeczy przyjdzie czas później.

– Jesteśmy za bardzo osłabieni – powiedziała. – Po przeglądzie zarządzam pełny diagmed.

W dwuosobowej załodze statku Pruit pełniła funkcję oficera medycznego.

– Niewykluczone, że będziemy musieli zrobić z tego pięciodniówkę.

Miała na myśli pięciodniowy okres czuwania przed powrotem do kojców hibernacyjnych. Zwykle budzili się na dzień lub krócej. Pięciodniówki były wymagane, jeśli ich organizmy potrzebowały więcej czasu na regenerację. Do tej pory w ciągu swojej czternastoletniej podróży spędzili poza kojcami łącznie dwadzieścia dni.

– Mieliśmy już dwie pięciodniówki. Czy to normalne?

– Normalne? – Pruit uśmiechnęła się, ale bez radości. – Czternaście lat hibernacji, Niks. Tu chyba niczego nie można nazwać normalnym.

Zajęli swoje miejsca przy pulpitach po obu stronach statku i rozpoczęli przegląd, odhaczając kolejne punkty z długiej listy czynności kontrolnych.

– Rozpoczynam kontrolę – powiedział Niks, który nieznacznie przewyższał ją rangą i był dowódcą technicznym wyprawy. – Kadłub?

Pruit zatopiła dłoń w żelu manipulatora i poruszyła palcami. Na ekrany przed nią wypłynęły szeregi danych, wyświetlane przez różnobarwne pędy z tkanki roślinnej, których komórki formowały się i przekształcały w ciągu nanosekund, rysując na powierzchni obrazy. Ekrany sprawiały wrażenie, jakby widoczna na nich treść wyrastała z ich wnętrza, i było to bliskie prawdy, ponieważ komórki regenerowały się, dzieliły i były – nawet w swojej genetycznie zmodyfikowanej postaci – w każdym calu organiczne.

– Kadłub szczelny – powiedziała Pruit. – Widzę trzy incydenty w ostatnim okresie: dwa drobne, jeden poziomu drugiego. Poszycie przebite przez mikrometeoryt, zregenerowane w ciągu dziesięciu sekund. Od tamtego czasu liczba komórek w normie.

– Ekspozycja załogi na promieniowanie.

Pruit poruszyła dłonią w manipulatorze i na ekran wypłynęły nowe dane.

– Minimalne. Kojce były ekranowane w zadowalającym stopniu.

– Układy wewnętrzne? – mruknął Niks, przenosząc wzrok na następny punkt swojej listy.

Była to jego działka, więc bez słowa uruchomił program diagnostyczny.

Kiedy nareszcie dobrnęli do końca listy, żaden z podukładów statku nie pozostał niesprawdzony. Nie wykryli niczego niezwykłego. Wszystko działało jak należy.

– No i świetnie – westchnął Niks, oznaczając log przeglądu nagłówkiem „wykonane” i przekazując komputerowi do archiwizacji. – Chodźmy jeść.

Pruit skrzywiła się. W ciągu piętnastu godzin po przebudzeniu odzyskanie apetytu było praktycznie niemożliwe, ale regulamin nakazywał im jeść, aby ich organizmy nie uzależniły się za bardzo od odżywiania dożylnego.

Zjedli niewielki posiłek złożony z rekonstytuowanego, liofilizowanego mięsa i warzyw przygotowanych przez pokładowy procesor żywności. Jedzenie nie było niesmaczne, ale przełknęli je z najwyższym wysiłkiem tylko po to, by kilka minut później wszystko zwymiotować. Zdarzało się tak dość często podczas ich ostatnich przebudzeń. Zjedli jeszcze raz – tym razem powoli i z namaszczeniem.

Mając za sobą torturę jedzenia, podeszli do stacji medycznej i Pruit uruchomiła procedurę diagnostyczną. Wyniki badań porównała z rejestrami z kojców, aby zyskać pojęcie o tym, jak szybko ich organizmy dochodzą do siebie i regenerują się po hibernacji.

– Potrzebna nam pięciodniówka – potwierdziła wreszcie, delikatnie ściągając Niksowi z przegubu końcówkę czytnika medycznego. – Tracimy odporność.

Ich ciała wykazywały typowe objawy wyczerpania pohibernacyjnego, przypadłości, jaką straszyli ich lekarze w domu. Narządy tak długo przebywały w stanie niemal nieodróżnialnym od śmierci, że teraz miały poważne trudności z podjęciem normalnego funkcjonowania. Kłopoty z utrzymaniem jedzenia w żołądku i ogólnie wymizerowany wygląd były dokładnie tym, czego należało się spodziewać.

Niks kiwnął głową i odwrócił się w bok, aby zwrócić się do statku.

– Centrala, aktywacja.

Przyjęcie komendy zostało potwierdzone cichym gongiem sygnału dźwiękowego.

– Jestem – oznajmił kobiecy głos emanujący ze ścian kabiny.

Był to ludzki głos, który wybrali dla centralnego komputera statku. Choć Centrala nie miała rzeczywistej świadomości, algorytmy sztucznej inteligencji, na jakich oparto funkcjonowanie

komputera, pozwalały na porozumiewanie się z załogą drogą naturalnej konwersacji.

– Centrala, sprawdź, proszę, dane medyczne. Zrobimy sobie pięciodniówkę – powiedziała Pruit.

– Słusznie – odparła Centrala po ledwie zauważalnej pauzie, podczas której zdążyła przeanalizować raport diagnostyczny Pruit i porównać z danymi z rozległego archiwum medycznego. – To jak najbardziej wskazane. Zalecam codzienne badania ze zwróceniem szczególnej uwagi na tempo przemiany materii.

– W porządku.

Pruit i Niks spojrzeli na siebie, a w ich postawie zaszła ledwie uchwytna zmiana. Jako załoga zrobili już wszystko, czego wymagał od nich regulamin i procedury. Oficjalnie mieli wolne – przynajmniej na razie.

– Czternaście lat – westchnął Niks, opadając na fotel za biurkiem obok stacji medycznej. – Aż trudno uwierzyć.

– Mówisz to po każdym przebudzeniu. – Pruit się uśmiechnęła.

– I za każdym razem to prawda.

Pruit usiadła Niksowi na kolanie i zarzuciła mu ręce na szyję, zauważając mimochodem, jak wąskie stały się jego ramiona. Jej włosy, choć splecione w dwa warkocze, wydawały się kruche i niezdrowe. Oboje mieli oczy podkreślone ciemnymi półkolami, a ich śniada skóra wyglądała jak przyprószona popiołem. Pruit przypuszczała, że ciąży Niksowi tyle co listek, tuląc się doń w workowatym, teraz o kilka numerów za dużym kombinezonie.

– Wiem – szepnęła.

Niks otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Kiedy wszystkie obowiązki były już wypełnione, brakowało im zajęć, które odwracałyby uwagę od ich położenia.

– Pruit… – Niks pochylił się do pocałunku.

Miał to być czuły gest niosący odrobinę ukojenia poprzez kontakt fizyczny, ale kiedy tylko ich wargi zetknęły się, wydarzyło się coś innego. Pruit oddała pocałunek i w ruchy obojga wkradł się pośpiech rozniecany pożądaniem. Wzajemny uścisk ramion nabrał żarliwej mocy. Pruit przełożyła nogę nad udami Niksa, aby usiąść na nim i pogłębić pocałunek. Pomyślała, że to niezwykłe, iż pomimo

wycieńczenia namiętność rozpalała się w nich po każdym przebudzeniu, podsycana być może strachem przed śmiercią.

W następnej chwili zrywali z siebie nawzajem ubrania, potykając się w drodze w stronę pryczy, całując, głaszcząc, pieszcząc. Niks szarpnięciem rozłożył dolną koję i opadł na nią, pociągając Pruit na siebie. Odwrócił głowę, zwracając się do komputera.

– Centrala, wyłącz się – powiedział.

Zabrzmiał gong, sygnalizując, że statek przestał ich kontrolować, przynajmniej w widoczny sposób. Niks odwrócił głowę, wpadając prosto w kolejny pocałunek.

– Kocham cię, Pruit – mruknął.

– Kocham cię, Niks – odszepnęła.

Ich ciała dotykały się, poruszały razem i nie byli już sami w bezkresnej otchłani kosmosu. Nie byli sami lata świetlne od domu, gdzie ich rodziny starzały się, a Luceni knuli, jak zapobiec narodzinom kolejnych pokoleń. I miały minąć lata, zanim wrócą do domu, jeżeli w ogóle będzie do czego wracać…

Krzyknęli jednocześnie w momencie szczytowania, a potem Pruit osunęła się na Niksa, którego głowa powoli opadła na pryczę. Byli kompletnie wyczerpani.

Leżeli obok siebie na pryczy, czując wycieńczenie, które wsączało się w ich ciała przez lata fałszywego snu. Pruit opierała głowę na ramieniu kochanka, a Niks unosił w górę fotografie w ich dorocznym rytuale wspominania. Zdjęcia wydrukowano na arkusikach maty ze światłoczułych komórek roślinnych zapewniających niemal doskonały obraz z subtelnym wrażeniem głębi.

Fotografia w ręce Niksa przedstawiała rodzinę Pruit: mamę, tatę i młodszego brata. Wyglądali na zdrowych i kipiących energią. I szczęśliwych. Zdjęcie wykonano, jeszcze zanim dowiedzieli się, że Pruit wkrótce ich opuści.

Pruit zauważyła, że Niks nie pytał już: „Jak myślisz, jak oni teraz żyją?”. Takie tematy zdążyli wyczerpać podczas poprzednich przebudzeń. Dla ludzi zaklętych w obrazach minęło zbyt wiele czasu, by jakiekolwiek domysły miały jeszcze sens.

Niks wyciągnął kolejną fotografię, tym razem przedstawiającą jego, stojącego pomiędzy swoimi rodzicami. Na następnym zdjęciu była Pruit. Niosły ją w górę ruchome schody wznoszące się na co najmniej dziesięć pięter, zaś za jej plecami, poza kopułą miasta, ciągnęły się pola radioaktywnego szkliwa. Koszulka bez rękawów ukazywała kształtną linię jej ramion. Wyglądała na osobę w szczytowej kondycji fizycznej, zdrową, ale niezbyt szczęśliwą.

– Mała maruda – mruknął Niks z czułością.

Znów przełożył fotografie i teraz patrzyli na młodszego brata Pruit, Makusa. Siedział przy stole w jadalni i odrabiał lekcje. Patrząc na zdjęcie, Pruit wyobraziła sobie go jako mężczyznę dobiegającego trzydziestki, być może z własnymi dziećmi. Czy wiedział, co niesie przyszłość? Czy Czuwający powiadomili już wszystkich, czy wciąż było to tajemnicą – ukrytą chorobą, która miała pożreć ich żywcem już za kilka lat?

Nagle poczuła, że nostalgia zaczyna ją nużyć.

– Dajmy już spokój tym zdjęciom – rzuciła z irytacją.

– Powinniśmy pamiętać…

– Ja pamiętam. – Zsunęła się z pryczy i zaczęła ubierać. – I wiesz co? To wcale nie pomaga.

Zapięła kombinezon i zsunęła gumkę z warkocza, by zapleść go ciaśniej.

– Słodkie życie! Co oni im powiedzieli, Niks? Co powiedzieli im o nas? Dla nich wszystkich jesteśmy już martwi. I nie mają pojęcia, dlaczego zniknęliśmy.

Niks usiadł i sięgnął po własne ubranie.

– Lepiej, żeby myśleli o nas jak o martwych.

– Wiem! – warknęła Pruit, po czym westchnęła i powtórzyła spokojniej: – wiem.

Była to rozmowa, jaka powtórzyła się już kilkakrotnie w ciągu ich czternastu przebudzeń. Frustracja, zwykle trzymana w ryzach, przygwożdżona na dnie duszy, od czasu do czasu wyrywała się na powierzchnię. I bardzo dobrze. Był to znak, że wciąż istnieje emocjonalna więź łącząca ich z tymi, których pozostawili za sobą.

– Lepiej, żeby nic nie wiedzieli, skoro i tak niczego nie mogą zrobić.

Niks nie odpowiedział. Nie było takiej potrzeby. Zamiast tego wstał i ujął jej dłonie.

– Już pora rozprostować kości – powiedział cicho.

Czas wolny się skończył, znowu byli na służbie. Bez słowa przenieśli się na matę, aby zgodnie z procedurą przystąpić do podstawowej serii ćwiczeń rozciągających. Składając ciała w płynnej sekwencji ruchów, układając ręce i nogi w odpowiednich pozycjach, zginając i prostując stawy, koncentrując się i kierunkując energię, oboje czuli, jak z wolna oczyszczają swoje umysły. Ćwiczenia były spokojne i odprężająco przyjemne niczym rozmowa ze starym znajomym. Był to jeden z pierwszych rytuałów, jakie wpojono im już we wczesnym dzieciństwie. Każdy ruch niósł wspomnienie ich rówieśników, towarzyszy broni. Niektórzy z nich mogli być teraz połączeni w pary, tak jak Pruit i Niks, i mknąć samotni przez przestrzeń kilka lat drogi za nimi. Reszta została w domu, na Herrodzie: bracia i siostry dźwigający na barkach ciężar całego świata.

Pięć dni później ich ciała były zregenerowane w dostatecznym stopniu, by Pruit i Centrala uzgodniły, że mogą bezpiecznie wrócić do stanu hibernacji. Naga Pruit opuściła się w głąb kojca. Wyglądała znacznie zdrowiej niż po przebudzeniu, ale trzeba było więcej niż pięciu dni, by wymazać oznaki tylu lat snu. To jednak musiało poczekać do czasu, aż ich zadanie wejdzie w kolejną fazę. Ściany i dno kojca były nieprzyjemnie suche, ale wkrótce miał je odświeżyć biofluid. Pruit musnęła palcami kilka przycisków na zewnętrznej ścianie i biowyściółka obudziła się do życia. W ciągu kilku chwil wyrosły z niej łodygowate przewody szukające ciała, nad którym mogłyby przejąć kontrolę.

Niks usiadł nad nią na brzegu kojca, wciąż ubrany, znowu łamiąc regulamin. Przepisy nakazywały im układać się do snu jednocześnie, wykonując kolejne punkty procedury i weryfikując poczynania towarzysza. Było to jedyne odstępstwo Niksa: lubił być przy niej, kiedy się budziła i kiedy znów zasypiała.

– Naprawdę powinniśmy zrobić to, jak należy – powiedziała Pruit.

Niks wiedział, co miała na myśli.

– Tylko dopilnuję, żebyś zasnęła bezpiecznie.

Nie protestowała już więcej. W tej kwestii nigdy jej nie słuchał, a poza tym w głębi duszy cieszyła ją jego bliskość. Byli sobie równi niemal pod każdym względem, ale czasami ochraniał ją w sposób pozostający w niezgodzie z ich statusem i życiem. Potajemnie życzyła sobie tego.

Pędy krwionośne delikatnie wniknęły do jej żył. Kojec wypełniał się biofluidem, ciepłym i zapraszającym. Niks pochylił się nad nią i pocałował. Na jej piersi wił się bezradnie pęd powietrzny. Pruit pogładziła Niksa po policzku, po czym ułożyła się głębiej w kojcu, pozwalając pędowi znaleźć jej usta i wślizgnąć się w głąb krtani. Stłumiła odruch wymiotny, ale zaraz poczuła przyjemne odprężenie. Rozległ się delikatny świst powietrza i kopuła ze szkłotworu wsunęła się nad nią na swoje miejsce. Biofluid przykrył ją już całkowicie i Pruit otworzyła oczy pod powierzchnią płynu. Niks wciąż tam był – niewyraźna, rozedrgana sylwetka w oranżowej mgle. Zamknęła powieki i zanurkowała w mrok.

Rozdział 2

Osiemnaście lat temu.

Ale ogrom – powiedział Makus, spoglądając przez przejrzystą kopułę na szklane pustkowia.

– I dlatego jesteśmy potrzebni – odpowiedziała Pruit. – Aby chronić wszystkich w miastach i wszystko to, co widzisz.

Makus był jej młodszym bratem, miał zaledwie trzynaście lat. Stali obok siebie na skwerze Evana, rozległym parku przylegającym do ściany kopuły miejskiej Kellersland. Poza kopułą grunt pokrywało żółtozielone szkliwo, szpetne i radioaktywne, ciągnące się w każdym kierunku aż po horyzont. Jego powierzchnia była doskonale gładka, jeśli nie liczyć piętrzących się tu i tam gigantycznych stert gruzu, z daleka wyglądających na niewielkie, znaczących miejsca, gdzie dawniej tętniły życiem wielkie, odkryte miasta – w zamierzchłych czasach, na długo przed bombardowaniami. Było późne popołudnie i niebo zaczynało ciemnieć.

– Jakoś ciężko mi o tym myśleć – powiedział Makus.

Usadowiwszy się na stojącej za nimi ławce, rozpakował lunch, który wzięli ze sobą. Pruit przyłączyła się do posiłku.

– Wszystkim nam jest ciężko. Ale to nasz obowiązek. Teraz także twój.

Starała się powiedzieć to z uśmiechem, co nie było łatwe. Makus właśnie został przyjęty do Czuwających, elitarnej formacji wojskowej dźwigającej na swoich barkach odpowiedzialność za przyszłość ich rasy, rasy Kinlai. Nie była to łatwa służba. Ona i Niks, teraz dwudziestoparolatkowie, także wstąpili do Czuwających w wieku Makusa.

– Tak, wiem.

Powiedział to z ciężkim westchnieniem i Pruit szturchnęła go żartobliwie, próbując rozjaśnić nastrój.

– Hej, mamy dziś świętować – powiedziała, siląc się na pogodny ton. – Gratuluję przyjęcia w szeregi. Nie martw się, szybko przywykniesz do odpowiedzialności.

Makus rozchmurzył się nieco i nawet zdobył na uśmiech.

– Dzięki, Pru. Niks przyjdzie?

– Powiedział, że spróbuje. Mieliśmy kilka pracowitych tygodni.

Poruszyła lewą ręką, która spoczywała na temblaku opatrzona po oparzeniu wiązką laserową. Spostrzegła, że Makus zerknął na nią z zaciekawieniem, ale nie spytał o rany. Dobrze wiedział, że Pruit nie wolno wyjawić mu, skąd się wzięły. Niemal wszystko, co robiła w ramach służby, było objęte ścisłą tajemnicą.

– A co u mamy i taty? Nie widziałam ich od wieków.

– Teraz śpią – odpowiedział. – Zamienili się zmianami.

Pruit pokiwała głową. Jej wzrok powędrował daleko za kopułę, zatrzymując się na grupie rekultywacyjnej brnącej przez szkliste pustkowie. Rekultywacja zniszczonych lądów, choć wkładano w nią wiele wysiłku, postępowała boleśnie powoli.

– Tak może wyglądać jeden z twoich pierwszych przydziałów, Makus – powiedziała, wskazując palcem maleńkie sylwetki ludzi.

Brygadzie rekultywacyjnej towarzyszył mały oddział Czuwających, rozpoznawalnych dzięki pomarańczowym biokombinezonom i broni. Makus milczał, a Pruit rozbłysła w głowie nagła myśl. Spojrzała na brata.

– Makus, byłeś kiedyś na zewnątrz?

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie.

– No tak, zapomniałam. Jasne, że nie byłeś.

Na zewnątrz wychodzili tylko funkcjonariusze Czuwających, pracownicy rekultywacji i naukowcy.

– Tam nie jest tak źle, jak wygląda – dodała świadoma, że to kłamstwo. – To znaczy przyjemnie nie jest i trudno czuć się swobodnie w biokombinezonie, ale przyzwyczaisz się. W Czuwających będziesz miał mnóstwo pracy na zewnątrz.

Makus potoczył wzrokiem po jałowym krajobrazie.

– Trochę mnie to przeraża – wyznał. – No bo to trochę tak, jakbym miał wyjść między wszystkie te duchy. Czasem będę musiał chodzić tam, gdzie spadły bomby.

Nawet stąd widział jedno z takich miejsc: wyraźny krąg krateru oddalony o kilka mil od kopuły. Pruit podążyła za wzrokiem chłopca. Sama spędziła na zewnątrz długie miesiące; uczucie stąpania po starożytnym, toksycznym szkle w ciężkich butach ochronnych wydawało się jej nieodłączną częścią niej samej.

– Nie – powiedziała po chwili. – Duchy dały sobie spokój z tą pustynią. Tam wszystko jest tylko martwe, nic więcej. Chciałabym móc powiedzieć to samo o Lucenach.

Brzmienie tego słowa podziałało na oboje. Makus prawie się wzdrygnął.

– Widziałaś kiedyś jakiegoś?

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć – odparła.

Prawda była taka, że nigdy nie widziała Lucena. Były to srebrzyste, insektokształtne istoty, które przed pięcioma tysiącami lat obrzuciły Herrod bombami jądrowymi i termojądrowymi, uśmiercając niemal wszystkich Kinlai. Nie, nigdy nie widziała Lucena na własne oczy, ale widywała ich sługusów; widywała ludzi hodowanych w luceńskich laboratoriach ze skradzionego materiału genetycznego Kinlai i szkolonych na szpiegów.

W tej samej chwili na szarzejącym niebie rozbłysnął deszcz meteorów – wachlarz jaskrawych linii ognia dziurawiących wysokie warstwy atmosfery. Pruit odruchowo pomasowała zranione ramię. Patrzyła na meteory, czując w sobie głęboką nienawiść do Lucenów. Było to uczucie, które towarzyszyło jej od dzieciństwa, być może dłużej. Nie przypominało gniewu. Było znacznie spokojniejsze, ciche i miękkie, przenikało każdą komórkę jej ciała, budząc myśl, która dawała jej wolę życia: oni nie zwyciężą.

– Idzie Niks! – wykrzyknął Makus, wskazując przez ciżbę na skwerze zbliżającą się postać.

Ponury nastrój rozwiał się w jednej chwili. Niks, tak jak Pruit, był ubrany w mundur polowy Czuwających: spodnie z lekkiego materiału, ciemnoczerwone i sięgające do pół łydki, obcisły sweter

z oznakami rangi wojskowej na kołnierzyku oraz zaprojektowane do biegania czarne elastyczne buty z cholewami.

– Cześć wam – rzucił Niks z szerokim uśmiechem na twarzy, chwytając dłoń chłopca, by przyciągnąć go do uścisku. – Gratulacje, chudzielcu! Dobrze mieć cię w drużynie.

Makus odpowiedział uśmiechem i zasalutował.

– Dziękuję, sir.

– Przepraszam za spóźnienie. Ale niestety, Pruit i ja musimy iść.

Rzucił jej szybkie spojrzenie i Pruit spostrzegła, że jest czymś zafrasowany, choć musiała przyznać, że dobrze to ukrywa.

– Rozumiem – oznajmił Makus, wyprężając się prawie na baczność.

Niks zawsze tak działał na jej młodszego braciszka.

– Pru, szef wzywa nas do siebie – powiedział Niks.

Pruit skinęła głową i wepchnęła do ust ostatni kęs lunchu. Otrzepawszy dłonie, uściskała Makusa.

– Pozdrów ode mnie mamę i tatę. Może niedługo wezmę dzień wolny, to wreszcie spędzę z nimi trochę czasu – powiedziała, choć bez przekonania, po czym oddaliła się z Niksem, pozostawiając brata wpatrzonego w dal przez ścianę kopuły i rozmyślającego o swojej przyszłości.

Przeciskając się przez tłum przechodniów, Pruit i Niks przecięli park i weszli na ruchome schody prowadzące w górę i w głąb spiętrzonego ludzkiego mrowiska zwanego Kellerpolis. Miasto było skomplikowanym labiryntem sektorów mieszkalnych, biznesowych, przemysłowych i wojskowych, spiętrzonych jedne na drugich i wciśniętych pod ochronną kopułę.

– Coś pilnego? – spytała Pruit.

– Tak to brzmiało – potwierdził Niks.

Trzcinowa mata eskalatora zawiozła ich na piątą kondygnację, gdzie zeszli na chodnik. Przed nimi grupa uczniów przebiegła przez tłum, otwierając chwilowe przejście. Niks złapał Pruit za ramię i pociągnął w ślad za dzieciarnią.

Otaczały ich twarze współmieszkańców, Kinlai o skórze koloru miedzi i w większości rudawobrązowych włosach, czasem nieznacznie różniących się odcieniem. Oczy mieli błękitne lub

zielone, przy czym błękitne widywało się znacznie częściej. Ogółem różnice w wyglądzie zewnętrznym poszczególnych osób nie były znaczne. Po Wielkiej Wojnie z Lucenami pula genowa zmalała tak bardzo, że dziś wszyscy Kinlai byli ze sobą spokrewnieni niemal jak bracia i siostry.

Pruit i Niks długo kluczyli w labiryncie korytarzy. Za posterunkiem kontrolnym zeszli w dół, na jedną z najniższych kondygnacji miasta, głęboko pod ziemią. Tam szli dalej wąskimi tunelami o stropach wiszących zaledwie stopę nad ich głowami, mijając kolejne posterunki, które ich szybko przepuszczały. Po kilku minutach maszerowania w milczeniu dotarli do małej sali konferencyjnej, w której czekał na nich dowódca, Naczelny Komendant Czuwających Haren.

– Sir… – przywitali go jednocześnie, nie salutując, ponieważ nie byli ubrani w stosowne mundury. Przyjęli postawę na baczność.

– Pruit. Niks. – Komendant skinął im głową. – Dobrze, że jesteście. Przyszliście w samą porę na podsumowanie.

Spojrzeli po sobie, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli, a wtedy zaprosił ich gestem, aby stanęli obok niego. Zatopił dłoń w plastycznym manipulatorze zamontowanym z boku na ścianie, po czym przepierzenie jakby rozpuściło się w powietrzu, kiedy szkłotwór, z którego było wykonane, zmienił kolor z mlecznobiałego na doskonale przejrzysty. Szkło przepuszczało światło tylko w jedną stronę i ujrzeli przez nie wnętrze sąsiedniego pokoju przesłuchań. Pomieszczenie było całkowicie, niemal niepokojąco białe i zawierało jedynie mały biały stolik z dwoma krzesłami po przeciwnych stronach. W środku byli dwaj mężczyźni. W jednym z nich rozpoznali Kepa Telliego, jednego z adiutantów komendanta. Kep siedział plecami do nich.

Krzesło naprzeciwko Kepa zajmował młody Kinlai zwrócony twarzą do patrzących zza szyby. Ubrany po cywilnemu siedział sztywno dziwnie wyprostowany. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz. Mówił coś, ale ruch jego ust był ledwie zauważalny.

– Złapaliśmy go pięć dni temu – oznajmił komendant. – Udało mu się przedostać do Marretpolis.

Miał na myśli jedno z pozostałych miast Herroda. Na całej planecie były tylko trzy duże miasta i kilka pomniejszych osiedli.

– Zdołał jakoś wtopić się w grupę rekultywacyjną, ale przyciągnął uwagę ochrony w parku. Dacie wiarę? – Pokręcił głową z niesmakiem.

Pruit i Niks doskonale rozumieli, o czym mówi ich szef. Schwytany nie był jednym z obywateli. Był luceńskim szpiegiem, który – najwyraźniej bez poważniejszego trudu – przedostał się do kinlajskiego miasta i został zatrzymany wyłącznie dzięki łutowi szczęścia.

Żadne z nich się nie odezwało. Nie było takiej potrzeby. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, o czym tak łatwa infiltracja świadczyła w kwestii ogólnego bezpieczeństwa. Jeśli jeden szpieg potrafił przeniknąć do miasta, mógł przeniknąć doń i tuzin. Albo więcej, być może już tutaj byli.

– Nie torturowaliśmy go – ciągnął dowódca. – Przez dwa dni siedział w swojej celi i medytował. Wiecie, tak jak oni to robią. A potem zaczął mówić.

Zwykle tortury były konieczne do wyciągnięcia informacji od szpiegów, ale częściej zdarzało się, że ludziom Lucenom w jakiś tajemniczy sposób udawało się zamedytować na śmierć, zanim zdążyli wyjawić jakiekolwiek tajemnice. Szpieg zeznający z własnej nieprzymuszonej woli był nowością.

Dowódca poruszył palcami w panelu kontrolnym i zaczął mówić. Jego głos był teraz transmitowany do słuchawki w uchu Kepa.

– Przeprowadź go przez wszystko jeszcze raz – zażądał.

Jego podwładny w żaden fizyczny sposób nie potwierdził przyjęcia rozkazu, ale kiedy komendant włączył fonię, by mogli przysłuchiwać się rozmowie w pokoju przesłuchań, usłyszeli, jak Kep zwraca się do więźnia.

– Chciałbym usłyszeć wszystko jeszcze raz – powiedział z cierpliwą łagodnością. – Nie masz nic przeciwko temu?

Twarz człowieka Lucena nie zmieniła wyrazu.

– Nie mam – oświadczył. – Opowiem wszystko ponownie.

– Dobrze. Powiedz mi zatem, jak przedostałeś się na Herrod.

– Przybyłem w imitacji meteorytu. Lądowanie było twarde, ale do zniesienia.

Był to zwykły sposób, w jaki Luceni przemycali szpiegów na planetę. Deszcze meteorytów spadały tak często, zaś pustkowia Herroda były tak rozległe, że sprawdzenie upadku każdego kosmicznego głazu było zwyczajnie niemożliwe. Zaledwie przed kilkoma tygodniami Pruit została raniona w ramię właśnie podczas pościgu za luceńskim szpiegiem.

– Szedłem przez trzy dni, a potem wtopiłem się w grupę górników podczas zmiany szycht – kontynuował mężczyzna.

Mówił w soulene, nowoczesnym języku Kinlai, posługując się nim z wielką biegłością. Jedynie ledwie zauważalne seplenienie przy wypowiadaniu niektórych słów zdradzało jego obce pochodzenie. Beznamiętnym głosem mężczyzna opisał, jak przedostał się przez posterunki, posługując się kopiami identyfikatorów ukradzionych pracownikowi zespołu rekultywacyjnego, którego zabił. Pruit i Niks zbledli, słuchając jego opowieści.

– Opowiedz mi, z jakim zadaniem zostałeś tu przysłany – powiedział Kep.

– Przysłano mnie, abym przyjrzał się waszym osadom, a zwłaszcza ich układom obronnym. Rozkazano mi powrócić z planami konstrukcyjnymi miasta, jeżeli ich zdobycie będzie możliwe.

– Po co Lucenom takie informacje? – spytał Kep spokojnym, niemal przyjaznym tonem.

Jego opanowanie zaimponowało Pruit. Pomyślała, że gdyby siedziała na jego miejscu, potrzebowałaby całej siły woli, aby powstrzymać się od skręcenia szpiegowi karku.

– Gromadzimy informacje, które pozwolą nam na zaplanowanie skutecznego ataku na Herrod.

– Chodzi o plan kryzysowy czy operację, która ma zostać wcielona w życie? – spytał Kep.

– Plan już jest realizowany. Obecnie przygotowujemy się do zmasowanego uderzenia na waszą planetę. – Głos więźnia był monotonny, cokolwiek zamyślony, ale nie barwiły go żadne emocje.

Pruit i Niks jednocześnie zerknęli na swojego szefa, który gestem nakazał im słuchać dalej.

– Dlaczego? – spytał Kep.

– Nasza Rada Stu od dwóch wieków bacznie obserwuje rozwój waszej cywilizacji. W tym czasie opanowaliście podstawy podróży kosmicznych i rozpoczęliście eksploatację planetoid w pasie leżącym pomiędzy wami a następną planetą układu. Jest do pomyślenia, że w ciągu następnych dwustu lat zaczniecie produkować statki mogące skutecznie konkurować z naszymi. Nie możemy do tego dopuścić. Historia naszych dwóch ras daje nam pełną świadomość zagrożenia, jaką stanowicie dla naszego przetrwania. Już raz omal nas nie zniszczyliście i nie pozwolimy, aby podobna rzecz zdarzyła się w przyszłości. Po pięćdziesięciu latach wnikliwych rozważań zostało postanowione, iż właściwą drogą postępowania jest całkowite zniszczenie waszej rasy.

Pruit i Niks gwałtownie wciągnęli powietrze. Po Wielkiej Wojnie cywilizacja ich wrogów odzyskała siły znacznie szybciej, niż Kinlai i Luceni ustanowili kosmiczną blokadę Herroda. Luceńskie okręty nieustannie wisiały na orbicie centralnej gwiazdy tuż za sąsiadującym z planetą pasem planetoid, obserwując Kinlai. Jeśli kinlajska jednostka zapuściła się poza strefę pasa, była niezwłocznie niszczona.

Kinlai zaakceptowali blokadę, ponieważ nie mieli innego wyjścia wobec druzgocącej przewagi luceńskiej floty kosmicznej, ale nigdy nie przypuszczali, że ich odwieczni wrogowie będą nastawać nawet na ich skromną egzystencję na ojczystej planecie.

– Zagłada waszej rasy nie będzie całkowita – ciągnął schwytany tym samym bezbarwnym tonem. – Uznaliśmy, iż w naszym interesie leży zachowanie ludzkiej informacji genetycznej, aby rasa mogła zostać wykorzystana w razie potrzeby w służbie interesom Lucenów.

Na te słowa dłonie Pruit same zacisnęły się w pięści. Przyjąwszy wypowiedź szpiega bez mrugnięcia okiem, Kep kontynuował przesłuchanie.

– Proszę, opisz mi w szczegółach plan Lucenów.

– W ciągu dwudziestu pięciu lat podwoimy liczbę jednostek wojskowych obserwujących Herrod. W tym samym okresie

zwiększymy stopień infiltracji waszych miast celem zgromadzenia wszelkich informacji niezbędnych do przeprowadzenia skutecznego natarcia. Za trzydzieści lat, licząc od teraz, będziemy dysponowali kompletnym planem ataku oraz niezbędnym uzbrojeniem. W roku trzydziestym piątym uderzymy.

Pruit i Niks rzucili swojemu dowódcy przerażone spojrzenia. Twarz komendanta zastygła w wyrazie zamyślenia. Miał już okazję przetrawić tę informację i jego trwoga, choć wciąż widoczna, zdążyła przygasnąć.

Za szybą Kep pytał dalej.

– Jesteś człowiekiem, nieprawdaż?

Więzień powoli skinął głową.

– Mam człowiecze ciało, tak – odpowiedział.

– Jakie uczucia budzi w tobie myśl o zagładzie własnej rasy?

Była to taktyka, jaką często stosowano wobec luceńskich szpiegów, aby przymusić ich do okazania emocji, na ogół nieskuteczna.

– To nie jest moja rasa. Jestem Lucenem – odparł mężczyzna. – Zamilkł na chwilę, po czym, po raz pierwszy, jego twarz zmieniła się, przybierając nieco bolesny wyraz. – Długo rozmyślałem o swoich uczuciach w tej materii i dręczy mnie świadomość, że nie panuję w pełni nad swoim umysłem. Jako Lucen rozumiem konieczność zniszczenia waszego świata. Musimy brać pod uwagę dobro naszych przyszłych pokoleń i ta kwestia musi przeważyć każdą inną. Nie wolno wam ufać. Jednakże jakaś część mnie… Część najwyraźniej poza moją kontrolą…

Znów zamilkł. W miarę jak opanowanie więźnia ustępowało pola wkradającym się emocjom, jego seplenienie przybierało na sile, zaś w ruchy jego głowy i rąk wkradła się ptasia nerwowość charakterystyczna dla Lucenów. Pod wpływem stresu jego obce pochodzenie stało się bardziej widoczne.

Mężczyzna wciągnął głęboki haust powietrza i opanował się.

– Jakąś część mnie smuci to, co musimy uczynić – podjął po chwili. – Choć zdradzam swoich bliskich i siebie samego, postanowiłem wyjawić wam nasze plany. Być może zdołacie

uporządkować wasze doczesne sprawy i znaleźć pokój dla swoich dusz, zanim spadnie na was zagłada. To dałoby mi ukojenie.

Nim zdążyła się pohamować, Pruit przypadła do tafli szkłotworu, tłukąc w nią pięściami i wyrzucając z siebie chaotyczny potok wrzasków. Kep i luceński szpieg nie mogli jej usłyszeć, ale ciosy zatrzęsły ścianą i więzień uniósł wzrok, zdając się patrzeć prosto na nią. Krzyknęła na niego i jej głos zaczął formować się w zrozumiałe słowa.

– Nie! Nie! Nie!

Niks złapał ją za ramię i szarpnięciem odciągnął od szkła.

– Przestań! – wykrzyknął jej w twarz, mocno potrząsając. – Na wszystko, co żywe, przestań, Pruit!

Umilkła, wciąż ciężko dysząc. Komendant patrzył na nią, ale nie skomentował jej wybuchu, być może wspominając własną reakcję na opowieść Lucena.

– Przestań – powtórzył Niks już spokojniej. – To nie pomaga.

Pruit sapnęła gniewnie i powoli skinęła głową.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu on… Po prostu… Jak on śmie?! Mamy uporządkować swoje sprawy, a on zdecyduje o naszym losie…

Najwyższym wysiłkiem woli opanowała się i uspokoiła. Właśnie dlatego stanowili tak świetny zespół. Ich umiejętności były niemal jednakowe, ale gdy Pruit czuła się motywowana przez nienawiść oraz trwogę i czasem zdarzało się jej ugiąć pod ciężarem tych uczuć, Niks był tym, kto potrafił ją powściągnąć, uspokoić, a nawet – choć nie zawsze – umilić im pracę szczyptą radosnej beztroski.

– Twoja złość jest uzasadniona – powiedział miękko komendant. – Usiądźcie.

Spełnili polecenie, on zaś opadł na fotel naprzeciwko nich, uprzednio poruszywszy dłonią w manipulatorze. Szkłotworową szybę znowu zasnuła nieprzejrzysta biel, skrywając Kepa i więźnia przed ich wzrokiem. Pruit wciąż czuła, że jej serce bije nienormalnie szybko, i świadomie starała się odprężyć.

– Musimy podejść do sprawy twardo i bez emocji – oznajmił komendant. – Mamy trzydzieści pięć lat, a potem, jeżeli nic nie pokrzyżuje im planów, wszystko to przestanie istnieć. – Mówiąc to,

machnął ręką nad głową gestem wskazującym na całe miasto ponad i wokół nich. – Nasze kopuły ochronne nie są obliczone na bezpośredni atak jądrowy. Mogą dać pewną umiarkowaną osłonę przed skutkami dalekich wybuchów, ale bomby zrzucone w pobliżu albo wprost na kopułę szybko się z nią uporają, po czym kolejne eksplozje obrócą miasto w perzynę. Luceni wyprzedzają nas o setki lat w dziedzinie techniki astronautycznej. My to ledwie dziesięć milionów obywateli ściśniętych w trzech miastach. Potrzebujemy rozbudowanych układów filtrujących, żeby w ogóle mieć co pić i czym oddychać. Krótko mówiąc, jesteśmy łatwymi celami.

– Czy jest jakakolwiek szansa na negocjacje? – spytał Niks.

– Nie chcemy, by wiedzieli, że odkryliśmy ich zamiary – odpowiedział komendant. – Zresztą dobrze znamy ich zdanie o nas. Nie postrzegają nas jako rasy równej ich własnej. Nie uważają nas nawet za istoty zdolne do odczuwania, przynajmniej w zakresie uczuć wyższych. W ciągu minionego tysiąca lat ani razu nie odpowiedzieli na żadną transmisję z naszej strony i nie ma żadnego powodu, by nagle miało się to zmienić. Jesteśmy dla nich szkodnikami i niczym więcej. Posiedzenie Rady Czuwających trwa już cztery dni, ale główny kierunek działań został ustalony. Standardowe prace rekultywacyjne zostaną niezwłocznie wstrzymane i całą energię skupimy na kopaniu i budowie schronów na głębokości na tyle dużej, by zapewnić ludności ochronę przed skutkami długotrwałego ataku jądrowego. Jednocześnie uruchomimy program rozbudowy orbitalnych środków obrony. Ten kij ma jednak dwa końce, ponieważ może dać Lucenom pretekst do uznania nas za jeszcze większe zagrożenie.

Haren umilkł, dając Pruit i Niksowi czas na przetrawienie nowych informacji. Potem odezwał się Niks.

– Jakim cudem to wszystko miałoby nas ochronić? – spytał.

– Nie ochroni. Nawet jeśli zaczniemy dzisiaj, nie zdołamy ochronić całej populacji przed skutkami długotrwałych bombardowań. Nasze szanse na przetrwanie ataku są praktycznie żadne.

Spojrzeli dowódcy w oczy. Nie było sensu owijać w bawełnę.

– No więc co… Jak możemy się uratować? – przerwała ciszę Pruit.

Komendant zawahał się, a potem sięgnął do kieszeni na piersi, by wyjąć z niej niewielki przedmiot długością dorównujący jego palcowi wskazującemu i niewiele od niego grubszy. Położył na stole i pchnięciem posłał w ich stronę. Niks przechwycił go i uniósł przed sobą tak, by Pruit też mogła obejrzeć.

Był to kryształ, doskonale symetryczny, z czterema długimi ścianami spotykającymi się pod kątem prostym i ostrosłupem z czterech trójkątnych fasetek nachylonych pod kątem czterdziestu pięciu stopni na każdym z końców. Był przejrzysty i bardzo twardy. Wzdłuż dwóch przeciwległych boków biegły cztery czerwone pasemka. Przy uważniejszych oględzinach można było dostrzec, że wnikają w kryształ, przecinając go na wylot. Tworzyły cztery cieniutkie płaszczyzny zatopione w przezroczystej materii.

– Na pewno pamiętacie to z lekcji historii – powiedział komendant. – Przed Wielką Wojną starożytni Kinlai wykorzystywali kryształy do bardzo wielu celów. Potrafili hodować je i sterować ich własnościami na sposoby, jakich do dziś w pełni nie pojmujemy. Te pasma czerwieni powstały przez wprowadzenie obcych atomów do formującego się kryształu, w tym wypadku było to żelazo i tlen. Manipulując układem atomów, twórcy takich kryształów mogli zapisywać w nich informacje. Ogromne ilości informacji.

Pruit i Niks pamiętali to wszystko z pierwszych klas szkoły, ale wciąż nie mieli pojęcia, do czego zmierza ich szef. Każdy wiedział, że starożytni mieli osiągnięcia, o jakich nowocześni Kinlai mogą najwyżej marzyć.

– Kryształy zaś – ciągnął komendant – a zwłaszcza takie jak ten, który jest sztucznym diamentem, są praktycznie wieczne – teoretycznie rzecz jasna, ponieważ w rzeczywistości większość z nich uległa zniszczeniu podczas Wielkiej Wojny. Nie są odporne na żar nuklearnych eksplozji.

Przerwał, a Pruit i Niks wytrzymali jego ciężkie spojrzenie. Po chwili komendant znów zaczął mówić, powoli i z powagą.

– Dawno temu część tych kryształów została stąd zabrana. Zabrana z Herroda. Czy pamiętacie tę historię?

Pruit i Niks milczeli przez kilka sekund, próbując wrócić pamięcią do wczesnych lat nauki. Potem, czując wzbierającą w niej falę niemal nabożnego zdumienia, Pruit uświadomiła sobie, co miał na myśli dowódca. Jako dzieci uczyli się historii starożytnych Kinlai. W ramach tego przedmiotu opowiadano im historię o małej grupie kinlajskich naukowców, którzy zbudowali statek zdolny przemierzać wszechświat. Wyruszyli nim na planetę odległą o prawie osiem lat świetlnych. Niedługo potem zaczęła się wojna, a wyprawa nigdy nie powróciła.

– Pompa Eschlessa… – sapnęła Pruit.

– Pompa Eschlessa – potwierdził Haren.

Tak nazywał się system napędu, dzięki któremu statek mógł podróżować przez kosmos szybciej niż światło. Jeżeli dać wiarę historycznemu przekazowi, starożytni Kinlai wydarli wszechświatowi jego najgłębszy sekret i uzbrojeni w tę wiedzę zbudowali międzygwiezdny korab.

– To on naprawdę istniał? – spytała Pruit.

Opowieść o statku, jego załodze i pompie Eschlessa była tak bardzo oddalona od nowoczesnej cywilizacji Kinlai, że nadawało jej to posmak mitu kreacyjnego, legendy, która w żadnym razie nie mogła opowiadać o prawdziwych wydarzeniach.

– Tak. – Komendant kiwnął głową z powagą. – Wiemy, że pompa Eschlessa naprawdę istniała. W źródłach historycznych nie brakuje odniesień do niej, choć w żadnych nie ma mowy o tym, czym w istocie była.

– Ziemia – szepnął Niks.

Tak nazywał się świat, do którego wybrali się starożytni Kinlai z legendy.

– Tak, Ziemia. Wciąż jest na swoim miejscu. A gdzieś na jej powierzchni są kryształy, które odleciały stąd wraz z historyczną wyprawą. Kryształy, w których zapisano historię budowy nadświetlnego statku, jego szczegóły konstrukcyjne oraz zasadę działania pompy Eschlessa.

Pruit poczuła przypływ nadziei. Być może istniała furtka do przeszłości, do czasów przed Wielką Wojną, kiedy Kinlai byli panami wszystkiego, co odkrywali, zaś przyszłość szeroko otwarta.

– Jeżeli te kryształy wciąż istnieją – ciągnął komendant – mogłyby odkryć przed nami prawdziwą naturę fizyki, wykatapultować nas daleko przed technikę Lucenów i pozwolić, być może, na wygranie wojny.

Pruit podniosła wzrok na szefa i powiedziała powoli:

– Chcecie, żebyśmy odnaleźli tę technikę?

– Owszem – przytaknął Haren. – I dostarczyli ją tutaj. Oboje jesteście dostatecznie młodzi, by przetrwać podróż bez poważnych konsekwencji dla waszego zdrowia. Oboje też dowiedliście swoich umiejętności jako żołnierze. Zarówno ja, jak i rada wierzymy, że to właściwy wybór. Wszyscy mamy świadomość, że to rozpaczliwa próba, ale nauka Kinlai już raz sięgnęła etapu podróży nadświetlnych i nie ma powodu, abyśmy nie mogli dotrzeć tam znowu. Potrzebujemy tylko klucza. I kiedy mamy go szukać, jeśli nie teraz, gdy może to być nasz jedyny ratunek?

Desperacja bijąca z tego planu wydała im się niemal komiczna, ale myśl o odmowie nawet nie przeszła im przez głowę.

Tego wieczoru leżeli razem w łóżku, w swoim malutkim apartamencie na najwyższym poziomie Kellerpolis, patrząc w górę przez szkłotworowy strop budynku i kopułę miasta powyżej. Ponad kopułą widzieli tysiące gwiazd rozsianych po galaktyce.

– Boję się, Niks – wyznała Pruit, obejmując go mocno pod lekką kołdrą.

– Ja też – odpowiedział, przyciągając ją do siebie i całując włosy. – Ale jeśli ktoś ma tam lecieć, to cieszę się, że wybrano nas. Bez względu na to, jak rozpaczliwe jest to przedsięwzięcie.

– Tak – odszepnęła.

I wszystko było tak, jak być powinno.

Rozdział 3

Adaiz-Ari i Enon-Amet szli obok siebie przestronnym korytarzem pod ogromnym sklepionym stropem. Strop wykonano z wypolerowanego stopu aluminium, który skrzył się srebrzyście odbitym światłem sztucznych słońc na zewnątrz.

Adaiz był człowiekiem, dwudziestoparoletnim mężczyzną, sklonowanym w luceńskim laboratorium z ludzkiego materiału genetycznego pobranego od kinlajskiego jeńca. Po narodzinach, kiedy wyjęto go, krzyczącego, z inkubatora, który matkował mu w prenatalnym okresie rozwoju, oddano go matce i ojcu Enona-Ameta, wtedy trzyletniego luceńskiego oseska. Od tamtej pory Adaiz i Enon dorastali jako bracia.

Dzieląca ich różnica ras nigdy nie zaprzątała głowy żadnemu z nich. Jak to w rodzeństwie bywa, Adaiz podziwiał i naśladował starszego Enona, ten zaś uwielbiał swojego niezwykłego braciszka.

Minęli strażników stojących na baczność po obu stronach wysokich drzwi komnat medytacyjnych i sal spotkań wypełniających większą część Pałacu Rady. Obaj odziani byli w uniformy Klanu Opatrzności, luceńskiej armii, odsłaniające ich nagie torsy. Kątem oka Adaiz dostrzegł iskrę słonecznego blasku odbijającą się od srebrnej piersi brata. Enon mierzył nieco ponad sześć stóp wzrostu – jak na Lucena płci męskiej był przeciętnej postury.

Człowiek widzący Lucenów po raz pierwszy w życiu wziąłby ich za gatunek wielkich insektów, ale skojarzenie to nie było poprawne. Bliżej im było do ssaków niż owadów. Ich najbardziej uderzającą cechą zewnętrzną był wygląd skóry, srebrnej w kolorze i częściowo odblaskowej, przynajmniej dopóki była regularnie wystawiana na światło słoneczne. Przyczyną zabarwienia była podskórna warstwa krzemowego roztworu, który chłonął energię słońca, pozwalając na jej wykorzystanie w reakcjach biochemicznych. W mroku Luceni stopniowo tracili swój lustrzany połysk, w miarę jak ich ciała starały

się pochłonąć coraz więcej dostępnego światła niezbędnego do podtrzymania funkcji życiowych.

Owalna głowa Lucena zwężała się ku dołowi w czub, w miejscu, gdzie u człowieka wypadałby podbródek. Usta otwierały się za tym punktem, w strefie odpowiadającej spodniej stronie ludzkiego podbródka. Dwie wąskie szczeliny ponad czubem pełniły funkcję nozdrzy. Głowy Lucenów były gładkie, bezwłose, zaś po obu stronach, ponad małymi spiczastymi uszami, zdobiło je szczątkowe poroże, pozostałość po jednym z dawnych etapów ich ewolucyjnego rozwoju. Rogi mierzyły około czterech cali długości i przylegały ciasno do boków czaszki. Składały się z miękkiej chrząstki i były pokryte brązowym meszkiem.

Ręce Lucenów przypominały ludzkie, ale nogi miały po dwa stawy kolanowe: wyższe zginające się w przód, niższe do tyłu. Stopy mieli wyposażone w długie rozczapierzone palce, trzy skierowane w przód i dwa w tył. Podwójne kolana i kształt stóp umożliwiały im sprawne bieganie i wykonywanie długich susów.

Uniform Enona składał się z luźnych, elastycznych spodni pozwalających na swobodne zginanie obu stawów kolanowych. Złoty lampas biegnący wzdłuż każdej z nogawek był oznaką przynależności do korpusu oficerskiego. Stopy miał obute w miękkie, czarne sandały. Opaski z brązu na obu ramionach ujawniały jego stopień wojskowy.

Enon poruszał się z królewską dystynkcją, zaś jego srebrna głowa charakteryzowała się wyrazistym układem kości twarzoczaszki, jaki płeć żeńska jego rasy uznawała za całkiem atrakcyjną. Duże ukośne oczy Lucena lśniły obsydianową czernią.

Adaiz odziany był w niemal identyczny uniform, dopasowany jednak do jego ludzkiej anatomii. Jako niższy rangą na każdym ramieniu nosił o jedną brązową opaskę mniej niż jego brat. Skóra na jego torsie zatraciła swoją naturalną miedzianą barwę pod ciemnobrązową opalenizną. Oczy miał niebieskie, włosy rudawobrązowe, ostrzyżone na krótko przy skórze z wyjątkiem dwóch dłuższych ogonków splecionych w warkoczyki z tyłu głowy. Daleki od przejmowania się innością swojego ciała, obrócił ją na

swoją korzyść, opanowując umiejętności manualne, jakie dla rodowitych Lucenów były trudne do wyćwiczenia.

Pomimo różnicy wzrostu i budowy ciała chód braci był niemal identyczny. Dorastając jako Lucen, Adaiz bardzo wcześnie nauczył się modyfikować naturalne tendencje swojego ciała, naśladując sposób poruszania się swoich przyszywanych współbraci.

Na końcu korytarza dotarli do srebrnych wrót wysokich na dwadzieścia stóp. Strzegli ich dwaj żołnierze odziani w błękitne spodnie podoficerów. Wartownicy usłużnie uchylili ciężkie skrzydła, wpuszczając Enona i Adaiza za próg.

Drzwi otwierały się na wysoką salę recepcyjną, której jedną ścianę stanowiło olbrzymie szklane okno zalewające pomieszczenie potokiem słonecznego blasku. Salę wyposażono oszczędnie. Był tam dywan z plecionych włókien oraz kilka niskich stolików, przy których goście mogli usiąść i poczekać na wezwanie. Naprzeciw wielkiego okna widniały kolejne drzwi wiodące do komnaty Triady. Za stojącym opodal nich niskim biurkiem, na podłodze, siedział na skrzyżowanych nogach oficer rozmawiający przyciszonym głosem przez przyciśnięty do ucha komunikator. Na widok wchodzących uprzejmie wymówił się od dalszej rozmowy, odłożył sprzęt i dźwignął się w górę, prostując swoje długie nogi.

Adaiz i Enon stanęli na baczność i zasalutowali, unosząc ramiona przed piersią oraz obejmując dłonią pięść drugiej ręki i nieznacznie skłaniając głowę. Oficer oddał salut.

– Liderze Enonie-Amecie, oficerze Adaizie-Ari, jesteście oczekiwani – oznajmił sykliwymi tonami avani, podstawowego języka jego rasy powstałego na bazie naturalnych mlaśnięć miękkich luceńskich podniebień. – Triada Średnia odprawia obecnie pokojowy rytuał Otwarcia. Zostaniecie wezwani, kiedy się wynurzą. Spocznijcie, proszę.

Enon i Adaiz ponownie skinęli głowami i oddalili się, aby stanąć przy oknie.

Otwarcie było rodzajem medytacji, sposobem na oczyszczenie umysłu z niepotrzebnych niepokojów i ustabilizowanie siebie. Było to zwykłe zwieńczenie ważnych narad i wzmianka oficera

sugerowała, że Triada roztrząsała sprawy wielkiej wagi. Wynurzenie było luceńskim określeniem na powrót do świata po medytacjach.

Bracia czekali przed oknem, z rękami dwornie założonymi za plecami, sztywno wyprostowani, nie wyglądając na ani trochę bardziej zrelaksowanych niż przed chwilą, kiedy stali na baczność przed oficerem. Ostatecznie znajdowali się w przedsionku siedziby Triady Średniej, jednej z najwyższych grup decyzyjnych w Klanie Opatrzności. W całej cywilizacji Lucenów istniało zaledwie pięć takich Triad.

– Mój młodszy bracie, to wielki zaszczyt, że Triada postanowiła wezwać tylko nas dwóch – powiedział Enon. – Sądziłem, że będą tu z nami czekać inni oficerowie.

– Tak, starszy bracie – odpowiedział Adaiz – to zaszczyt, jakiego dostąpiło niewielu naszej rangi.

Adaiz mówił w avani, swoim pierwszym języku. Ale choć uważał go za mowę ojczystą, jego ludzka krtań nigdy nie była w stanie artykułować wszystkich słów poprawnie.

Nie powiedzieli już nic więcej, woląc skupić się na utrzymaniu stanu chłodnej świadomości własnego ciała, umysłu i otoczenia. Sala, w której przebywali, znajdowała się ponad sto pięter nad powierzchnią Galei, planetoidy będącej pierwszym osiedlem Lucenów. Pod nimi rozpościerał się las mniejszych zabudowań Shekalli: miasta, nad którym wznosił się Pałac Rady. Z tak wielkiej wysokości sięgali wzrokiem daleko poza ogromną strefę industrialną, gdzie wytwarzano wszelkiego rodzaju dobra konsumpcyjne i towary przemysłowe; poza stocznie, w których powstawała większość statków luceńskiej floty kosmicznej; poza ciągnące się milami dzielnice mieszkaniowe z ich kwitnącymi drzewami i ogrodami kąpielowymi; poza granicę miasta, za którą zaczynała się strefa rolnicza. Szachownica wielopoziomowych zielonych farm ciągnęła się aż po horyzont, nabrzmiała plonem niemal gotowym do zbioru. Pod górną warstwą upraw kryły się podziemne poziomy hydroponiczne, gdzie ryby i warzywa hodowano w częściowo zamkniętym systemie, w którym zbędnymi fragmentami roślin karmiono ryby, zaś ości tychże służyły za nawóz dla warzyw. Ponad tym wszystkim ciągnęło się przejrzyste

sklepienie rozpostarte ponad powierzchnią Galei i zakotwiczone w otaczających miasto urwiskach. Sama planetoida niegdyś była bryłą nagiej metalicznej skały.

Stojąc przy oknie, Adaiz spoglądał przez sklepienie w głęboką przestrzeń upstrzoną iskrami gwiazd. Galea orbitowała w zewnętrznych rubieżach układu planetarnego tak daleko od centralnej gwiazdy, że ta jawiła się zaledwie jedną z jaśniejszych kropek na ciemnym nieboskłonie. Pozbawieni światła naturalnego słońca Luceni stworzyli sobie własne sztuczne gwiazdy: trzy oślepiające kule rozżarzane reakcją syntezy jądrowej. Trzy termojądrowe słońca wisiały ponad sklepieniem rozmieszczone w równych odstępach wzdłuż jego szerokości i poruszały się powoli tam i z powrotem, tworząc pory poranka, popołudnia, wieczoru i nocy.

Patrząc na bladą kropkę prawdziwego słońca, ledwie widocznego pomiędzy dwoma sztucznymi, Adaiz pomyślał o ludzkich Trucicielach i Herrodzie krążącym daleko od Galei, w cieple naturalnego słońca. Poczuł wzbierającą w nim nienawiść, ale nie pozwolił, by zawładnęła jego umysłem. Nienawiść nie była użyteczna. Truciciele dokonali wyboru przed tysiącleciami. Tylko barbarzyńcy mogli z premedytacją doprowadzić do zagłady całej rasy. A teraz ich los był przesądzony.

Na cichy dźwięk gongu Adaiz i Enon odwrócili się do oficera, który znów rozmawiał z kimś przez komunikator.

– Tak, sir – powiedział tonem pełnym szacunku. – Są tutaj.

– Chodźcie, wprowadzę was.

Enon i Adaiz skinęli głowami i podążyli za nim przez wysokie wewnętrzne drzwi.

Znaleźli się w sali, której szklany strop wznosił się pięćdziesiąt stóp ponad posadzką. Szkło zaszło ciemną mgłą w celu osłabienia ognia sztucznych słońc i komnata zdawała się jarzyć przytłumionym blaskiem. Jej ściany i posadzkę wykonano z brązu. Nie było w niej dywanu ani żadnych sprzętów, jeśli nie liczyć trzech okrągłych podestów, zgrupowanych na środku sali. Podesty unosiły się sześć stóp nad podłogą, a każdy z nich dźwigał postać w długiej szacie siedzącą na skrzyżowanych nogach, z brązowym diademem Triady

Średniej na głowie. Zmarszczki okalające oczy Lucenów i nieco zmętniały poblask skóry świadczyły o ich sędziwym wieku. Każdy z nich trzymał w lewej dłoni lśniącą srebrną kulę, kolejną oznakę rangi.

Adaiz i jego starszy brat podeszli bliżej, zaszczyceni wezwaniem przed tak dostojne zgromadzenie. Za nimi oficer, który ich wprowadził, cicho zamknął drzwi.

Ciszę przerwał Lucen siedzący w centrum Triady.

– Liderze Enonie-Amecie, oficerze Adaizie-Ari, witamy was w sali Triady. Wasi przełożeni wypowiadali się z najwyższym uznaniem o waszej służbie dla Klanu Opatrzności i rasy Lucenów.

Obaj pokłonili się głęboko w podzięce za tak wielki komplement.

– Mamy dziś przed sobą kwestię ogromnej wagi – ciągnął dostojnik. – Rozważaliśmy ją od wielu miesięcy i nasze zdanie jest już jasno określone. Wiemy, co należy czynić.

Jego dwaj towarzysze niemal niedostrzegalnie poruszyli rogami w wyrazie aprobaty.

– Dobrze znacie nasz plan ostatecznego pozbycia się Trucicieli. Plan ów pozostaje w mocy. W rzeczy samej Rada Stu deliberowała nad nim tak długo i wnikliwie, iż uważany jest za niezawodny. Jednakowoż pojawiła się na nim drobna zmarszczka. Otóż jeden z członków klanu dopuścił się zdrady i wyjawił Trucicielom nasze zamiary. Wiedzą zatem o planowanym ataku.

Rogi Enona ułożyły się płasko wzdłuż boków jego srebrnej głowy, wyrażając zaskoczenie. Twarz Adaiza usiłowała ułożyć się w analogiczny grymas, czego efektem było ściągnięcie w tył mięśni wokół uszu.

– Nadal nie znamy motywacji, z powodu których nasz szpieg uczynił to, co uczynił – ciągnął środkowy Lucen. – To wydarzenie bez precedensu. Niezależnie od tego jest pewne, że Truciciele dowiedzieli się o naszych planach. Ich reakcję na tę wiedzę należy uznać za dość osobliwą. Inny z naszych zwiadowców poinformował nas, iż poza drążeniem schronów głęboko pod ziemią i podjęciem próby rozbudowy orbitalnych środków obrony Truciciele przygotowują niezwykłą wyprawę.

Lucen siedzący po lewej stronie Triady sięgnął do małego pulpitu sterowniczego. Na ścianie za trójką dostojników pojawiła się mapa wyświetlana przez baterię laserów. Była to mapa nieba, na której Adaiz i Enon ujrzeli własny układ planetarny oraz jeszcze jeden, nieznany.

– Posyłają statek do tego układu oddalonego o osiem lat świetlnych od nas – oznajmił środkowy członek Triady. – Tam zamierzają pozyskać technikę z odległej przeszłości ich rasy.

Lucen mówił dalej, dzieląc się ze swoimi gośćmi wszystkim, czego szpiedzy zdołali dowiedzieć się o pompie Eschlessa. Nie było tego wiele, dość jednak, aby wprawić słuchaczy w osłupienie. Luceńska nauka wciąż nawet nie dopuszczała możliwości podróżowania z prędkością nadświetlną.

– Skoro Truciciele są przekonani, że taka technika istnieje, i są gotowi poświęcić ostatek swoich cennych, szczupłych zasobów na zorganizowanie takiej wyprawy, sądzimy, że w całej tej nieprawdopodobnej awanturze musi kryć się ziarno sensu.

Enon i Adaiz stali w milczeniu, chłonąc słowa Triady i z całych sił starając się ukryć podniecenie.

– Biorąc pod uwagę nowe informacje, wyznaczyliśmy nam dwa cele do osiągnięcia, zanim nadejdzie termin ataku i uwolnimy ten wszechświat od Trucicieli. Po pierwsze, jeżeli technika wykorzystująca pompę Eschlessa rzeczywiście jest coś warta, musimy ją zdobyć dla siebie. Możliwości, jakie dzięki niej zyskalibyśmy, zabezpieczyłyby przyszłość naszej rasy na zawsze. Otworzyłaby Lucenom drogę do władania nie tylko naszym układem planetarnym, ale też całym wszechświatem. Po drugie, nie wolno nam dopuścić, by technikę tę kiedykolwiek posiedli Truciciele. Z jej pomocą mogliby zbudować statki i broń pozwalającą na zwyciężenie nas nawet w ograniczonym czasie, jakim dysponują. Dla osiągnięcia obu tych celów wybraliśmy ciebie, liderze Enonie-Amecie, oraz ciebie, oficerze Adaizie-Ari, do zaszczytnego zadania podążenia za statkiem Trucicieli do celu jego podróży.

Adaizowi serce zabiło szybciej. Jakiż zaszczyt mieli przynieść swojej rodzinie, klanowi i rasie! Jeśli ta technika była prawdziwa,

zaś im udałoby się ją zdobyć, zapewniliby Lucenom przyszłość wspanialszą, niż mógłby sobie wymarzyć.

Audiencja u Triady od półtorej dekady należała do przeszłości. Oddzielony od tej chwili zarówno czasem, jak i niewyobrażalną odległością Adaiz-Ari stał w półmroku sterówki luceńskiego statku i obserwował rozjarzone bladą poświatą wskaźniki głównego pulpitu sterującego. Wszystkie układy działały bez zarzutu, a piękna Galea była o lata świetlne za nimi.

Ostrożnie wybierając drogę, obszedł ciasne pomieszczenie – jedyne na ich małej jednostce – badając wzrokiem inne tablice przyrządów wprawione w gładkie, łukowato zakrzywione ściany. Tablice były piękne w swojej industrialnej prostocie: szeregi wskaźników i lampek kontrolnych wprawionych w metalowe płyty przymocowane z kolei do metalu ścian.

Adaiz przeciągnął dłonią po rzędzie przełączników sterujących senkomorami. Skóra jego dłoni – co właśnie dostrzegł – miała teraz kolor jasnobrązowy podszyty żółtawym odcieniem. Niezdrowo było pozbawiać się na tak długo dostępu do światła słonecznego, nawet jeśli spędzało się ten czas w senkomorze. Adaiz dotknął dłonią swojej nagiej piersi, kontemplując wiotkość własnej skóry i twardość coraz wyraźniej widocznych żeber.

Powietrze pachniało stęchlizną. Adaiz jeszcze raz skontrolował działanie filtrów, ale nie odkrył żadnych nieprawidłowości, zaś czujniki składu mieszanki oddechowej zapewniały, że wszystkie parametry mieszczą się w granicach norm. Przyszło mu do głowy, iż trudno wymagać od komputera zapachowo-smakowej subtelności właściwej żywym istotom. To, że powietrze nadawało się do oddychania, nie oznaczało automatycznie, iż oddycha się nim przyjemnie. Cóż, tych statków nie projektowano z myślą o tak długich podróżach.

Podszedł do senkomór i spojrzał przez pokrywę z przejrzystego tworzywa na swojego starszego brata i jedynego towarzysza podróży, Enona. Budzili się na zmianę dwa razy do roku. Sześć miesięcy temu to Enon kluczył po ciasnej kabinie, kontrolował

układy statku i pochylał się nad śpiącym Adaizem. Przyglądając się nieruchomemu ciału w zasobniku, Adaiz zwrócił uwagę na niepokojącą bladość brata. Jego skóra nabrała mętnoszarej barwy, całkowicie zatraciwszy zwierciadlany połysk. Adaiz zadumał się nad wpływem, jaki tak długa wyprawa musiała wywrzeć na ich zdrowie. Z całą pewnością wieloletnie trwanie w stanie głębokiego uśpienia nie było korzystne. Ale to nie miało teraz znaczenia. Ich jedyną troską było zadanie, które im wyznaczono. Poczytywali sobie za zaszczyt, że obarczono ich taką odpowiedzialnością, i zamierzali wykonać je bez względu na osobisty koszt. Ostatecznie będą jeszcze następne życia.

Przed nimi w lodowatej czerni kosmosu statek Trucicieli sunął ku odległej planecie, a oni podążali jego śladem. Miało minąć jeszcze kilka lat, zanim dotrą do celu.

Za kilka godzin Adaiz planował powrót do własnej senkomory, teraz jednak nadeszła pora na oczyszczenie umysłu i potwierdzenie własnego miejsca w wielkim planie wszechświata. Adaiz usiadł na podłodze i skrzyżował nogi.

Z kieszeni spodni wydobył niewielki tomik w plecionej, skórzanej oprawie, z cienkimi jak bibuła stronami zadrukowanymi kaligraficznym pismem. Był to egzemplarz Katalla-Oman, luceńskiej księgi samowiedzy. Katalla-Oman została podarowana ich rasie w zamierzchłej przeszłości, jak mawiano, przez samego Omaniego, boga mądrości i jedności.

Adaiz ostrożnie otworzył księgę i odczytał na głos swoją ulubioną pieśń. Znał ją na pamięć od dzieciństwa, ale ciężar książki w dłoniach i tembr własnego głosu podczas głośnego czytania sprawiały mu przyjemność.

Ja Adaiz-Ari z Klanu Wojowników i Klanu Opatrzności
Jestem świadomością
Jestem światłem
Jestem wierzchołkiem rozumu
Spoza zamkniętych powiek widzę
Z dala od ciała

Z dala od planetoid, które zwę domem
Z dala od słońca i gwiazd
Wszechświat istnieje
Otacza mnie
Przenika mnie
Ale wciąż jestem
Świadomością
Światłem
Wierzchołkiem wiedzy

Wypowiadając ostatnie słowa, poczuł ich znaczenie. Jego ciało rozwiało się. Statek rozwiał się. Czuł się punktem świadomości. Pojęcia czasu i przestrzeni zatraciły znaczenie. Cały wszechświat należał do niego. Istniał. Wiedział. Był.

Rozdział 4

Rok temu.

Harris Edward DeLacy III albo Eddie, jak nazywali go wszyscy oprócz prawników, wykonywał cykle Powitania Słońca na macie do jogi w swojej sypialni. Lubił czuć pracę mięśni podczas ćwiczeń. Poświęcał dużo energii na utrzymanie sylwetki i kondycji za pomocą jogi, joggingu i okazjonalnych kursów sztuk walki. Ku zmartwieniu bliskich była to jedyna forma aktywności, w której wykazywał pewną wytrwałość.

W Los Angeles był środek dnia i przez okna wlewał się do środka potok słonecznego blasku. Z łazienki dochodziły odgłosy krzątaniny: Callen właśnie wychodziła spod prysznica.

– Gdzie masz zapasowe ręczniki? – zawołała zza zamkniętych drzwi.

Eddie trwał w pozycji psa z głową w dół, w ostatniej fazie ćwiczenia.

– W szafce pod umywalką – odkrzyknął.

Wytrzymał jeszcze przez pięć oddechów, po czym powoli rozluźnił ciało i usiadł na macie. Do pokoju weszła Callen owinięta ręcznikiem. Spędzili ze sobą godzinę w łóżku, a po seksie zawsze brała prysznic. Eddie także miał zamiar się wykąpać, ale na razie delektował się wspomnieniem dotyku jej ciała. Ostatnio sypiała z nim tak rzadko. Było zupełnie inaczej niż w college'u, a nawet na studiach, kiedy to wciągali się nawzajem w krótkie, intensywne romanse w przerwach między innymi związkami. Eddie obawiał się, że Callen w końcu zaczęła dorośleć szybciej niż on.

– Chodź tutaj – zamruczał, ujmując jej dłoń.

Poddając się, usiadła mu na kolanie i pozwoliła pocałować. Eddie przeciągał pieszczotę dłużej, niż się spodziewała. W końcu położyła mu dłonie na ramionach i odepchnęła.

– Ej, co ty wyprawiasz? – spytała.

– A jak ci się wydaje?

– Muszę już iść, Eddie. – Wstała i zaczęła zbierać swoje ubrania. – Naprawdę powinniśmy dać sobie z tym spokój.

– Czemu?

– Bo zbyt łatwo byłoby nam wpaść z powrotem w związek – odparła, podciągając majtki.

Była całkiem ładna. Mimo permanentnych pięciu kilogramów nadwagi tłuszczyk nie szkodził jej figurze; przydawał raczej jej piersiom i biodrom ponętnej krągłości. Eddie zawsze wielbił jej ciało i uwielbiał kochać się z nią.

– Oboje wiemy, że nie spędzimy ze sobą reszty życia.

– Czyżby? – Eddie uniósł brwi, chociaż wiedział, że to prawda.

Jego ojciec, Harris Edward DeLacy Junior, był dyrektorem naczelnym Bannon-DeLacy, firmy lotniczo-astronautycznej założonej w 1912 roku przez Harrisa Edwarda DeLacy'ego Seniora, wizjonerskiego konstruktora i biznesmena. Callen St. John była córką prezesa Bannon-DeLacy. Ona i Eddie dorastali razem, dzieląc zdumienie tym, że rodziny, w których się urodzili, są tak skrajnie różne od tych, jakie wymarzyli sobie dla siebie samych.

Callen zapięła dżinsy, włożyła bluzkę i zaczęła rozglądać się za skarpetkami.

– Na krześle – podpowiedział Eddie, uśmiechając się, ponieważ zawsze zapominała, gdzie zostawiła ubranie.

Ale zamiast pójść po skarpetki, Callen odwróciła się i usiadła obok niego na macie.

– Ale kocham cię, Eddie.

– Ja ciebie też. Wiesz o tym.

– Tak… – Wsunęła mu ręce na ramiona. – Ale to nie jest taka miłość, prawda? Jesteś dla mnie jak brat.

Przytulił ją i przyciągnął, skłaniając, by położyła mu się na kolanach. Spojrzała w górę, szukając jego wzroku. Tego ranka ogolił się i jego policzki lśniły gładkością. Miał brązowe, lekko kręcone włosy, aktualnie w pewnym nieładzie, co zresztą – jak pomyślała – było ich zwyczajnym stanem. Był przystojny, ale wiedziała, że nie dba o takie szczegóły.

– Wobec tego, jak sądzę, zrobiliśmy dziś rzecz nielegalną w większości stanów – zażartował.

– Wiesz, o co mi chodzi. Mamy po trzydzieści dwa lata. Muszę się wreszcie zdecydować, co chcę zrobić ze swoim życiem.

– Przerastasz mnie – powiedział cicho, przeczesując jej włosy palcami.

– Być może – zgodziła się.

Ujęła jego podbródek pomiędzy kciuk i palec wskazujący i delikatnie potrząsnęła jego głową.

– Widzisz, ja po prostu… Jakoś nie mogę znaleźć klucza do twojej duszy, wiesz?

– Tak. – Pokiwał głową. – Sam mam ten problem.

Złapawszy go za ramię, podciągnęła się w górę i usiadła.

– Naprawdę muszę już iść. Za dwadzieścia minut mam spotkanie.

Pracowała dla agencji reklamowej. Swój talent pisarski trwoniła na kampanie sprzedające samochody, napoje gazowane i kobiece artykuły higieniczne, ale wydawało się, że nie ma nic przeciwko temu. Nie potrzebowała pieniędzy, ale lubiła swoją pracę i lubiła Los Angeles. Cieszyła się nimi, nie próbując zrozumieć.

Eddie patrzył na nią, gdy naciągała skarpetki i zakładała buty.

– W porządku – powiedział po dłuższej chwili milczenia.

– Co w porządku?

Oparł ręce na macie za plecami i odchylił się do tyłu.

– Po prostu w porządku.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Rozumiał, dlaczego nie chce już więcej z nim sypiać. Nadal był jej przyjacielem i zawsze nim będzie. Skinęła mu głową.

– Myślę, że wrócę do Egiptu – oznajmił po krótkiej chwili.

Powiedział to takim tonem, jakby planował przechadzkę do kawiarenki za rogiem. Taki miał styl. Wszystko robił od niechcenia.

– Tatuś przywrócił kieszonkowe? – spytała z nutką złośliwości w głosie.

– Nie muszę na niego liczyć – oświadczył Eddie z udawaną dumą. – Od czasu do czasu mamie robi się mnie żal i posyła mi pieniądze za jego plecami, kiedy zaczyna się bać, że przymieram głodem. A jeśli nie da mi na podróż, zawsze mogę sprzedać samochód.

– Jasne. Komu potrzebny samochód? Zwłaszcza w Los Angeles.

Odpowiedział uśmiechem, ale myślą był już na przyszłej wyprawie.

– Zawsze miałem uczucie, że klucz do mojej duszy jest właśnie gdzieś tam.

– Jeżeli w ogóle istnieje jakiś klucz.

Callen była już ubrana. Podeszła do niego i pocałowała w czoło.

– To wszystko, co masz dla mnie? – nadąsał się Eddie.

Poklepała go pieszczotliwie po policzku.

– Lepiej zacznijmy od zaraz – zerknęła na zegarek. – Na razie, Eddie. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Wyszła z pokoju, a po chwili Eddie usłyszał dźwięk otwieranych i znów zamykanych drzwi wejściowych. Po kolejnej minucie za oknem rozległ się chichot uruchamianego silnika. Callen zjechała z podjazdu i warkot powoli odpłynął w dal.

Eddie przez kilka chwil siedział bez ruchu, a potem ukląkł i wznowił swoje ćwiczenia. Myślał o Egipcie.

Rozdział 5

Rok 2607 p.n.e.
Rok zerowy kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Patrzyłem, a oto wiatr gwałtowny nadszedł od północy, wielki obłok i ogień płonący oraz blask dokoła niego, a z jego środka promieniowało coś, jakby połysk stopu złota ze srebrem, ze środka ognia.

Księga Ezechiela 1:4[1]

Inżynier szedł jasno oświetloną galeryjką biegnącą kołem nad sterownią napędu. Z góry mógł obserwować umieszczone na środku zespoły sterujące pracą niezwykłego silnika statku. Było tam osiem stanowisk, każde z nich obsadzone, ponieważ jednostkę przygotowywano właśnie do zmiany fazy.

Inżynier niósł matową podkładkę do pisania, którą przyciskał sobie ręką do piersi, i skrobał po niej trzymanym w drugiej ręce rysikiem. Pomost sterowni był jednym z kolejnych punktów kontrolnych na drodze jego obchodu. Ubrany był w jednoczęściowy kombinezon z białego materiału, z naszytą na piersi plakietką identyfikatora, na której widniało tylko jedno słowo: Inżynier. Był to jeden z warunków zaokrętowania: wszyscy musieli odrzucić imiona z dawnego życia i przyjąć nowe na czas tej historycznej wyprawy. Tym samym każdy członek załogi istniał pod nazwą funkcji, jaką wykonywał na pokładzie.

Na piersi, tuż obok imienia, widniał emblemat przedstawiający stylizowany wizerunek sławnego silnika statku. Inżynier bardzo lubił ten rysunek.

Poniżej jego podwładni, młodsi technicy, wypełniali własne listy kontrolne, upewniając się, że wszystkie układy w ich strefach nadzoru działają bez zarzutu. Drugi inżynier, nazywany po prostu

Drugim, rozmontowywał sekcję przewodów przepływowych. Inżynier przez chwilę przyglądał się jego pracy i uśmiechnął się do siebie. Facet był dobry.

Obszedłszy pomost dookoła, skręcił do szybu powietrznego, którym spłynął na dolny poziom. Tam przyjrzał się pracy z większą uwagą. Stanął za Drugim, patrząc, jak mężczyzna starannie opisuje stan każdego zdemontowanego podzespołu, by następnie odłożyć go na koniec schludnego szeregu części czekających na ponowny montaż na rozpostartej na podłodze podkładce antypoślizgowej.

– Jak idzie praca, Drugi? – spytał Inżynier.

Mężczyzna podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy skończył opisywać kolejną lśniącą krystalicznie część i troskliwie ułożył ją wśród pozostałych.

– Bardzo dobrze, sir – odpowiedział. – Na niektórych elementach widać lekkie ślady zużycia, ale wszystkie w granicach naszych przewidywań. Raport będzie gotowy w ciągu godziny.

– Znakomicie. – Inżynier kiwnął głową.

Przystanął jeszcze przy Trzecim Inżynierze, Regulatorze, Kierowniku Siłowni i czterech technikach. Wszyscy zgłosili stan swoich podsystemów. Inżynier dokonał stosownych wpisów w swoich dokumentach, po czym wywindował się szybem powietrznym z powrotem na pomost. Na górze podszedł do bocznego włazu, rozpoznawalnego tylko dzięki temu, że był nieco bardziej przejrzysty niż otaczająca go mlecznobiała ściana. Dotknął drzwi dłonią, a te natychmiast obrysowały się szczeliną, po czym bezgłośnie odsunęły w bok. Inżynier przestąpił próg, a za nim właz znów wtopił się w ścianę.

Jego miękkie buty nie wydawały prawie żadnych odgłosów, nawet kiedy stąpał po antypoślizgowej, karbowanej podłodze korytarza. Lubił bezdźwięczność swojego kroku. Pozwalał mu na wsłuchiwanie się w statek. Odgłosy pracy układów były bardzo ciche, prawie niesłyszalne, ale Inżynier miał ucho wyczulone na wszelkie niuanse. Słyszał pomruk na granicy zakresu słyszalności, tak niski, że czuł go w zębach i kościach. Nie był przykry, raczej kojący. Nie miał żadnego rytmu, ponieważ był zbyt jednostajny. Był to dźwięk – jak lubił myśleć Inżynier – czystej mocy.

Statek nosił nazwę „Zwycięzca” i był jego dziełem, choć to nie on opracował zasadę działania jego napędu wykorzystującego urządzenie zwane pompą Eschlessa. Nie, to przełomowe odkrycie było dziełem człowieka, który żył dwa pokolenia przed narodzinami Inżyniera. Jednak Eschless nakreślił jedynie teorię stojącą za takim napędem. Dopiero teraz, dopiero budując ten statek, człowiek po raz pierwszy wcielił ową teorię w życie. Przed Eschlessem Kinlai wierzyli, że nic nie może poruszać się szybciej od cząstek światła. W rzeczy samej, prowadzone od stuleci doświadczenia nieodmiennie potwierdzały, iż nie jest możliwe rozpędzenie materialnego obiektu do prędkości światła. A jednak Eschless, jak niewielu śmiałków w historii jego rasy, rzucił wyzwanie zaskorupiałej wiedzy, rozsupłał zasady rządzące wszechświatem, a potem splótł je na nowo w zupełnie nowy kształt. Rzecz jasna, piękno jego odkrycia polegało na tym, że ów nowy kształt w istocie wcale nie był nowy. Był to stary kształt – kształt, jaki wszechświat miał od swojego zarania, tyle że przed Esch-lessem nikt nie spojrzał nań w taki sposób.

A teraz, zaledwie dziesięciolecia później, Inżynier spacerował korytarzami pierwszego statku międzygwiezdnego z napędem Eschlessa – statku, który sam zaprojektował i zbudował. Sekret tkwił w stymulatorach prawdopodobieństwa umieszczonych w sercu silnika. Nie było trudniejszej do opanowania dziedziny matematyki niż rachunek prawdopodobieństwa na poziomie kwantowym. Opisywał domenę chaosu, gdzie nic nigdy nie pozostawało w stanie spoczynku i żadnych parametrów nie można było ustalić z absolutną precyzją. Ale jak się okazało, nie miało to znaczenia. Nie trzeba było znać dokładnego położenia elektronu w ściśle określonym momencie, jego energii ani prędkości. Wystarczyło wiedzieć, że wszystkie jego parametry są w stanie permanentnej fluktuacji i w każdej chwili mogą przyjmować dowolne wartości z niemal nieskończonego zakresu. Fluktuacje sprawiały, że poszczególne cząstki przez nieskończenie krótki czas niosły ze sobą olbrzymią ilość energii. W normalnych okolicznościach potencjał ten znikał tak szybko, że wszechświat nawet tego nie zauważał. Nie zmieniało to faktu, że energia, choć przez niewyobrażalnie ulotną chwilę, jednak tam była.

Tyle było wiadomo od wieków, ale przed Eschlessem nikt nie potrafił znaleźć sposobu na bezpośrednie wprowadzanie cząstek elementarnych w stan wysokiej energii. Pomysł Eschlessa był następujący: zbiór cząstek w niewielkim wycinku przestrzeni należało pobudzić w taki sposób, aby pchnąć wszystkie jednocześnie w stronę najwyższych poziomów energetycznych. Następnie wystarczyło przejąć ich energię i zasilić nią pędnik statku. W ten sposób okradało się czasoprzestrzeń z momentów najwyższej energii, zaś zadanie zrównoważenia bilansu energetycznego pozostawiało na barkach wszechświata. Za statkiem przemieszczającym się w ten sposób przez kosmos ciągnął się ślad nieustającej eksplozji nowych cząstek zmuszonych do zaistnienia przez potężny deficyt energii, który pozostawiał pojazd. Nowe cząstki powstawały w celu zniwelowania skutków działania napędu. Silnik wykorzystujący tę zasadę nazwano pompą Eschlessa. Urządzenie pobudzało fluktuację cząstek, odsysało momenty najwyższych stanów energetycznych, zaś pozyskana energia popychała je naprzód.

I w tym miejscu sprawa się komplikowała, ponieważ ilość energii wytworzonej przez taki układ okazała się niemal nieskończona, a nieskończoność to osobliwa rzecz. Kiedy zbudowało się statek, opierając się na pompie Eschlessa, teoretycznie miał on nieskończony potencjał prędkości. Ponieważ jednak czasoprzestrzeń nie toleruje nieskończoności, statek nie poruszał się przez nią w klasyczny sposób. Przemieszczał się w równoległym strumieniu, strumieniu nieskończoności, gdzie nie obowiązywały tradycyjne bariery fizyczne. Strumień ten nadal znajdował się wewnątrz fizycznego wszechświata, ale był niczym oddzielna enklawa rządząca się innymi prawami. Prędkości osiągane w owym strumieniu, choć nie nieskończone, były daleko wyższe niż prędkość światła.

Cała ta wiedza posłużyła do zbudowania „Zwycięzcy”, pierwszego załogowego statku napędzanego pompą Esch-lessa. Statek przemierzał kosmos z nadświetlną prędkością już od trzech miesięcy. Cel podróży był już bliski i Inżynier przygotowywał „Zwycięzcę” do zmiany fazy oraz powrotu w normalną

czasoprzestrzeń przez barierę światła, w obszar stosunkowo niskich prędkości.

Inżynier zanurkował w jedno z odgałęzień korytarza prowadzące w dół, do siłowni. Pomruk silników był tam głośniejszy. Ze wszystkich stron, ukryte tuż za ścianami, otaczały go trzewia układu napędowego: zawiła plątanina cewek, rur i krystalicznych magistrali energetycznych współdziałających ze sobą w doskonałej harmonii.

„Mój statek jest jak psotne dziecko, które ściąga śmietanę z bańki z mlekiem – pomyślał Inżynier – zabiera to, co najlepsze, dla siebie".

Nie mógłby być bardziej dumny.

Wkroczył do siłowni i stanął między ścianami wyglądającymi jak gigantyczne tablice rozdzielcze. Był to węzeł, w którym spotykały się układy statku i dokonywała konwersja energii. Tutaj obłąkańczej mocy wytwarzanej przez silnik zakładano pęta, by w bardziej oswojonej postaci skierować ją do zasilania rozmaitych wewnętrznych obszarów statku.

Człowiek, który opiekował się tym miejscem, nazywany Mechanikiem, stał przed szeregiem wskaźników i przełączników sterowania ręcznego wprawionych w tablicę naprzeciwko wejścia. Mężczyzna miał szarą skórę i włosy mieszkańca wschodnich prowincji Herroda.

– Witam, Mechaniku – powiedział Inżynier, ruszając w jego stronę.

– Witam, sir – odpowiedział zagadnięty, nie odwracając wzroku od wskaźników.

– Czy raport jest już gotowy?

– Tak, sir. Proszę bardzo.

Inżynier przebiegł wzrokiem po wręczonej mu liście, wskazującej czarno na białym, że stan każdego instrumentu w siłowni został starannie skontrolowany.

– Znakomicie – mruknął, nieco zaskoczony, że mężczyzna uporał się z pracą tak szybko.

Podszedł do jednego z pulpitów sterowniczych i rozpoczął wyrywkową kontrolę. Była to kwestia procedury, ale już po kilku minutach odkrył coś dziwnego. Przełączniki na jednej z tablic poruszały się z lekkim oporem sugerującym, że od długiego czasu

nie były używane. Inżynier szybko sprawdził log komputera i odkrył, że przełączniki nie zmieniły położenia od ponad trzech tygodni. Tymczasem każda standardowa procedura kontroli wymagała kilkukrotnego przerzucenia przełączników dla sprawdzenia, czy zawory funkcjonują jak należy.

– Mechaniku, zaznaczyłeś te przełączniki jako sprawdzone, ale widzę, że nie ruszano ich od tygodni.

– Sir, jestem pewny, że je sprawdziłem. Pewnie jakiś problem z komputerem. Nie rejestruje wszystkiego.

– Mechaniku, nie ma żadnego problemu z komputerem. Jak mógłby być?

Inżynier był skonsternowany. Dlaczego ten człowiek kłamliwie przekonywał go, że coś sprawdził, skoro ewidentnie tego nie zrobił? Od nienagannej pracy wszystkich podukładów zależało bezpieczeństwo całej załogi. Czy to zwykłe lenistwo?

– Sir, jestem pewien, że przełączniki działają bez zarzutu.

– Zupełnie nie o to chodzi, Mechaniku.

Inżynier odczepił od paska przenośny komunikator i wywołał sterownię napędu.

– Inspektor Maszynowni? – rzucił do urządzenia. – Zapraszam do siłowni. Przeprowadzi pan Mechanika jeszcze raz przez jego listę kontrolną, od początku do końca.

– Sir, to nie będzie…

– Mechaniku, proszę czekać tutaj na przybycie Inspektora. Ja mam do sprawdzenia resztę statku.

Kapitan siedział w fotelu w swojej prywatnej kajucie, przeglądając raporty. Inżynier stał naprzeciw niego oparty o ścianę, z wyrazem zafrasowania na twarzy. Przypięta do paska podkładka do pisania wisiała mu u biodra.

– Kapitanie, to zwyczajny partacz – powiedział, kręcąc głową.

– Jestem pewien, że to nie było celowe – odburknął kapitan, nie odrywając wzroku od własnych kolan, na których rozpostarł arkusze raportów.

Inżynier patrzył na krótkie jasne włosy dowódcy. Te włosy i błękitne oczy Kapitana były dobrze znane na ich ojczystej planecie. Kapitan otrzymał swoją obecną funkcję po odznaczeniu przez Połączoną Radę Przywódców za jego rolę w założeniu samowystarczalnej stacji naukowej w pasie planetoid wokół słońca Herroda. Był idealnym kandydatem na przywódcę tej historycznej ekspedycji, pierwszego załogowego rejsu statku napędzanego pompą Eschlessa, pierwszej wyprawy międzygwiezdnej. Lecieli na planetę zwaną Ziemią oddaloną od Herroda o osiem lat świetlnych. Kinlai już od wielu pokoleń bacznie obserwowali sąsiednie układy planetarne. Najbliższa im gwiazda była słońcem dla planety nazwanej Eimizą, na której odkryto rasę wysokich, srebrzystych stworzeń: Lucenów. W chwili, kiedy kinlajska sonda weszła na orbitę wokół Eimizy, Luceni byli uwikłani w globalną wojnę klanów. Uznawszy ich za niebezpieczną rasę, Kinlai pozostawili sondę na orbicie, ale zrezygnowali z załogowego lotu na Eimizę. W zamian Herrod posłał flotyllę małych bezzałogowych statków obserwacyjnych na Ziemię, drugą najbliższą im planetę nadającą się do zamieszkania. Ku wielkiemu zdumieniu Kinlai okazało się, że Ziemię zamieszkują istoty humanoidalne. Co więcej, obrazy przesłane na Herrod przez sondy wskazywały, że Ziemianie są ludźmi niemal nieróżniącymi się od Kinlai. Zdawało się to sugerować, że w jakimś odległym punkcie historii doszło do wielkiego, galaktycznego rozsiewu ludzkiej rasy. Naturalną koleją rzeczy pojawiła się chęć zbadania sąsiadów i kultury, jaką rozwinęli. Kinlai niezwłocznie zaczęli planować załogową ekspedycję na Ziemię. Załoga „Zwycięzcy” składała się w większości z naukowców, których zadaniem było badanie obcej planety i odkrytych na niej form życia. Była to pokojowa wyprawa, za którą w ciągu czterech lat miały wyruszyć następne. Liczono na to, że Ziemia pozwoli uczonym wszelkich specjalności dowiedzieć się więcej o Herrodzie poprzez porównanie z podobną mu planetą.

– Nie ma znaczenia, czy było to celowe działanie, czy nie, Kapitanie – powiedział Inżynier. – Zadania Mechanika mają kluczowe znaczenie dla statku. Niedbałość może mieć fatalne skutki.

Ten człowiek sprawiał się lepiej na początku wyprawy, ale ostatnio…

– Czy ty aby ciut nie przesadzasz? To tylko parę przełączników. Poza tym sam mówiłeś, że działały normalnie, chociaż ich nie sprawdził.

– Kapitanie, nie chcę go na tym stanowisku.

Kapitan widział, że Inżynier jest coraz bardziej rozdrażniony. Nie wróżyło to nic dobrego. Inżynier był prawdopodobnie najcenniejszym członkiem załogi, jeśli nie liczyć samego dowódcy. Kapitan zwerbował go do załogi, ponieważ wielu uważało go za najwybitniejszego żyjącego naukowca na Herrodzie. Poza zrozumieniem zasady działania pompy Esch-lessa i związanej z nią fizyki Inżynier miał ponad dwieście patentów z innych dziedzin nauki. Na Herrodzie był bogatym człowiekiem i żyło mu się wygodnie, ale bez wahania rzucił wszystko, by wziąć udział w wyprawie, na którą zabrał nawet swoją żonę, znakomitą lekarkę.

Kapitan dobrze wiedział, iż Mechanik ma dar irytowania ludzi, i jako dowódca często bywał zmuszony do wygładzania podobnych sytuacji. Był jednak zdania, że Mechanik nie jest złym człowiekiem, najwyżej czasem trudnym we współpracy.

– Znam go od lat, Inżynierze. Pogadam z nim. Bez obaw. Dopilnuję, by zrozumiał swój błąd i następnym razem był bardziej uważny.

Jakiś czas później Kapitan wezwał Mechanika do swojej kajuty. Mężczyzna zjawił się po kilku minutach, w kombinezonie poplamionym smarem. Jego szara twarz wyglądała na zmęczoną.

– Aa, Mechanik. – Kapitan uśmiechnął się serdecznie i gestem zachęcił gościa, by usiadł.

W imbryku czekała zaparzona herbata i Mechanik nalał sobie i gospodarzowi po filiżance. Kapitan znał Mechanika od najwcześniejszych lat swojej kariery w służbie kosmicznej Herroda. Mechanik dowodził promem, którym Kapitan podróżował między ojczystą planetą a pasem planetoid w latach, kiedy zakładano tam kolonię, jak również służył pod jego dowództwem w tuzinie innych

operacji. Nie byli przyjaciółmi sensu stricto, tym bardziej że dzieliła ich różnica wieku i rangi, ale Kapitan uważał, że ich relacja jest tak bliska przyjaźni, jak tylko może być w wypadku dwóch mężczyzn na ich pozycjach.

– Och, wyśmienita herbata, Kapitanie – powiedział Mechanik, odchylając się na fotelu, by z uśmiechem zadowolenia sączyć słodki, gorący napój.

Kapitan parzył ją własnoręcznie. Przyrządzanie doskonałej herbaty było jednym z jego specjalnych talentów i nigdy nie wyręczał się w tym pomocnikami.

– No i jak tam załoga, panie Mechaniku? – westchnął Kapitan po chwili, którą poświęcił na delektowanie się aromatem herbaty i pociągnięcie kilku łyków z filiżanki. – Ciekaw jestem, jakie przeważają nastroje w tej krzątaninie przed hamowaniem.

– Dobre, jak sądzę, Kapitanie. Czuje się pewną nerwowość, rzecz jasna, bo i nie wiadomo naprawdę, jak to będzie, kiedy już wylądujemy. Ale wszyscy pójdą za panem. To nowa sytuacja i nikt nie jest pewny, jak powinien reagować, więc patrzą na pana. Ufają panu.

– I dobrze, bo szczerze mówiąc, jestem pełen wyłącznie zapału.

– Zatem i oni będą pełni zapału. – Mechanik pokiwał głową. – Zwłaszcza kiedy skończymy z tymi przeklętymi inspekcjami i wreszcie będziemy mogli zająć się własną robotą.

– Słyszałem, że miałeś małe starcie z Inżynierem.

– Wszystkim załazi za skórę tą swoją skrupulatnością, Kapitanie. Czego się spodziewać?

– Jakiś problem w twoim dziale?

– Nie, skąd. Wszystko działa jak złoto. Tylko Inżynier musi zawsze znaleźć coś, co mógłby kazać poprawić. Musi trochę porządzić, inaczej nie czułby, że to jego wyprawa.

Kapitan uśmiechnął się mimo woli. To była prawda. Stosunek Inżyniera zarówno do statku, jak i samego zadania nacechowany był silnym – niektórzy powiedzieliby, że wręcz aroganckim – poczuciem własności.

– Tak czy owak przeglądy wkrótce się skończą.

– I niech Matka będzie za to błogosławiona – powiedział Mechanik i uniósłszy filiżankę do ust, opróżnił ją jednym haustem.

– Ale zanim to nastąpi, powinieneś być ostrożniejszy.

– Wejście w atmosferę za pięć minut i dwadzieścia cztery sekundy od… teraz – zawołał Inżynier do wszystkich na pomoście. – Kapitanie, zajmuję fotel pilota.

– Tak. – Kapitan skinął głową, obserwując trajektorię wyświetlaną przed nim na rozkładanym ekranie. Ukazywała ich tor lotu przez atmosferę Ziemi.

Inżynier wśliznął się do niskiej kabiny umieszczonej w przedniej części pomostu kapitańskiego „Zwycięzcy". Kabina czekała nieużywana – jeśli nie liczyć cotygodniowych inspekcji – od rozpoczęcia wyprawy, czyli od kilku miesięcy. Wewnątrz mieścił się fotel oraz zestaw przyrządów sterowniczych zupełnie innych niż te, którymi zapełniony był pomost. Było to stanowisko do pilotowania statku w warunkach lotu atmosferycznego.

Przejście do prędkości podświetlnej odbyło się bez nieprzewidzianych wypadków. Przez minione dwa tygodnie wytracali szybkość, zbliżając się do celu podróży. Przez ostatni dzień orbitowali wokół Ziemi, by w końcu wybrać miejsce lądowania w bezpośrednim sąsiedztwie pierwszej cywilizacji, jaką postanowili zbadać. Teraz nie pozostało im nic do zrobienia oprócz lądowania.

Inżynier ściągnął mocno pasy, którymi przypiął się do fotela, i wsunął ręce w uchwyty sterujące obejmujące ciasno przedramiona i wyposażone w dźwignie pod każdym z palców.

– Osłony atmosferyczne, Inżynierze – powiedział Kapitan.

– Tak, sir.

Lewa dłoń Inżyniera poruszyła się, odbezpieczając włącznik. Przez podłogę pomostu przebiegło ledwie wyczuwalne drżenie i wokół całej przedniej części „Zwycięzcy" zamknęły się osłony nadające mu aerodynamiczny kształt na czas podchodzenia do lądowania. Po chwili cały statek zaczął dygotać – szokujące doznanie po miesiącach doskonale bezwibracyjnego lotu, ale załoga była

przygotowana: wszyscy na pomoście i w innych pomieszczeniach siedzieli przypięci pasami do swoich foteli. Palce i ramiona Inżyniera poruszały zespołem dźwigni, kierując statek w ruchome okna, które widział na ekranie przed sobą, prowadząc go bezpieczną trajektorią przez górne warstwy atmosfery, a potem wzdłuż zniżającego się zmiennego kursu, jaki miał ich zawieźć do miejsca przyziemienia.

– Minęliśmy stratosferę – powiedział miękko Inżynier.

Układ łączności przekazał jego cichy głos bezpośrednio do ucha Kapitana, którego odpowiedź tą samą drogą trafiła do niego:

– Minęliśmy stratosferę – potwierdził dowódca.

Dygot słabł w miarę wytracania prędkości.

– Kurs ustalony, Kapitanie – zameldował Inżynier.

Statek opadał niekończącym się łukiem przez kilka godzin, dopóki, zbliżając się do strefy lądowania, nie znalazł się zaledwie kilka mil nad ziemią. W ostatniej fazie lotu jego silniki wyzwoliły potężną falę żaru i światła, rozpraszając nadmiar energii generowanej przez napęd Eschlessa. Daleko pod nim mieszkańcy miast, rolnicy, rzemieślnicy, szlachetnie urodzeni i słudzy żyjący wzdłuż Doliny Nilu zwrócili oczy ku niebu, by ujrzeć olbrzymiego, metalicznie połyskującego ptaka, ciągnącego za sobą pióropusz ognia i wydającego krzyk niczym grzmot rozszczepiający niebiosa. Zespół badawczy dotarł do celu.

Rozdział 6

Rok temu.

Ostatnia zasłona szarości rozwiała się i Pruit otworzyła oczy wciąż zanurzone w biofluidzie. Znów została zbudzona. A był to siedemnasty rok lotu. Zatrzepotała powiekami, strząsając z nich resztki biofluidu, którego poziom zaczął już opadać. Niks nie siedział, jak zwykle, na krawędzi kojca. Powinno ją to zaskoczyć, ale w swoim półletargicznym stanie Pruit poczuła wyłącznie ulgę. A więc wreszcie postanowił wrócić do regulaminowej procedury budzenia – tak pomyślała. Leżał we własnym kojcu i wracał do przytomności równocześnie z nią. Komputer nadzorujący układy podtrzymania życia sterował procesem automatycznie, tak jak powinien.

„Ale czemu akurat teraz? – pomyślała, czując, że wraca jej pełna świadomość. – Dlaczego teraz, po siedemnastu przebudzeniach?”.

Szkłotworowa pokrywa odsunęła się i do wnętrza wtargnęło chłodniejsze powietrze kabiny. Pędy kojca wycofały się w głąb biowyściółki.

Dłońmi uczepiła się krawędzi i podciągając się z wysiłkiem, usiadła. Spodziewała się ujrzeć Niksa, wynurzającego się z kojca w tym samym momencie, z ciemnymi włosami ociekającymi biofluidem, z wycieńczoną, ale uśmiechniętą twarzą. To jednak nie nastąpiło. Uświadomiła sobie, że od dłuższej chwili wpatruje się w zamkniętą pokrywę kojca.

Nie. Nagle zauważyła, że pokrywa nie jest całkiem zamknięta. Przy krawędzi szkłotworowej kopuły widniała wąska szczelina.

Poczuła przypływ paniki. Jej umysł błyskawicznie otrząsnął się z resztek snu, a oczy strzeliły w stronę pulpitu sterowniczego nad kojcem Niksa. Na pulpicie jarzyły się cztery niebieskie lampki. Kolor niebieski oznaczał niebezpieczeństwo. Albo usterkę.

Pruit dźwignęła się na nogi. Ostatnie pędy krwionośne z trzaskiem wyczepiły się jej ze skóry i nagłym ruchem zwinęły w głąb biowyściółki. Odczekała chwilę, by zwalczyć zawrót głowy, po czym wygramoliła się z kojca i przyskoczyła do pulpitu.

Uderzyła w przycisk otwierający pokrywę, ale ta ani drgnęła. Wcisnęła przycisk ponownie, tym razem przytrzymując dłużej, aby zwalczyć blokadę. Powoli pokrywa odsunęła się. Pruit zajrzała do kojca. Zobaczyła łupinę. Tam, gdzie powinien leżeć Niks zanurzony w biofluidzie i odżywiany przez pędy maszyny, widać było tylko suche wnętrze zasobnika, a w nim skurczoną i zasuszoną ludzką postać.

Pruit poczuła słabość w nogach i oparła się ciężko o brzeg kojca.

– Słodkie życie! – westchnęła. – Niks…

Bo to był on, bez żadnych wątpliwości. Dotknęła go. Jego twarz, choć mocno zniekształcona, wciąż była rozpoznawalna. Ciało było suche jak trzcina, chude i drobne, bez kropli wilgoci, bez kropli życia. Jedna ręka była dziwnie wykręcona, jak gdyby Niks sięgał w górę, do pokrywy, próbując otworzyć ją siłą.

Pruit odwróciła głowę i zanim zdążyła zapanować nad sobą, uderzyła ją fala mdłości. Osunąwszy się na kolana, zwymiotowała biofluid, który zalegał jej w żołądku.

– Centrala, aktywacja! – zachrypiała.

– Jestem.

– Centrala, Niks jest… Analizuj dane z jego kojca!

– Komputer układów podtrzymania życia nie przekazał jeszcze danych Centrali.

Pruit zacisnęła zęby w przypływie frustracji. Komputer układów podtrzymania życia był autonomiczną podsekcją układu centralnego. System zaprojektowano w ten sposób celowo, aby nawet poważna awaria Centrali nie musiała wiązać się z zagrożeniem dla zdrowia załogi.

– Centrala, zdejmij blokadę. Mów, co się stało.

Zapadła cisza, którą po krótkiej chwili przerwała Centrala. Kobiecy głos komputera, zwykle uprzejmie przyjemny, przycichł i nabrał stanowczego tonu. Układ syntezy mowy robił to tylko wówczas, kiedy dane, jakie system miał do przekazania, zostały

sklasyfikowane – w oparciu na instrukcjach wprowadzonych przez programistów – jako mogące mieć wpływ na stan emocjonalny załogi.

– Pruit, kojec zgłasza, że funkcje życiowe Niksa ustały.

Pruit trzymała się dłońmi za głowę, patrząc w dół, na wysuszone truchło w kojcu. Piekły ją oczy.

– Wiem o tym – powiedziała cicho. – Powiedz, dlaczego.

– To się stało dziesięć miesięcy i piętnaście dni temu – odpowiedziała Centrala, wertując dane. – Przyczyną nie była usterka kojca.

– A więc co?

– Dane wskazują, że Niks wszedł w stan stazy z aktywną endoskórą.

– Ojcze odrodzenia… – szepnęła.

Zarówno Pruit, jak i Niks korzystali z endoskór: sieci komórek, które żyły w zewnętrznych warstwach ich skóry i mogły wnikać w głąb ciała bądź wypływać na powierzchnię, tworząc dodatkową powłokę dla obrony przed mikroorganizmami w nieznanych środowiskach. Po przebudzeniu włączali je rutynowo, aby chronić się przed promieniowaniem i zarazkami, jakie mogły błąkać się po statku. Jednakże przed hibernacją endoskórę należało dezaktywować, ponieważ włączona, z natury swojej funkcji, odrzucałaby awanse kojca, traktując biopędy jako zagrożenie. Od samego początku szkolenia przed wyprawą ćwiczyli do znudzenia prostą procedurę wyłączania endoskóry przed wejściem w stan stazy. Niks powinien był zrobić to odruchowo.

Mogła sobie wyobrazić, co się stało. Kojec włączył się i przystąpił do przejmowania kontroli nad ciałem. Endoskóra zaczęła przeciwstawiać się jego działaniom. Kojec podjął standardowe funkcje i zaczął spowalniać procesy życiowe Niksa, wskutek czego endoskóra musiała zwiększyć wykorzystanie zasobów chronionego organizmu, aby móc wzmocnić swój opór, działając pod fałszywym założeniem, że organizm jest atakowany z zewnątrz. W końcu, w chybionej próbie ocalenia Niksa, endoskóra wyssała z niego życie. Podczas gdy ten ciąg wydarzeń odgrywał się w jej głowie, Pruit poczuła przypływ bezsilnej złości. Po wszystkich ich wątpliwościach

związanych z zagrożeniami stwarzanymi przez podróż w hibernacji Niks zginął uśmiercony nie przez kojec, ale przez własną endoskórę, mechanizm stworzony po to, by chronił jego życie.

Zasypiając, Niks musiał zorientować się, że coś jest nie tak. Próbował siłą odsunąć pokrywę, ale w tym czasie musiał być już półprzytomny w swoim na wpół martwym ciele. Było już za późno. Konstruktorzy statku nie mogli przewidzieć każdego możliwego błędu załogi.

Pruit przycisnęła otwarte dłonie do oczu, próbując wypchnąć z głowy wizję Niksa walczącego o życie w biofluidzie. Bez skutku. Odepchnęła się od kojca i chwiejnie wstała.

– Centrala, przejmij kontrolę nad komputerem układów podtrzymania życia – rozkazała. – Napełnij kojec Niksa biofluidem.

– Czy mogę spytać o powód? – Centrala wciąż mówiła przyciszonym tonem.

– Użyj wszystkich zasobów pokładowych układów podtrzymania życia. Zregenerujemy go.

Nastąpiła długa pauza, podczas której Centrala wertowała swoje przepastne bazy danych i listy procedur w poszukiwaniu stosownej odpowiedzi na to irracjonalne polecenie. Po długiej ciszy komputer odezwał się:

– Pruit, to nie jest możliwe.

– To jest możliwe! – wykrzyknęła z rozpaczą, patrząc w dół, na szczątki przyjaciela. – Napełnij kojec!

Na ten kategoryczny rozkaz do zbiornika zaczął napływać biofluid. Zwłoki Niksa były tak lekkie, że unosiły się na jego powierzchni. Pruit poczuła uścisk w żołądku i odwróciła wzrok. Tak, to był Niks tam w kojcu. To był on. Spróchniały i suchy…

– Pruit, to, o co prosisz, nie jest możliwe – oznajmiła Centrala powoli i wyraźnie. – Ten statek nie dysponuje takimi zasobami. Wątpliwe jest, czy takie zasoby istnieją nawet na Herrodzie.

Pruit nie odpowiedziała. Gdyby tylko mogła zatrzasnąć jego kojec, wrócić do swojego, zasnąć i obudzić się za rok, by odkryć, że nic z tego się nie wydarzyło. Wpatrywała się tępo w narożе zbiornika, patrząc, jak wypełnia się płynem, unikając widoku kołyszącego się wewnątrz truchła.

Wiedziała, że Centrala ma rację. Niks odszedł. Umarł dziesięć miesięcy temu z powodu głupiego niedopatrzenia. Błędu, którego tak łatwo było uniknąć. I to ona była temu winna. Gdyby mocniej nalegała na przestrzeganie procedur hibernacyjnych, zauważyliby ten błąd, zanim byłoby zbyt późno. Schlebiało jej, że dla niej naruszał regulamin, i to kosztowało go życie. Osunęła się na podłogę i wybuchła płaczem.

Kilka godzin później Pruit zmusiła się do ubrania, ale zamiast kombinezonu założyła swój mundur galowy: obcisłą czerwoną kurtkę i cieliste spodnie. Oba ramiona okalał jej srebrny szamerunek, oznaka rangi, zaś na pionowym pasie wzdłuż górnego rękawa widniały baretki kilku medali.

Stanęła przed komorą sensoryczną, wielką ciemną szafą umieszczoną na samym końcu statku, która do tej pory nie została użyta ani razu. Na rękach trzymała Niksa owiniętego w koc. Ważył tyle co nic.

– Centrala – powiedziała. – Napełnij zbiornik, żeby statek mógł przetworzyć ciało.

Właz komory znajdował się na wysokości pasa i teraz odsunął się, odsłaniając długą, płaską nieckę, głęboką na jakieś dziewięć cali i dość dużą, by pomieścić dwoje dorosłych osób leżących obok siebie. Wanna napełniała się biofluidem.

Pruit wysunęła ją z otworu i delikatnie złożyła ciało Niksa wewnątrz. Potem dotknęła panelu i patrzyła, jak wanna chowa się w komorze i znika za automatycznie zamykanym włazem. Komora miała rozłożyć zwłoki, zaś odzyskaną substancję przekazać do pokładowych układów podtrzymania życia.

– Centrala, otwórz dziennik.

– Dziennik gotowy do wpisu.

Głos nadal był łagodny i Pruit nienawidziła komputera za to, że wiedział o jej rozpaczy. Wpatrywała się w drzwi komory. To nie Niks był tam w środku. Niks, duch, człowiek, opuścił to ciało dziesięć miesięcy temu. Gdzie był teraz? Czy powrócił do domu na

Herrodzie? Czy był już dzieckiem w kolejnym życiu? Czy myślał o niej? Czy w ogóle go obchodziła?

– Ja, Czuwająca Obrończyni Pruit Pax z Senetianów, melduję śmierć mojego towarzysza, Czuwającego Obrońcy Niksa Arrasa z Teliveinów. Przejmuję dowództwo wyprawy. Koniec wpisu. Centrala, proszę opatrzyć wpis datą i godziną. Zamknąć dziennik – powiedziała cicho.

Dotknęła ściany komory i wyobraziła sobie, że dotyka jego. W dłoni ściskała niewielki kryształ, który Niks nosił na szyi. Sama nosiła identyczny. Były to prastare klejnoty, pożegnalny dar od dowódców Czuwających. Były małe, nie dłuższe niż jej najmniejszy palec i o podobnej grubości. W ich przejrzystym, zabarwionym na pomarańczowo wnętrzu tkwiły dwie niebieskie wstążki danych. Oba były częściowo uszkodzone, upstrzone szczerbami i pęknięciami, pamiątkami po piekle, przez jakie musiały przejść w swojej historii. A jednak starożytny czytnik kryształów zdołał wycisnąć z nich trochę treści. Zawierały kilka poematów. Pruit najbardziej podobał się ten fragment:

Zaiste zdobywcami jesteśmy
Wszystko, co jest, u stóp naszych
W czarnym królestwie gwiazd
Najjaśniejszym płoniemy światłem

Uwielbiała ten wiersz. Wyrażał tyleż entuzjastyczne co naiwne poczucie przeznaczenia tych starożytnych Kinlai, którzy mieli odwagę sięgnąć do gwiazd. Był to prosty, piękny i dumny sposób postrzegania wszechświata i miejsca, jakie zajmowali w nim ludzie. Taka infantylna pewność siebie mogła istnieć tylko przed Wielką Wojną, zanim ich cywilizacja została niemal doszczętnie zmiażdżona. Pruit i Niks traktowali ten wiersz jak osobistą mantrę. Przypominał obojgu, czym mogła być ich rasa, i poruszał Pruit do samego rdzenia jej jaźni – rdzenia, które mówiło Lucenom: „Nie zwyciężycie…”.

Teraz, bez Niksa u boku, znaczenie wiersza zdawało się dziwnie wyblakłe. Pruit mocno ścisnęła twardy kryształ w dłoni i oparła się ciężko o ciemne pudło komory.

Niks. Pamiętała ich pierwszy pocałunek. Było to wiele lat temu. Stali w parku, w świetle późnego popołudnia sączącym się przez kopułę miasta. Ich usta zetknęły się i było to dobre. Zakochała się w nim natychmiast. Zawsze go kochała. Swojego przyjaciela. Życiowego partnera.

Wiedziała, że powinna się pożegnać. Powinna otworzyć usta i powiedzieć mu: do widzenia. Ale nie mogła. Myślała o tym, jak lubił całować ją w brzuch wokół pępka, o dotyku jego dłoni, o jego twarzy. Myślała o wszystkich intymnych chwilach, jakie przeżyli w ciągu spędzonych ze sobą lat.

Uświadomiła sobie, że płacze, przyciskając głowę do ściany komory. Ciało Niksa zapewne już się rozpuściło. Nie zostało po nim nic oprócz koca unoszącego się w wannie z biofluidem. Po kolejnym roku snu Pruit dotrze do celu podróży. Miała do wykonania ważne zadanie i była zupełnie sama.

Działając na wpół świadomie, podeszła do pulpitu sterującego i zanurzywszy rękę w manipulatorze, uzyskała dostęp do układów syntezy mowy. Niemal w transie nakazała Centrali przybrać głos Niksa. W pamięci statku znajdowały się setki godzin nagrań ich rozmów i Centrala nie mogła mieć żadnych trudności z uzyskaniem wzorca.

– Centrala? – odezwała się Pruit na próbę, wysuwając dłoń z manipulatora.

– Słucham?

Pruit załomotało serce, ponieważ ze ścian dobył się głos Niksa. Obiektywną częścią swojego jestestwa pojmowała, że nie myśli racjonalnie, ale w tamtej chwili nie miało to dla niej znaczenia; chciała go słyszeć, rozmawiać z nim, czuć, że nie jest sama.

– Niks… – zaczęła. – Nie wiem, jak ja poradzę sobie z tym wszystkim bez ciebie.

– Ja…

– Po prostu pozwól mi mówić, Centralo – powiedziała cicho.

Centrala umilkła. Pruit zaczerpnęła tchu.

– Nie jestem pewna, czy wiem, jak mam żyć bez ciebie – wyszeptała, zawstydzona świadomością, że zwierza się maszynie, ale znajdując w tym dziwne ukojenie.

W chwili, kiedy usłyszała własne słowa, uświadomiła sobie, że to nieprawda. Bez Niksa nie mogła wyobrazić sobie siebie szczęśliwą, ponieważ to on był tym, który nauczył ją szczęścia. To jednak nie zmieniło sensu jej życia. Odkąd wstąpiła do Czuwających, w jej duszy tkwił rdzeń twardy jak stal.

Jej dłoń powędrowała w górę ramienia, aż palce natknęły się na baretki. Było tam kilka odznaczeń za loty kosmiczne, które wykonała przed wyprawą na Ziemię, większość z zadaniem poszukiwania złóż cennych metali na planetoidach. Jeden medal przyznano jej za wykrycie potencjalnej usterki kopuły miejskiej, zanim pojawił się przeciek. Jej czujność uchroniła tysiące przed wystawieniem na śmiercionośne promieniowanie. Palce Pruit przesunęły się na najwyższą baretkę. To była Gwiazda Odwagi za wytropienie tamtego luceńskiego szpiega, który ją postrzelił.

Czuła żal z powodu śmierci Niksa, ale wiedziała, że to jej nie sparaliżuje. Żal był prawdziwy, ale słabszy od jej determinacji. Poświęciła całe życie walce o przetrwanie jej rasy. Pomyślała o słowach ich wiersza i wiedziała już wszystko.

– Pruit… – To była Centrala mówiąca głosem Niksa.

– Wiem. – Pruit pokiwała głową. – Nie mówiłam tego serio. Będę żyć. Wciąż mamy szansę i zamierzam ją wykorzystać. Nawet sama.

Rozdział 7

Czasy obecne.

Afryka. Egipt, Libia, Tunezja, Algieria, Maroko, Mauretania… – Pruit recytowała nazwy w czasie biegu.

Bieżnia stała przed dużym ekranem wyświetlającym mapę Ziemi. Statek znajdował się na orbicie piątej planety układu, gazowego olbrzyma, którego mieszkańcy trzeciej planety, celu jej podróży, nazywali Jowiszem.

Pruit dotarła do Układu Słonecznego i wyszła ze stazy sześć miesięcy temu. Jej wyprawa wkroczyła tym samym w drugą fazę. Z jednego ze stanowisk sterowania na środku kabiny słyszała szybkozmienne gwizdy i szumy częstotliwości radiowych skanowanych przez Centralę. Ziemia rozwijała się prężnie przez minionych pięć tysiącleci. Planeta była rozwinięta nieco ponad stan, który Pruit uznałaby za idealny, ale dostępność środków szybkiego transportu była jej bardzo na rękę.

Pruit nie wolno było podejmować prób nawiązania kontaktu z Ziemią, dopóki nie odzyska kondycji fizycznej oraz nauczy się języków, jakie będą jej potrzebne do wykonania zadania. Wybrała dwa: angielski, ponieważ mówiła nim większość ludności planety, oraz arabski, ponieważ był dominującym językiem w rejonie jej celu podróży. Dzięki pomocy programów do nauczania zawartych w pamięci Centrali w ciągu minionych miesięcy opanowała oba w stopniu umożliwiającym płynne porozumiewanie się. Języki nie miały wspólnego pochodzenia i opierały się na zupełnie innych alfabetach, zatem zadanie nie należało do łatwych, ale Pruit szlifowała swój lingwistyczny potencjał na Herrodzie, gdzie żołnierze Czuwających uczyli się do pięciu języków starożytnych Kinlai w ramach szkolenia. Języki te, martwe od tysięcy lat, ze swoją osobliwą składnią i zmienną intonacją, były wykorzystywane

przez Kinlai do porozumiewania się szyframi, które dla Lucenów utrzymujących kosmiczną blokadę były trudne do złamania.

Angielski i arabski były językami o różnych charakterach. Arabski wydał się Pruit wrażliwszy i bardziej cywilizowany. Angielski był bardziej ekspresywny.

Sprawdziwszy swoje tętno oraz dystans, uznała, że już czas trochę ochłonąć.

– Wyłącz ekran – powiedziała.

Obraz zniknął. Włókna tworzące matrycę wyświetlacza powróciły do swojej naturalnej gładkości i jasnobrązowej barwy. Ekran schował się w bocznej ścianie, zaś Pruit złapała ręcznik, usiadła na leżącej opodal macie i przystąpiła do ćwiczeń rozciągająco-chłodzących.

Szum dobiegający ze stanowiska sterowania gwałtownie przybrał na sile, po czym równie szybko przycichł. Centrala przeczesywała pasma częstotliwości używane przez ziemskie nadajniki, szukając starożytnej radiolatarni, która najwyraźniej już nie istniała, a jeśli tak, to jej sygnały musiały tonąć w kakofonii emisji całej planety. Pruit znieruchomiała, czekając na komentarz w kwestii nagłego skoku głośności, ale Centrala się nie odezwała. Nie miała nic nowego do zameldowania. Prawdopodobnie rozpoczęto nadawanie kolejnego programu rozrywkowego z wydumanymi historiami. Świat zwany Ziemią dosłownie w nich tonął. Mając niewiele własnych trosk na głowie – jak wyobrażała to sobie Pruit – Ziemianie lubowali się w roztrząsaniu fikcyjnych problemów wymyślonych ludzi.

Ziemia była interesującą planetą ze względu na swoje zasoby naturalne. Oprócz olbrzymich zbiorników wody zdawała się mieć niemal niewyczerpane złoża metali. Herrod był zupełnie inny, praktycznie pozbawiony naturalnych rud. Metale istniały, ale w skąpej ilości, rozproszone i związane chemicznie z innymi substancjami; próżno było szukać miedzi, złota, srebra, glinu i tym podobnych w postaci nadającej się do przemysłowego wydobycia i przetwarzania. W rezultacie rozwój cywilizacji Kinlai obrał zupełnie inną drogę. W ich historii nie było epoki brązu ani żelaza.

Efektem była technika oparta niemal wyłącznie na związkach organicznych i materiałach biologicznych.

Pruit położyła się na podłodze twarzą w dół, rozstawiając szeroko nogi i rozkoszując poczuciem powrotu dawnej kondycji. Po ostatnim przebudzeniu była tak osłabiona, że potrzebowała sześciu długich miesięcy na odzyskanie pełni sił i sprawności. Wreszcie się udało. Teraz miała smukłe i jędrne muskuły, a cerę zdrową i nie tak poszarzałą jak na początku. Nawet jej włosy odzyskały część dawnego połysku. Fizycznie była gotowa do rozpoczęcia kolejnej fazy zadania.

Po gimnastyce poświęciła kilka minut na ćwiczenie walki, okładając ciosami i kopniakami ciężki manekin treningowy. Potem wykąpała się i przebrała w kombinezon. Wreszcie usiadła na fotelu przy stacji medycznej i wsunęła dłoń w bransoletę czytnika diagnostycznego.

– Centrala, proszę potwierdź mój stan zdrowia. Jestem gotowa przejść do trzeciej fazy zadania.

Centrala potrzebowała krótkiej chwili na analizę odczytów.

– Jesteś gotowa, Pru – potwierdziła.

Pruit zauważyła, że od czasu jej ostatniego przebudzenia komputer coraz wierniej naśladuje styl mówienia Niksa. Przypuszczała, że nieustannie uczy się, bazując na ich zarejestrowanych rozmowach. Centrala zaczęła nawet modulować głos w zależności od nastroju Pruit – w bardzo podobny sposób, w jaki robił to Niks.

– Dobrze – powiedziała Pruit, ściągając czytnik z nadgarstka.

Czuła, jak żar entuzjazmu wypala smutek, który ostatnio zajmował jej umysł.

– No to do roboty!

Wśliznęła się na fotel głównej stacji sterowania i z półki po lewej stronie ściągnęła trzy książki. Pierwszą była główna książka procedur. Pruit otworzyła ją i odszukała odpowiednią stronę. Przeczytała:

Przy użyciu danych z załącznika 20.-c nadać komunikat do lokalizacji radiolatarni.

Otworzyła książkę załączników i sprawdziła częstotliwość emisji oraz współrzędne dla wiązki kierunkowej. W ciągu minionych sześciu miesięcy ćwiczyła to z tuzin razy i dobrze wiedziała, że będzie celować w obszar nad rzeką Nil, ale skrupulatnie przeszła przez wszystkie czynności potwierdzenia.

Otworzyła trzecią książkę – zbiór materiałów dodatkowych – i odszukała rozdział zatytułowany *Ostatnia transmisja od Zespołu Badawczego*. Poniżej znajdował się zapis tego ostatniego komunikatu sprzed tysiącleci. Zapisana słowami od dawna martwego języka widniała tam informacja, jakiej Pruit potrzebowała: częstotliwość radiowa i hasło, którego należało użyć – „Ratunek przybył". Dodatkowo było tam kilka kombinacji szyfrowych, których miała potrzebować później.

Zatopiwszy dłoń w plastycznym manipulatorze, Pruit wprowadziła częstotliwość i treść przekazu do komputera.

– Centrala, jestem gotowa do transmisji.

– Potwierdzam, Pruit.

Poruszyła dłonią, rozpoczynając transmisję. Nadajnik posłał wiadomość skompresowaną w jednym, nanosekundowym impulsie, aby uniknąć wykrycia przez odbiorniki Ziemian. Jeśli radiolatarnia ustawiona przez nieżyjących od wieków członków kinlajskiej wyprawy naukowej wciąż funkcjonowała, wiadomość musiała sprowokować odpowiedź. Szansa była niewielka, ale Pruit miała swoją książkę procedur. Gdyby sygnał nie zadziałał, przeszłaby do następnego planu na liście i rozpoczęła poszukiwania radiolatarni na ziemi. Zastanawiała się, jak długo przetrwali – ci z zespołu badawczego, którzy weszli w stan stazy. Czy spali pięćdziesiąt lat? Sto? Dwieście? Czy umarli szybko w ciągu kilku pierwszych lat, czy żyli długo, by w końcu, straciwszy nadzieję, dołączyć do obcego im świata? Czy radiolatarnia mogła przetrwać tak długo? Wątpliwe.

Minęła godzina – czas wystarczająco długi, by sygnał dotarł do Ziemi, zaś stamtąd powróciła odpowiedź. Ale odbiorniki milczały.

– Centrala, powtarzaj emisję co godzinę i kontynuuj monitorowanie ruchu w eterze.

– Rozumiem – odpowiedział komputer głosem Niksa.

Pruit pomyślała, że tak powściągliwa odpowiedź zupełnie nie pasuje do temperamentu Niksa. Spojrzała jeszcze raz na zapis ostatniej transmisji zespołu badawczego. Był to rozpaczliwy apel sześciorga ludzi, którzy chcieli wrócić do domu:

…w stanie stazy będziemy oczekiwać waszego przybycia. Nie zapomnijcie o nas…

Nie mogli wiedzieć, jak niewiele zostało z ich domu w chwili, kiedy posyłali tę wiadomość w przestrzeń. Sądzili, że prześpią najwyżej kilka lat, tymczasem sam Herrod omal nie zasnął na zawsze.

Rozdział 8

Rok 2606 p.n.e.
Pierwszy rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Zatrzęsła się i zadrżała ziemia, posady gór się poruszyły, zatrzęsły się, bo On zapłonął gniewem.

Księga Psalmów 18:8

Matko miłosierna, ależ morderczy upał – sapnął Kapitan, ocierając czoło chusteczką.

Lektyka kołysała się rytmicznie na ramionach tragarzy truchtających przez pofalowane wzgórza piasku i ziemi, które oddzielały obóz zespołu badawczego od miast leżących nad wielką rzeką, Nilem. Rozpostarty nad lektyką baldachim zapewniał Kapitanowi cień, ale samo powietrze parzyło płuca duszącym żarem.

Tragarzami byli wyłącznie piękni, młodzi mężczyźni o doskonale umięśnionych ciałach. Za jedyny strój służyły im skąpe przepaski okalające biodra i zawiązane z przodu na węzeł. Wolne końce pasa materiału zwisały luźno przed genitaliami, zapewniając wyłącznie symboliczną osłonę. Nie przejmowali się tym. Nagość nie należała do rzeczy, które tubylcy uznawali za wstydliwe. W tak gorącym klimacie ubiór był często przeszkodą w pracy i wielu robotników obywało się całkowicie bez niego.

Tragarze pocili się obficie, ale przyzwyczajeni do swojej pracy utrzymywali stałe, spokojne tempo.

Żona Kapitana, Archeolog, siedziała w lektyce po lewej stronie męża. Ona także osuszała brwi skrawkiem materiału. Kapitan zerknął na jej profil – szlachetne rysy twarzy i blond włosy związane za głową. Zawsze uważał, iż jest piękna, ale teraz, kiedy na nią patrzył, pomyślał, że być może „dostojna” byłoby lepszym słowem.

Kapitan odwrócił głowę w drugą stronę, by spojrzeć na Mechanika, który podróżował obok we własnej lektyce, wachlując się palmowym liściem. Widać było, że choć próbuje nie dać tego po sobie poznać, bycie noszonym przez innych sprawia mu przyjemność.

Za lektykami biegło dziesięć sług, każdy z małą sakwą pełną medykamentów przeznaczonych dla mieszkańców Memfis. Orszak zamykali trzej nosiwodowie, którzy co pewien czas poili innych z chochli.

Archeolog, poza tym, że była żoną Kapitana, miała wiele kwalifikacji uprawniających ją do udziału w wyprawie. Niemal całą karierę zawodową spędziła na wykopaliskach na całym Herrodzie, gdzie badała tuziny starożytnych kultur. Jej specjalizacją była ewolucja systemu władzy w społeczeństwie i jej związki z wierzeniami religijnymi.

Kapitan zawsze był szalenie dumny z tego, że znalazł sobie żonę dorównującą mu znakomitością. Ich jedyne dziecko, syn, przyleciało z nimi na Ziemię.

Miała to być ich pierwsza wizyta w Memfis, stolicy egipskiego imperium. Archeolog badała tę kulturę od dawna, aby przygotować ich do tego dnia. W ich obozie założonym na pustyni pomiędzy Nilem a Morzem Czerwonym pracowało wielu tubylczych robotników. Poprzez ich drobiazgowe wypytywanie w ciągu minionych trzech miesięcy wyrobiła sobie bardzo dobre pojęcie o organizacji państwa. W trakcie zbliżania się do miasta urządziła swoim towarzyszom ostatnią miniodprawę przed odwiedzinami.

– Egipt to interesujące miejsce – powiedziała. – Królestwo ciągnie się setkami mil wzdłuż brzegów rzeki. Ze względu na wielkie odległości pomiędzy miastami stworzono rygorystyczny system biurokratyczny pilnujący, by wszystkie sprawy były prowadzone jak należy. Król jest pośrednikiem między ludem a jego licznymi bogami. A jest ich naprawdę wielu. Każde miasteczko, każda wioska ma swoich własnych, a nad tymi z kolei panują więksi i potężniejsi bogowie o szerszym zasięgu wpływów. To całkiem typowe, że w miarę rozwoju społeczeństw lokalne bóstwa scalają się w osobowości coraz większych bogów, aż wreszcie, ostatecznie,

zostaje ich tylko garstka – za to każdy wyposażony w tuziny atrybutów. Egipt znajduje się we wczesnej fazie tego procesu. Lud jest tu przesądny, co wydaje się całkiem normalne na tym etapie rozwoju. Ich nauka jest dość toporna. Wciąż nie wynaleźli koła na przykład. Natura jest w wielu aspektach niezrozumiała, więc tworzą bogów, aby ją wytłumaczyć. Ponieważ królestwo jest tak rozległe, rzeczą o pierwszorzędnym znaczeniu dla władcy będzie skategoryzowanie nas. Musimy uderzyć od razu w odpowiedni ton. Chcemy pokazać, że jesteśmy potężni, żeby nie przyszło mu do głowy grozić nam, ale nie możemy być zbyt silni, inaczej wkrótce zaczną nas czcić jako bogów, zaś deifikowani kompletnie rozsadzimy ich religię.

Tragarze zwolnili kroku. Pokonawszy wzniesienie, biegli teraz przez wioski rozrzucone poza murami Memfis. Były to zgrupowania budynków ustawionych rzędami wzdłuż kanałów połączonych z rzeką. Domy budowano z cegieł lepionych z rzecznego mułu wymieszanego ze słomą i suszonych na słońcu. Spajająca cegły zaprawa była mieszaniną mułu, słomy i piasku, którą pokrywano też całą powierzchnię ścian w celu ich wygładzenia i zaimpregnowania przeciwko niepogodzie. Okna domostw wychodziły na północ, wystawione na wiejącą stamtąd chłodną bryzę. Zza murów wyglądały wierzchołki drzew rosnących w ogrodach. Drzewa były prawdziwym skarbem na tej pustynnej ziemi.

Mężczyźni, kobiety i dzieci zaludniali pyliste ulice, których ziemna nawierzchnia na najbardziej uczęszczanych szlakach była ubita do twardości kamienia. Kapitan patrzył na kobiety i mężczyzn piorących ubrania i czerpiących wodę z kanałów. Byli to ciemnoskórzy ludzie o ciemnych włosach, w większości nadzy od pasa w górę.

Dzieci zatrzymywały się, by pokazywać sobie palcami trzy lektyki. Przekrzykując się nawzajem, szeroko otwartymi oczami odprowadzały niesionych w nich dziwnych ludzi o białych twarzach. Wieści o ich przybyciu rozeszły się szybko po egipskich wioskach i miastach i wszędzie wiedziano – a przynajmniej plotkowano – że złotowłosi obcy to właśnie przybysze z nieba. Wywoływało to wielkie wrażenie, ale w kontekście egipskiego

oglądu świata w żadnej mierze nie szokowało ani nawet nie było niewiarygodne.

Po tym jak zespół badawczy wylądował na pustyni, król Snofru, władca całego Egiptu, posłał do ich obozu emisariusza ze zbrojną eskortą. Kapitan wyjaśnił mu, że ich misja jest w każdym calu pokojowa i że jej celem jest wyłącznie obserwacja miejscowej kultury. W zamian za pokój obiecał podzielić się wiedzą medyczną swojego zespołu z królem i jego ludem. W geście przyjaźni Kapitan poprosił Lekarkę o przygotowanie małej apteczki dla królewskich medyków oraz zaprosił owych medyków do obozu na naukę stosowania zawartych w zestawie środków.

Władca nadesłał odpowiedź, w której zapraszał gości, aby pozostali w jego królestwie tak długo, jak długo ich zamiary pozostaną pokojowe i jak długo będą powstrzymywać się od prób wywierania wpływów natury politycznej. Podziękował Kapitanowi za podarek, ale nie przysłał medyków na szkolenie.

„Czeka na dowody naszej kompetencji – myślał Kapitan. – Dokładnie, jak mówiła żona: chce nas oszacować. Chce wiedzieć, czy jesteśmy dlań zagrożeniem".

Za aprobatą króla zaczęli leczyć pojedynczych tubylców z ich przypadłości, najpierw zdobywając zaufanie tych, którzy zdobyli się na dwudziestomilową wędrówkę do obozu w nadziei na uleczenie. Wielu z nich, ujętych przyjaznym nastawieniem i szczodrością przybyszów, pozostało i podjęło pracę w obozie.

Dziś po raz pierwszy udawali się do miasta, by leczyć jego mieszkańców właśnie tam. Kapitan w końcu uświadomił sobie, jaką wartość miała ich wiedza medyczna. Każdy człowiek miał jakieś dolegliwości. Lecząc, przybysze automatycznie zyskiwali status cenionych przyjaciół. Król – za pośrednictwem posłańca – wydał im zgodę na ten jednodniowy wypad i Kapitan był zdecydowany wycisnąć z niego maksimum korzyści. Jego nadzieją i celem było uzyskanie swobodnego wstępu do wszystkich egipskich miast dla wszystkich członków zespołu badawczego. Dzięki temu mogliby szybko opisać społeczeństwo Egiptu, by potem wynieść się i zająć kolejną z ziemskich cywilizacji.

W wyprawie miała wziąć udział także Lekarka, ale tego ranka, w obozie, dwie kobiety zaczęły rodzić, zaś wobec wysokiej śmiertelności noworodków w tych okolicach żona Inżyniera wolała zostać i osobiście odebrać porody. Kapitan i Archeolog mieli wystarczające wyszkolenie medyczne, by poradzić sobie z trapiącymi Egipcjan bolączkami, a dowódca do pomocy zabrał ze sobą Mechanika.

– Niby jak mamy uderzyć w odpowiedni ton? – zapytał żonę.

– Wykonujmy dobrą robotę, leczmy ludzi, okazujmy szacunek królowi i jego rodzinie. Wobec wysokich urzędników przyjmujmy postawę przyjaciół. Tym samym sprawimy, że król nadal będzie czuł się ważny, a jednocześnie zajmiemy zwierzchnią pozycję wobec jego podwładnych.

– Wszystko jasne. Patrzcie.

Wszyscy troje unieśli wzrok, by ujrzeć mury okalające Memfis: wysoką budowlę z cegieł z rzecznego mułu. Nawet z tej odległości widzieli wielkie wrota strzegące dostępu do miasta.

Dołączyli do ludzkiego potoku płynącego w stronę Memfis. Byli tam poganiacze osłów obładowanych workami warzyw, zaprzęgi wołów ciągnące sanie z workami ziarna, lnu albo obwieszone małymi klatkami wypchanymi gęśmi. Grupa młodych mężczyzn o wojskowej postawie, odzianych w krótkie płócienne spódniczki szlachty, maszerowała dziarsko w stronę miasta, być może wracając do swojego batalionu pod koniec przepustki.

Oczy Kapitana niemal automatycznie wyławiały z tłumu sylwetki młodych dziewcząt. Większość nosiła cienkie, obcisłe sukienki, odsłaniające piersi. Trudy pracy fizycznej dały im smukłość i siłę. Kapitanowi wydawały się piękne.

Po półgodzinie dotarli do miasta. Brama – wysoka na dwadzieścia stóp i szeroka na trzydzieści – była rozwarta w ciągu dnia, ale przed nocą miała zostać zamknięta. Strzegło jej dziesięciu żołnierzy rozstawionych po obu stronach przejścia. Byli to wysocy, młodzi mężczyźni w płóciennych spódniczkach obszytych zielenią – kolorem jednostki, w której służyli. Ich uzbrojenie stanowiły długie włócznie i małe podłużne tarcze wykonane z grubej, mocnej skóry.

Ciemne włosy, sięgające do ramion włosy nosili zaczesane od czoła w tył.

Kiedy orszak Kapitana przejeżdżał przez bramę, żołnierze zasalutowali, przywodząc pięści do wyprężonej piersi. Był to znak, że przybysze są mile widziani przez króla.

Wjechali do miasta i natychmiast zauważyli zmianę atmosfery. Znaleźli się w centrum kulturalnym. Wzdłuż ulic ciągnęły się budynki i prywatne domy, często ściśnięte w szeregi przylegających do siebie budowli. Budulcem było drewno oraz suszone cegły. W co bardziej zamożnych domach pomiędzy płatwiami a dachem pozostawiono szeroką szczelinę wpuszczającą do wnętrza chłodzący powiew. W powietrzu unosił się smród odchodów – Egipt nie znał jeszcze dobrodziejstw kanalizacji. Rodziny musiały gromadzić swoje nieczystości i wynosić poza miejskie mury, gdzie rosły gigantyczne sterty łajna. Dużo ścieków wylewano także do rzeki, przyczyniając się do rozpowszechniania infekcji, które szalały zwłaszcza wśród niższych klas. Cóż z tego, że Egipcjanie byli czystym ludem, niestroniącym od kąpieli, skoro ich woda często była skażona.

Sunąc w swojej lektyce wzdłuż szerokiej ulicy, Kapitan dostrzegł królewski pałac wybudowany na wzgórzu w samym centrum miasta. Ten także wzniesiono z mułu i drewna, jako że Egipcjanie używali kamienia wyłącznie do budowy świątyń i grobowców. Mimo to pałac był imponującym kompleksem budowli. Z wnętrza swojej lektyki Kapitan widział kilka zgrabnych, trzykondygnacyjnych budynków ustawionych w ogromnym ogrodzie pełnym kwitnących drzew.

– Spójrz tam, kochanie – powiedział do żony, a ona podążyła za jego spojrzeniem.

– Jest piękny.

Wokół nich zaczął się gromadzić gwarny tłum gapiów. Było oczywiste, że reputacja przybyszów wyprzedziła ich. Ludzie tutaj sprawiali wrażenie bardziej wyrafinowanych. Większość miała peruki misternie utrefione w drobne loki albo długie proste treski wpięte ozdobnymi spinkami. Dzieci nosiły włosy w pojedynczym puklu zwisającym z prawej strony głowy, której większa część była gładko wygolona. Wiele kobiet odzianych było w eleganckie

płócienne suknie, niektóre farbowane na soczyste kolory. Niemal każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, nosił biżuterię, często zdobioną kolorowymi kamieniami.

Orszak kapitana zmierzał w stronę rynku, ciągnąc za sobą tłum ciekawskich mieszczan. Wyglądało na to, że będą dziś mieli liczną publiczność. Wreszcie dotarli na miejsce i tragarze ustawili lektyki na kamiennym podwyższeniu w narożu placu. Słudzy ostrożnie złożyli swój cenny ładunek na ziemi. Kapitan nakazał trzem nosiwodom wydać wszystkim szczodre porcje wody.

Archeolog zajęła się rozstawianiem słojów z medykamentami na drewnianych skrzyniach przed podestami, jednocześnie instruując Mechanika, jak ma przygotować trochę zwykłych kataplazmów, które z pewnością miały się im przydać. Wewnątrz murów miasta panował jeszcze bardziej nieznośny upał. Pociągnąwszy solidny łyk wody, Kapitan potoczył wzrokiem po placu.

Ceglane kramy zajmowały ponad dwa akry powierzchni. Sprzedawano z nich wszystko: od warzyw po wełnę, od kosmetyków po zwierzęta. Plac miał cztery ozdobne, drewniane bramy i otoczony był ze wszystkich stron dużymi, dobrze utrzymanymi domami. To była pożądana okolica. Pora porannego szczytu już minęła, ale kilka setek kupujących wciąż kręciło się między straganami, oglądając towary i wykłócając z przekupniami o cenę. Teraz dołączał do nich tłum sprowadzony na rynek przez Kapitana i jego orszak. W samym środku ciżby tworzyła się już długa kolejka przyszłych pacjentów.

– Jesteś gotowa, kochanie? – spytał Kapitan, kiedy Archeolog ustawiła ostatni ze swoich słojów.

– Tak, wszystko gotowe.

Kapitan odwrócił się i przemówił do sług, zwracając się do nich przez translator, który pozwalał mu na prowadzenie naturalnych rozmów w lokalnym języku. Urządzenie wyglądało jak wąski, płaski pasek, którego jeden koniec był owinięty wokół ucha użytkownika, drugi zaś schodził w dół wzdłuż żuchwy aż do podbródka. Wewnątrz znajdował się komputer zaopatrzony w potężny program do analizy lingwistycznej. Jeśli translator był wystawiony na dźwięki obcej mowy przez wystarczająco długi czas, zaczynał przekładać ją na haight, język, którym posługiwali się wszyscy

członkowie zespołu badawczego. Energię czerpał z poruszeń użytkownika, nie wymagał więc żadnych akumulatorów.

– Ustawcie kolejkę i przyprowadzajcie ludzi pojedynczo.

Pierwszy sługa skinął głową, ani trochę niezbity z tropu tym, że rytm mowy Kapitana nie pokrywał się z ruchami ust. Ostatecznie pracował w obozie przybyszów z nieba już od ponad miesiąca. Nie takie cuda już widział.

Pod nadzorem ludzi Kapitana tłum rozstąpił się, pozostawiając przed kolejką chętnych wolną ścieżkę do podestu. Pierwszy pacjent został ujęty pod rękę i wprowadzony po trzech kamiennych stopniach na podwyższenie. Był to mężczyzna w średnim wieku, o siwych włosach sterczących spod kruczoczarnych loków peruki. Twarz miał pooraną zmarszczkami i brakowało mu kilku zębów. Dłonią i ruchem głowy wskazał na swoje ramię. Podczas oględzin Archeolog odkryła długą drewnianą drzazgę wbitą głęboko pod skórę. Wokół rany tworzyło się już brzydkie zaognienie. Archeolog zajęła się pacjentem osobiście, zaczynając od znieczulenia miejsca zranienia kataplazmem, który oprócz leków z zapasów statku zawierał także miejscowe zioła. Następnie ostrożnie nacięła skórę i usunęła przyczynę bólu.

Tymczasem Kapitan zajął się następną osobą. Była nią starsza kobieta cierpiąca na niestrawność. Kapitan wypytał ją o objawy, skrzętnie wszystko notując, po czym wybrał jeden spośród kryształów z danymi medycznymi, ułożonych na stole za nimi. Wsunął go do czytnika i uzyskał dostęp do bazy danych. Za pomocą indeksu wyszukiwania przeprowadził diagnozę, a następnie sporządził kobiecie małą fiolkę lekarstwa do zażywania codziennie przez następny tydzień. Staruszka wzięła ją i skłoniła się z wdzięcznością.

I tak toczyło się to przez kilka następnych godzin. Mechanik pomagał przy komponowaniu leków i od czasu do czasu wspomagał Kapitana swoją siłą, kiedy przychodziło do nastawiania kości. Wiele dolegliwości dotyczyło uzębienia. Lekarka uprzedziła ich, że próchnica zębów była jedną z plag tej społeczności. Kamienie, jakich używano w młynach, pozostawiały w mące twardy pył, który skutecznie ścierał zęby nawet najzdrowszych obywateli.

Nie mieli środków umożliwiających leczenie zębów, musieli więc ograniczyć się do usuwania najmocniej zakażonych i wydawania pacjentom kulek środka przeciwbólowego i dezynfekującego, których żucie przynosiło im pewną ulgę.

Podczas zajmowania się jednym z przypadków bólu zęba Kapitan poczuł na sobie nacisk ciała młodej dziewczyny o nagich piersiach, której właśnie zaglądał do ust. Pomimo zepsutych zębów miała słodki oddech, jakby żuła liście mięty, zaś jej ciało kusiło rozkoszną krągłością. Szukając dostępu do bolącego zęba, Kapitan musiał przysunąć się bliżej i naga pierś otarła mu się o tors. Poczuł reakcję swojego ciała na ten dotyk i rozejrzał się niespokojnie, by spostrzec, że Mechanik patrzy na niego z uśmiechem. Kiedy nareszcie zdołał usunąć ząb i odesłał dziewczynę, ssącą przeciwbólową kulkę, do domu, Mechanik nachylił się ku niemu i wyszeptał:

– Z pana to taki wierny pies. Założę się, że nawet nie pamięta pan, jak to jest dotykać młodych piersi.

Kapitan uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Jakiś czas później, kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, przy jednej z bram rynku nagle wybuchło zamieszanie. Unosząc wzrok znad swoich czynności, Kapitan, Archeolog i Mechanik ujrzeli barwny potok ludzi wlewający się na plac od północnej strony. Tłum gapiów rozstępował się przed żołnierzami torującymi drogę orszakowi. Ciżba wybuchła gwarem. Do ucha Kapitana docierały urywki rozmów.

– Czy to on? Doprawdy?

– Nadchodzi błogosławiony…

– Król przybył…!

Kapitan zakrył dłonią mikrofon translatora, aby zachować dyskrecję, i zwrócił się do żony.

– To król. Tak mówią. Idzie do nas.

– Pamiętaj, co powiedziałam. Okażemy mu szacunek, ale damy do zrozumienia, że jesteśmy potężni i nie boimy się.

Kapitan skinął głową i rozejrzał się szybko, oceniając sytuację. U boku miał miotacz, podobnie jak jego dwoje towarzyszy. Zapasowe czekały ukryte w jednej ze skrzyń, które przywieźli ze sobą w lektykach. Ale przede wszystkim musieli postarać się nie

dopuścić, by użycie broni stało się koniecznością. Król z pewnością przybył tylko po to, aby popatrzeć na cuda uzdrawiania.

Szybko obsłużyli pacjentów, którymi właśnie się zajmowali, a potem przerwali pracę i patrzyli, jak królewski orszak sunie przez tłum. Pochód otwierało dwudziestu żołnierzy w kiltach wyszywanych złotem i pasujących do nich złotych naszyjnikach. W dłoniach dzierżyli długie rózgi, którymi zmuszali opieszałych gapiów do zejścia im z drogi. Za nimi kroczyli trzej dworscy dostojnicy, mężczyźni odziani w krótkie, lniane spódniczki, nad którymi zwisały ich pękate brzuchy. Pierś zdobiły im naszyjniki bogato wysadzane klejnotami. Każdy z dostojników okryty był lekką peleryną wyszywaną wzorami będącymi oznaką rangi. Otaczali ich słudzy ocieniający ich baldachimami i wachlujący.

Za dostojnikami szli tragarze dźwigający dwie ciężkie lektyki, obie misternie rzeźbione, pomalowane w niebieskie i zielone wzory. Pasażerów skrywały płócienne zasłony, zaś po obu stronach biegli słudzy trzymający w gotowości baldachimy i wachlarze na wypadek, gdyby okazały się potrzebne.

Każdą lektykę niosło ośmiu mężczyzn, którzy skandowali miarowo, dyktując krokom rytm. Translator Kapitana usłużnie przełożył słowa:

– Radosna jest nasza praca, radosna jest służba królowi…

Pomiędzy lektykami szedł mężczyzna, który prowadził na smyczach dwa psy i oswojoną małpę – najwyraźniej zwierzęcych ulubieńców króla.

Orszak zamykała kolejna dwudziestka żołnierzy, królewska gwardia przyboczna. Odziani w spódniczki z brązowego płótna, nie nosili żadnych ozdób z wyjątkiem naramiennych bransolet wysadzanych nefrytowymi paciorkami. Plecy ich dowódcy okrywała skóra geparda, którą nosił niczym pelerynę. Ogon zwierzęcia kołysał się mu między łydkami, głowa spoczywała na lewym ramieniu, przednie pazury zwisały na piersi.

Mechanik gwizdnął cicho. Królewski orszak prezentował się naprawdę imponująco.

Z wolna pochód zbliżył się do podestu i zatrzymał z lektykami oddalonymi odeń o nie więcej niż pięćdziesiąt stóp. Nosiciele

przestali skandować i na placu zapadła cisza. Tłum stał w pełnej szacunku odległości. Kolejka pacjentów pozostała na swoim miejscu, ale nikt nie podchodził do podestu uzdrowicieli. Na sygnał z wnętrza lektyki słudzy odciągnęli płócienne zasłony, odsłaniając samego króla Snofru. Był to niepozornie wyglądający mężczyzna, którego naturalne włosy okrywała udrapowana w trapez chusta. Nad jego czołem wznosiła się wysadzana klejnotami kobra, najwyraźniej symbol królewskiej władzy. Podbródek zdobiła mu ceremonialna sztuczna broda, którą – jak słyszał Kapitan – nosili wszyscy egipscy królowie podczas ważnych wydarzeń i uroczystości.

Kilka chwil później odsunięto zasłony drugiej lektyki. Siedziała w niej kobieta niemająca jeszcze trzydziestu lat – najwyraźniej królowa. Była szczupła i piękna. Miała naturalne długie czarne włosy opadające na ramiona i piersi. Jej duże oczy uczerniono grubą warstwą kohlu, który powiększał je jeszcze bardziej i nadawał im mroczny wyraz. Diadem z kolorowych kamieni na czole uwydatniał miodowy brąz jej skóry.

Jak jeden mąż ludzie na placu padli na kolana i ręce, by zastygnąć w czołobitnym pokłonie. Król skinął dłonią na znak, że przyjmuje ten wyraz oddania. Potem jego oczy zwróciły się ku Kapitanowi. Ten wytrzymał spojrzenie, a następnie skłonił się, zginając w pasie i pochylając głowę. Jego żona i Mechanik uczynili to samo. Ich pokłony wyrażały szacunek, ale nie uległość.

Jeden z trzech dostojników stojących przed lektykami wystąpił naprzód i przemówił do tłumu dobrze wytrenowanym głosem.

– Jego Wysokość uznaje waszą obecność. Możecie wstać.

Powoli, niepewnie, ludzie podźwignęli się na nogi, a trójka na podwyższeniu wyprostowała grzbiety. Urzędnik zwrócił się do swojego króla, a ten dał mu kolejny znak. Mężczyzna obrócił się w stronę kamiennego podestu i ruszył naprzód, a kiedy znalazł się w odległości umożliwiającej normalną rozmowę, zwrócił się do Kapitana:

– Jego Wysokość w swojej niezmierzonej łaskawości życzy sobie, abyście kontynuowali waszą pracę. Król będzie patrzył.

– Jego obecność jest dla nas najwyższym zaszczytem – odpowiedział Kapitan, kłaniając się jeszcze raz.

Dostojnik nie raczył powtórzyć tych słów władcy. Być może odczucia Kapitana były zbyt oczywiste, by trzeba je było powierzać słowom.

– Kontynuujmy – powiedziała Archeolog.

Kapitan spokojnie skinął na swoje sługi i cała trójka podjęła swoje posługi, zrazu z niemałym powodzeniem. Jednak trzeci pacjent, którego wprowadzono na podest, zwiastował kłopoty. Kapitan rozpoznał go od razu. Był to młodzieniec o brudnych włosach i dziecinnej twarzy, który wcześniej szukał pomocy w ich obozie.

– Ten był już u nas – powiedział Kapitan do żony, zakrywając dłonią translator. – Dwa razy.

Pamiętał go dobrze. Chłopak przykuśtykał do obozu ze skaleczoną, spuchniętą stopą, zagrożoną gangreną. Lekarka zajęła się nim osobiście i kazała kąpać stopę trzy razy dziennie w ziołach, które mu dała. Przy następnej wizycie przyjął go Kapitan, powtarzając zalecenie. Teraz chłopiec wrócił i na pierwszy rzut oka widać było, że nie przykładał się do leczenia. Opuchlizna powiększyła się, zaś pod łukiem stopy wystąpiły mu czarne żyły. Chora tkanka rozsiewała gnilny zapach.

Ze swoimi ograniczonymi zasobami niewiele mogli zdziałać wobec gangreny. Ale pod uważnym wzrokiem króla Kapitan poczuł wzbierającą w nim falę irytacji. Nie potrafił uleczyć tego chłopca.

– Byłeś już u nas – zwrócił się do młodziana, uważnie oglądając stopę.

– Tak – odpowiedział chłopak.

Wspierał się ciężko na długiej lasce. Odziany był w luźną, jasną szatę, jaką nosili starcy, obciętą na dole w taki sposób, by nie ocierała obolałej stopy.

– Nie posłuchałeś naszych poleceń!

Głos Kapitana nabrał ostrości. Nie chciał, aby skutek beztroski chłopaka został przypisany niedostatkowi umiejętności jego ludzi. Zerkając ukradkiem, spostrzegł, że słowa rozmowy są na bieżąco przekazywane królowi.

Chłopiec wydął wargi i wzruszył ramionami.

– Wyleczcie to – powiedział.

Jego postawa rozgniewała Kapitana jeszcze bardziej. Z bliska widział wyraźnie, że w stopę rzeczywiście wdała się gangrena i konieczna będzie amputacja. Chłopak okaleczał siebie na całe życie własną niefrasobliwością i marnował cenny czas zespołu, a co ważniejsze, właśnie w tej chwili stawiał Kapitana w złym świetle przed królem.

– Ta stopa cię zabije, i to bardzo niedługo – powiedział Kapitan nieco ostrzejszym tonem. – Jeżeli chcesz żyć, musimy ją odciąć.

Archeolog przytaknęła, kiwając ponuro głową. Diagnoza wstrząsnęła chłopcem, który potrząsnął głową, szepcząc:

– Nie… Nie…

– A czego się spodziewałeś? Dlaczego nie czyściłeś rany? – złościł się Kapitan. – Miesiąc temu to był łatwy do wyleczenia drobiazg.

– Przecież… możecie… wyleczyć… – mamrotał chłopiec.

Kapitan był wszechmocny, czyż nie?

– Nie przybyliśmy tu, by robić magiczne sztuczki z twoją nogą! Obiecaliśmy pomoc, ale tylko pod warunkiem, że będziesz wypełniał nasze polecenia i pielęgnował ranę.

– Wyleczcie mnie – burknął znowu chłopiec, tym razem trochę nadąsany, jakby Kapitan odmawiał mu pomocy dla zasady.

– Nie mogę cię wyleczyć! Już nie – odparł Kapitan sprowokowany do podniesienia głosu.

Tłum wpatrywał się w niego w oczekiwaniu. Król słuchał.

– Rozumiesz, co mówię? Musimy amputować ci stopę albo umrzesz. Jest za późno na leczenie!

– Wyleczcie mnie – powiedział chłopiec z desperacją w głosie.

– Jest za późno! – powtórzył Kapitan, już prawie krzycząc. – Za późno!

I wtedy, akurat gdy jego głos podniósł się w gniewie, stało się coś niebywałego. Ziemia zadrżała mu pod stopami i rozległ się głęboki grzmot. Na oczach osłupiałego Kapitana przeciwległy koniec placu dźwignął się w niemożliwy sposób na wypiętrzającym się gruncie. Kamienie brukowe podskoczyły w górę, niosąc ludzi na szerokiej toczącej się fali. Wszędzie wokół placu stragany zaczęły się walić, przygniatając ludzi, którzy zataczali się, próbując utrzymać

równowagę. Ziemia ryczała. Kapitan patrzył, jak jedna z bram rynku rozpada się i wali, miażdżąc tuziny ludzi.

Słoje z medykamentami zagrzechotały na skrzyni, po czym zeskoczyły z niej, roztrzaskując się na kamieniach i rozchlapując zawartość na żołnierzy oraz urzędnika stojącego przy podeście. Król kurczowo trzymał się słupków rozkołysanej lektyki. Tragarze zataczali się, ale w jakiś niepojęty sposób, zapewne siłą swojej liczebności, wciąż utrzymywali się na nogach. Lektyka królowej runęła, a jej pasażerka potoczyła się bezwładnie po bruku.

Nad podestem wisiało górne piętro domu arystokraty. Kapitan odwrócił się w samą porę, by ujrzeć kilka dużych odłamów muru, które oderwały się od fasady i runęły prosto na Archeolog. Złapawszy żonę za rękaw, odciągnął ją na bok i bryły przeleciały o cale od jej głowy. Roztrzaskały się na kamiennym podwyższeniu z hukiem, który utonął w ogłuszającym grzmocie rozstępującej się ziemi. Mechanik osunął się na kolana.

I nagle, równie gwałtownie, jak się pojawiła, fala opadła. Jeszcze przez kilka chwil grunt podrygiwał dreszczami słabych wstrząsów, ale w końcu i te umilkły, pozostawiając po sobie bezruch i ciszę. Kapitan i jego żona stali na tym, co pozostało z podestu, trzymając się w objęciach. Rynek był w ruinie. Wiele straganów zawaliło się na swoich właścicieli. Ludzie pełzali między stertami gruzu, szukając dzieci, albo stali w bezruchu, wpatrując się tępo w dzieło zniszczenia. Wielu stratowały gnane ślepą paniką stopy. Tłum na placu kłębił się teraz chaotycznie; jedni pomagali rannym, inni rozpaczali po nieżyjących bliskich. Ze zniszczonych budynków wokół placu sypały się raz po raz lawiny cegieł i drewna. Ze swojego miejsca Kapitan widział dziesiątki ciał pogrzebanych pod gruzami.

Prawdziwy cud, że on i jego żona wyszli z tego bez szwanku. Przed nimi, poniżej podestu, słudzy i żołnierze tłoczyli się wokół królowej, próbując udzielić jej pomocy. Wstała chwiejnie, wstrząśnięta, ale nie ranna.

– Spójrz – powiedziała Archeolog.

Podążył za jej wzrokiem i zobaczył, że spadający gruz, który o włos minął jego żonę, znalazł sobie inny cel. Chłopiec z zakażoną

stopą leżał zmiażdżony pod stertą cegieł, odsłaniającą tylko jego rękę i nogę. Laska, którą wypuścił z ręki, leżała kilka stóp dalej.

– Słodka Matko! – wykrzyknął Kapitan.

I wtedy spostrzegł, że tubylcy patrzą na niego. Ludzie przerwali swoje czynności i stali zwróceni w jego stronę. Starzec w długiej żółtej szacie kapłana wystąpił z tłumu i powiedział głośno:

– Ukorzcie się! Bóg się gniewa!

Oczy wszystkich utkwione były w Kapitanie. Patrzyli nawet król i królowa.

Kapłan powoli opadł na kolana i położywszy dłonie na ziemi, pochylił się w nabożnym pokłonie. Kapitan potoczył wzrokiem po placu, patrząc, jak jeden po drugim ludzie klękają, by uczynić to samo. Tylko król, królowa i ich świta nie złożyli pokłonu, choć niektórzy ze sług sprawiali wrażenie, jakby uważali, że powinni.

Wzrok Kapitana spoczął na królowej. Stała obok swojej połamanej lektyki, patrząc mu prosto w oczy. Powoli jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Rozdział 9

Rok 2606 p.n.e.
Pierwszy rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Dwadzieścia mil dalej, daleko poza ostatnimi wiejskimi chatkami najodleglejszych wiosek i poza granicą żyznej ziemi, na pustyni leżącej pomiędzy Nilem a Morzem Czerwonym, leżał obóz zespołu badawczego. Było to prawdziwe niewielkie miasto, którego zabudowania stanowiły namioty z pstrokatej tkaniny rozpiętej na kryształowo lśniących żebrach stelaży – radosna oaza na monotonnym tle pustyni. Każdy członek zespołu miał mały namiot służący mu za kwaterę, zaś każda z dziedzin nauki, takich jak geologia, mineralogia, medycyna, zoologia i tak dalej, posiadała swój namiot pracownię.

Namioty mieszkalne, rozstawione w koncentrycznych kręgach, miały bardzo przyjemne wnętrza. Materiał ścian zapewniał znakomitą izolację od skwaru i chłodu na zewnątrz, jednocześnie przepuszczając dość świeżego powietrza i słonecznego światła za dnia. W nocy, za sprawą wbudowanych lamp, namioty wypełniały się miękką poświatą. Każdy był wyposażony w lodówkę i latrynę. Były wręcz luksusowe, jeśli wziąć pod uwagę ich lokalizację.

Kilkaset stóp za granicą obozu zaczynało się osiedle robotników złożone z namiotów i prymitywnych chat wzniesionych w dość przypadkowym układzie przez ich mieszkańców – ludzi, którzy przybyli, aby zobaczyć ludzi z nieba, a potem zostali, żeby dla nich pracować. Chaty wybudowano z suszonych cegieł jak wszystkie domostwa w Egipcie, zaś typowe obejście składało się z niewielkiego ganku wybrukowanego kamieniami i kilku pomieszczeń za nim, w tym małej sypialni i ciasnej kuchni. Rozpięty nad gankiem baldachim zapewniał cień. Inni mieszkali w namiotach z surowego

płótna, które przywieźli ze sobą z rodzinnych miast i wiosek. Wejścia do namiotów także ocieniały rozpięte na kijach baldachimy. Późnym popołudniem, po zakończeniu pracy i posileniu się kolacją, robotnicy siadali pod trzepoczącymi daszkami, aby rozmawiać, pić piwo albo zioła i wystawiać twarze na podmuchy wieczornej bryzy.

Po drugiej stronie obozu zaparkowano transportowiec. Smukły pojazd o połyskującym perłowo poszyciu stał pionowo na dyszach silników, gotowy w każdej chwili wystrzelić w niebo. Był to prosty wehikuł o napędzie jądrowym, który podczas lotu na Ziemię tkwił przytwierdzony do kadłuba „Zwycięzcy". Po dotarciu do celu zespół używał go do transportowania ludzi i wyposażenia z miejsca lądowania do obozu. Później, po zakończeniu badań w Egipcie, miał posłużyć im do podróżowania po świecie, ale na razie trzymali go w odwodzie. Był cennym zasobem, ze skąpym zapasem części zamiennych, dlatego używali go wyłącznie wtedy, kiedy było to niezbędne. Pojazd stał się także obiektem pewnej czci wśród Egipcjan, których grupę przyłapano na próbie składania mu ofiar w środku nocy.

Tego popołudnia Lew, syn Kapitana i Archeolog, siedział przed transportowcem za dużym, składanym stołem, zrobionym z drewna. Zajadając chłodnik i pitę z miejscową fasolą, robił notatki w swoim dzienniku. Dopiero co zakończył obserwację stada antylop migrujących na południe.

Nie zawsze mówiono nań Lew. Na początku był Zoologiem, ponieważ taka była jego profesja. Nowe imię nadali mu tubylcy. Mierzył ponad sześć stóp wzrostu, miał szerokie barki i nieprzeciętnie silne ręce, wyćwiczone przez lata zajmowania się zwierzętami. Gęste, jasne włosy opadały mu na ramiona, okalając szeroką, przystojną twarz, pociemniałą od słońca, ale pozbawioną zmarszczek – Lew nie dobił jeszcze trzydziestki. Ciemnowłosi Egipcjanie szybko dostrzegli podobieństwo młodzieńca do króla zwierząt i przydomek przylgnął do niego. Wkrótce cały zespół, nawet rodzice, zaczął nazywać go Lwem.

Opodal stołu kręcił się Inżynier, który urządził sobie zewnętrzne stanowisko badawcze, aby popracować nad jednym ze swoich projektów. Na blacie niedaleko Lwa leżało kilka tuzinów kryształów

pamięci ułożonych schludnie według jakiegoś systemu. Lew nie miał pojęcia, jakiego. Tuż obok stał duży czytnik kryształów, specjalistyczne urządzenie Inżyniera, które odczytywało dane – jak często się chwalił – co najmniej trzykrotnie szybciej niż którykolwiek z aparatów w obozie.

Inżynier montował coś w rodzaju skrzynki, składając ścianki z kryształowych arkuszy i spajając je ręcznym narzędziem. Co kilka chwil przerywał pracę, by przyskoczyć do stołu i sprawdzić coś w czytniku. Lew dokończył posiłek, obserwując poczynania Inżyniera z pewnym rozbawieniem.

– Co robisz po obiedzie? – spytał Inżynier, notując coś pośpiesznie, z oczami wciąż dociśniętymi do okularów czytnika.

– Coś mi mówi, że pomagam tobie – odpowiedział Lew.

– Trafne przypuszczenie. – Inżynier się zaśmiał. – Podaj mi tamten niebieski kryształ, dobrze?

Lew wstał, dla bezpieczeństwa przesuwając swoje naczynia na środek stołu. Spojrzał na kryształy.

– Inżynierze, tu jest co najmniej dwadzieścia niebieskich.

Inżynier wydał z siebie udawane westchnienie irytacji i oderwawszy oczy od czytnika, wybrał właściwy kryształ, zdając się nawet nie patrzeć na dostępny wybór.

– Serio, Lwie, jeśli zamierzasz mi pomóc, musisz działać ciut szybciej.

Lew roześmiał się.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Ach, mam… Dobrze.

Inżynier zapisał jakiś wzór, po czym wrócił do skrzynki, którą kompletował. Lew podszedł tam za nim. Obok skrzynki stał spory tygiel wypełniony jakąś cieczą. Wokół leżały woreczki ze sproszkowanymi minerałami w rozmaitych kolorach oraz duży odłam skały.

– Co ty tu właściwie robisz? – spytał Lew.

Inżynier uśmiechnął się.

– Chcę wypróbować coś bardzo sprytnego.

Dodawał właśnie mineralne proszki do płynu, starannie odmierzając porcje. Kiedy mieszał miksturę, od strony chat

robotników nadeszła kobieta cała pochlapana krwią, z rozwichrzoną fryzurą krótkich czarnych włosów.

– Żona, Inżynierze – powiedział cicho Lew.

Inżynier natychmiast podniósł głowę i zatrzymał wzrok na swojej żonie, Lekarce.

– Mieszaj to, dobrze? – powiedział do Lwa, wręczając mu szpachelkę laboratoryjną, wykonując przy tym gest naśladujący mieszanie. – Powoli dodawaj tego czerwonego, aż opróżnisz menzurkę.

Lew posłuchał, a Inżynier wyszedł żonie na spotkanie. Lekarka ściągała z dłoni rękawiczki chirurgiczne. Wyglądała na wykończoną.

– Dwa porody – westchnęła, mnąc rękawiczki i wciskając je do kieszeni niebieskiego kitla, teraz fioletowego od krwi, po czym ściągnęła z siebie także kitel.

Była drobnej budowy, miała oliwkową skórę, ciemnobrązowe włosy i zielone oczy. Choć jej twarz nie była uderzająco piękna, w całej jej postaci było coś sugerującego inteligencję i pociągającego.

– Jak tam maleństwa?

Lekarka przeczesała włosy dłonią i uśmiechnęła się słabo.

– W porządku. Jedno ustawiło się pośladkowo, ale w końcu je wyciągnęłam. Musiałam rozciąć matkę, ale z nią też już wszystko w porządku. Nazwali dziecko In-Dżinir, na twoją cześć.

Inżynier objął ją i mocno przytulił.

– Dobra robota, moja dzielna dziewczynko. Powiedz, czy chciałabyś zobaczyć najnowsze dzieło twojego genialnego męża?

– Czemu nie.

Pozwoliła mu zaprowadzić się do siedziska za stołem i z gracją usiadła.

– Witaj, Lekarko – powiedział Lew.

– Witaj, Lwie, władco dzikich bestii.

Nazywano go tak czasem przez przekorę, ponieważ w rzeczywistości był łagodny, troskliwy i w najmniejszej mierze nie przypominał bestii, chyba że miał dobry powód.

Lekarka patrzyła, jak jej mąż dodaje kolejne proszki do mikstury. Lew nie przerywał mieszania.

– Co takiego robisz, kochanie?

– Kamień.

– Co? – zdumieli się jednocześnie Lekarka i Lew.

– W domu hodujemy krystaliczne arkusze, z których wznosimy budynki, czyż nie?

Inżynier dodał do mieszanki ostatni składnik: szczyptę czegoś ziarnistego i zielonego.

– Cóż, kamienie to przecież nic innego jak kryształy – podjął swoją wypowiedź. – Różne kryształy wymieszane ze sobą. Nawet metale mają strukturę krystaliczną, na poziomie molekularnym rzecz jasna. Ale skały są o wiele ciekawsze: marmur, dioryt, granit… Oczywiście nie da się zbudować stupiętrowego gmachu ze skały; nie jest dość elastyczna. Do tego trzeba już specjalnych tworzyw, fleksitworów i tak dalej. Ale można budować mniejsze rzeczy i właśnie dlatego postanowiłem wyhodować kamień. Oto składniki: hornblenda, skaleń, kwarc, mika…

Szerokim gestem wskazał woreczki z proszkami.

– Sporządziłem z nich emulsję, z której sporządzę imitację tego.

Inżynier uniósł kamień leżący w sąsiedztwie tygla – surowy odłam granitu.

– Kiedy dodam katalizator, kryształ każdego z minerałów zacznie rosnąć, a kiedy wypełnią formę, będę miał mój kamień. Pomożesz mi przy tym, Lew?

Razem unieśli tygiel i ostrożnie przelali jego zawartość do kryształowej skrzynki.

– A teraz katalizator.

Wyjął małą fiolkę z kieszeni, wlał zawartość do skrzynki i zamieszał kilkoma energicznymi ruchami. Następnie nałożył wieko i spiął całość pasem giętkiego plastiku, który zabezpieczył zawleczką. Lew i Lekarka patrzyli zafascynowani.

– Co zamierzasz z tego budować? – spytała Lekarka, ani przez chwilę nie wątpiąc, że mu się uda. W przeszłości nie dał zbyt wielu powodów, by weń wątpić.

– Co tylko zechcemy. Lepsze laboratoria, lepsze domy. Czy to nie wielka szkoda, że tubylcy budują z kamienia tylko grobowce? Może podarujemy im coś przyjemniejszego. Wyhodujemy im domy…

Czekali. Inżynier wpatrywał się z uwagą w czasomierz, który nosił zawieszony u pasa. Lew i Lekarka uświadomili sobie, że wstrzymują oddech w nerwowym oczekiwaniu. Wkrótce skrzynka zaczęła pęcznieć; plastikowa taśma zatrzeszczała od naprężenia. Kiedy Inżynier uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, podniósł ze stołu młotek i przyłożył dłuto do czubka zawleczki. Uniósł młotek i uderzył. W chwili, kiedy głowica młotka stuknęła w dłuto, a kołek zawleczki wyskoczył z ucha taśmy, pustynia stęknęła. Dźwięk pogłębił się, przeradzając w głuchy łoskot, i nagle grunt zadygotał gwałtownie. Wrażenie było takie, jakby pod jego powierzchnią kłębiło się gwałtownie coś wielkiego i potężnego. Lew patrzył w zdumieniu na stolik przesuwający się po udeptanej ziemi. Stojący nieco dalej wahadłowiec kołysał się na wibrujących podporach. Stół podskoczył wyżej, obrócił się i upadł na bok.

Inżynier patrzył, jak forma pozbawiona zawleczki rozpada się na części. Substancja w jej wnętrzu rozrosła się, rozpychając ściany skrzynki. Na ziemię wypadł twardy, sześcienny blok. Nawet w tej dramatycznej chwili nie uszło uwadze Inżyniera, że uzyskana kostka przypomina raczej beton niż naturalną skałę. Pomyślał, że trzeba będzie popracować nad składem mikstury. Blok odbił się i potoczył w jego stronę, ale Inżynier w porę uskoczył w bok, pociągając za sobą żonę.

Po kilku sekundach łoskot ucichł. Pustynią wstrząsnęło jeszcze kilka słabnących fal drżenia, ale wkrótce i te wygasły. Trzęsienie ziemi było krótkie, ale silne. Wszyscy troje odwrócili się, by spojrzeć na obóz. Kopulaste namioty wciąż stały, na pierwszy rzut oka nietknięte kataklizmem, ale poza nimi, w osiedlu robotników, większość chat była w ruinie.

– Matko najświętsza, ratuj nas! – szepnęła Lekarka i puściła się biegiem w stronę domów, by zaopiekować się rannymi.

– Na gniew Najwyższej, co to było? – spytał Lew, szykując się do ruszenia za Lekarką.

– Niestabilny masyw lądowy, jak sądzę – odrzekł Inżynier. – Przesunięcie dla rozładowania naprężeń.

– Zatrzęsło całkiem solidnie! Jak myślisz, jak duży obszar…

Inżynier i Lew spojrzeli po sobie, wymieniając niewypowiedzianą myśl.

– „Zwycięzca”! – sapnęli jednocześnie.

Kilka minut później byli już w kabinie transportowca, zapinając pasy przy szumie budzących się do życia silników. Kiedy tylko poziom mocy sięgnął minimalnej bezpiecznej granicy, Inżynier pchnął przepustnicę, wystrzeliwując ich w niebo. Na wysokości dziesięciu tysięcy stóp wyrównał lot i obrał kurs na północ, w stronę Morza Śródziemnego. Wkrótce obóz zniknął w dali za nimi; poniżej przepływały nadrzeczne miasta. Z wysokości trudno było ocenić rozmiary zniszczeń, ale Lwu wydało się, że widzi ruiny dużych budynków.

Nil, z cienkimi nitkami kanałów przecinającymi wąskie pasy żyznej ziemi po jego obu stronach, był jedynym wyraźnie widocznym obiektem terenu. W górę i w dół rzeki sunęły gęste, przenikające się nawzajem potoki statków i łodzi.

Wreszcie dotarli nad deltę, gdzie wielka wstęga Nilu rozszczepiała się na tuzin odnóg na swoim ostatnim odcinku przed ostatecznym połączeniem z morzem. Pod sobą widzieli egipskie statki, które płynęły na wschód i zachód wzdłuż przybrzeżnych szlaków handlowych, wspomagając żagle wysiłkiem niewolników u wioseł. Morze miało czarnogranatowy kolor pięknie kontrastujący z bladym błękitem nieba.

W pewnej chwili, spoglądając na morze, Lew spostrzegł coś dziwnego. W oddali, na powierzchni wody rysowała się cienka ciemna linia. Nie była prosta. Zakrzywiała się łagodnym łukiem i przemieszczała – bardzo szybko, jak sobie uświadomił. Nie miał pojęcia, co to mogło być, ale wyczuwał w zjawisku coś niepokojącego. Linia sunęła w stronę wybrzeża.

– Inżynierze, spójrz na to.

Inżynier spojrzał w dół i w tej samej chwili obaj zdali sobie sprawę, co to jest. Niczym trójwymiarowy rysunek na płaskiej kartce, kształt nagle nabrał sensu, i obaj patrzyli ze zgrozą, jak linia przybiera formę ściany wody. Żadna fala nie mogła być tak wysoka. Kiedy tylko uświadomili sobie, czym jest w istocie, uderzyła w konwój statków, pogrążając je całkowicie. Byli zbyt wysoko, by

móc dostrzec szczegóły katastrofy, ale nie ulegało wątpliwości, że statki zostały zniszczone. Wodna ściana sunęła dalej w stronę brzegu.

– Przekleństwo Matki przenajświętszej! – wyszeptał Inżynier.

Najwyraźniej wstrząsy objęły bardzo duży obszar. Kwestia dotarcia do „Zwycięzcy" stała się nagle podwójnie pilna.

Inżynier skierował transportowiec z pełną prędkością na północny zachód i wkrótce dotarli do miejsca lądowania. Zbliżając się do łańcucha maleńkich wysepek, zaczęli wytracać wysokość. Druga od końca była tą, na której pozostawili „Zwycięzcę". Po kilku chwilach ujrzeli ją, urwiste skalne ściany wznosiły się wysoko ponad powierzchnię morza.

– Czy wysp nie powinno być siedem? – spytał nerwowo Lew.

– Tak, siedem.

– Widzę tylko pięć.

Morze pod nimi kipiało pianą. Inżynier podprowadził transportowiec nad wyspę i zatrzymał go tam w zawisie. Wysepka była mała, nie więcej niż półtora hektara powierzchni. Była skalista i niedostępna – otoczona klifami i bez żadnej plaży, gdzie mogłyby wylądować łodzie. Była doskonałym miejscem na zaparkowanie statku: bezpiecznym przed tubylcami – jak im się wydawało – położonym wystarczająco wysoko, aby nie zagrażało mu morze.

Ale pod wahadłowcem nie było statku, tylko zarośla i skały. Inżynier okrążył wyspę dwukrotnie i obaj przeczesywali wzrokiem każdą piędź terenu pod nimi, jakby „Zwycięzca" mógł nagle zmaterializować się tam, jeśli tylko będą wpatrywać się w skały wystarczająco uporczywie.

– To nie ta wyspa – orzekł wreszcie Lew.

– Jak to, nie ta wyspa? Współrzędne się zgadzają. Jesteśmy na miejscu.

– Nie, nasza ma inny kształt. I pamiętam, że była większa. W jakiś sposób pomyliliśmy archipelagi. Współrzędne są błędne.

– Nie, to nie tak – odparł powoli Inżynier, który nagle zrozumiał.

Głos mu wyblakł, wyprany z wszelkich emocji.

– Współrzędne są prawidłowe. Kształt się nie zgadza i rzeczywiście wysp jest tylko pięć, ale jesteśmy we właściwym

miejscu.

Zmniejszył wysokość, aby przyjrzeć się uważniej północnej stronie wyspy.

– Spójrz, Lwie, to tutaj. Cała ta ściana skalna jest nowa. Pół wyspy osunęło się do morza.

Lew kręcił głową z niedowierzaniem, choć wiedział, że Inżynier ma rację. Skalna ściana była jaśniejsza od pozostałych, jej ostre załomy niezwietrzałe. W jej podnóże niezmordowanie biły rozwścieczone fale.

Gdzieś tam, w dole, pod spienionym morzem i milionami ton skały, leżał ich statek. Zdruzgotany. „Zwycięzca", pierwszy załogowy pojazd napędzany pompą Eschlessa, pierwszy korab międzygwiezdny. Zniszczony.

– No to utknęliśmy – powiedział Lew powoli.

W jego głosie nie było strachu. Po prostu stwierdził fakt, który wymagał dalszej analizy.

– Tak – potwierdził Inżynier. – Ale nie na długo. Następny zespół przybędzie tu za kilka lat. Jutro poślemy kuriera.

Miał na myśli mały, bezzałogowy pojazd z napędem Eschlessa, którego mogli używać do przekazywania wiadomości do domu i z powrotem.

– Może zdołają przystosować statek do przewiezienia podwójnej załogi. Jakoś z tego wybrniemy.

Opuścił transportowiec tuż nad powierzchnię morza, ale rozszalałe fale nie pozwoliły im zajrzeć w głębinę.

– Matko świata – westchnął cicho Inżynier. – Jak ja kochałem ten statek.

Rozdział 10

Czasy obecne.

W Egipcie właśnie minęła północ i na pustyni panował chłód. W Kairze, mieście zwanym Matką Świata, gdzie stare meczety, rzymskie fortece i nowoczesne drapacze chmur rozpychały się łokciami o miejsce, większość mieszkańców już spała. Dwadzieścia mil dalej, na Płaskowyżu Gizy, stał ostatni z siedmiu cudów świata, Wielka Piramida, niegdyś pokryta białym wapieniem, teraz odarta ze szlachetnej powłoki. Jej odrapane, brudnobrązowe ściany zlewały się z nocą.

Oddział strażników w białych mundurach i z karabinami maszynowymi zawieszonymi na ramionach już dawno zakończył służbę i płaskowyżu strzegła jedynie garstka sennych stróżów nocnych, którym dotrzymywały towarzystwa bezdomne psy, ściągające w te okolice w nadziei na jedzenie od turystów.

W pobliżu Wielkiej Piramidy stały jej dwie następczynie, piramidy o takich samych proporcjach, lecz mniejsze od wspaniałej siostry. Wszystkie trzy wybudowali królowie czwartej dynastii niemal pięć tysięcy lat wcześniej. Jednakże Wielka Piramida miała coś, czego brakowało pozostałym. W jej wnętrzu znajdowała się obszerna pusta komora, usytuowana w samym centrum jej masywu, nad którą piętrzyło się pięć mniejszych, umieszczonych jedna nad drugą, pełniących funkcję w przybliżeniu analogiczną do organowych piszczałek. Piramidę skonstruowano w taki sposób, aby wzmacniała i transmitowała każdy dźwięk, jaki przez nią przechodzi.

Od setek lat, odkąd kalif Kairu Al-Mamun w dziewiątym wieku naszej ery kazał wybić wejście do piramidy, odwiedzających to miejsce zdumiewał fakt, że porozumiewanie się mową w wielkiej komorze jest praktycznie niemożliwe. Echa w pomieszczeniu są tak

donośne i wybrzmiewają tak długo, że skutecznie wytrącają mówiącego z rytmu, plącząc mu język. Granitowe ściany zdawały się zaprojektowane specjalnie dla wzmacniania dźwięku. Czymś, czego turyści i uczeni nie wiedzieli, było to, że granit i piramida były równie czułe także na wibracje innych rodzajów.

Tamtej nocy, o godzinie drugiej nad ranem, w Wielką Piramidę uderzyła właśnie taka wibracja. Skondensowana transmisja Pruit spadła na nią prosto z góry. Fala sygnału uderzyła w zewnętrzne kamienie budowli i przeniknęła do wielkiej komory. Tam została wzmocniona, wzbogacona i wysłana z powrotem na zewnątrz przez ściany. Cała akcja trwała nie dłużej niż jedną sekundę, zaś jedyną widoczną jej oznaką było krótkie drżenie, jakby piramidą wstrząsnął dreszcz chłodu.

Na płaskowyżu kawałek dalej dwaj stróże, grający w karty przy świetle latarki, obejrzeli się, by spojrzeć na piramidę. Ale cokolwiek się stało, już minęło, i nie było na co patrzeć prócz sylwetki masywnej budowli na tle nocnego nieba.

Dreszcz, który przeszył Wielką Piramidę, został przekierowany przez wbudowane w kamień mechanizmy i wyemitowany ponownie w kierunku nowego odbiorcy. Czterdzieści pięć mil dalej ukryty pod ziemią odbiornik przechwycił i przekazał drżenie. W ciemnym bunkrze, zatopionym w naturalnej skale głęboko poniżej piasków pustyni, zaczęło budzić się coś bardzo starego.

Rozdział 11

Mechanik poczuł raczej, niż zobaczył, cofającą się pokrywę swojej komory stazy. Swoim ruchem wywołała niski rumor, niemal poniżej zakresu częstotliwości słyszalnych dla człowieka. „Które to już przebudzenie? – zastanawiał się – czterdzieste czwarte? Czterdzieste piąte? Czterdzieste trzecie?”. Nie mógł sobie przypomnieć. Będzie musiał sprawdzić w komputerze. Zresztą czy miało to jakiekolwiek znaczenie? Czym było dwieście lat w tę czy tamtą stronę?

Usiadł, wynurzając głowę i tors z gęstego smaru, w którym spoczywało jego nagie ciało. W rzeczywistości substancja ta wcale nie była smarem i miała organiczne pochodzenie, ale zewnętrznie bardzo go przypominała – smar maszynowy wystawiony na działanie chłodu i częściowo zakrzepnięty. W potocznym języku ludzi współczesnych Mechanikowi nosiła nazwę brei. Pomimo swojej konsystencji breja nie była zimna, za to nieprzyjemnie cuchnęła, niczym kompost, który dopiero co zaczął fermentować. Kolor miała brązowy, lekko podszyty zielenią.

Reagując na ruch człowieka, światła w bunkrze włączyły się – punkty mętnej poświaty wokół ścian. Mechanik ostrożnie wyciągnął sobie z gardła długą plastikową rurkę i odczepił zatyczkę nosa. Zapach brei zaatakował mu nozdrza, nie wywołując jednak reakcji. Zdążył się przyzwyczaić. Zaczął metodycznie odczepiać rozmaite rurki i przewody, przytwierdzone do jego ciała, pozwalając im opaść z powrotem w zupę, w której siedział. Wyglądał jak troll, który przed chwilą wyłonił się z bagna. Ciemnoszare włosy zlepiała mu breja, skrywająca też szarość jego skóry. Złapał brzegi zbiornika i wstał. Komora stazy wznosiła się na kilka stóp ponad poziom posadzki i kiedy stał, czubek jego głowy niemal dotykał niskiego stropu. O cale nad nim rozpościerała się warstwa sztucznej skały, otaczającej całe pomieszczenie. Poza nią była już tylko lita, naturalna skała, w której bunkier został zatopiony.

Same komory stazy wykonane były z tej samej sztucznej skały, która tworzyła ściany, posadzkę i strop. Była to substancja powstała z połączenia metalu z kamieniem, pomysłowe dzieło Inżyniera, które doskonale sprawdzało się jako osłona przed skutkami działania żywiołów. Komór było osiem, ustawionych w szeregu na posadzce, każdy na własnym kamiennym piedestale, skrywającym trzewia maszynerii, która utrzymywała lokatorów komór przy życiu.

Mechanik oczyścił skórę na tyle, na ile zdołał, po czym ostrożnie wystąpił z komory na kamienną posadzkę upstrzoną brązowymi śladami po brei, pamiątce po poprzednich przebudzeniach. Nigdy nie chciało mu się wytrzeć podłogi. W zamkniętym, sterylnym układzie bunkra plamy wysychały, ale nie rozkładały się.

Kiedy ruszył w stronę ciasnej wnęki mieszczącej latrynę i prysznic, kątem oka uchwycił jakąś zmianę. Spojrzał w stronę komputera, wbudowanego w skalną ścianę po jego prawej stronie, i spostrzegł, że krystaliczny ekran obudził się do życia. Normalnie komputer nie włączał się samoczynnie; Mechanik musiał uruchamiać go ręcznie. Tym razem stało się inaczej.

Mechanik zajął miejsce na kamiennej ławie przed ekranem, nie zwracając uwagi na bryłki brei ześlizgujące mu się po skórze. Na kryształowej powierzchni ekranu widniały słowa – zapis ostatnich komunikatów odebranych przez komputer:

Transmisja odebrana:
„Ratunek przybył” (częstotliwość) (sygnatura czasu)
Wykonać procedurę: budzenie, komora 5

Powtórzyć transmisję (sygnatura czasu)
Powtórzyć transmisję (sygnatura czasu)
Powtórzyć transmisję (sygnatura czasu)

Wiersz „powtórzyć transmisję” powtarzał się dziesiątki razy. Mechanik przez dłuższą chwilę wpatrywał się w trzy górne linijki, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Ktoś po nich przyleciał. Po pięciu tysiącach lat ktoś po nich przyleciał. A komputer, nieświadom

upływu epok, po prostu wykonał standardowy program: obudził komorę numer pięć – komorę Mechanika.

Mechanik sprawdził wewnętrzny zegar komputera i odkrył, że standardowy, dwustuletni interwał stazy jeszcze nie upłynął. Został wybudzony wcześniej – o co najmniej dwadzieścia lat.

Jeszcze raz przyjrzał się wiadomości. Ratunek? Dlaczego? Po tak długim czasie nie miało to żadnego sensu. Czy mogła to być przypadkowa transmisja? Nie – powtarzała się w jednakowych odstępach czasu przez minione trzy dni, podczas gdy maszyny wybudzały go ze stazy.

Mógł wyśledzić źródło – uświadomił sobie nagle. Drżącą ręką przesunął wzdłuż prawej krawędzi ekranu, by manipulując pulpitem kontrolnym zażądać od komputera namierzenia punktu, z którego wysłano komunikat. Komputer przesłał krótki sygnał z bunkra do radiolatarni w piramidzie. Sygnał natychmiast powrócił, zmodyfikowany przez nieskończenie słabe, szczątkowe wibracje ostatniej transmisji, Zmiany, po analizie, miały ujawnić współrzędne źródła przekazu.

Mechanik czekał, aż komputer skończy przetwarzać dane. Analiza się udała i już po chwili przeglądał mapę układu planetarnego. Sygnał nadano z orbity piątej planety.

Czy mieszkańcy Ziemi mogli osiągnąć zdolność nadania takiego przekazu? Podczas poprzednich wybudzeń nie zdołał wykryć żadnych oznak istnienia zaawansowanych kultur na powierzchni planety. W zewnętrznym świecie cywilizacje musiały powstawać i upadać niezliczone razy, ale z informacji, jakie mógł zgromadzić Mechanik, nic nie sugerowało znaczącego postępu technicznego – żadnych śladów chociażby prób łączności radiowej. Mimo to nie było to całkiem niemożliwe.

Nakazał komputerowi skanowanie częstotliwości łączności radiowej w poszukiwaniu najbliższych źródeł emisji. Maszyna mruczała przez dłuższy czas, ożywiając tę część swoich podukładów, której potrzebowała do wykonania polecenia. Większa część systemu pozostawała w stanie podobnym do hibernacji, aby móc przetrwać długie lata w bunkrze. Po kilku minutach wznowiła działanie.

Hałas omal nie rozsadził Mechanikowi bębenków. Głośniki wpuściły do bunkra istną lawinę transmisji. Podczas gdy komputer skanował standardowe pasma radiowe, Mechanik słyszał głosy, odgłosy przesyłu danych, szum, a potem jeszcze więcej głosów, mówiących całkowicie niezrozumiałymi językami i nakładających się na siebie nawzajem. Od ostatniego przebudzenia minęło ledwie sto osiemdziesiąt lat, ale w tym krótkim czasie świat nabrał rozpędu.

– Czy Ziemianie mogli wysłać komunikat? – zapytał sam siebie.

– Nie, to mało prawdopodobne – odpowiedział. – Przekaz nadano na częstotliwości radiolatarni i opatrzono hasłem.

Mentalnie rozdzielił się na dwie osoby – był to jego standardowy sposób postępowania przy rozmyślaniu nad kierunkiem dalszych poczynań. Pierwsza osoba była pewna jego możliwości oraz potrzeb, gotowa podjąć każde działanie niezbędne dla chronienia jego interesów. Druga – choć świadoma tego wszystkiego – była przede wszystkim zatroskana działaniami, jakie mogą podjąć inni, jeśliby nie zgadzali się z intencjami Mechanika. Tę drugą część swojej osobowości wykorzystywał w roli roztropnego doradcy.

„A zatem co to znaczy?”.

„To znaczy, że Kinlai powrócili” – pomyślał.

„Przecież to wykluczone, aby wierzyli, że wciąż tutaj żyjemy. – To była jego ostrożna strona. – Pięć tysięcy lat? To o wiele za długo, by mieć jakąkolwiek nadzieję. Gdyby nie Inżynier, niech go Matka przeklnie, który był dość zapobiegliwy, by zaprojektować ten bunkier, nie przetrwalibyśmy na tej planecie”.

„Tak, tak, to wszystko prawda. No i nie wszyscy przetrwaliśmy, nieprawdaż?”.

Mechanik uśmiechnął się do siebie.

„Zatem dlaczego? – spytała jego podejrzliwa strona. – Nadają prosto do radiolatarni, co oznacza, że wiedzą o naszej ostatniej wiadomości do domu. Znają hasło. To oczywiste, że szukają grupy badawczej. Gdybym nie przeprogramował komputera, radiolatarnia już dawno wysłałaby im namiar na bunkier”.

„Może szukają czegoś, co zespół badawczy miał. Albo czegoś, co mógł tutaj zostawić”.

„Co to może być?”.

„Prawdopodobnie coś fizycznie trwałego. Może chodzi o samą radiolatarnię?”.

Teoria wydawała się naciągana. Radiolatarnia była imponującą budowlą, ale poza swoją pierwotną funkcją przekaźnika komunikatów nie przedstawiała żadnej realnej wartości.

„Co jeszcze tu jest? Co może być dość cenne, by usprawiedliwić tę podróż po tak długim czasie?”.

Żadna część jego osobowości nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Mechanik tkwił przed ekranem jeszcze przez kilka minut, ale nic przekonującego nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie zwrócił uwagę na swoje ciało, wciąż nagie, pokryte strupami zasychającej brei. Po raz ostatni spojrzał na wiadomość na monitorze, a potem wstał i ruszył pod prysznic.

Prysznic i toaleta mieściły się w niewielkiej wnęce na końcu pomieszczenia. Armatura była z tego samego skałometalu, z którego wykonano prawie wszystko w bunkrze. Wszystko wyglądało i funkcjonowało równie dobrze, jak w dniu instalacji. Gdyby nie daty w logu komputera, trudno byłoby znaleźć powód do uwierzenia, że od czasu zbudowania schronu minęło pięć tysięcy lat, a nie kilka miesięcy.

Umywszy się, Mechanik założył strój roboczy z brązowej bawełny, wyjęty z jednej ze skrytek wprawionych w ściany bunkra, po czym znów zasiadł przed komputerem. Gdy się kąpał, nadeszła jeszcze jedna powtórzona transmisja, ale zignorował ją. Przybycie Kinlai niepokoiło go, ponieważ gdyby go odnaleźli, musiałby jakoś wytłumaczyć się z pustych komór stazy. Po namyśle doszedł do wniosku, że jego niepokój jest przedwczesny. Wciąż jednak miał zbyt mało danych i musiał przede wszystkim dowiedzieć się więcej o współczesnej Ziemi. Im lepiej zorientuje się w zaistniałych okolicznościach, tym łatwiej będzie mu rozważać swoje wybory.

Poeksperymentowawszy chwilę z ustawieniami połączeń ekranu, zdołał dostroić go do transmisji telewizyjnych i wkrótce oglądał sobie Ziemię w technikolorze. Zaatakowały go obrazy: ludzie, budynki, pojazdy naziemne i latające, statki, wojny, jedzenie, programy rozrywkowe, przemawiające głowy państw i sto tysięcy innych wizerunków cywilizacji technicznej.

Tkwił przed ekranem przez długie godziny. Choć nie rozumiał języków, mógł z grubsza ocenić poziom rozwoju cywilizacji. Ziemia nareszcie dotarła do podnóża krzywej postępu technicznego, która miała wystrzelić jej mieszkańców ze świata zawiłych konfliktów plemiennych na pozycję kosmicznych wędrowców, panów swojej planety i układu słonecznego. Herrod także przeszedł przez ten etap, choć konkretne przejawy tej rewolucji z pewnością były inne.

Nie ulegało wątpliwości, że mieszkańcy Ziemi, a przynajmniej zamożniejsze narody, opanowały techniki globalnego transportu i osiągnęły wysoką stopę życiową. Znajdowali się, być może, około siedmiuset lat za cywilizacją Kinlai, do której niegdyś należał Mechanik – cywilizacją, która ruszyła na wojnę tuż przed tym, jak on i reszta zespołu ułożyli się do snu.

W umyśle Mechanika rozbłysła nagła myśl – domysł raczej, dotyczący powodu przybycia statku Kinlai. Jeżeli miał rację, czyniłoby to okoliczności, w jakich się znalazł, szalenie interesującymi. Skurcz podniecenia ścisnął mu żołądek.

„Czyżby przylecieli tu po…”.

„Nie! – nakazał sobie. – Nawet o tym nie myśl. Jeszcze nie”.

Dotknął brzegu ekranu, wyłączając ziemskie transmisje. Dość już zobaczył. Nadszedł czas zadawania pytań.

Nastawił nadajnik na częstotliwość ostatniej transmisji. Odpowiedział własną wiadomością, wymierzoną poprzez radiolatarnię w statek orbitujący wokół piątej planety układu. Na komunikat składały się dwa słowa:

Kim jesteś?

Rozdział 12

Poproszę dwa bilety do San Francisco – powiedziała Pruit po angielsku. – Nareszcie zobaczę Golden Gate.

– Jakie linie pani preferuje? – spytał Niks.

Pruit leżała na plecach w komorze sensorycznej ubrana tylko w niebieską, jednoczęściową bieliznę. Wanna komory miała dziewięć cali głębokości i do wysokości siedmiu cali była wypełniona niezwykle spoistym biofluidem zwanym płynem sensorycznym. Mogła leżeć tam w ubraniu, bo płyn nie przeniknąłby przez tkaninę. Dotykał jej skóry, ale nie przywierał do niej. Wypełniał jej uszy, ale gdyby usiadła, wypłynąłby z nich, nie pozostawiając po sobie nawet śladu wilgoci.

Ponad nią rozciągał się kopulasty strop komory, sporządzony z brązowej twardotrzciny. Właz – znajdujący się na wysokości pasa, kiedy stało się przy nim na zewnątrz – był zamknięty. Wnętrze komory tworzyło odizolowany, jednoosobowy świat. Minęły trzy dni od wysłania pierwszego komunikatu na Ziemię. Centrala powtarzała transmisję co godzina, ale jak dotąd nie było odpowiedzi.

Rzecz jasna, to nie Niks rozmawiał z Pruit w komorze; była to Centrala. Pruit uczyła się za pomocą programu konwersacyjnego, umożliwiającego jej wprawianie się w naturalnym posługiwaniu nowymi językami i poznawanie ich ograniczeń. Za każdym razem, kiedy popełniała rażący błąd, Centrala przerywała rozmowę i powtarzała jej słowa, porównując je z tym, co należało powiedzieć. Przykłady czerpała z rozmów zasłyszanych na ziemskich kanałach nadawczych. Niektóre z wczesnych lekcji Pruit pochodziły – z wielkim pożytkiem dla skuteczności nauki – z programów edukacyjnych dla uczących się angielskiego. Teraz Pruit porozumiewała się tą mową tak biegle, że praktycznie nigdy nie robiła błędów.

Podczas sesji językowych gęsty biofluid w komorze wypełniała zawiesina mikroskopijnych receptorów sensorycznych, zdolnych

rozpoznawać i naśladować subtelne wariacje dźwięku i w ten sposób uczących Pruit właściwej wymowy. Gdy leżała w wannie komory z wypełnionymi biofluidem uszami, Centrala przemawiała do niej bezpośrednio poprzez receptory przylegające do jej bębenków usznych. Głos komputera był modulowany w taki sposób, jakby pochodził od rozmówcy leżącego obok niej w komorze.

– Nieważne linie – powiedziała Pruit, delektując się językiem, który poznała już dość dobrze, by rozumieć go konceptualnie podczas słuchania. – Proszę mi znaleźć najtańszą opcję.

– Dwa bilety, tak? – upewnił się Niks. – Na kogo wystawić drugi?

– A jak myślisz? – spytała zaczepnie Pruit.

– Zabierasz Evita? Tego kolesia z akademii Czuwających, ze starszego rocznika? – Ton Niksa stał się żartobliwy i intymny zarazem.

Pruit uśmiechnęła się. Niks często droczył się z nią z powodu Evita, chłopaka, z którym była w krótkotrwałym związku, kiedy miała piętnaście lat. Jeszcze przed tym pocałunkiem w parku. Przed chwilą, kiedy Niks dotknął jej i rozkochał w sobie.

– Nie, nie Evita, Niks – powiedziała, nie chwytając przynęty. – Zabieram ciebie.

– Dobrze – westchnął Niks. – Kilka dni razem z dala od tego statku na pewno dobrze nam zrobi.

– Na ogromnym, mięciutkim łóżku.

– Będziemy się kochać w pachnącej, białej pościeli, a potem wyjdziemy pogapić się na ocean.

– Ocean… – zamruczała rozmarzona Pruit, przypominając sobie bezkresną wodną równinę, którą widziała w jednym z ziemskich programów. – Wyobrażasz sobie?

– Nie bardzo. Musiałbym najpierw zobaczyć.

Przez chwilę oboje milczeli, myśląc o oceanie, próbując wyobrazić sobie, jaki będzie.

– Słodkie życie, ależ mi ciebie brakowało, Niks – powiedziała cicho.

– Mnie ciebie też.

Pruit wsparła się na łokciu i odwróciła głowę, spodziewając się zobaczyć Niksa, leżącego w biofluidzie obok niej – dokładnie tam,

skąd dobiegał jego głos.

Ale nikogo tam nie było. Była sama w komorze, a Niks od dawna nie żył. Płyn sensoryczny kapał jej z uszu, oczy napełniły się łzami. Choć upłynęło już tyle miesięcy, dała się zwieść i na krótką chwilę uwierzyła w tę fantazję.

Leżała tam, wsparta na łokciu, czując, jak dławi ją żal. Otworzyła usta, aby rozkazać komputerowi zmianę głosu, ale zanim zdążyła to zrobić, odezwała się Centrala.

– Odebraliśmy transmisję, Pruit, na częstotliwości zespołu badawczego – powiedziała wciąż głosem Niksa, tym razem dochodzącym ze ścian, ponieważ z uszu Pruit wyciekł już cały biofluid.

Ekscytacja w jednej chwili wyparła inne emocje na dalszy plan.

– Otwórz komorę!

Drzwi włazu przesunęły się w górę, a wanna wysunęła na zewnątrz. Pruit wstała i odczekawszy, aż gęsty płyn ścieknie z jej ciała, zeskoczyła na podłogę kabiny. Wśliznęła się na fotel jednego ze stanowisk sterowania i wcisnęła dłoń w manipulator.

– Centrala, wiadomość na ekran.

W odpowiedzi na polecenie włókienka ekranu błyskawicznie rozrosły się w krótki szlak słów – słów haight, języka starożytnych Kinlai, tego samego, w którym nadała swoją pierwszą wiadomość. Komunikat brzmiał:

Kim jesteś?

– Centrala, wiadomość jest w haight. Zakładam, że to automatyczna odpowiedź, choć według mojej książki procedur powinniśmy otrzymać współrzędne, nie wiadomość tekstową. Czy możesz zlokalizować dokładnie źródło emisji?

– Wiązka pochodzi ze współrzędnych radiolatarni i jest wycelowana prosto w nas. Sygnał nie jest szczególnie mocny, ale jest dobrze skupiony i przebija się przez szum tła.

– Czy słyszeliśmy haight z jakiegokolwiek innego miejsca na Ziemi? Masz zapisy z monitoringu ruchu w eterze?

Centrala szybko sprawdziła wszystkie transmisje zarejestrowane w ciągu minionych sześciu miesięcy.

– Nie, to jedyny komunikat w haight.

– A zatem automat – orzekła Pruit.

Szybko wprowadziła do komputera treść swojej odpowiedzi, także w haight:

Czuwająca Obrończyni Pruit Pax z Senetianów. Cel: schron stazy zespołu badawczego Kinlai. Z czym się porozumiewam?

Mechanik siedział w półmroku bunkra z lekko obwisłymi ramionami i oczami zamkniętymi w półśnie. Plecami opierał się o ścianę, nogi wyciągnął na chłodnej posadzce. Już na początku przebudzenia miał niewiele energii i teraz czuł, że opada z sił.

Komputer ćwierknął sygnałem. Mechanik poderwał się, ignorując protesty własnego ciała, i usiadł na kamiennej ławie. Ekran przed nim wyświetlał wiadomość od Pruit.

– Czuwająca Obrończyni Pruit Pax z Senetianów… – przeczytał Mechanik, głośno i powoli.

Tytuły nic mu nie mówiły, ale czy powinny? Herrod postarzał się o pięć tysięcy lat, dość czasu, by narodziło się i upadło wiele cywilizacji. Ale ta osoba porozumiewała się z nim w haight. Zatem zachowali co nieco z poprzedniego świata.

Musiał się dowiedzieć, po co tu przylecieli. Mógł założyć, że śpiący nie byli częścią ich równania – od dawna powinni być wśród martwych. Wątpił, by ktokolwiek, kto tkwił tam, w górze, udzielił mu kolejnych informacji, nie znając tożsamości rozmówcy. Ale czy mógł ją bezpiecznie ujawnić?

Po namyśle uznał, że mógł. Nie musiał odsłaniać się całkowicie, zdradzać swojej lokalizacji ani szczegółów sytuacji, w jakiej się znajdował. Wstrząs nawiązania z nim kontaktu – z żyjącym człowiekiem, podczas gdy przybysze wyraźnie sądzili, że komunikują się z maszyną – mógł pomóc w wydobyciu od nich informacji, jakich w innych okolicznościach mogliby nie zaoferować.

Uspokoiwszy się, wprowadził kolejną wiadomość:

Tu członek zespołu badawczego. Śpiący w stazie, przebudzony przez waszą transmisję. Jaki jest cel waszej misji?

Wysłał wiadomość, a potem przeniósł się z powrotem na podłogę, gdzie pozwolił powiekom opaść na zmęczone oczy. Minie prawie godzina, nim sygnał dotrze do statku przybyszów i powróci jego odpowiedź.

Pruit wpatrywała się w nową wiadomość, czując narastający skurcz w żołądku. Z wolna ogarniała ją fala grozy przemieszanej z podnieceniem. Grozę wywoływała myśl o nieszczęsnych badaczach, czekających przez tyle wieków w zapomnieniu; podniecenie – wiadomość, że ktoś zdołał przeżyć. To mogło ogromnie ułatwić jej zadanie. Ale oba te uczucia były podszyte niedowierzaniem.

– Centrala – powiedziała Pruit powoli. – Odczytałaś to?

– Tak.

– Czy to możliwe? Czy oni mogą wciąż żyć?

– W tej kwestii dysponujesz dokładnie tą samą wiedzą co ja. Być może powinno się zapytać: czy jest to niemożliwe?

– A skąd mogłybyśmy to wiedzieć?

– Właśnie. Nie znamy odpowiedzi.

– Ale pięć tysięcy lat? To co najmniej wysoce nieprawdopodobne.

– Zgadzam się.

Pruit porwała główną książkę procedur i zaczęła ją wertować. Na dole długiej listy możliwych sytuacji odnalazła opis odpowiadający zaistniałym okolicznościom:

74.-yi Transmisja do radiolatarni prowokuje odpowiedź członków pierwszej wyprawy badawczej, dotąd przebywających w stanie stazy.

Pamiętała ćwiczenie tej sytuacji podczas szkolenia, ale ona, Niks i ich instruktor zawsze uważali zarówno ten punkt, jak i jego sąsiadów z dołu listy, za ćwiczenia wykonywane bardziej dla zasady niż z rzeczywistej potrzeby. Teraz była wdzięczna planistom, którzy skomponowali książkę procedur, za ich dalekowzroczność. Odświeżywszy sobie pamięć stosownym załącznikiem, skonstatowała, że w obecnych okolicznościach przepisy nie zabraniały jej ujawnienia celu jej przybycia.

Pruit jeszcze raz sprawdziła protokół transmisji, upewniając się, że wysyłane dane zostaną skompresowane w nanosekundowym błysku, niewykrywalnym dla ziemskich odbiorników jako cokolwiek godnego uwagi. Potem nadała odpowiedź:

Zadanie: odnaleźć dane o technice napędu użytego w wyprawie na Ziemię.

Kiedy wiadomość dotarła do bunkra, Mechanik ponownie zasiadł przed ekranem. Usta powoli rozciągnęły mu się w szelmowskim grymasie, a po chwili w ciszy zabrzmiał śmiech – suchy, bezradosny chichot człowieka nienawykłego do odczuwania tej emocji. Tamto przeczucie, które ogarnęło go, kiedy zastanawiał się nad pierwszą wiadomością, okazało się słuszne.

– Mam rację – powiedział na głos. – Mam rację.

„Wojna na Herrodzie musiała być druzgocąca. Stracili pompę Eschlessa. A ja mam pompę Eschlessa” – pomyślał.

Tak, ze wszystkich ludzi istniejących w tamtym momencie czasu to właśnie on był w posiadaniu sekretu nadświetlnych podróży międzygwiezdnych. Miał go tutaj, w bunkrze. Kinlai najwyraźniej stracili ten wynalazek, zaś ludzie na Ziemi nie mieli pojęcia, że taka technika w ogóle może istnieć. Tylko on, Mechanik, od lat usługujący innym obywatel drugiej kategorii, posiadał najcenniejszą wiedzę ludzkości.

– Ale dotarli tutaj – zauważyła ostrożna strona jego duszy. – A jeśli ich statek leciał wolniej od światła, podróż musiała trwać bardzo długo.

Herrod dzieliło od Ziemi mniej więcej osiem lat świetlnych. Statkowi z konwencjonalnym napędem pokonanie tej odległości zajęłoby co najmniej dziesięć lat, prawdopodobnie dłużej.

„Piętnaście lat – pomyślał. Albo dwadzieścia. Muszą być zdesperowani. A to oznacza, że nie dadzą się łatwo spławić".

– Nie, nie dadzą – przytaknął sam sobie. – Ale z drugiej strony nie wiedzą, gdzie mnie szukać, ani nawet, kim właściwie jestem. Mam przewagę zaskoczenia i jestem do pewnego stopnia niewidzialny.

Przepełniała go nerwowa euforia. Nadszedł czas, aby otrząsnąć się z roli tchórzliwego intryganta. Nareszcie mógł wyjść z ukrycia i stać się człowiekiem, jakim pragnął być zawsze.

Po kilku długich minutach wpatrywania się w ekran i snucia fantazji o przyszłości, Mechanik wyłączył komputer i wstał. Pora się przygotować.

Pruit czekała, ale odpowiedź nie nadchodziła. Powtórzyła transmisję dwukrotnie, ale tajemniczy Śpiący się nie odezwał.

– Centrala, będziemy kontynuować monitorowanie, ale wygląda na to, że zgubiliśmy go, kimkolwiek lub czymkolwiek było to na dole. Być może to jednak automat. Będę postępować według planu standardowego.

– Zgoda.

Rozdział 13

Eddie DeLacy kucał w południowym słońcu, małą kielnią ostrożnie dłubiąc w przesuszonej ziemi przed sobą. Okrywała go warstwa kurzu i pot wyżłobił pionowe rysy w burym pyle na jego twarzy. Zdjął na chwilę kapelusz i otarł czoło rękawem. Potem dźwignął się na nogi i potoczył wzrokiem wokół terenu wykopalisk.

Prace prowadzono przy dwunastu stertach, ułożonych mniej więcej w prostokąt, z których wyłaniały się w różnych punktach zewnętrzne ściany odkopywanej świątyni. Byli w Egipcie na pustyni na zachód od Nilu. Patrząc na północ, przez zamglenie wiszące nad brudnozłotym piaskiem Eddie mógł dostrzec Czerwoną Piramidę w Dahszur. Na południu widać było mniejszą piramidę i mastaby wokół Meidum. Wokół terenu wykopalisk rozstawiono zielone i brązowe namioty archeologów i wynajętych robotników. Za namiotami stały zaparkowane dwa poobijane land rovery wyglądające tak, jakby pamiętały drugą wojnę światową. Między samochodami obozowy kucharz grillował ryby na lunch. Piekarnik rozsiewał aromat placków pita.

Jeden z miejscowych robotników dostrzegł stojącego Eddiego i nieśpiesznym krokiem podszedł do niego z manierką świeżej wody.

– Allach pobłogosławi – powiedział Eddie po arabsku i niezwłocznie opróżnił manierkę do połowy.

Zdołał powstrzymać się od wylania sobie reszty na twarz. Wody mieli dość, przywożonej co kilka dni z najbliższego miasteczka, często przez niego samego, ale nie mogli sobie pozwolić na jej marnowanie.

– Do roboty, leniwa łajzo! – zabrzmiał głos za jego plecami.

Eddie obejrzał się i zobaczył Emmetta Smitha, kierownika prac wykopaliskowych. Archeolog uśmiechał się dobrodusznie.

– Rany, tu jest jak na pustyni – powiedział Eddie i obaj zaśmiali się z ogranego obozowego żartu.

Eddie przykucnął znowu i podjął przerwaną pracę. Byli na stanowisku od zaledwie czterech tygodni, ale już zaczęło robić się ciekawie. Pracowali nad świątynią Ozyrysa zbudowaną w czasach czwartej dynastii. Była to stosunkowo niewielka budowla zajmująca niecałe dwieście metrów kwadratowych powierzchni, ale odsłonięte już fragmenty ścian sugerowały jej niezwykłość. Wiele pomieszczeń wydawało się wykutych w olbrzymich litych blokach ciemnoszarego marmuru. Stropy, ściany i podłogi były uformowane z pojedynczej warstwy kamienia, która w załamaniach zakręcała pod kątem prostym i ciągnęła się dalej jednolitą gładzią. Choć pomieszczenia były w ruinie, odsłonili dość dużo fragmentów, by zyskać dobre pojęcie o strukturze budowli.

Na jednolitych powierzchniach pomieszczeń nie było żadnych zauważalnych spoin ani szpar. Wyglądało to tak, jakby budowniczowie wydobywali z kamieniołomów gigantyczne bloki skalne ważące niekiedy setki ton, by później wykuwać w nich pokoje. Wydawało się to niewyobrażalnym wprost wysiłkiem. W dodatku kamieniarze odznaczali się niebywałym kunsztem: wykute przez nich ściany były płaskie i doskonale gładkie na całej powierzchni. Żadnych rys, nierówności, żadnych śladów dłuta. Kamień był wygładzony z idealną precyzją, jakby obrabiali go nowocześni budowniczowie dysponujący laserowym profilometrem.

Eddie pracował nad zawartością jednego z tych niezwykłych pomieszczeń. Była to komnata, w której złożono święte przedmioty. Do tej pory wydobył z kredowej ziemi kilka kamiennych naczyń na oleje do balsamowania oraz pojemnik, który niegdyś mógł zawierać lecznicze zioła. W tej chwili odsłaniał coś w rodzaju ciężkiej szkatuły. Jedno naroże wystawało z ziemi – matowy czarny kamień, który, jak pomyślał Eddie, mógł nabrać ładnego połysku, gdyby go porządnie odkurzyć i wypolerować.

Emmett i dwaj inni archeolodzy zorganizowali to wykopalisko przed miesiącem przy pomocy Eddiego. Emmett, choć zatrudniony na stałe na Wydziale Egiptologii Uniwersytetu Browna, nie zdołał zdobyć funduszy na ten konkretny projekt pomimo licznych wniosków o granty. Świątynie czwartej dynastii zwyczajnie nie były w tym czasie obiektem zainteresowania środowisk akademickich.

Egiptologia, jak większość dziedzin, podążała śladem trendów i mód. Obecnie czwarta dynastia była na aucie, ustąpiwszy pola dynastiom znacznie późniejszym. W końcu wahadło musiało zawrócić, ale na razie Emmett musiał obejść się smakiem.

Eddie poznał go na konferencji w Massachusetts zaledwie przed ośmioma tygodniami i projekt natychmiast go zainteresował. Choć nie mógł poprosić o pieniądze rodziców, bez żadnych skrupułów uderzył do innych członków rodziny i wspólników ojca po fundusze na swoją małą wyprawę badawczą. Choć ogół krewnych i znajomych DeLacych zgadzał się z ojcem Eddiego, że jego syn to leń i dyletant, większość darzyła go ogromną sympatią i chętnie mu pomagała, pod warunkiem że nie przesadzał z częstością i skalą swoich żądań. Dzięki temu nadzwyczaj szybko zdołał zgromadzić potrzebne środki i wkrótce Emmett i jego koledzy mogli polecieć do Egiptu, by przez długie tygodnie odkopywać ruiny świątyni.

Choć inni mogli uważać czwartą dynastię za temat passé, dla Eddiego stanowiła ona główny powód zainteresowania egiptologią. Dynastia owa, według większości uczonych trwająca od 2613 do 2498 roku przed Chrystusem, władała w czasach, kiedy Egipcjanie niemal z dnia na dzień – w sensie historycznym rzecz jasna – wznieśli się na niedostępne dotąd wyżyny talentów architektonicznych. To właśnie wtedy wzniesiono Wielką Piramidę Cheopsa, ów monument ludzkiego wysiłku, ostatni ocalały z osławionych siedmiu cudów świata.

Ten błyskawiczny rozwój sztuki budowlanej stanowił nie lada zagadkę. Wiele innych aspektów egipskiej kultury, takich jak sztuki piękne i produkcja wyrafinowanej biżuterii, miało osiągnąć swoją kulminację dopiero tysiąc lat po tych architektonicznych osiągnięciach. Co więcej, budowlany kunszt Egipcjan wydawał się zaniknąć równie szybko, jak rozkwitł. Wielka Piramida miała tylko dwie następczynie, obie wzniesione w pobliżu niej na płaskowyżu Gizy. Wszystkie trzy piramidy wybudowano w półwiecznych odstępach, w okresie panowania zaledwie kilku faraonów czwartej dynastii.

Po zbudowaniu owych trzech monumentów Egipcjanie utracili umiejętność wznoszenia tak wspaniałych obiektów. Wszystkie

kolejne piramidy były tylko nieudolnymi kopiami o mizernej trwałości.

Kolejną zagadką były zmiany, jakie w okresie czwartej dynastii zaszły w egipskiej religii. Ozyrys wyłonił się wówczas z grona pomniejszych bóstw, aby stać się jedną z centralnych postaci egipskiego panteonu. Wtedy to założył koronę króla krainy umarłych. Został wielkim bogiem czuwającym nad ważeniem serc tych, którzy odeszli. Po okresie czwartej dynastii tylko za jego przyzwoleniem dusza zmarłego lub zmarłej mogła zostać pobłogosławiona i wstąpić do świata bogów.

W owym czasie także faraonowie zaczęli bardziej bezpośrednio udzielać się w życiu religijnym. To za czwartej dynastii królowie zaczęli dodawać do swoich imion tytuł „syn Ra", tym samym wyraźnie zaznaczając swoje boskie pochodzenie.

Nawet tutaj, w ruinach świątyni, niezrównany kunszt rzemieślników czwartej dynastii był ewidentny. Nawet prosta, kamienna skrzynka, którą Eddie wydobywał z piasku, była przykładem kamieniarstwa najwyższej jakości. Naroże obrobiono tak doskonale, że tworzyło ostry jak igła czubek. Górna powierzchnia skrzynki spotykała się z jej ścianami pod idealnym kątem prostym. Nigdzie nie było choćby najpłytszego śladu dłuta. Eddie odsłaniał ją metodycznie, pracując raz kielnią, raz pędzlem, ostrożnie usuwając niezliczone warstwy historii, pod którymi była pogrzebana.

Jakże pragnął, żeby tata mógł go teraz zobaczyć i poczuć ekscytację, jaką napełniała go ta praca. Jego ojciec nigdy nie otrząsnął się z rozczarowania, którego doznał, odkrywszy, że jego syn nie ma ani dość talentu, ani inklinacji, aby robić karierę w rodzinnej firmie. Co gorsza, uświadomił sobie, że Eddie miał zbyt mało samodyscypliny, by robić karierę gdziekolwiek.

Eddie przypomniał sobie decydującą kłótnię z ojcem. Harris DeLacy krzyczał:

– Na co ty jeszcze czekasz? Aż życie samo cię znajdzie?

Eddie odpowiedział mu:

– Na inspirację. Nie zamierzam marnować życia na robienie rzeczy, które mnie nie obchodzą.

Wtedy Harris wybuchnął śmiechem, w którym pobrzmiewało rozdrażnienie, i powiedział:

– Życie nie zawsze dostarcza inspiracji, synu. W końcu będziesz musiał coś ze sobą zrobić.

Eddie wiedział, że ojciec miał rację. Uwielbiał Egipt i uzbierał dość punktów akademickich, by zostać magistrem egiptologii, ale był zbyt beztroski, by pilnować zaliczeń, i zbyt leniwy, by przykładać się do pracy, przez co ostatecznie pozostał bez stopnia nawet licencjata.

Prawda – którą Eddie został zmuszony wziąć sobie do serca – była taka, że marny byłby z niego archeolog, nawet gdyby udało mu się uzyskać stopień naukowy. Interesowały go tylko te krótkie wzniosłe chwile, kiedy archeolog odkrywał coś, co zmieniało sposób, w jaki całe środowisko naukowe patrzyło na Egipt. Żmudna dłubanina stanowiąca dziewięćdziesiąt procent każdego naukowego przedsięwzięcia była dlań czymś, do czego zwyczajnie nie miał cierpliwości. Zdawał sobie sprawę, że jest to wada jego charakteru, ale nie znał na nią lekarstwa.

W świetle tego wszystkiego Emmett zawarł z Eddiem umowę. W zamian za fundusze Eddie mógł uczestniczyć w wykopaliskach w taki sposób, jaki mu odpowiadał. Gdyby się znudził, mógł w każdej chwili przenieść swoją uwagę na coś innego. Gdyby jakiś aspekt wzbudził jego szczególne zainteresowanie, mógł bez przeszkód poświęcić mu cały swój czas. Dla Eddiego taki układ był wprost idealny.

Cały front kamiennej skrzynki był już wolny od piasku. Miał jakieś osiemnaście cali szerokości i dwanaście wysokości. Wzdłuż przedniej ścianki biegła pozioma, ledwie dostrzegalna linia, cienka jak ostrze brzytwy.

W ciągu następnych trzydziestu minut Eddie odsłonił całą skrzynię. Była doskonale gładka, o nieskazitelnej powierzchni. Eddie porządnie ją odkurzył, a potem podniósł i zaczął oglądać ze wszystkich stron. Czyniąc to, poczuł, że część szkatuły się poruszyła. Cienka linia, którą zauważył wcześniej, wyznaczała styk pojemnika z wiekiem. Złącze obrobiono tak dokładnie, że było prawie niewidoczne.

Eddie pojął, że trzyma skrzynkę do góry dnem. Odwrócił ją i postawił na ziemi. Wieko było uchylone. Eddie instynktownie rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie patrzy – chciał przez kilka minut podelektować się odkryciem w samotności. Powoli zdjął wieko i zajrzał do wnętrza po brzegi wypełnionego piaskiem. Ostrożnie sięgnął do środka i zaczął wygarniać zawartość. Po chwili jego palce natknęły się na coś twardego. Ujął to i delikatnie wydobył na powierzchnię. Wstrzymując oddech, podniósł znalezisko do oczu. W dłoni trzymał przepiękny kryształ o nader niezwykłej formie. Był przejrzysty, zabarwiony na jasnopomarańczowy kolor, ale jego wnętrze przecinały równoległe pasma ciemnej zieleni ułożone w regularnych odstępach. Zieleń tworzyła cieniutkie płaszczyzny zatopione w przejrzystej, pomarańczowej materii, a mimo to sam kryształ sprawiał wrażenie doskonale jednolitego. W miejscach, gdzie kolory spotykały się ze sobą, nie było żadnych pęknięć, szczerb ani szczelin. Przeciwnie: przy bliższych oględzinach zieleń wydawała się częścią oranżu, wrośnięta weń w doskonale geometryczny sposób. Eddie jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

Pośpiesznie wygarnął resztę piasku i zachwycony odnalazł w szkatule jeszcze sześć kryształów. Miały różne rozmiary, ale wszystkie były przejrzyście pomarańczowe z zielonymi pasmami wewnątrz. Były piękne. Przeliczył je jeszcze raz, a potem, pod wpływem impulsu, wziął dwa najmniejsze i wsunął je sobie do kieszeni.

Dopiero wtedy zawołał:

– Emmett! Chodź tutaj. Musisz coś zobaczyć.

Kiedy każdy z trzech archeologów i ich pomocników odbębnił swoją kolejkę marszczenia się nad kryształami i oglądania ich pod słońce, Emmett zaniósł je do głównego namiotu pracowni, aby zbadać je bardziej szczegółowo.

Eddie wrócił do własnego namiotu, małej kopułki wojskowej zieleni, akurat dość dużej, by pomieścić śpiwór, lampkę kempingową i kilka osobistych drobiazgów. Zrolował i przypiął klapę, by wpuścić do środka słońce, i położył się na wznak na

śpiworze. Wyjął z kieszeni dwa kryształy i podniósł do oczu, powoli obracając w dłoniach. Patrzył, jak zielone pasma łapią blask słońca.

Rozdział 14

Mechanik stanął przed największym sejfem bunkra. Dotyk jego palców na szyfrowym zamku wprawił w ruch skałometalowe drzwi, które odsunęły się z cichym syknięciem powietrza. Sejf był hermetyczny. On także był dziełem Inżyniera. Drzwi nie były używane od pięciu tysięcy lat, a mimo to działały doskonale i nadal doskonale chroniły zawartość sejfu. Na to kolejne wspomnienie geniuszu Inżyniera Mechanik poczuł ukłucie irytacji.

Za drzwiami znajdował się schowek szeroki na dziesięć stóp, głęboki na dwie i równie wysoki, jak dorosły człowiek. Była to skarbnica mądrości Kinlai. Na ścianie w głębi, na poziomie oczu zwisały szeregi teczek z miękkiej skóry, zawierających kryształy pamięci. Poniżej, spiętrzone do wysokości piersi, leżały manuały, papierowe kopie najistotniejszych informacji zapisanych w kryształach. Miały postać pokaźnych plików cienkich kartek, spiętych luźno pomiędzy paskami plastiku. Zawierały informacje z dziedziny geologii, biologii zwierząt, archeologii i tuzinów innych dyscyplin. Członkowie zespołu badawczego używali ich jako podręczników do szybkiego sprawdzania danych. Zawierały wszelkie informacje potrzebne do utrzymania, a nawet odbudowy ich statku, ale także takich spraw jak codzienne prowadzenie obozu.

Mechanik powiódł dłonią po grzbietach ksiąg, aż znalazł to, czego szukał: podręcznik budowy statku. Na jego stronach zapisano instrukcje pozwalające na stworzenie od podstaw pojazdu napędzanego pompą Eschlessa. Mechanik wyciągnął go ze stosu i kontynuował przegląd. Po chwili odnalazł podręcznik fizyki ogólnej, który także zawierał wzmianki o pompie Eschlessa. Ten również wyjął.

Następnie wyciągnął manuał o biologii człowieka i zaczął wertować go w zamyśleniu. Z tego, czego dowiedział się o współczesnej Ziemi z ekranu komputera, mógł wywnioskować, że tutejsza medycyna wciąż tkwiła na barbarzyńskim poziomie.

Ziemianie potrafili budować statki, które niosły ich przez kosmos, ale wciąż umierali od chorób, z jakimi Kinlai uporali się już wieki temu.

Jeszcze raz przejrzał sterty ksiąg, upewniając się, że nie zostawił niczego, co wspominałoby o pompie Eschlessa, po czym zajął się kryształami. Każda skórzana teczka była opatrzona etykietą: geologia, fizyka atmosfery itd. Każdy zestaw kryształów zawierał całą bibliotekę informacji. Mechanik zdjął ze ściany trzy teczki, jedną opatrzoną napisem „fizyka ogólna", jedną z napisem „fizyka zaawansowana" i jedną z napisem „systemy statku". Były to jedyne zestawy, które zawierały odniesienia do pompy Eschlessa.

Ostrożnie otworzył teczki i wyjął z nich kryształy, układając je w schludnych szeregach na posadzce. Niektóre były bezbarwne, inne żółte lub pomarańczowe, z pasmami danych w ciemniejszych kolorach zatopionymi w przejrzystej substancji. Wkrótce na podłodze leżała ich ponad setka.

Mechanik wrócił do schowka. Z boku znajdował się magazynek narzędzi i rozmaitych przyrządów pomocniczych. Po chwili poszukiwań wyszperał apteczkę pierwszej pomocy, nauszny translator, jak również coś prawdziwie cennego: ręczny paralizator wyglądający jak sztylet.

Zważył broń w dłoni i odszukał palcem pokrętło u nasady rękojeści. Obrócił je, zmieniając moc generowanego wyładowania elektrycznego. Następnie powrócił do szeregów kryształów na podłodze. Przypatrywał się im przez dłuższą chwilę, czując, jak uśmiech ciśnie mu się na usta. To on, Mechanik, miał teraz władzę nad całą tą wiedzą. To on zadecyduje, co przetrwa, a co zostanie zniszczone. Ci Kinlai mogli podróżować przez całe dziesięciolecia, aby zdobyć tę technikę, ale to on postanowi, czy im ją wydać, czy zachować dla siebie.

Oczywiście, że odprawi ich z kwitkiem, ponieważ Kinlai uznają ten skarb wiedzy za swój i odbiorą mu go bez rekompensaty. Nie mógł do tego dopuścić. Rekompensata – i to sowita – była dokładnie tym, czego potrzebował. Tam, na zewnątrz, czekał na niego cały świat, całkiem nowa wczesnotechniczna Ziemia, i ktoś tam na zewnątrz będzie gotów zapłacić krocie za wyłączne prawa do tych

manuałów. A kiedy już zapłaci, Mechanik nareszcie będzie miał to, czego zawsze pragnął. Będzie prowadził cudowne życie, jak niegdyś Kapitan. Będzie bogiem pośród ludzi, być może bez przywilejów należnych prawdziwym bogom, ale rozkosze nowoczesnej Ziemi mogły okazać się znacznie lepsze.

Usiadł na skrzyżowanych nogach na podłodze i wybrał jeden z kryształów. Włączył paralizator, a kiedy dotknął nim podstawy kryształu, ten natychmiast zmienił teksturę i jakby trochę spuchł. Przyjrzawszy mu się bliżej, Mechanik dostrzegł tysiące mikropęknięć, które wyrosły w chwili wyładowania, niczym rozgałęziające się w nieskończoność mikroskopijne drzewa. Mechanik uśmiechnął się znowu i podniósł następny kryształ. Zajęło mu to prawie dwie godziny, ale w końcu zniszczył je wszystkie. Odtąd jedyna dokumentacja pompy Eschlessa istniała na delikatnych, papierowych stronach manuałów. Manuały zaś miał on. Był monopolistą.

Wrzucił zniszczone kryształy z powrotem do teczek, postanawiając, że później wyniesie je na powierzchnię, żeby się ich pozbyć. Odwrócił się w stronę komór stazy. Nadszedł czas, by zastanowić się, co zrobić z pozostałymi.

Przespacerował się wzdłuż szeregu zasobników. Wszystkie oprócz trzech były już puste, z odsuniętymi pokrywami i suchymi wnętrzami komór. Mechanik pomyślał o ich lokatorach. Pierwszy należał do Inspektora Maszynowni. To jego komputer miał budzić w regularnych odstępach czasu; to on miał kontrolować stan bunkra, komór i pozostałych śpiących. Ale Mechanik przechytrzył go. Potajemnie zmienił program, i to w zasobniku numer pięć, w komorze Mechanika, uruchamiany był program budzenia. Wystarczyła prosta modyfikacja, zmiana danych na tyle drobna, by umknąć uwadze Inżyniera, ale szalenie istotna dla rozwoju wydarzeń.

– Nigdy nie było mi cię żal – mruknął Mechanik.

Wyłączył komorę Inspektora już przy pierwszym przebudzeniu. Wówczas spali dopiero od pięciu lat. Inżynier zasugerował pięcioletnie interwały, ponieważ byli wówczas przekonani, że ratunek jest już w drodze, i nie chcieli przegapić przybycia pomocy.

Logika stojąca za tym czynem była prosta: zabicie Inspektora i przejęcie jego zadań opiekuna dawało Mechanikowi kontrolę nad ich małą grupą. Wymyślił nawet wiarygodne wyjaśnienie przyczyn uszkodzenia komory, ale ostatecznie okazało się niepotrzebne. Ratunek nie nadszedł, więc nie było żadnej potrzeby budzenia innych.

I naprawdę nie żałował. Inspektor Maszynowni był przełożonym Mechanika, choć był odeń młodszy o dziesięć lat. Ich relacje nigdy nie były przyjemne.

W sąsiedniej komorze spał Mierniczy, jeden z naukowców ekspedycji. Pewnego razu w obozie Mierniczy przyłapał Mechanika na kłamstwie. Mechanik utrzymywał, że sprawdził dokładnie jakość ich wody pitnej. Mierniczy, który potajemnie obserwował kolegę, twierdził, że tego nie zrobił. Miał rację. Wspomnienie reprymendy wciąż bolało. Była to kropla, która przepełniła głęboką czarę uraz wobec tego człowieka. Mechanik latami hołubił myśl o zemście.

Mimo to nie zabił Mierniczego od razu. Wolał rozkoszować się świadomością, że może zakończyć życie swojego wroga w każdej chwili, wedle najlżejszego kaprysu. Przy dwudziestym przebudzeniu, kiedy minęło już sto lat oczekiwania, on zaś uznał, że ratunek nie przybędzie nigdy, wreszcie się zdecydował. Pociągnął wówczas słuszny łyk wina z zapasów bunkra i wyłączył komorę Mierniczego. Gdybyż tylko mógł zajrzeć do środka, by oglądać śmierć tego człowieka! Ale poczucie dokonanej zemsty i tak było wspaniałe.

Jego następnym krokiem było ustawienie dwustuletnich interwałów snu. Chciał jak najbardziej oddalić się w czasie od dziedzictwa zespołu badawczego na powierzchni Ziemi. Jednak za każdym przebudzeniem jakoś łatwiej mu było ułożyć się znów do snu niż ryzykować wyprawę do świata powyżej. I tak oto przeczekał pięć tysięcy lat.

Następne dwie komory były puste od zawsze. Przeznaczono je dla dwóch członków zespołu, którzy zaginęli, zanim śpiący zamknęli się w bunkrze.

Piątą komorę zajmował Mechanik. Szósta należała do Pierwszego Oficera. Działała doskonale, tak jak przez wszystkie minione

stulecia, zaś wewnątrz wciąż spał jej lokator, jeden z najważniejszych członków kadry dowódczej „Zwycięzcy”. Pierwszy nie był inżynierem, ale znał swój statek na wylot.

– Myślę, że zdołałbyś zbudować pompę Eschlessa, gdybyś musiał – powiedział cicho Mechanik. – A już na pewno potrafiłbyś objaśnić zasadę jej działania.

Przesunął dłonią po pokrywie zasobnika.

– To czyni cię zagrożeniem dla mojego monopolu, przyjacielu. Nie mam nic przeciwko tobie. Przykro mi.

Położył dłoń na pulpicie sterującym, wstukał kod kasujący automatyczne nastawienia i wyłączył komorę. Pulpit zaczął popiskiwać sygnałem alarmowym, żądając potwierdzenia komendy. Istniało kilka poziomów zabezpieczeń i Mechanik cierpliwie pokonał je wszystkie. Po kilku minutach układy podtrzymania życia przestały funkcjonować. Pierwszy umierał. Przy spowolnionym metabolizmie w komorze miało to potrwać kilka godzin, ale los śpiącej w niej osoby był przesądzony.

Dwa ostatnie zasobniki należały do Inżyniera i Lekarki – męża i żony, śpiących obok siebie przez tysiąclecia.

Mechanik stanął przy komorze numer osiem. Lekarka. Piękna żona Inżyniera. Jego wierna małżonka. Kobieta, która go kochała i była kochana przez niego. Mechanik oparł się obiema dłońmi o pokrywę komory i głęboko westchnął. On także kochał Lekarkę. Kompletnie zawróciła mu w głowie, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy jeszcze na Herrodzie podczas przygotowywania statku. Ona nigdy się o tym nie dowiedziała; być może nie zwracała na niego wystarczającej uwagi, by to zauważyć. Była dla niego miła, zachowywała się przyjaźnie, od czasu do czasu okazywała odrobinę sympatii, ale Mechanik wiedział, że nigdy, przenigdy nie pomyślałaby o nim romantycznie.

Nie stanowiła zagrożenia dla jego monopolu, bo nie rozumiała fizyki pompy Eschlessa. Nie musiał jej unicestwiać. Ale jak poczułaby się, gdyby po przebudzeniu z tysiącletniego snu odkryła, że jej ukochany mąż nie żyje? To byłoby wspaniałe.

Podszedł do komory Inżyniera. Był on błyskotliwym człowiekiem, o czym Mechanik miał okazję przekonać się niezliczone razy, odkąd

go poznał. To Inżynier zaprojektował statek. Inżynier rozumiał istotę działania pompy Eschlessa co najmniej tak samo dobrze, jak rozumiał ją sam Eschless, a niewykluczone, że nawet lepiej.

– A to oznacza, szanowny panie, że, tak jak Pierwszy, musi pan odejść. – Mechanik zachichotał cicho. – Pomiatałeś mną przez tyle lat, że ta decyzja jest aż nazbyt łatwa.

Sięgnął do pulpitu sterowania komory, ale tknięty nagłą myślą znieruchomiał z wyciągniętą ręką.

„A czy nie będzie nazbyt łatwa dla ciebie?" – spytał w duchu, wpatrując się w pokrywę zasobnika.

Przez chwilę zastanawiał się, jak by to było: mieć całkowitą kontrolę nad Inżynierem. W jego umyśle zaczął kiełkować pomysł na coś gorszego od morderstwa.

„Teraz mam nad nim kontrolę – zauważyła jego przezorna strona. – Rozsądną decyzją jest zabicie go".

„Ale jak by to było zobaczyć go bezradnego? – marzył ten drugi Mechanik. – Na pewno byłby to dla niego los gorszy od śmierci. A Lekarka? Co, gdyby Inżynier patrzył na nią, rozpoznawał ją, ale wiedział, że już nigdy nie będzie mógł się nią zaopiekować?".

„Śmierć jest pewniejsza".

„Ale nie tak satysfakcjonująca. Nie zaznałem w życiu zbyt wiele satysfakcji".

Przez chwilę zmagał się ze sobą w ciszy, aż w końcu zdołał sam siebie przekonać.

„Tylko zrób to jak należy – poddała się jego ostrożna strona. Dopilnuj, żeby uszkodzenia były trwałe".

Znów sięgnął do pulpitu i wprowadził kod dostępu. Szybko odciął dopływ tlenu do komory i w ciszy zaczął zliczać sekundy. Te sumowały się w minuty: pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma, ósma, dziewiąta, dziesiąta, dwudziesta, trzydziesta… Trzydzieści minut bez tlenu. Komora brzęczała alarmem. Ciało w jej wnętrzu umierało. Mechanik nieśpiesznie przywrócił dopływ tlenu i alarm przycichł, a potem umilkł całkowicie. Na pulpicie wciąż migały trzy kontrolki, wskazując, że istota wewnątrz komory wciąż żyje, ale jest poważnie upośledzona. Inżynier już nigdy nie zrozumie

skomplikowanych, wielopiętrowych równań opisujących lot szybszy od światła. Będzie miał szczęście, jeśli przypomni sobie własne imię.

Mechanik sprawdził odczyt komory Pierwszego i skonstatował, że mężczyzna nie żyje. Jego ciało miało zostać powoli rozpuszczone, zaś zawartość zasobnika odessana i po recyklingu wykorzystana w pozostałych komorach.

Mechanik odwrócił się i ruszył po swoje rzeczy.

Rozdział 15

Rok 2605 p.n.e.
Drugi rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Gdyby Bóg nie istniał, należałoby go wymyślić.

Wolter

Zaczynał się Peret – pora wzrastania, w której wody rozlanego Nilu cofały się, odsłaniając ciemną, żyzną ziemię, gotową do zasiewów. W obozie zespołu badawczego nadal królował upał, ale powietrze odświeżała przyjemna bryza okraszona nawet delikatną sugestią wilgoci. Deszcz padał rzadko, ale nie był ewenementem o tej porze roku i zawsze istniała szansa na ochłodę z nieba.

Kapitan stał na granicy obozu przy niewielkiej sakwie, którą Archeolog i Lekarka napełniały medykamentami. W pewnej odległości od nich czekał Mechanik oraz tragarze z dwiema lektykami. W pobliżu stało też kilkoro sług z obozu, cierpliwie czekających na rozkazy.

Po trzęsieniu ziemi i utracie „Zwycięzcy" grupa wysłała na Herroda mały, bezzałogowy statek kurierski z opisem ich aktualnej sytuacji i prośbą o zmodyfikowanie projektu następnego statku, który pierwotnie miał przylecieć na Ziemię cztery lata po nich. Posłaniec miał dotrzeć do celu w ciągu trzech miesięcy i tyleż samo miała mu zająć podróż powrotna z odpowiedzią. Wiadomości z domu mogli spodziewać się najwcześniej za dwa miesiące. Z braku lepszych zajęć kontynuowali pracę według dawnego planu.

Obóz rozwijał się. Wyrastały w nim nowe budynki zaprojektowane przez Inżyniera i budowane z kamienia, który sam hodował i który doskonale pasował do miejscowej naturalnej skały.

Chaty robotników odbudowano i osiedle tubylców zaczęło się rozrastać.

– Myślę, że masz tu wszystko, czego mógłbyś potrzebować – powiedziała Lekarka, pośpiesznie przeglądając rzeczy, które zapakowała dla Kapitana. – Cokolwiek mogło spowodować kłopoty żołądkowe królowej, powinieneś być w stanie jej pomóc. Ale doprawdy czułabym się pewniej, gdybyś zabrał mnie ze sobą.

Tamtego ranka królowa Hetepheres, żona króla Snofru, puściła do obozu posłańca z żądaniem, aby Kapitan, przywódca przybyszów uzdrawiaczy, niezwłocznie stawił się u niej w pałacu Memfis. W wiadomości pokrótce opisała dokuczający jej lekki ból brzucha.

– Chciałbym wziąć cię ze sobą, ale zażądała wyraźnie, abym przybył sam w towarzystwie wyłącznie służby – odpowiedział. – Mechanik ujdzie jako jeden ze sług, ale ty nie możesz udawać, że jesteś kimkolwiek innym niż naszą główną lekarką. Jeśli królowa będzie z nas zadowolona, być może uda mi się zabrać cię następnym razem.

– Dobrze, ale skontaktuj się, gdybyś potrzebował konsultacji – powiedziała Lekarka, stukając palcem w komunikator wiszący Kapitanowi u pasa.

– Tak zrobię – przytaknął Kapitan, zarzucając sobie sakwę na ramię.

Lekarka kiwnęła głową i ruszyła z powrotem do obozowej stacji medycznej, gdzie czekała już na nią kolejka pacjentów.

Archeolog odprowadzała Lekarkę wzrokiem, dopóki ta nie znalazła się daleko poza zasięgiem głosu, a potem spojrzała na męża i odezwała się poważnym tonem:

– Biorąc pod uwagę tutejszą hierarchię władzy, może być kilka przyczyn, dla których zostałeś wezwany do pałacu sam. Pamiętaj, że będą chcieli cię skategoryzować, a do tej pory nie mieli okazji, aby to zrobić. Robotnicy w obozie szepczą między sobą, że jesteś bogiem. Pałac może odebrać to jako zagrożenie. Albo jako dar niebios, bo nie ma nic lepszego dla króla niż mieć boga po swojej stronie.

– Być może naprawdę potrzebuje tylko pomocy lekarskiej – zadumał się Kapitan.

– Tak, nie jest to wykluczone. Ale jeżeli postrzegają ciebie jako zagrożenie, to łatwy sposób, aby zwabić cię tam samego, na ich warunkach.

Kapitan traktował jej słowa poważnie, ale rozpraszały go myśli o królowej. Istniała jeszcze jedna możliwość, o której jego żona nie wspomniała.

– W razie fizycznego zagrożenia – ciągnęła Archeolog – powinieneś w pełni wykorzystać przewagę swojej domniemanej boskości.

– Co masz na myśli?

– Deklaruj ją bez wahania.

– Kochanie, ja nie mógłbym…

– Tylko jeśli będziesz musiał – powiedziała łagodnie Archeolog, kładąc dłonie na ramionach męża i przysuwając się bliżej. – Tylko jeśli będziesz musiał. Nie chciałabym, żebyś dał się tam zabić.

Kapitan był poruszony troską w jej głosie. Karta misji zabraniała im ingerencji w lokalne religie i obyczaje, ale widział wyraźnie, że w tej chwili jego żona za nic ma regulamin. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku.

– Dobrze zatem. A gdyby doszło do tej wysoce nieprawdopodobnej sytuacji, którym z bogów powinienem się ogłosić?

– Ozyrysem.

Archeolog odpowiedziała bez wahania. Nie ulegało wątpliwości, że tę kwestię miała dokładnie przemyślaną.

– Ozyrysem – powtórzył tępo Kapitan.

Bardzo niewiele wiedział o egipskim systemie wierzeń.

– To dość dziwny bóg – powiedziała Archeolog. – Nie ma jednoznacznie nakreślonej roli w egipskim panteonie, ale opowieści o nim mówią wyraźnie, że jest męczennikiem. Jest mężem Izydy i ma syna o imieniu Horus, co dobrze pasuje do nas. No i jest blondynem.

– Serio?

– Być może to tylko promienie słońca świecącego zza jego głowy, ale nam wystarczy. – Archeolog uśmiechnęła się, pociągając męża za kosmyk włosów. – Ozyrys został, jak głosi legenda, zamordowany

przez Seta, swojego brata. Jego śmierć, poprzez niezliczone krwawe bitwy, została ostatecznie pomszczona przez jego syna, Horusa. Męczennik budzi współczucie i z tego powodu jest najpotężniejszą figurą w każdym systemie religijnym.

– Ale skoro został zabity, jak mogę być nim? – zdumiał się Kapitan.

Archeolog uśmiechnęła się z pobłażliwością nauczycielki rozmawiającej z naiwnym uczniem.

– Fakt twojej śmierci nie ma znaczenia. Bogowie żyją wiecznie. Skoro już raz umarłeś, to znaczy, że pojawiłeś się w nowym wcieleniu. Dla nich nie będzie w tym nic dziwnego, ponieważ bóg jest bezczasowy, w kółko przeżywający swoje przeznaczenie.

Kapitan popatrzył na nią z góry, na szlachetny układ kości jej twarzy, jej błękitne oczy okolone delikatnymi liniami zmarszczek.

– Ty naprawdę mnie kochasz, prawda?

– Zawsze – wyznała czule, zamykając jego dłonie w swoich. – A to wszystko to tylko w razie ostateczności. Tak jak mówisz, może chodzi tylko o zwykły ból brzucha.

Zerknęła w bok na Mechanika, który patrzył na nich z miną sugerującą zniecierpliwienie.

– Mechanik mówi, że ufna ze mnie żona, skoro pozwalam ci odjechać samemu opiekować się tą piękną królową.

Kapitan pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Jak gdybym mógł kiedykolwiek choć spojrzeć na inną – prychnął.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym Kapitan uwolnił się z uścisku żony i ruszył w stronę czekającego orszaku. Archeolog patrzyła, jak tragarze zajmują pozycje, a Kapitan i Mechanik gramolą się do lektyk. Potem odwróciła się i odeszła w stronę obozu.

– Trzeba nie lada cierpliwości, żeby wytrzymać w małżeństwie – zauważył Mechanik, sadowiąc się wśród poduszek w swojej lektyce. – Ja nie dałbym rady.

– Czasem ma to swoje zalety – powiedział Kapitan, zerkając za odchodzącą.

Minęły trzy godziny, nim przedarli się przez podmiejskie osady, a potem samo miasto, by w końcu dotrzeć do wzgórza w samym

centrum Memfis. Tam wyłuskano ich z ulicznego tłumu i poprowadzono przez bramy pałacu. Kiedy przemierzali królewskie ogrody, Kapitan odsunął zasłony lektyki. Zobaczył sady pełne drzew oliwnych, figowców, palm daktylowych i śliw, schludne winnice, sadzawki, gdzie ptaki pluskały się w kryształowej wodzie, i tysiące kwiatów kołyszących kolorowymi główkami w podmuchach popołudniowego wietrzyku. Ogrodnicy – nadzy, jeżeli nie liczyć skąpych biodrowych przepasek – doglądali każdej rośliny z osobna, podlewając je z glinianych dzbanów. Członkowie rodziny królewskiej wypoczywali w ogrodach, piknikując bądź po prostu wylegując się w cieniu.

Odwróciwszy głowę, Kapitan mógł podziwiać panoramę Memfis oraz sam Nil, szeroki i brązowy, niosący statki tam i z powrotem, w górę i w dół – główny szlak handlowy kraju.

Sam pałac składał się nie z jednego budynku, lecz z wielu. Była tam rezydencja króla, rezydencja królowej, był harem dla licznych małżonek, konkubin i pomniejszych nałożnic króla, jak również niezliczone komnaty dla służby. Budynki wzniesiono z suszonej cegły i drewna, pobielono wapnem i udekorowano malowidłami.

Odkąd lektyki przekroczyły bramy pałacu, podążały pod eskortą oddziału gwardii pałacowej, silnych młodych mężczyzn o ciemnych torsach, w krótkich czarnych perukach na głowie. Eskorta odprowadziła orszak Kapitana i Mechanika do domu królowej, zatrzymując ich na wielkim, obstawionym kolumnami dziedzińcu, ocienionym liśćmi wysokich palm wyrastających z donic wokół obwodu.

Tutaj podróżni wysiedli z lektyk i wraz z grupą sług, których przyprowadzili z obozu, zostali wprowadzeni do holu wejściowego. Wyszedł im na spotkanie pulchny eunuch o ciemnych natłuszczonych włosach. Podzwaniając ciężką biżuterią, powiódł gości cienistymi korytarzami obok pokojów służebnic i dzieci, a potem w górę dwóch ciągów schodów, by wreszcie stanąć przed wejściem do komnaty królowej Hetepheres.

– Twoi słudzy muszą zaczekać tutaj – powiedział eunuch do Kapitana lekko zniewieściałym tonem.

Kapitan nie pomyślał o tym wcześniej. Przyprowadził ze sobą Mechanika i trzech robotników, żeby zapewnić sobie jakąkolwiek ochronę i przydać autorytetu przed królową. Nie wziął ze sobą kobiet, pragnąc oszczędzić im trudów długiej podróży w tym upale, ale nie przyszła mu do głowy rzecz oczywista, iż mężczyźni nie są wpuszczani do pokojów królowej, chyba że w razie zupełnej konieczności.

Gestem wskazał miejsce Mechanikowi. Ten z ociąganiem skinął głową i stanął obok drzwi plecami do ściany, dając przykład sługom.

Kapitan i eunuch weszli do komnaty. Pierwsze skojarzenia Kapitana popłynęły ku światłu i przestrzeni. Komnata była ogromna. Szeregi nieoszklonych okien u sufitu wpuszczały do środka ożywczy powiew i potoki słonecznego blasku. Posadzkę zaścielały miękkie dywany, zaś umeblowanie stanowiły misternie rzeźbione drewniane sprzęty w kolorach złota, czerni i zieleni.

Królowa leżała na wąskim zielonym łożu, wspartym na drewnianych nogach w kształcie lwich łap. Na głowie miała perukę z gęstwą długich, czarnych warkoczyków, które spływały jej na ramiona. Jej suknia była uszyta z jasnoniebieskiego płótna, z trójkątnym dekoltem i pasami, które, zakrywając jej piersi, łączyły się w węzeł za szyją. Kapitanowi na chwilę zaparło dech z wrażenia. Oszałamiające piękno królowej – którego wspomnienie zdążyło już zblaknąć od czasu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy na placu targowym – teraz uderzyło go z pełną mocą.

Skłonił się lekko.

– Wasza Wysokość, to dla mnie zaszczyt.

Odpowiedziała skinieniem głowy. Podszedł bliżej ze swoją sakwą i ukląkł przy niej, wciągając w nozdrza miodowy aromat jej perfum. Rozpoczął badanie od pytań o rodzaj i umiejscowienie bólu, o to, co ostatnio jadła i czy w ostatnim czasie nie zdarzyło się coś, co ją zaniepokoiło. Mówił przez translator, ale używał też całych zdań w miejscowym języku, ponieważ zależało mu na tym, by się go nauczyć.

Zaskoczyła go, kiedy po udzieleniu kilku odpowiedzi nagle przerwała rozmowę, by zwrócić się do czekającego w pewnym oddaleniu eunucha.

– Ptah! – rozkazała. – Chcę, abyś stanął w tamtym kącie plecami do mnie.

Eunuch wahał się przez milisekundę, ale skłonił głowę i spełnił polecenie. Jego nowa pozycja uniemożliwiała mu podsłuchiwanie rozmowy.

– Kap-tan – powiedziała Królowa, zwracając wzrok na Kapitana. – Mam wrażenie, że moja dolegliwość minęła sama z siebie od dzisiejszego poranka. Mój żołądek ma się całkiem dobrze, ale są inne powody, dla których wezwałam tu ciebie.

Mówiła przyciszonym, niemal intymnym tonem i Kapitan natychmiast pojął, że nic mu nie grozi w tym miejscu, a przynajmniej nic z niebezpieczeństw, na jakie przygotowała go żona. Utrzymywał kamienną twarz, choć miał pełną świadomość położenia swoich dłoni, które spoczywały na łożu, tuż obok brzucha i piersi królowej.

– Jest w tobie magia – wyszeptała. – Przynajmniej w tej kwestii wszyscy się zgadzamy.

Dotknęła jego translatora.

– I masz kolor słońca.

Dotknęła jego włosów.

– Ale ja chciałabym wiedzieć… Czy jesteś bogiem? Ludzie na polach plotkują, że jesteś. Niektórzy kupcy zdają się zgadzać z tą opinią. Ale my tutaj, w pałacu, nie wiemy.

Kapitan domyślił się, że jej małżonek, król, nie wiedział o tej wizycie. Wezwała go na własną rękę i wydawało się, że przepełnia ją to samo uczucie, jakiego on doświadczał w jej obecności – przemożna, rozgrzewająca świadomość bliskości ich ciał.

Nie musiał ogłaszać się bogiem. Był to środek ostateczny, zaś on nie był w niebezpieczeństwie. Nie było takiej potrzeby, jeśli nie liczyć jego własnej potrzeby nadania sobie wielkości w oczach tej kobiety, uzyskania nad nią władzy. Nim zdążył zastanowić się nad tym, co czyni, z jego ust popłynęły słowa.

– Czy nie poznajesz mnie, o pani? Czy nie widzisz boga Ozyrysa klęczącego u twych stóp?

Królowa powoli wciągnęła powietrze, patrząc na niego wzrokiem, w którym lęk mieszał się z pożądaniem.

– Zatem jest tak, jak przypuszczałam… – wyszeptała i jeszcze raz musnęła dłonią jego włosy. – Twój gniew był wielki tamtego dnia na targu. Czy sprowadzisz zniszczenie na ziemie mojego męża?

– Nie – odpowiedział łagodnie, już teraz czując ciężar swojej deifikacji. – Nie zniszczenie. Tylko pokój i dłuższe życie.

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział uśmiechem – tym razem uśmiechem wyższości, uśmiechem boga patrzącego na śmiertelniczkę. Nie, dzisiaj jej nie dotknie. Nie będzie jej całował ani pieścił jej ciała, choć nie miał wątpliwości, że przyjęłaby z wdzięcznością jego zaloty. Na wszystko to przyjdzie czas później. Nie, bogowie są cierpliwi. A on był przecież bogiem.

Rozdział 16

Rok 2605 p.n.e.
Drugi rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Nie mamy powodu, aby interpretować to inaczej niż dosłownie – upierała się Lekarka. – Wiadomość mówi, że wyprawa ratunkowa musi poczekać, a nie, że nie zostanie wysłana.

– Ale nie możemy ocenić skali tego, co się tam wydarzyło – głos Archeolog był spokojny mimo kipiących w niej emocji. – Mamy zbyt mało danych.

– Owszem, ale byłoby to prawdą w każdym wypadku – zauważyła Lekarka.

Jej twarz miała wyraz otępiałego szoku źle skrywanego próbami racjonalnego rozumowania.

W spotkaniu uczestniczył cały zespół. Siedzieli w namiocie konferencyjnym wokół stołu z grubego, ciemnego plastiku, zbudowanym przez Inżyniera przed kilkoma miesiącami. Na zewnątrz było już ciemno, ale wnętrze namiotu rozświetlały jasne, żółte lampy. Kilkoro spośród badaczy zaczynało się już zastanawiać, jak długo jeszcze będą mogli pozwalać sobie na takie luksusy. Choć obecni byli wszyscy, w dyskusji uczestniczyła tylko kadra dowódcza wyprawy. Reszta czekała na decyzje swoich przełożonych.

Statek kurierski wreszcie powrócił, niosąc odpowiedź z Herroda. Kryształowa komórka pamięci, w której zakodowano wiadomość, leżała na środku stołu, przyciskając do blatu kartkę papieru z przepisaną jej treścią:

Wojna. Ledwie się trzymamy. Ratunek musi poczekać.

To było wszystko. Żadnego wyjaśnienia, kto z kim toczy wojnę, żadnych danych dotyczących rozmiarów zniszczeń. Tylko siedem słów.

– Nie rozumiem. Kto mógłby wyruszyć na wojnę? – powiedział cicho Inżynier, który powtórzył to już kolejny raz. – Sytuacja była bardzo stabilna.

– O to właśnie chodzi – odpowiedział Kapitan. – Nie wiemy, kto z kim walczy; nie wiemy, kto ledwie się trzyma. Wiemy tylko, że ratunek nie przybędzie zgodnie z pierwotnym planem.

– Mogło się zdarzyć – wtrącił Inspektor Maszynowni, zabierając głos po raz pierwszy – że atakowana była tylko stacja, która odebrała naszą ostatnią wiadomość. Być może doszło do jakiegoś przewrotu w rządzie i agencje kosmiczne są tymczasowo zamknięte.

– Kto wie, może w drodze są już kolejne wiadomości – dodał ktoś inny.

Twarze siedzących wokół stołu były ciekawym studium ludzkiego stresu. Każdy głowił się, co też mogło wydarzyć się w domu, i każdy w inny sposób reagował na niepewność. Większość była co najmniej w lekkim szoku. Niektórzy działali jak dotąd, w trybie automatycznym, podczas gdy ich umysły usiłowały przedstawić sobie losy bliskich im ludzi i miejsc.

Lew nie brał udziału w dyskusji. Siedział w milczeniu, obserwując twarze pozostałych.

– Być może, być może – powiedział Kapitan lekceważąco, powstając, by ściągnąć na siebie całkowitą uwagę zebranych. – Wszystko być może. Wszystko, co tylko sobie wymyślimy. Być może wiadomość jest sfałszowana. Być może Herrod został zupełnie zniszczony. Każdy scenariusz pomiędzy tymi skrajnościami jest możliwy. Nie wiemy, co się stało. Być może nigdy się nie dowiemy. Zwołałem to zebranie, ponieważ musimy zmienić sposób, w jaki postrzegamy naszą ekspedycję. W kwestii naszego powrotu w tej chwili nic nie jest pewne.

Potoczył wzrokiem po zwróconych nań twarzach.

– I właśnie dlatego musimy działać tak, jakbyśmy mieli nie wrócić do domu. Musimy poważnie pomyśleć o urządzeniu się tutaj na stałe.

Wywołał tym poruszenie. Rozległo się kilka okrzyków: „Nie!” i „Chyba nie mówisz poważnie?!”. Mechanik, siedzący obok Inżyniera i Lekarki, pochylił się ku nim i wyszeptał:

– Jemu łatwo tak mówić.

– Masz rację – mruknęła Lekarka, po czym podniosła wzrok i przemówiła bezpośrednio do Kapitana. – Takie rozwiązanie może odpowiadać tobie, Kapitanie, ale dla reszty z nas życie tutaj nie jest aż tak pociągające.

Zapadła cisza. Lekarka wyraziła głośno uczucia wielu z obecnych. Kapitan spojrzał na nią, wiedząc, że powinien zignorować tę uwagę, na co jednak nie pozwalała mu duma.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

– A jak ci się wydaje? – odparła Lekarka, wytrzymując ciężkie spojrzenie dowódcy. – Nie wysilasz się zbytnio, by wytrącić tubylców z przekonania o twojej boskości.

– A jaki miał wybór? – To był głos Archeolog, która wstała z miejsca, aby wziąć męża w obronę. – Dopóki szukają u niego mądrości, my, zespół, jesteśmy bezpieczni. Nie wyczarował tamtego trzęsienia ziemi, ale było to dla nas bardzo korzystne zdarzenie.

– Korzystne? – powtórzyła Lekarka z niedowierzaniem. – Zginęły wtedy tysiące ludzi! Poświęciliśmy miesiące na pomoc rannym.

– Zdarzenie niefortunne – powiedziała Archeolog, nieco łagodząc ton – ale niewątpliwie użyteczne. Nie wyobrażacie sobie chyba, że król tak długo tolerowałby naszą obecność na swojej ziemi, gdybyśmy byli zwykłymi śmiertelnikami.

– Znów to samo, wygodna racjonalizacja. – Lekarka machnęła ręką.

Inżynier uspokajająco poklepał ją po dłoni, ale zignorowała go.

– Jakoś nie wydaje mi się, by groziło nam jakiekolwiek niebezpieczeństwo, zanim został bogiem – dodała i zwróciła się do Kapitana. – Nie obchodzi cię ani trochę, że łamiemy postanowienia karty misji i kodeks naukowca?

– Nie prosiłem ich, by zaczęli mnie czcić – obruszył się Kapitan.

– I nie prosiłeś, żeby przestali.

Ostatnie zdanie wypowiedział Lew, który dopiero teraz włączył się do rozmowy. Mówił cicho, spoglądając ponuro na swoich

rodziców. Kapitan spojrzał na syna.

– To tylko środek, z którego zrobiłem użytek, nic więcej.

– Z pewnością są inne sposoby na zaskarbienie sobie względów króla – odparł Lew, wciąż cichym głosem. – Wszyscy złożyliśmy przyrzeczenie jako naukowcy i obserwatorzy. Ty ingerujesz w ich religię.

Kapitan westchnął, zły na siebie za to, że dał się wciągnąć w spór. Jego decyzje nie były ich sprawą.

– Przyznaję, że nie zawsze dokonywałem właściwych wyborów – powiedział wreszcie tonem, w którym pobrzmiewała nutka skruchy. – Ale to nie jest właściwy czas na filozoficzną debatę. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

To drobne przyznanie się do odpowiedzialności spełniło swoje zadanie. Lew zamilkł i zebrani skupili się na przyczynie spotkania.

Archeolog zajęła swoje miejsce i Kapitan także powoli opadł na krzesło.

– W tej chwili – podjął – naszym największym zmartwieniem jest to, w jaki sposób wiadomość wpływa na naszą misję. I nasze życie. Moim zdaniem powinniśmy przygotować się na najgorsze. Przede wszystkim powinniśmy ograniczyć zasięg naszych działań do najbliższej okolicy. Wydaje mi się, że nie byłoby mądrze używać wahadłowca, chyba że w razie najwyższej konieczności. Musimy przyjąć, że nie możemy liczyć na ratunek, i postępować zgodnie z tym założeniem, oszczędzając nasze zasoby.

– Z całym szacunkiem, Kapitanie – wtrącił Inżynier. – Oni po nas przylecą. Jak dużo czasu im to zajmie, to odrębna kwestia, ale przylecą na pewno.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu stawiam się na ich miejscu.

Z całego zespołu to Inżynier wydawał się najmniej poruszony nowinami z domu. W rzeczywistości był przestraszony nie mniej niż wszyscy, ale w ciągu swojej wieloletniej kariery nauczył się podchodzić do problemów bez emocji. Na emocje mógł przyjść czas później, bo dopuszczone do głosu teraz tylko przyćmiłyby obraz sytuacji.

– Jeżeli wojna nie okaże się nadmiernie destrukcyjna – ciągnął Inżynier – Herrod zachowa swój potencjał w dziedzinie lotów kosmicznych, jeśli nie cały, to przynajmniej jego większą część. Ośrodki mogą potrzebować czasu na powrót do normalnego funkcjonowania, ale w końcu osiągną pełną sprawność i nie będzie żadnego powodu, aby nie powrócić do programu badań Ziemi. W rzeczy samej wojna prawdopodobnie wręcz zwiększy zainteresowanie badaniami planet nadających się do zamieszkania. Nikt nie chce trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku, że się tak wyrażę. Z drugiej strony, jeżeli wojna spowoduje znaczące zniszczenia, potencjał kosmiczny może zostać poważnie ograniczony. Jednak nawet w takim wypadku uważam, że przylecą. Z tego samego powodu. Z wyjątkiem planety zamieszkanej przez Lucenów Ziemia jest najbliższym światem przyjaznym życiu, zaś my, zespół badawczy, już wcześniej ustanowiliśmy tu przyczółek. W dodatku nasza grupa zrzesza naukowców wszystkich specjalności niezbędnych do zbudowania cywilizacji. Destrukcyjna wojna przypomni wszystkim o konieczności tworzenia kolonii, a Ziemia jest naturalnym wyborem. Nie zdziwiłbym się, gdyby pewne co bardziej wojownicze wspólnoty religijne już teraz planowały kolejną wyprawę. W pierwszym wypadku oceniam, że ratunek nadejdzie w ciągu góra dziesięciu lat. Tyle wystarczy, aby agencje kosmiczne pozbierały się i nabrały rozpędu. Zresztą w miarę jak sytuacja na Herrodzie będzie wracała do normy, powinniśmy otrzymywać kolejne komunikaty. Jeżeli jednak ziści się ten drugi scenariusz, może minąć całkiem sporo czasu, zanim ktokolwiek tutaj przybędzie. Być może nawet sto lat, zanim społeczeństwo wyliże się z ran i zorganizuje kolejną wyprawę.

– Zatem w gruncie rzeczy zgadzasz się ze mną – powiedział Kapitan. – Musimy się przygotować. Musimy znaleźć sposób na życie, zakładając, że zostaniemy tutaj na stałe. Jak zauważyło kilkoro z was, być może nadal będziemy otrzymywać wiadomości z Herroda. Następne lata pokażą nam, na czym stoimy. Czy ktokolwiek z obecnych nie zgadza się, że powinniśmy przedsięwziąć środki zabezpieczające nas przed skutkami utknięcia na tej planecie, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości?

Rozejrzał się wokół stołu. Twarze zebranych pozostały nieruchome. Nie mógł już liczyć na ich niezłomne oddanie, ale zgadzali się z nim, ponieważ nie mieli innego rozsądnego wyjścia.

– Dobrze zatem. Jest późno. Na dziś zakończymy naradę, a od jutra rana zaczniemy realistyczne planowanie.

Pozostali pokiwali głowami i zaczęli wstawać od stołu, nagle uświadamiając sobie swoje zmęczenie. Zmęczenie i zobojętnienie. W ich przyszłości nic już nie było pewne.

Rozdział 17

Czasy obecne.

Pruit tkwiła w fotelu spętana pasami, wpatrzona we wskaźniki i ekrany, którymi wyłożone były ściany kabiny lądownika. Mknęła przez przestrzeń po trajektorii umożliwiającej dotarcie do Ziemi w ciągu zaledwie tygodnia. Lądownik wystrzelił się samoczynnie z orbity Jowisza i osiągnął prędkość marszową w ciągu niespełna godziny. Pruit i Centrala opracowały taki tor lotu, aby pojazd imitował meteoroid, wykatapultowany ze swojej orbity przez grawitację Jowisza i mknący ze stałą prędkością ku Ziemi.

Lądownik wyglądał dziwnie jak na pojazd kosmiczny. Jego przednia połowa miała kształt kuli, do której przytwierdzono walec, stanowiący obudowę silników nuklearnych. Fotel pilota i przyrządy sterownicze mieściły się w kuli, w kabinie akurat na tyle dużej, by można było w niej stanąć, choć w rzeczywistości nie było tam jak stać, ponieważ fotel zajmował praktycznie całą dostępną przestrzeń. Gdyby Pruit wyciągnęła ręce na boki, ściany kabiny znalazłyby się tuż poza zasięgiem jej palców. Jedyne światło pochodziło z ekranów jarzących się zielonkawą lub czerwoną poświatą. Oryginalnie kabina miała dwa fotele ustawione oparciami do siebie. Pruit przebudowała ją podczas swojego sześciomiesięcznego pobytu na orbicie Jowisza, wyposażając w pojedynczy fotel, który można było dowolnie obracać, co zapewniało jej dostęp do wszystkich pulpitów i przyrządów.

Ubrana była w swój czerwony biokombinezon, strój z grubego, specjalnego materiału, monitorującego funkcje jej organizmu i zdolnego naprawiać jego uszkodzenia, gdyby zaistniała taka potrzeba. W materiał wpleciono tuziny biopędów pozostających w symbiotycznej współpracy z narządami jej ciała. Rękawice biokombinezonu zwisały jej u nadgarstków i mogły zostać

podciągnięte na dłonie za dotknięciem panelu kontrolnego na piersi. Na karku miała złożony kaptur, który także mógł zostać błyskawicznie podniesiony. Strój był podłączony do bioukładów lądownika i samoczynnie dbał o potrzeby sanitarne i odżywcze Pruit podczas tygodniowego lotu na Ziemię.

Po starcie lądownika Pruit zerwała łączność radiową z Centralą. Rosnące wraz z odległością opóźnienie przekazu komunikatów czyniło komunikację bezcelową, zaś cisza radiowa pomagała uniknąć wykrycia przez ziemskie radioteleskopy. Jednakże zgodnie z obowiązującą procedurą prowadziła dla Centrali dziennik głosowy, którego raporty były okresowo kompresowane i posyłane na statek w krótkich, praktycznie niewykrywalnych impulsach sygnału.

– Centrala, jestem w polu grawitacyjnym Ziemi – zameldowała Pruit, patrząc na ekrany.

Świat na zewnątrz kapsuły mogła oglądać jedynie za pośrednictwem otaczających ją monitorów. Patrzyła na ekran podejścia wizualnego, na którym widniał – przedstawiony w schematycznym uproszczeniu – lądownik zbliżający się do Ziemi pod takim kątem, by przecinając górne warstwy atmosfery stopniowo wytracić prędkość – tak jak zrobiłby to meteoroid.

– Centrala, zbliżam się do punktu kontaktu z atmosferą – powiedziała Pruit i obróciła fotel, by rzucić okiem na inny monitor.

Centrala starannie przeanalizowała parametry ruchu wszystkich znanych obiektów i kosmicznych szczątków na orbicie Ziemi. Informacje te były ogólnodostępne i łatwe do znalezienia w eterze, ale Pruit niepokoiła się. Kosmicznych śmieci było bardzo dużo i z pewnością na orbicie roiło się od obiektów, które nie trafiły do rejestrów. Jednak jak dotąd przyrządy lądownika nie wykryły żadnych niespodziewanych ruchów na trasie przelotu.

Pruit jeszcze raz sprawdziła kąt podejścia i przeniosła wzrok na monitory pokazujące stan zewnętrznego poszycia pojazdu. Kapsuła zaczęła wibrować, natrafiwszy na opór rozrzedzonych, najwyższych warstw atmosfery. Wskaźniki temperatury poszycia ożyły i odczyty zaczęły szybko piąć się w górę. Wszystkie parametry lotu wciąż mieściły się w normach.

– Jestem w atmosferze. Rozpoczynam schodzenie.

Jeszcze raz spojrzała na mapę podejścia. Kapsuła miała zakreślić długi łuk, przecinając atmosferę Ziemi i płonąc od żaru sprężonego pędem powietrza, a potem, na ostatnich pięciu milach, opaść prosto w dół w manewrze hamującym, który miał wyprowadzić ją na pozycję do lądowania na pustyni na zachód od Kairu.

Lądownik zatrząsł się gwałtowniej, coraz szybciej tracąc wysokość. Daleko pod nim przepływała Azja, a potem Pacyfik. Chaotyczne wstrząsy osłabły nieco i przeszły w rytmiczny dygot. Pod kapsułą rozciągał się ocean, ale Pruit nie mogła go widzieć, jedynie jego uproszczoną, geometryczną reprezentację na jednym z ekranów.

Przeleciała nad wybrzeżem Ameryki Północnej, przecięła granicę dnia i nocy, i właśnie wtedy zawył alarm. Błyskawicznie obróciła się wraz z fotelem, żeby spojrzeć na monitor radaru zbliżeniowego. Jeden z satelitów niskoorbitalnych zboczył ze swojego dotychczasowego kursu, być może zmieniając orbitę. Poruszał się bardzo szybko. Starannie wykreślony tor podejścia Pruit niemal ocierał się o niego i teraz praktycznie nie było już miejsca na unik. Pruit wbiła dłonie w żel manipulatorów, zmuszając lądownik do ostrego zwrotu. Za późno. Rozległ się huk, wrzask rozdzieranego metalu i statek wykręcił obłąkańczy piruet.

Wstrząs rzucił Pruit w bok, ale pasy utrzymały ją w fotelu, boleśnie wrzynając się w ciało. Fotel obrócił się gwałtownie i Pruit rozpaczliwie próbowała go wyprostować w rozkołysanej kabinie. Obiema rękami uczepiła się pulpitu sterowniczego, starając się utrzymać stałą pozycję.

– Centrala, kolizja z kapsułą! – krzyknęła, panicznie omiatając wzrokiem monitory.

Satelita uderzył w rufowy zespół napędowy. Niedobrze. Co ze stosem? Wczepiona w pulpit pośpiesznie wywołała dane, podczas gdy lądownik wirował i miotał się w całkowicie nieprzewidywalny sposób. Nagle w tylnej części pojazdu rozległ się przeraźliwy zgrzyt zakończony ogłuszającym hukiem wybuchu. Wstrząs rzucił Pruit na pulpit. Szarpnięcie pasów pozbawiło ją tchu. W ustach poczuła smak krwi i zobaczyła czerwony rozbryzg na monitorach. Kapsuła leciała oszalałą spiralą. Automat nie był w stanie utrzymać kursu. Kolejny

wstrząs wyrwał pulpit z uścisku Pruit i rzucił ją na fotel, który z dzikim szarpnięciem obrócił się w drugą stronę.

Pruit zdołała zaczepić o coś stopą i z wysiłkiem obróciła fotel z powrotem. Kopnęła dźwignię, blokując go w stałej pozycji. Odszukawszy wzrokiem ekran napędu, szybko przejrzała odczyty. Uderzenie strzaskało obudowę stosu atomowego, uszkadzając chłodzenie. A potem wybuch uszkodził napęd dysz sterujących.

Wcisnęła dłoń w manipulator i wywołała schemat. Ekran pokazał jej, że cała lewa strona głównego zespołu napędowego jest rozbita. Obluzowana dysza strzelała płomieniem w przypadkowych kierunkach. Kapsuła była niesterowna. Pruit musiała odstrzelić uszkodzony zespół i dalej radzić sobie jakoś z dwoma układami pomocniczymi. Trzymając się pulpitu jedną ręką, drugą wprowadziła polecenie odrzucenia zespołu napędowego. Na pulpicie rozbłysły niebieskie kontrolki, wskazując, że komputer nie może wypełnić rozkazu.

– Odłącz się, na wszystko co żywe! – ryknęła z furią.

Wprowadziła rozkaz ponownie i ponownie kapsuła nie usłuchała. Odchylenie od toru schodzenia było już znaczne. Lądownik wciąż wierzgał i zataczał szaleńcze spirale, a Pruit poczuła żar sączący się do wnętrza kabiny – to reaktor roztopił obudowę i zaczął trawić resztę statku. Poczuła, jak biokombinezon włącza się, aby ochronić ją przed gorącem.

– Odłącz się! – wrzasnęła znowu, wbijając w pulpit przycisk zatwierdzenia rozkazu.

Nic. Zaczepy musiały stopić się z łożem zespołu. Wyobraziła sobie, jak musi wyglądać tylna część lądownika. Poszycie było zwęglone i próbowało się zregenerować, ale żar niechłodzonego stosu był zbyt wielki. Nowe poszycie spalało się już w trakcie formowania.

Musiała odrzucić dyszę ręcznie. Pruit odłączyła biokombinezon od statku, po czym wdusiła przycisk zwalniający uprząż i natychmiast została wyrzucona z fotela. Odbiła się od ściany ekranów i kolejny wstrząs cisnął nią w drugą stronę. Biokombinezon był zbyt obszerny, aby mogła poruszać się w nim po ciasnej kabinie. Nie była w stanie

znaleźć żadnego punktu oparcia, by zaprzeć się i utrzymać w jednej pozycji.

Kilkoma szarpnięciami rozpięła klapy kombinezonu i uwolniła się od niego wściekłymi kopnięciami. Zsuwający się strój wyrwał biopędy z jej ciała. Ciśnięta w górę przy kolejnej zmianie kursu uderzyła głową o sufit, ale jednocześnie natrafiła ręką na jeden z uchwytów pomocniczych wprawionych w górną część kabiny. Ponad nią otwierało się cylindryczne wgłębienie. Na jego dnie znajdowała się dźwignia ręcznego odrzucenia zespołu napędowego.

Dopiero po dłuższej chwili Pruit uświadomiła sobie, że coś parzy ją w dłoń. Uchwyt był zbyt gorący, by można go było dotknąć. Z wnętrza cylindra buchał żar, a ona nie miała na sobie biokombinezonu. Naciągnęła rękawy koszulki na dłonie i złapała oburącz uchwyty po obu stronach otworu cylindra.

Statek znów podskoczył, wyrywając jej jeden uchwyt z dłoni. Wciąż wczepiona w drugi zatoczyła łuk i grzmotnęła w ścianę ponad głównym pulpitem sterującym. Odbiła się od niej nogami i znowu złapała uchwyt, tym razem nagą dłonią. Metal palił jej skórę, ale nie miało to teraz znaczenia. Lądownik spadał. W ciągu kilku minut mógł runąć do oceanu. Pruit uwiesiła się na uchwytach i przerzuciła nogi do wnętrza cylindra. Na skórze poczuła parzący dotyk gorąca. Jej noga otarła się o rozżarzoną ścianę.

– Słodkie życie! – krzyknęła z bólu.

Cały bok lewej nogi piekł ją żywym ogniem. Podciągnęła się dalej, wsuwając głębiej do wnętrza cylindra. Widziała dźwignię, choć powietrze wokół niej drżało od żaru. Jej skóra płonęła. Kopnęła dźwignię, ale chybiła. Wsunęła się do cylindra jeszcze głębiej i kopnęła jeszcze raz. Tym razem trafiła, ale dźwignia ani drgnęła.

Krzycząc z bólu i złości, Pruit kopała raz za razem, próbując przymusić dźwignię do ruchu. Mocowanie było częściowo stopione, ale ciosy spadały mocne i nieubłagane, aż w końcu dał się słyszeć krótki zgrzyt.

– Przeklęty na dziesięć żyć, odłączysz się!

Kopnęła z całej siły i poczuła, że dźwignia poddaje się. Rozległ się niski, przeciągły jęk – to zespół napędowy, uwolniony od węzłów

mocujących go do łoża, wysunął się z obsady i oderwał od lądownika.

Pruit puściła uchwyty i runęła sześć stóp w dół, do kabiny. Wylądowała częściowo na fotelu, a częściowo na pulpicie sterowania. Całe jej ciało krzyczało bólem, ale czuła, że automat zdołał wyrównać lot.

Podciągając się na fotel, zauważyła, że ręce i nogi pokrywają się jej pęcherzami. Miała wrażenie, że ma złamaną prawą stopę. Prawdopodobnie miała.

Przesunęła wzrokiem po monitorach, czując, że jej ciało zaczyna się poddawać. Pomyślała o swojej matce i ojcu. O Makusie, daleko stąd, na Herrodzie, o miastach pod kopułami i pustkowiach rozpościerających się wokół nich. I pomyślała o Lucenach, bezwzględnie i skutecznie realizujących swój plan zagłady, o mijających latach i nieubłaganie zbliżającym się ataku.

– Jakoś to przetrwam – powiedziała głośno i dźwięk własnego głosu dodał jej otuchy. – Przetrwam to.

Zboczyła z wyznaczonego toru lotu, ale dwa pomocnicze układy napędowe wciąż funkcjonowały. Zatopiła dłoń w manipulatorze, ignorując ból, jaki ją przy tym poraził, i szybko obliczyła nowe parametry lotu. Pierwotny cel był poza jej zasięgiem, więc zażądała od komputera lądownika, by doprowadził ją tak blisko, jak tylko się da.

Odwróciła się, żeby sprawdzić pozostałe układy. Poszycie pojazdu było mocno uszkodzone. Wyglądało to tak, jakby cały walec stanowiący tylną połowę lądownika był odarty ze skóry. Mimo to pojazd zachował zdolność manewrowania. Nagle zapłonęła kolejna konstelacja lampek alarmowych. Hamownice! Pruit gwałtownie obróciła się w fotelu, ignorując ból, który przeszył jej nogi. Spojrzała na ekran – hamownice nie działały.

– Nie… Nie!

Zrestartowała tablicę kontrolną i dwie lampki zgasły, wskazując, że hamownice nie były jednak całkiem bezużyteczne. Wciąż miały minimalną skuteczność. Jeśli odpowiednio zaprogramuje komputer, być może uda jej się wytracić dość prędkości, by wylądować w granicach fizycznej tolerancji.

Zerknęła na monitor podejścia i zobaczyła, że leci już nad Oceanem Atlantyckim. Szybko traciła wysokość. Nowa przewidywana trajektoria kończyła się gdzieś w Afryce, ale obliczenie dokładnych współrzędnych przyziemienia było niemożliwe.

Ustawiła nowy program hamowania. Już za kilka minut pojazd miał wejść w ostatnią fazę lotu i runąć w dół do lądowania.

Kabina zaczęła wypełniać się biofluidem. Szybko wypełnił zagłębienia w podłodze, a potem jego poziom zaczął się podnosić. Przyziemienie miało być bardzo twarde i płyn był potrzebny jako dodatkowa amortyzacja przy uderzeniu. Pruit zwlokła się z fotela i podniosła biokombinezon. Wiedziała, że bez niego nie przeżyje tego lądowania. Przyciągnęła strój do siebie, czując, jak z jej dłoni złuszcza się poparzona skóra.

Uniosła stopę i wcisnęła ją w nogawkę. Ból był oślepiający, ale biopędy już wrastały w jej ciało, by rozpocząć leczenie. Podniosła drugą nogę, ale zanim dokończyła ruch, potężna siła wyrwała ją z fotela.

Z potężnym szarpnięciem lądownik wszedł w ostatnią fazę lotu. Pruit spadała wraz z pojazdem ku ziemi. Poziom biofluidu sięgał już jej kolan. Wczepiła się w kombinezon i wcisnęła drugą nogę w nogawkę. Czuła, jak biopędy delikatnie wnikają jej w skórę, przynosząc natychmiastową ulgę w bólu. Wtem lądownik zaczął się kołysać. Hamownice nie działały tak, jak powinny, strzelając nierównym ciągiem i wprawiając pojazd w chaotyczny dygot. Pruit nie była w stanie utrzymać się w stałej pozycji, by dokończyć ubieranie się w kombinezon.

Poziom biofluidu minął jej talię i wspinał się już w górę torsu. Bez biokombinezonu nie mogłaby w nim oddychać. Zdołała jakoś wcisnąć lewą rękę w rękaw, ale wtedy silniejszy wstrząs wyrwał ją z fotela i cisnął na ścianę.

Biofluid sięgał jej szyi. Pływała w nim pod sufitem kabiny, rozpaczliwie wymachując prawą ręką w poszukiwaniu drugiego rękawa. Biofluid docierał do szczytu kuli, Pruit znosiło w stronę otworu cylindra, dyszącego na nią falami żaru. Nie mogła tam wpłynąć. Zaczerpnęła głęboki haust gorącego powietrza

i zanurkowała. Udało jej się uchwycić luźną stronę biokombinezonu. Ponad nią biofluid wypełniał cylinder. W kabinie nie było już ani odrobiny powietrza.

„Nie zginę tutaj! – krzyknęła w myśli. – Nie zginę! Znajdę pompę Eschlessa i wrócę do domu!”.

Poczuła końcowe uderzenie ciągu hamownic. Do przyziemienia zostało już tylko kilka chwil. Jej prawa ręka wciąż była poza rękawem. Jej głowa niezakryta. Nie mogła oddychać.

Uderzenie. Lądownik z impetem wyrżnął w ziemię i Pruit poczuła, jak fala nagłego udaru przepływa przez płyn wokół niej i przez nią samą. Ale hamownice zadziałały wystarczająco skutecznie, by ją ocalić. Poczuła przeszywający ból w lewej nodze i uświadomiła sobie, że uderzyła nią o krawędź pulpitu sterowniczego. Czuła w niej popękane kości. Unosiła się w biofluidzie. Jej płuca krzyczały o tlen.

Wczepiła się w koło włazu poniżej cylindra. Szarpnęła mocno, ale koło nie poruszyło się. Kłujący ból wypełniał jej piersi. Czuła, że za chwilę podda się i zaczerpnie tchu. Nawet jeśli równało się to pewnej śmierci, nie była w stanie już walczyć.

„Nie zginę tutaj!”.

Pociągnęła mocniej, zapierając się z całych sił, jakie tylko jej pozostały, i poczuła, że koło się poddaje. Rygle odskoczyły i klapa włazu powoli uchyliła się, otwierając wąską szczelinę, przez którą biofluid zaczął wypływać na zewnątrz. Pruit zaparła się o klapę prawym kolanem – jedynym ocalałym fragmentem jej nóg – i zmusiła ją do pełnego otwarcia. Biofluid chlusnął z wnętrza kabiny rwącym potokiem, porywając ją ze sobą. Poczuła kolejne uderzenie, kiedy jej ciało potoczyło się po ziemi. Przeszywały ją fale bólu, gorące i elektryczne. Piekące płuca łapczywie wciągały powietrze. Zdawało się, że nie ma nad nimi kontroli.

Biofluid wciąż lał się na nią z otwartego włazu i wciągała go do płuc razem z powietrzem. Zachłystując się i kaszląc, poczołgała się naprzód, poza zalewający ją strumień.

– Żyję… – stęknęła.

Jej dłonie zacisnęły się na trawie i ziemi, na której leżała. Potem jakby chmura przysłoniła jej świat i ogarnęła ją ciemność. Pruit

przybyła na Ziemię.

Rozdział 18

Chłopiec był wysoki, miał szerokie plecy i ciemnobrązową skórę. Jego twarz byłaby piękna, gdyby nie zniekształcał jej afektowany wyraz, w jaki wykręcała ją jego obecna profesja. Ubrany był w luźne spodnie, sięgające mu do pół łydki, oraz koszulkę bez rękawów odsłaniającą jego godne podziwu ramiona i bicepsy. Na piersi nosił mały złoty krzyżyk. Regularnie golił głowę i teraz pokrywała ją czarna, kilkumilimetrowa szczecina. Był chłopcem o klasycznej afrykańskiej urodzie, pięknym i trochę dzikim, ale nie urodził się w Afryce. Dorastał w ubóstwie w Paryżu, zaś do Kairu przyjechał przed trzema laty, kiedy skończył piętnaście lat.

Mechanik nie dostrzegał żadnej z tych rzeczy, kiedy podążał za chłopcem w górę wąskich schodów prowadzących w czeluści domu czynszowego w obskurnej, slumsowej dzielnicy Kairu. Nie obchodziło go, skąd pochodził, ani jak się tutaj znalazł. Wybrał go ze względu na jego młodość i muskularną budowę, nic więcej.

– Tędy – powiedział chłopak, gdy wyszli na maleńki podest schodów.

Poprowadził Mechanika niskim korytarzem cuchnącym uryną i zarzuconym odpadkami. Była noc. Oświetlenie nie działało, ale przez otwarte okno na dalekim końcu korytarza zaglądał do środka mdły poblask latarni. Budynek nie wyróżniał się niczym spośród innych na swojej ulicy – pięcio- lub sześciopiętrowych stert cegieł i odpadającego tynku, zawsze niedokończonych, ponieważ rząd nakładał podatek na właścicieli dopiero wtedy, gdy nieruchomość była w pełni wykończona. Z najwyższych pięter sterczały w górę końcówki prętów zbrojeniowych pośród lasu prowizorycznych anten telewizyjnych.

Zapachy ulicy i klatki schodowej przyprawiały Mechanika o mdłości.

– To nieważne. Wytrzymasz – mamrotał pod nosem. – To nie potrwa długo.

– Co pan powiedział? – spytał chłopiec, odwracając głowę i uśmiechając się filuternie.

Tłumaczenie jego słów nie nastąpiło od razu, ale Mechanik nie był zainteresowany ich treścią. Gniewnym gestem nakazał chłopcu iść dalej.

Chłopak zatrzymał się przy ostatnich drzwiach korytarza. Po chwili zabawy z kluczami otworzył je pchnięciem. Mechanik wszedł za nim do środka.

Chłopiec zajął się zapalaniem lamp sztormowych. W miarę jak zaczęły wypełniać pomieszczenie pełgającym pomarańczowym światłem, Mechanik ujrzał apartament złożony z kilku niewielkich pokoi oddzielonych od siebie wiszącymi zasłonami. Było tu czysto, a w każdym razie zdecydowanie czyściej niż w pozostałej części budynku. Podłogę zaścielały duże, miękkie poduszki oraz schludnie poskładane koce i chusty. W kącie stała ozdobna szisza, a na małym stoliku obok leżały starannie poukładane gumowate kostki haszyszu. Wzrok Mechanika prześliznął się po tym wszystkim, nie rejestrując szczegółów.

– Proszę usiąść – powiedział chłopiec, gestem wskazując poduszki.

Mechanik odczekał chwilę, aż translator przetłumaczy słowa i przekaże mu przekład do ucha. Przez trzy dni przemierzał ulice, przysłuchując się rozmowom, dając translatorowi dość materiału, by mógł nauczyć się miejscowej mowy. W mieście mówiono kilkoma językami, spośród których najczęściej używanymi były arabski i angielski. Translator już dość biegle posługiwał się oboma, jednak angielszczyzna chłopca była pod silnym wpływem jakiegoś innego języka i tłumaczenie następowało z niewielkim opóźnieniem.

Zrozumiawszy słowa chłopca, Mechanik usiadł, pozwalając, by jego plecak opadł na podłogę. Miał na sobie bawełnianą galabiję, luźną, białą szatę noszoną przez tubylców, oraz wierzchnią togę z grubej wełny, którą okrył się niczym peleryną. Jego szara cera nadawała mu chorobliwy wygląd. Usiadł w taki sposób, aby sztylet paraliżujący, który nosił przypięty do kostki, był łatwo dostępny. Pokrętło ustawił na zakres odporności człowieka.

Chłopiec wskazał szyszę i kostki haszyszu.

– Czy mogę zaproponować fajkę? – spytał.

Mechanik pokręcił głową. Chłopiec przywykł do skrępowania, jakie czasem okazywali jego klienci. Aby oszczędzić Mechanikowi kłopotu wykonania pierwszego kroku, uśmiechnął się i ściągnął koszulkę, a potem ukląkł przy nim. Musnął dłonią jego ramię.

– A więc na co miałbyś ochotę? – wyszeptał.

Bliskość chłopca napawała Mechanika odrazą. Jego ciało rozsiewało zapach jakiegoś olejku – zdecydowanie zbyt mocno uperfumowanego – który mieszał się z kwaśnym odorem potu.

Chłopiec delikatnie ujął dłoń Mechanika i złożył pocałunek na jej wewnętrznej stronie. Mechanik przymusił swoje usta do ułożenia się w uśmiech i położył dłoń na szyi swojego wybrańca. Chłopiec zamruczał z zadowoleniem. Wtedy Mechanik przeniósł ciężar ciała w tył, płynnym ruchem pozbawiając przewracając chłopca na plecy i przyciskając sobą do podłogi. Prawą ręką wyrwał paralizator z kabury na kostce i pstryknął włącznikiem.

Chłopiec był zdezorientowany. Jeszcze nie dostrzegł broni i nie był pewien, czy ma traktować atak jako część gry wstępnej, czy jako poważne zagrożenie. Wtedy Mechanik uniósł paralizator i czubkiem ostrza dotknął jego skóry tuż pod policzkiem. Na twarz leżącego wypłynął wyraz przerażenia, kiedy iskra bólu wbiła mu się w mózg. W następnej chwili strach zaczął roztapiać się w gniew, w miarę jak chłopiec uświadamiał sobie, że mógłby łatwo pokonać tego mężczyznę. Chciał unieść ręce, żeby zrzucić z siebie napastnika, ale ręce nie posłuchały rozkazu woli.

Czubek paralizatora odnalazł końcówki nerwów w żuchwie ofiary i zaczął przeciążać je słabymi sygnałami elektrycznymi, skierowanymi do ośrodkowego układu nerwowego i mózgu. Sygnały nakazywały ciału wyłączenie kontroli motorycznej, paraliżując je w coraz większym stopniu.

Ramiona i biodra chłopca podrygiwały, kiedy próbował nimi poruszyć, ale mięśnie odpowiadały coraz słabiej. W ciągu kilku chwil jego ciało ogarnął całkowity bezwład. Tylko oczy pozostały otwarte, wpatrzone w Mechanika, ale niezdolne utrzymać ostrości widzenia.

Mechanik wyrwał rękę spod chłopca i poderwał się na nogi. Serce biło mu szybciej i czuł zasilaną adrenaliną ostrość zmysłów. Nigdy nie radził sobie zbyt dobrze w fizycznej konfrontacji. Ileż to razy wybierał milczące cierpienie zamiast stawić czoła swoim oprawcom? Ale chłopiec był już obezwładniony, zatem najbardziej niebezpieczną część planu miał już za sobą. Schował paralizator do kabury i wygładził na sobie ubranie.

Spojrzał na chłopca, leżącego w nienaturalnej pozycji, z wykręconą nogą i jedną ręką wciśniętą pod plecy. Na widok jego bezradności Mechanik poczuł irytację i kopnął go w bok, w miękkie ciało pomiędzy biodrem a żebrami.

– Nie będziesz dotykał mnie w taki sposób – wysyczał z obrzydzeniem.

Wytarł lewą dłoń w togę, aby usunąć zapach chłopca ze skóry. Następnie usiadł na podłodze, krzyżując nogi, i wyjął z plecaka swoją starożytną apteczkę. Miał w niej kilka tuzinów buteleczek z lekami sprzed tysiącleci, jak również dwie nowe, wypełnione miksturą, którą przyrządził zaledwie tego ranka. Wydobył jedną z nowych fiolek i przelał jej zawartość do strzykawki.

Obejrzał się na chłopca, dokręcając do strzykawki długą igłę. Kiedy skończył, pomachał strzykawką, drocząc się z ofiarą.

– Mam tutaj twoją przyszłość – powiedział, wyciskając z mikstury bąbelki powietrza.

Mina leżącego, rzecz jasna, nie zmieniła się ani na jotę, ale Mechanik napawał się wyobrażeniem jego milczącego przerażenia.

Ukląkł na podłodze i zatopił igłę w jednej z tętnic w szyi chłopca. Powoli wtłoczył do niej całą zawartość strzykawki. Chłopiec nie poruszył się, nie mógł się poruszyć; pozbawionymi wyrazu oczami zdawał się wpatrywać w sufit. Ale Mechanik wiedział, że jego układ krwionośny właśnie w tej chwili rozprowadza miksturę po całym organizmie. Poprzez kapilary substancja zmierza do komórek mięśni i organów wewnętrznych, a kiedy tam dotrze, wywoła w nim ogromną żądzę – żądzę, którą tylko on, Mechanik, potrafi zaspokoić.

Wyciągnął igłę z szyi ofiary, wstał i cofnął się o krok. Działanie paralizatora miało wkrótce minąć i trudno było przewidzieć reakcję chłopca.

Po kilku minutach dłoń chłopca nieznacznie zadrgała. Powieki na jego ciemnych oczach opadły i rozchyliły się znowu. Wkrótce jego ręce i nogi zaczęły się poruszać. Ruchy były gwałtowne, niezborne, jakby ciało przypominało sobie, jak nad sobą panować. Nagle chłopiec wydał z siebie przeciągły jęk cierpienia, przetoczył się na brzuch i skulił w kłębek.

Kącik ust Mechanika nieznacznie zadrgał.

„Pierwsza faza uzależnienia – pomyślał. – Ciało odczuwa brak".

Chłopiec zaczął się wić, łapiąc się za brzuch, za ręce, za stopy, za głowę.

– Dobry Boże! – zapłakał po francusku, zaciskając zęby na własnej dłoni, aby powstrzymać się od krzyku. – Dobry Boże!

Odwrócił głowę, by spojrzeć na Mechanika.

– Co ty mi zrobiłeś?! – ryknął.

– Zaraziłem cię czymś w rodzaju choroby – odpowiedział Mechanik, trzymając się w bezpiecznej odległości od ofiary z paralizatorem gotowym do użycia.

– Ale dlaczego? – jęknął młodzieniec. – Dlaczego…

– Bo chcę, żebyś mi pomógł.

Chłopiec skręcił się w kolejnej bolesnej konwulsji. Po chwili zdołał dźwignąć się na ręce i kolana. Chciał skoczyć, powalić Mechanika, ale szybko odkrył, że nie jest w stanie tego zrobić. Mięśnie nie chciały go słuchać, obolałe, słabe, wycieńczone.

– Co ty mi zrobiłeś? – zawył, padając na bok.

Jego ręce same powędrowały na brzuch i zacisnęły się na nim. Chłopiec znów zwinął się w kłębek i targnął nim gwałtowny skurcz odruchu wymiotnego. Ale żołądek miał pusty. Z ust wyrwał mu się niski jęk.

Po kilku chwilach Mechanik odezwał się spokojnym tonem.

– Mam lekarstwo na to, co teraz czujesz. Mogę cię uleczyć.

Pomimo bólu chłopiec odwrócił się, skupiając całą uwagę na Mechaniku. Dopiero teraz zauważył, że ten przemawiał przez dziwaczne urządzenie wiszące mu przy żuchwie. Na ulicy było zbyt ciemno, by mógł wyraźnie widzieć jego twarz.

– Jak się nazywasz? – spytał Mechanik.

– Jean-Claude – wyrwało się spomiędzy zaciśniętych zębów.

– Jean-Claude – powtórzył Mechanik z namysłem, przeżuwając słowa. – Teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie, Jean-Claude.

Ukląkł przed chłopcem i czubkiem wyłączonego paralizatora delikatnie nacisnął mu podbródek, zmuszając go do uniesienia głowy i spojrzenia na swojego oprawcę. Drugą ręką podstawił mu pod nos pełną buteleczkę.

– W tej fiolce mam antidotum na łaknienie, jakie odczuwa twoje ciało. Mam dokładnie to, czego ono pragnie. – Potrząsnął fiolką przed oczami chłopca. – Wystarczy na jedną dawkę. Kiedy ci to podam, poczujesz się o wiele lepiej. Całkiem możliwe, że lepiej, niż czułeś się kiedykolwiek w życiu. Ale nie na długo. Zanim upłynie jedna doba, pragnienie powróci, równie silne, być może nawet silniejsze. Tylko ja potrafię przygotować kolejną dawkę antidotum. Jeżeli zaszkodzisz mi w jakikolwiek sposób, nigdy nie dostaniesz tej dawki. Czy mnie zrozumiałeś?

Jean-Claude wpatrywał się w Mechanika wzrokiem, w którym płonął ból.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chcę twojej pomocy. Twojej służby.

Chłopiec wskazał gestem swoje ciało.

– Możesz ze mną zrobić, co tylko chcesz. Byłbym twój tak czy owak.

Mechanik gniewnie szarpnął go za podbródek.

– Nie chcę twojego ciała, szczurze ściekowy! Będziesz mnie chronił. Będziesz pilnował, abym zawsze i wszędzie był bezpieczny, ponieważ jeśli cokolwiek mi się stanie, umrzesz długą i wprost niewyobrażalnie bolesną śmiercią. To, co czujesz teraz, to zaledwie drobna cząstka cierpień, jakie przyjdą z czasem. Zrozumiałeś mnie?!

Chłopiec nie zrozumiał. Nie w pełni, ale pragnął tego, co było w tej fiolce. Łaknął tego każdym włóknem swojego ciała.

– Powiedz, że zrozumiałeś – warknął Mechanik.

– Zrozumiałem – odpowiedział chłopak.

– Dobrze. Więc teraz połóż się na wznak i postaraj się nie ruszać.

Jean-Claude spełnił polecenie. Mechanik przelał zawartość fiolki do strzykawki i wbił igłę w szyję chłopca, omal nie chybiając arterii w podrygującym ciele.

Mikstura wlewała się do żył Jeana-Claude'a, niosąc natychmiastową ulgę. Czuł się tak, jakby całym sobą rozpaczliwie łaknął wody i nagle zalała go rzeka. Nie rzeka – górski potok, toczący krystaliczne wody pierwszych roztopów. Substancja tak czysta, tak doskonała, że wszystkie komórki jego ciała krzyczały z ulgi. A kiedy ulga sięgnęła pełni, zaśpiewały chórem w ekstazie. W ciągu kilku chwil zastrzyk wykatapultował go z otchłani bólu do świata fizycznej euforii. Czuł, jak jego ciało napełnia się energią.

Spojrzał na Mechanika, który stał nad nim z paralizatorem w gotowości.

– Bardzo dobrze… – wyszeptał Jean-Claude.

I rzeczywiście tak było.

Mechanik uśmiechnął się. Właśnie zdobył swojego pierwszego niewolnika. Ten będzie jego strażnikiem, jego mięśniami. Potrzebny będzie jeszcze jeden. Ktoś biegły w zawiłościach politycznych tego świata. Ktoś, kto poprowadzi go przez czekające ich negocjacje.

Trzy dni później Nate Douglas, młody pracownik konsularny ambasady amerykańskiej w Kairze, siedział w pokoju Jeana-Claude'a z rękami związanymi za plecami, wytrzeszczając oczy na Mechanika. Jean-Claude czekał cierpliwie za swym panem, obserwując jego poczynania nieobecnym wzrokiem.

– Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Chiny… – wymieniał Nate, wykręcając dłonie w pętach, wstrząsany drobnymi spazmami, nad którymi nie był w stanie zapanować. – Którekolwiek z większych państw uprzemysłowionych.

– Takich jak…? – Mechanik uniósł brwi pytająco.

– Jest ich dość dużo!

Nate przypatrywał się swojemu oprawcy. Mężczyzna był ubrany w miejscowym stylu, ale nie wyglądał na tubylca. Jego skóra miała odcień, jaki Nate widział pierwszy raz w życiu. Jej jasność przywodziła na myśl albinosa, choć była szara, nie biała. Człowiek ten mówił do Nate'a przez jakiś rodzaj elektronicznego tłumacza zawieszonego przy jego żuchwie. Amerykanin jeszcze nigdy nie spotkał się z taką techniką.

Zadawał pytania prowadzące do oczywistych odpowiedzi; pytania, które sugerowały jego całkowitą nieznajomość politycznej struktury świata; pytania, jakie mógłby zadać… przybysz?

Nate'owi coraz trudniej było podążać za tokiem własnych myśli. Jego ciało wykręcały bolesne spazmy, które pochłaniały większą część jego uwagi.

Wiedział, że popełnia błąd, idąc za tym chłopakiem do jego pokoju. Znał łatwiejsze i bezpieczniejsze sposoby na zaspokajanie swoich skrytych pragnień, ale kiedy ujrzał Jeana-Claude'a stojącego na rogu ulicy, pozwolił się porwać nagłej żądzy przygody. Chłopiec wyglądał pięknie i Nate uległ pokusie. Zwykle starał się ograniczać liczbę i częstość swoich homoseksualnych miłostek, ale nie zawsze potrafił się pohamować. I oto znalazł się tutaj jako więzień człowieka, z którego interesami Nate nie chciał mieć nic wspólnego.

– Zapiszesz mi nazwy – powiedział Mechanik.

– Oczywiście… Jasne, wszystko zapiszę… Czy mogę dostać trochę wody?

– Jeszcze nie – odpowiedział Mechanik tonem nieskończonej cierpliwości. – Jakie jeszcze państwa?

– Japonia, Rosja być może… Ale one mają dość problemów wewnętrznych i nie wiem, czy rząd byłby szczególnie zainteresowany. Mogliby kupić cokolwiek masz tam do sprzedania, ale prawdopodobnie zaraz odsprzedaliby to komuś innemu.

– Od czego zależałby sukces sprzedaży planów danemu państwu? – spytał Mechanik.

Nate westchnął, wykręcając spętane ręce.

– Od kilku czynników. Rzecz jasna, kupiec będzie chciał sprawdzić, czy ta technika działa. To przede wszystkim. Poza tym, rząd będzie chciał mieć pewność, że dostanie coś, czego nie mają inni. Jeżeli zainteresowanych będzie kilka krajów, wartość towaru wzrośnie, jak przy wszelkich targach… Odrobinę wody, błagam!

Słowa wyrwały mu się niemal bez udziału woli. Paliło go gardło. Konwulsyjnie przełknął ślinę.

– Nie, jeszcze nie teraz.

Nate zamknął oczy. Ogarnęła go fala mdłości i bólu. Powiedziałby temu człowiekowi wszystko, co wiedział. Wszystko, byle go

rozwiązał i dał szklankę wody.

– Oczywiście musisz być ostrożny – powiedział. – Jeżeli ujawnisz, czym jest ta technika, zawsze jest ryzyko, że będą w stanie odtworzyć ją bez twojej pomocy.

– W tym wypadku ten problem nie istnieje – oznajmił Mechanik. – Nawet jeśli dowiedzą się o istnieniu tej techniki, minie kilka wieków, zanim zbudują coś podobnego, jeśli w ogóle coś zbudują.

Nate'owi zamarło serce. Ta rewelacja powinna go była zaintrygować, ale on mógł myśleć tylko o tym, w jak wielkie wpakował się kłopoty. Ten człowiek był wielką niewiadomą. Być może nawet nie pochodził z Ziemi. Czy to możliwe? Czy mógł być Obcym? Jeszcze wczoraj, jeszcze godzinę temu Nate roześmiałby się na taką sugestię, ale teraz… Translator przy żuchwie, szara skóra, zastrzyk – jeszcze nigdy nie spotkał się z żadną z tych rzeczy. A on dał się schwytać w sidła tej istoty.

Wypchnął to wszystko z umysłu. Liczyła się tylko ta rozmowa. Musi przekonać tego mężczyznę o swojej użyteczności, a wtedy być może dostanie coś do picia.

– Czy powiesz mi, co to za technika? – spytał. – Dlaczego jest taka cenna? Być może będę mógł pomóc w opracowaniu strategii.

Mechanik napełniał strzykawkę.

– Wkrótce ci powiem – odpowiedział, pochylając się z igłą.

Nate zaczął się szarpać.

– Co to jest?! Proszę, nie…

– Jean-Claude! – zawołał Mechanik.

Jean-Claude przystąpił do Nate'a i muskularnymi ramionami przytrzymał go na miejscu. Gdzieś w głębokim zakątku swojego umysłu Jean-Claude być może odczuwał grozę tego, co robi. Pomagał Mechanikowi zdobyć kolejnego niewolnika. Ale dopóki trwał w cudownym uścisku antidotum, nie zamierzał pozwolić nękać się takim myślom.

– Nie! – wrzasnął Nate, kiedy igła wniknęła w jego szyję.

Próbował kopnąć Mechanika, ale nogi już odmawiały mu posłuszeństwa. Ból był ogromny i rósł coraz bardziej. Energia wyciekała mu z mięśni, a na jej miejsce wkradało się wielkie pragnienie.

Rozdział 19

Adaiz-Ari pochylił się nad strumieniem i zaczerpnął wody w złożone dłonie. Patrzył na odbicie własnej twarzy, miedzianej skóry i rudawych włosów. Odkąd obciął warkoczyki, całą głowę pokrywała mu krótko przystrzyżona szczecina. Zmoczył ją, a potem znów nabrał wody i zmoczył głowę jeszcze raz. Przeciągnął mokrymi dłońmi po twarzy i wstał.

Miał nagi tors, a ubrany był w luźne spodnie zawiązane w pasie. Na stopach miał proste sandały na piankowo-gumowych podeszwach. Był to zwyczajny strój luceńskiego cywila. Obok niego leżał obszerny burnus z kapturem, którego używał jako okrycia wierzchniego. Jego ciało dopiero zaczynało regenerować się po trudach podróży.

Urządzili sobie krótki popas w płytkim zagłębieniu pomiędzy niskimi wzgórzami. Rosły tu z rzadka rozsiane drzewa i trawa, na której pasły się antylopy. Z koron drzew dobiegał nieustający zgiełk czyniony przez tuziny niedużych, ruchliwych małpek.

Enon-Amet także klęczał w strumieniu. Srebrnymi rękami uniósł porcję wody i polał sobie nią głowę. W tej samej chwili jego głowa wraz z szyją błyskawicznym ruchem obróciła się tam i z powrotem, sprawiając, że woda rozpłynęła się we wszystkich kierunkach. Ten ruch skojarzył się Adaizowi z ptakiem. Zazdrościł Enonowi płynności ruchów.

Enon przeciągnął swoje długie ramiona i dźwignął się z wody, delektując się dotykiem słońca na nagiej piersi. Jego skóra odzyskała już część srebrzystego połysku i nie opinała już tak ciasno wachlarzowatej kostnej tarczy, rozpościerającej się od jego bioder do ramion, która czyniła go – jak każdego Lucena – trudnym do zranienia. Tarczę wieńczył wysoki obojczyk, wystający na kilka cali w górę charakterystycznym szerokim półkręgiem. Lucen mógł złożyć głowę wzdłuż jednego z ramion, chroniąc ją za osłoną tego kostnego kołnierza.

Od chwili lądowania na Ziemi Enon nosił długą szatę z kapturem, aby zakryć swoją pozaziemską formę przed niepożądanymi oczami. Jednak w tej chwili osłaniały ich wzgórza i mógł bezpiecznie powygrzewać się na słońcu bez odzienia. Zresztą jak dotąd nie spotkali jeszcze żadnych ludzi.

– Masz – powiedział Adaiz do brata, podając mu manierkę z wodą, którą odkaził, aby nadawała się do picia. Manierka miała dziobek pasujący do ust Lucena.

Enon uniósł manierkę i pociągnął kilka długich łyków.

– Ale dobre – sapnął. – Już prawie zapomniałem, jaką różnicę robi świeżość.

– Lepsza niż najświeższa woda z Galei – powiedział Adaiz. – A może to tylko moje ludzkie kubki smakowe.

– Nie, jest naprawdę wspaniała.

Między sobą rozmawiali w avani, ale Adaiz przygotował się do tego etapu ich misji, ucząc się angielskiego, najpowszechniejszego z ziemskich języków. Nabrał w nim biegłości jeszcze na statku podczas wielomiesięcznego orbitowania wokół Saturna i obserwowania statku Pruit, krążącego wokół Jowisza. Jakże łatwą wydała mu się ludzka mowa po całym życiu porozumiewania się w języku przeznaczonym dla zupełnie innych ust! Jego luceński brat nauczył się kilku podstawowych angielskich zwrotów, ale ich wymowa sprawiała Enonowi dużą trudność.

Gdzieś w pobliżu zaskrzeczała małpa, wybijając się głosem ponad kakofoniczny zgiełk swojego stada. Adaiz i Enon odwrócili się, by popatrzeć, jak śmiga między drzewami, wygłaszając swoją nieskładną diatrybę. Enon poruszył rogami w luceńskim odpowiedniku uśmiechu. Fauna występowała tutaj w fascynującej obfitości.

Luceni nie narzekali na nadmiar zwierząt w aktualnej inkarnacji ich społeczeństwa. Pozostała im zaledwie garstka oswojonych gatunków hodowanych jako zwierzęta domowe oraz, rzecz jasna, ryby w ich basenach. Ale nie zawsze tak było. W starożytnych czasach, kiedy Luceni wciąż żyli na swojej ojczystej planecie Eimizie, mieli oceany, lasy i dzikie zwierzęta, a ich samych liczono w miliardach.

Ale potem przyszedł Pomór, pradawna wojna z ludźmi. Choć to Luceni obrzucili Kinlai bombami i rzeczywiście uderzyli pierwsi, ludzie nie odpowiedzieli tym samym. W zamian opracowali broń biologiczną, przed którą Luceni nie mogli się obronić. Zesłali na Eimizę chorobę, która w ciągu zaledwie tygodni zabiła każdą kobietę, mężczyznę i dziecko na planecie. Nikt nie przeżył. Tylko garstka kolonistów mieszkających na planetoidach zdołała ujść śmierci, zaś Kinlai od tamtej pory nazywano Trucicielami.

Ale Adaiz nie zagłębiał się w myśli o tamtych czasach. Jego zadanie czekało tu i teraz, a wykonane miało sprawić, że podobna zagłada nie zdarzy się już nigdy więcej.

– Starszy bracie, może zrobimy sobie Otwarcie? – spytał Adaiz.

– Tak – odrzekł Enon, przechylając głowę na bok w geście zgody. – Naszym umysłom przyda się trochę odprężenia. Będą łatwiej chłonąć to nowe środowisko.

Usiedli naprzeciwko siebie, krzyżując nogi przed sobą. Zaczęli od trzech głębokich wdechów. Chodź Adaiz był młodszym z rodzeństwa, prześcignął Enona w sztuce rozumienia i stosowania zasad Katalla-Oman Enon respektował to i zawsze oddawał mu pierwszeństwo w kwestiach dotyczących medytacji. Rozpoczynając oddychanie, szedł za przykładem brata. Po pierwszym wydechu pozwolili swoim oczom pływać ze zamkniętymi powiekami.

– Pierwsza jest świadomość ciała – powiedział Adaiz miękkim tonem.

Rozluźnili się, sięgając świadomością w głąb własnych ciał. Powoli, w miarę jak Adaiz stawał się świadomy swoich mięśni, te wyzwalały ukrytą w nich energię i przechodziły w stan spoczynku. Wyczuwał narządy w swoim wnętrzu i okrywającą go skórę. Czuł całe swoje ciało.

– Jestem jego świadomy – wyszeptał Enon, powtarzając myśl zrodzoną w umyśle Adaiza.

– Bardzo dobrze. Druga jest świadomość otoczenia – zaintonował cicho Adaiz.

Pozwolił, by jego świadomość przeniknęła przez skórę i wypłynęła z ciała. Percypował trawę pod sobą i czuł powiew wiatru na czole. Pobyt na otwartej przestrzeni planety był dlań

oszałamiającym doświadczeniem. Błękit nieba zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a horyzont jawił mu się wprost niemożliwie odległy.

Adaiz sięgnął po umysł Enona. Kiedy go dotknął, zamiast wyciszenia i spokoju odnalazł rojowisko myśli kłębiących się w głowie brata.

– Starszy bracie – powiedział łagodnie Adaiz – twój umysł jest głośny.

– Tak – szepnął Enon. – Masz rację. Jest mi trudno dzisiaj w tym nowym miejscu.

– Mnie także. Spróbujemy jeszcze raz?

– Tak.

Adaiz rozpoczął rytuał od początku i tym razem, gdy rozciągnął swoją świadomość, poczuł, jak jego umysł płynie przez ostatnie godziny ich podróży. Wylądowali na Ziemi poprzedniej nocy. Ukrywszy statek w mglistym, bujnym lesie w górach na północy, ruszyli na południe, by w końcu wyjść z lasu i zagłębić się między łagodne wzgórza na granicy rozległej sawanny. Adaiz odkrył, że tyleż lęka się, co tęskni za pierwszym spotkaniem z ziemskimi ludźmi, choć tego drugiego uczucia nie rozumiał. Ostatecznie był Lucenem i nie miał żadnego powodu, by czuć cokolwiek szczególnego do wobec obcych istot, które uczyniły ten świat swoim domem.

Adaiz skarcił się w duchu. Jego własny umysł robił się głośny. Porzucił te rozważania i skupił się w zamian na percepcji otaczającego go świata. Jego ciało siedziało na trawie, twarz owiewał wiatr, w powietrzu unosiły się zapachy wody, zwierząt i roślin. Powoli poznawał te rzeczy, poczuł je, stał się nimi.

Dziesięć minut później, kiedy wynurzyli się z medytacji i odzyskali świadomość własnych ciał, Adaiz czuł się silny i wypoczęty. Znowu panował nad swoim umysłem.

Następnego dnia tuż przed świtem wyszli na długie, niskie wzniesienie i ujrzeli – usadowiony na polanie pomiędzy zaroślami i drzewami – cel swoich poszukiwań. Enon, obdarzony cokolwiek bystrzejszym wzrokiem niż Adaiz, dostrzegł go pierwszy. Niebo wciąż było ciemne. Tylko na wschodzie zaczęło się trochę

rozjaśniać, ale kiedy Adaiz zmrużył oczy, zobaczył to także: lądownik Trucicieli; ciemnobrązowy kształt, zbyt regularny, aby mógł należeć do tej dzikiej krainy.

Ruszyli w stronę miejsca lądowania pod szybko jaśniejącym niebem. Pół godziny później dotarli do statku na polanie. Z bliska Adaiz ujrzał, że było to bardzo twarde lądowanie. Zamiast łagodnie opaść na ciągu hamownic, pojazd musiał przyziemić zbyt szybko i pod niewłaściwym kątem. Ciągnęła się za nim linia kilku długich bruzd, gdzie przeorał się przez roślinność, zaś dolna, kulista część pojazdu wryła się na trzy stopy w ziemię. Górna cylindryczna połowa sterczała w górę pod ostrym kątem.

Porozumiawszy się gestami, obaj naciągnęli kaptury i upewnili się, że ich broń jest gotowa do użycia. Adaiz ruszył pierwszy. Kiedy się zbliżył, w nozdrza uderzył go zapach statku – mdlący, chemiczny swąd spalenizny, który, jak zgadywał, musiał dobywać się z układu napędowego. Choć od lądowania minęły trzy dni, odór wciąż był gryzący i silny.

Dotarłszy do lądownika, rozejrzał się wokół. Nie zobaczył nikogo. Dotknął poszycia kuli i poczuł, że jest sprężyste i ciepławe, niemal jak… żywe. Luceni zdawali sobie sprawę, że technika Trucicieli bazowała głównie na materiałach i technologii biologicznej. Wyglądało na to, że biotechnika sięgnęła nawet zewnętrznych powłok ich statków kosmicznych. Przy górnym walcu, gdzie ewidentnie doszło do eksplozji, nadpalone poszycie było poszarpane i pokryte strupami niczym prawdziwa skóra. W wielu miejscach widać było ślady rozpoczętych prób regeneracji.

Adaiz odnalazł właz, który stał otworem, i dał znać Enonowi, że zamierza zajrzeć do środka. Enon przechylił głowę w geście przyzwolenia.

Adaiz zajrzał do kabiny. W jej wnętrzu wszystkie wskaźniki były martwe, a powietrze gorące – zbyt gorące, by człowiek mógł wytrzymać tam długo. W środku nikogo nie było. Adaiz podciągnął się do środka i zajrzał w głąb cylindra, gdzie było jeszcze goręcej. Szybko wrócił do włazu i wyskoczył na zewnątrz, czując, że już się poci.

Pasażera odnalazł po drugiej stronie, leżącego tuż przy statku w cieniu jego tylnej części sterczącej pod kątem trzydziestu stopni względem ziemi. W świetle poranka nie mógł dostrzec żadnych szczegółów. Wiedział tylko tyle, że patrzy na człowieka.

– Chodź – skinął na brata.

Enon zbliżył się i razem pochylili się nad skuloną postacią.

– Żyje? – spytał Enon.

– Nie wiem – odpowiedział Adaiz.

Zdjął z pleców płaszcz i w samych spodniach opadł na ręce i kolana. Podpełzł do człowieka, czując na skórze gorąco emanujące ze statku. Rozbitek leżał plecami do niego, przytulony brzuchem do poszycia statku. Nie poruszał się. Wydawał się ciężko ranny i był zamotany w kombinezon z czerwonej tkaniny. Adaiz ostrożnie pociągnął go za koszulkę, odwracając nieprzytomnego na plecy.

W jego kształtach było coś osobliwego, ale człowiek wciąż leżał w cieniu i trudno było określić, co to takiego. Wydawał się dość drobnej budowy.

– Oddycha – powiedział cicho Adaiz.

Pierś człowieka poruszała się, ale tylko nieznacznie. Adaiz przyłożył mu dłoń do szyi i wyczuł słaby puls. Leżący miał chłodną i wilgotną skórę, jakby przebył gorączkę i teraz jego ciało pracowało przy obniżonej temperaturze.

Czerwony kombinezon był naciągnięty na nogi rozbitka i górną połową wtłoczony pod jego ciało. Adaiz złapał za ubiór i wywlókł leżącego w błękitne światło poranka.

Teraz zobaczył go wyraźnie i w nagłym błysku zrozumienia uświadomił sobie, że patrzy na kobietę. Odkrycie to, nie wiadomo czemu, wstrząsnęło nim. To była dziewczyna. Nie on, ale ona. Ona.

– To jest kobieta – powiedział Adaiz powoli.

– Ciekawe. Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety.

– Ja też nie.

I rzeczywiście, była to pierwsza kobieta rasy ludzkiej, jaką Adaiz spotkał osobiście. Nieliczni ludzie klonowani przez Lucenów byli mężczyznami, ponieważ ci byli nieznacznie mniej podatni na infekcje i choroby, zaś Luceni nie mieli zamiaru hodować obu płci. Adaiz widywał kobiety w książkach o anatomii, ale nigdy

bezpośrednio. Patrząc na Pruit, natychmiast dostrzegł różnice w wyglądzie, jakich nie domyślał się, patrząc na ilustracje w książkach. Cerę miała podobną do jego własnej, ale jej ciało było szczuplejsze, bardziej zaokrąglone, delikatniejsze.

Przesunął spojrzeniem po jej rękach i nogach. Kostki miała skryte w nogawkach kombinezonu, ale powyżej, tam gdzie ciało było odkryte, jej skórę pokrywały pęcherze i czarne smugi sadzy. Ręce także miała fioletowe od poparzeń. Jedna noga wydawała się złamana w kostce.

– Na serce Omaniego – szepnął Adaiz. – To było twarde lądowanie.

Enon oglądał dziewczynę razem z nim, ale jego luceńskie oczy nie były w stanie tak łatwo ocenić rozległości jej obrażeń.

– Myślisz, że z tego wyjdzie? – spytał.

Adaiz ukląkł i przyjrzał się czerwonemu kombinezonowi. Materiał był mocny, utkany z bardzo ciasno splecionych włókien. Był gruby i ciężki. Adaiz czuł pod palcami ukryte w nim nieznane mechanizmy.

– Nie znam się na ludzkiej fizjologii na tyle, by móc ci odpowiedzieć – powiedział. – Ale wydaje mi się, że ten strój jest przeznaczony do leczenia ran. Spróbuję umieścić ją w nim jak należy.

– Najpierw ją oznacz.

Adaiz przytaknął przechyleniem głowy. Oznaczenie było konieczne, ponieważ zamierzali podążyć za tą kobietą, jeśli wyzdrowieje, by odnaleźć informacje, po które przylecieli. Wyjął mały marker ze swojej torby i ostrożnie obrócił Pruit na bok. Podciągnął jej koszulkę i przesunął palcami po jej kręgosłupie. Różnił się – jak zauważył – od jego własnego. Łuk był silniej zaznaczony, a jej talia zakrzywiała się zgrabnie ku linii kręgów. Adaizowi przyszło do głowy, że dziewczyna ma ładniejszą sylwetkę niż on.

Przytknął końcówkę markera na środku jej pleców i potrząsnął nim. Poczuł, jak maleńki metalowy wszczep wewnątrz końcówki uwalnia się i wślizguje dziewczynie pod skórę. Następnie obejrzał jej

plecy. Marker pozostawił tylko maleńki wzgórek przy jednym z kręgów, niemal niezauważalny.

– Wolałbym dwa, na wszelki wypadek.

– Rozsądna decyzja – odpowiedział Enon.

Adaiz oznaczył dziewczynę jeszcze raz, nieco niżej. Tym razem udało mu się ulokować wszczep lepiej. Gdyby nie znał miejsca, w którym go umieścił, nigdy nie zdołałby go znaleźć.

– Podczas gdy będziesz się nią zajmował, chciałbym obejrzeć statek – oznajmił Enon.

Adaiz dostrzegał, że dziewczyna nie budzi w jego bracie większego zainteresowania.

– W porządku – odpowiedział.

Enon oddalił się, pozostawiając brata przy nieprzytomnej dziewczynie. Adaiz jeszcze raz ułożył ją na wznak, usiadł obok i przez kilka chwil przyglądał się jej w zadumie. Jej twarz, choć oszpecona sińcami, dziwnie go intrygowała. Była smuklejsza od jego własnej i miała łagodniejsze rysy. Była też – jak pomyślał – przyjemniejsza dla oka.

Uświadomił sobie, że bardzo pragnie dotknąć dziewczyny, przesunąć dłońmi po jej ciele. Choćby teraz – poczuł, że jego ręka sama wędruje ku niej. Było coś szczególnego w dzielących ich różnicach. Coś, co sprawiało, że pragnął wypełnić tę lukę i być blisko niej.

Powstrzymał się i jął zgłębiać swoje uczucia. Były popędami jego ciała, jak szybko zrozumiał.

„Czy właśnie tak czują się ludzie?" – pomyślał.

Nie podobało mu się odczucie bycia na łasce własnej fizyczności.

Skierował swoją uwagę na wyznaczone sobie zadanie. Dziewczyna była ciężko ranna i bez jego pomocy umarłaby. Zajął się rozplątywaniem fałd kombinezonu i układaniem go płasko pod jej plecami. Kiedy to robił, otarł się torsem o jej piersi i zaskoczyło go elektryczne wrażenie, jakie ten dotyk wywołał w jego ciele. Spojrzał w dół, na rysujące się pod koszulką wzgórki. Wcześniej wydawały mu się nieporęcznym dodatkiem, ale teraz, kiedy oglądał je z bliska, musiał przyznać, że stanowiły znakomite dopełnienie kobiecej postaci. Delikatnie podciągnął koszulkę i przyjrzał im się uważniej.

Każda miała wielkość owocu, mogącego skryć się w całości w miseczce jego dłoni. Miedziana skóra dziewczyny była jaśniejsza pod koszulką i piersi miały jasnobrązowy kolor. Sutki były znacznie ciemniejsze, czerwonawobrązowe. Wydały mu się piękne.

Potrzeba dotykania jej – nie dotykania, uświadomił sobie, ale pieszczenia – była wielka i nie mógł jej uzasadnić wyłącznie zawodową ciekawością. Ta myśl sprawiła, że wzdrygnął się i odsunął. Dorastając bez kontaktu z ludzkimi kobietami, Adaiz szczycił się swoją niewrażliwością na popędy ciała. Zawsze czuł się lepszym od swoich luceńskich przyjaciół, którzy zdawali się tracić zdolność do pełnej samokontroli, kiedy tylko w pobliżu znalazła się piękna koleżanka. Nie, nie podda się fizycznej żądzy. Adaiz zaczerpnął powietrza i wyciszył umysł.

Słońce wychodziło zza horyzontu i powietrze zaczynało się już ogrzewać. Adaiz obciągnął dół koszulki Pruit, aby ją zakryć, po czym wsunął jej ręce w rękawy kombinezonu.

Zafascynowany patrzył, jak biopędy stroju wyrastają z tkaniny, szukając ciała dziewczyny. Nauka Trucicieli była doprawdy imponująca. Pomyślał, że po powrocie do domu zawnioskuje, aby Luceni przeznaczyli więcej środków na jej badanie.

Złapał tasiemkę zamka – która zwisała Pruit u biodra – i pociągnął w stronę szyi, zapinając kombinezon. Przy samej górze zatrzymał się. Wewnątrz ubioru, na wysokości piersi był jakiś napis. Przyjrzał mu się. Było to jej imię, napisane w soulene, nowożytnym języku Trucicieli, w którym Adaiz potrafił zarówno czytać, jak i mówić.

– Prru-jit – wypróbował wymowę. – Pruit.

Jej imię. Zasunął zamek do końca i odkrył, że straciwszy jej ciało z oczu, poczuł ulgę.

Tylko jej twarz pozostała odsłonięta. Adaiz ostrożnie uniósł głowę dziewczyny i wydobył spod niej kaptur.

– Pruit – szepnął jeszcze raz, nie wiedząc, dlaczego to imię tak go intryguje.

Na dźwięk jego głosu powieki Pruit drgnęły. Adaiz znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w jej twarz. Powieki drgnęły znowu,

a potem, powoli, rozchyliły się. Błękitne, ludzkie oczy wpatrywały się w niebo.

Czekał, aż powróci jej świadomość. Jej głowa obróciła się nieznacznie. Adaizowi mocniej zabiło serce, kiedy uświadomił sobie, że dziewczyna patrzy na niego. Jej oczy skupiły się na nim. Usta poruszyły się, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Powieki opadły. Adaiz odczekał chwilę, a potem jeszcze raz sięgnął do kaptura. Zanim zdążył go dotknąć, Pruit znów otworzyła oczy.

– Kim jesteś? – spytała głosem ochrypłym z pragnienia i bólu.

Nim Adaiz zdążył postanowić, czy powinien udzielić odpowiedzi, jej oczy zamknęły się znowu. Tym razem na dobre. Wycieńczenie wzięło nad nią górę.

Adaiz zapiął kaptur na jej twarzy. Była teraz całkowicie zamknięta we wnętrzu biokombinezonu, który natychmiast przełączył się w tryb aktywności. Adaiz patrzył na delikatne poruszenia pod tkaniną. Strój rozpoczął regenerację jej ciała. Zaopiekuje się nią.

Obejrzał się. Enon był we wnętrzu lądownika, badając przyrządy sterownicze. Adaiz nie czuł potrzeby dołączenia do niego.

Ona. Ona. Ona przemówiła do niego. Patrzyła na niego. Widziała go.

Jego ciało, zupełnie nieproszone, rozśpiewało się tysiącem uczuć. „Ona!”.

Jego umysł był głośny.

Przez chmury bólu i nieświadomości Pruit ujrzała twarz pochylającego się nad nią młodego Kinlai. Poznała, że jest Kinlai po kolorze skóry i rysach twarzy, ale za nim rozpościerała się ogromna kopuła błękitu. Była przytomna tylko przez chwilę, po czym powieki opadły jej znowu, ale tym razem nie osunęła się w udrękę konania. Opatulał ją biokombinezon i wydało się jej, że płynie unoszona falą jego troskliwości. Biopędy wniknęły w jej ciało i przejęły kontrolę nad funkcjami fizjologicznymi.

W podłużnych komorach między warstwami tkaniny był biofluid i wszystko, czego jej ciało potrzebowało do regeneracji. Jej stan był na tyle poważny, żeby mocno nadszarpnąć zasoby biokombinezonu, ale ten i tak znajdzie sposób, by ją uzdrowić.

Rozdział 20

Eddie stał przy jedynym publicznym telefonie – i zapewne jednym z tutaj nielicznych telefonów jakiegokolwiek rodzaju – w miasteczku Dahszur, siedem mil od wykopalisk. Dahszur leżało opodal granicy żyznej ziemi i pustyni przebiegającej wyraźną linią w miejscu, gdzie kończyła się zielona roślinność, a zaczynał piasek. Wąski kanał odchodzący od Nilu płynął równolegle do głównej ulicy, będącej w istocie szeroką ścieżką z kamieni i ziemi, ubitą do niemal betonowej twardości przez niezliczone pokolenia stóp. Nad kanałem rosły palmy daktylowe wznoszące się ponad chatkami z suszonej cegły i małymi poletkami, które uprawiali ciemnoskórzy ludzie prowadzący osły.

Telefon stał w pobliżu małej restauracji serwującej gołębia, świeżą pitę i marynowane jarzyny. Rozstawione wzdłuż ulicy stragany oferowały świeże warzywa. Kilka osłów ciągnących wózki z pomidorami przemaszerowało obok Eddiego, który wygarnął z kieszeni pokaźny stos monet, przygotowując się do rozmowy. Na brzęk monet jeden z poganiaczy, młody chłopiec, odwrócił się do niego i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Z kącika ust sterczało mu długie źdźbło zboża. Eddie odpowiedział uśmiechem i pstryknął w chłopca monetą. Ten złapał ją zręcznie i natychmiast wsunął do kieszeni.

Aparat zamontowano na słupie i osłonięto od słońca żółtą blaszaną skrzynką z wymalowanym po arabsku napisem „telefon”. Skrzynkę pokrywała gruba warstwa kurzu, ale poza tym nie była w żaden sposób zniszczona. Telefon był obiektem ważnym dla miasta i jako taki był nietykalny. Eddie zgarbił się, wsuwając głowę pod górną blachę skrzynki, próbując schronić się przed południowym słońcem.

Kiedy unosił słuchawkę do ucha, owionęła go fala zapachu świeżego pieczywa. Już dawno przebył obowiązkowy atak biegunki znanej jako zemsta faraona, jaką przybysze z Zachodu przechodzili

w ciągu pierwszych tygodni pobytu w Egipcie, i teraz mógł cieszyć się lokalnymi specjałami bez strachu przed konsekwencjami.

Wykręcił długą sekwencję numerów, a potem zaczął faszerować aparat niekończącym się strumieniem drobnych, dopóki nie usłyszał kliknięcia realizowanego połączenia. Zerknąwszy na zegarek, uświadomił sobie, że w Los Angeles jest środek nocy. Uznał, że powinna mu wybaczyć. Słuchawka kliknęła i wymamrotała sennie:

– Halo?

Słychać było, że Callen dopiero co się obudziła.

– Callen?

– Eddie?

– Obudziłem cię?

– Tak, ale nieważne – głos nagle nabrał werwy, zupełnie jakby Callen czekała na ten telefon.

– Dobrze mnie słyszysz?

– Tak, tak. Połączenie jest w porządku.

– Czy ty… – zaczął.

– Słuchaj, Eddie – przerwała mu podnieconym tonem. – Mam nowinę!

– Dawaj – rzucił, czując, jak udziela mu się jej podniecenie, ponieważ sądził, że Callen mówi o tym samym, co chodziło po głowie jemu.

– Jestem zaręczona! – wypaliła mu prosto w serce bez kolejnego ostrzeżenia.

– Co?

Był naprawdę wstrząśnięty.

– Zaręczyłam się, dasz wiarę?

– Nie było mnie tylko dwa miesiące. Jak to się stało?

Callen uznała jego ton za zgrywę i opowiadała dalej, opisując mężczyznę, który zdołał zdobyć jej względy. Eddie słuchał jednym uchem, karmiąc telefon monetami w miarę przedłużającego się monologu. Nie mógł uwierzyć, że Callen mówi serio.

– Wydaje się fajny – skomentował bez entuzjazmu, kiedy zakończyła swój panegiryk dla narzeczonego.

– O co chodzi? – spytała, kiedy zorientowała się, że Eddie nie jest tak podekscytowany, jak się po nim spodziewała.

– Bo ja wiem. To brzmi tak… poważnie.

– Oczywiście, że to poważne – odburknęła, a jej zapał nagle ulotnił się bez śladu. – Nie planuję małżeństwa z byle kaprysu. Sądziłam, że się ucieszysz.

Eddie otarł czoło wierzchem dłoni.

– No… wiem, że postanowiliśmy się już nie widywać. Tylko nie sądziłem, że masz na myśli, że naprawdę-naprawdę i już nigdy więcej.

– Słuchaj, muszę jakoś ułożyć sobie życie – powiedziała łagodnie. – Nastoletnie romanse nie powinny przeciągać się poza trzydziestkę.

– Wszystko to takie jakieś, bo ja wiem… dorosłe.

– Mówisz tak, jakby to było coś złego.

– Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Zaczerpnął powietrza i rozejrzał się wokół, stwierdzając, że okolica nagle straciła swój urok. Westchnął głęboko i podjął postanowienie: przegoni zły nastrój. Nie był w porządku wobec Callen.

– Przepraszam. Tak naprawdę to bardzo się cieszę – powiedział nie bez wysiłku. – Jestem pewny, że jest wspaniałym człowiekiem i stworzycie razem wspaniałą rodzinę.

– To było wspaniale bezpłciowe.

– Hola, daj mi chwilę! Muszę się przyzwyczaić.

Dlaczego był zaskoczony? To musiało kiedyś nastąpić. Callen odłączała się od niego – czym groziła mu, odkąd pamiętał. Pozostawiała go samego w dzieciństwie, z którego on prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie. Chyba że… Chyba że jakimś cudem zdoła się zmienić.

– Cieszę się – powiedział jeszcze raz, tym razem prawie serio.

– To dobrze. – Callen nie wydawała się przekonana.

– Naprawdę. Przy naszej następnej rozmowie, przysięgam, że będę zachwycony.

– Dobrze, dobrze – burknęła, ale Eddie wyczuwał, że się uśmiecha. – Mam też inną nowinę.

– Nie mów, że jesteś w ciąży!

– Nie! – roześmiała się. – Chodzi o twój kryształ.

Jego pierwotne podniecenie powróciło w ułamku sekundy. To kryształ był powodem tego telefonu. Rozejrzał się wokół, tknięty poczuciem winy. Na zewnątrz restauracji siedziało kilku mężczyzn popijających słodzoną herbatę. Na brzegu kanału bawiła się grupka dzieci. Nikt na niego nie patrzył.

– Krystalograf się odezwał?

Eddie posłał jej jeden z podwędzonych ze świątyni kryształów, nadając przesyłkę z hotelu w Kairze, żeby celnicy wzięli go za turystyczną błyskotkę. Posiadająca liczne zakłady przemysłowe firma Bannon-DeLacy zatrudniała tuziny ekspertów od kryształów, których wiele odmian znajdowało zastosowanie w konstrukcji maszyn i obrabiarek. Callen zgodziła się pociągnąć za kilka sznurków i znaleźć kogoś, kto mógłby mu pomóc.

– Tak – odpowiedziała, a w jej głosie znów było słychać zapał. – Nawet poszłam się z nim zobaczyć. Facet jest w szoku.

– Co powiedział?

– Powiedział, że to diament, choć ma dziwny kształt jak na diament, z domieszką jakiejś innej substancji dającej to pomarańczowe zabarwienie. To prawdopodobnie żelazo połączone z jakimś innym pierwiastkiem. Mówi, że jeśli chcemy mieć pewność co do składu, będzie musiał odłupać kawałek, ale nie chciał uszkodzić kryształu bez potrzeby.

– A te zielone paski?

– Nie wie, co to jest. Mówi, że w życiu nie widział czegoś takiego. Z całą pewnością zostały wyhodowane razem z kryształem. Choć są obcą substancją, w żaden sposób nie naruszają struktury kryształu jako całości. Sprawdził to.

– Ma jakiś pomysł na to, jak coś takiego mogło powstać?

– Zamurowało go, Eddie, a temu gościowi nie zdarza się to często. Chce się dowiedzieć, kto ma patent na technologię produkcji takich rzeczy. Wymyślił już z tuzin możliwych zastosowań. Powiedz, gdzie to dostałeś?

Eddie zachichotał, delektując się suspensem.

– Niezupełnie dostałem, Callen.

– Jak to?

– Raczej ukradłem.

– Eddie!

– Tak naprawdę to znalazłem. Ten i jeszcze sześć podobnych. Były w kamiennej szkatule złożonej w świątyni Ozyrysa, która tkwiła pod ziemią od jakichś pięciu tysięcy lat.

Po obu stronach linii zapadła długa cisza. Przerwała ją Callen.

– Eddie… To nie jest naturalny kryształ. Facet powiedział, że to niemożliwe, żeby coś takiego uformowało się samoistnie. To diament klasy przemysłowej, bardzo czysty, nie coś, co mogło powstać poza laboratorium

– Wiem, Cal – wyznał bez ogródek.

Już dawno się domyślił, że kryształy nie są pochodzenia naturalnego. Choć Emmett Smith nie zdążył jeszcze wysłać ich do specjalistów, Eddie był pewny, że w końcu dojdą oni do tego samego wniosku.

– Właśnie dlatego wysłałem go tobie. To twór sztuczny, uformowany w procesie, jakiego nawet nie jesteśmy się w stanie domyślić, a jednak tkwił pogrzebany w piaskach egipskiej pustyni od kilku tysięcy lat.

Kolejna pauza, jakby Callen przelatywały przez głowę wszystkie szalone teorie, którymi przez lata zasypywał ją Eddie.

– Jes… Jesteś pewien?

– Ziemia i piasek wokół świątyni były nietknięte. A datowaliśmy ją na podstawie inskrypcji nad wejściem. Jestem całkiem pewien.

– Jezus!

– Nie Jezus, Callen – uśmiechnął się do słuchawki. – Ktoś na długo, długo przed nim.

– No i co zamierzasz?

– Będę kopał dalej.

Rozdział 21

Rok 2603 p.n.e.
Czwarty rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Bogów szanowano dla ich magicznych raczej niż moralnych przymiotów.

„Starożytny Egipt: jego kultura i historia”

Mechanik siedział nad sadzawką wypełnioną krystaliczną wodą. Nachylony nad jej powierzchnią w skupieniu studiował odbicie swojej twarzy. Jego ciemnoszare włosy były długie i nosił je upięte w luźny kucyk na szyi. Twarz miał ogoloną i pooraną głębokimi bruzdami od lat wystawiania jej na egipskie słońce. Rysy miał pospolite – zdawał sobie z tego sprawę i zastanawiał się, jak by to było być pięknym. Na tę myśl usta wykrzywił mu zły grymas. Plasnął dłonią w wodę, burząc obraz.

„Pięknem nie można zdobyć miłości – pomyślał. – Ani wierności. Nie takiej prawdziwej”.

Siedział w królewskim ogrodzie przy sztucznym jeziorku uformowanym w kształt lilii. Nieopodal staruszek ogrodnik pochylał się nad grządką warzyw, troskliwie podlewając każdą roślinę z osobna. Mężczyzna był prawie nagi i choć skóra zaczynała mu już obwisać, mięśnie wciąż miał kształtne i silne po całym życiu spędzonym na pracy fizycznej. Mechanik obserwował go przez chwilę, wahając się, czy nie rozkazać mu przynieść czegoś do picia. Ostatecznie postanowił nie ryzykować. Ogrodnik mógłby odmówić, a wtedy Mechanik musiałby znieść upokorzenie.

„Przeklęci tubylcy – pomyślał. – Przeklęty brudny staruch”.

Czekał na Kapitana, który w tej chwili bawił w jednym z ogrodowych pawilonów w towarzystwie nie kogo innego, jak samej królowej Hetepheres. W ciągu minionych miesięcy Kapitan

i królowa zostali kochankami i spotykali się potajemnie w loży skrytej w odległym zakątku pałacowych ogrodów. Nikt oprócz najbliższych służebnic królowej nie wiedział o tych schadzkach, ale wśród dworzan krążyły już plotki.

Na każde takie spotkanie Kapitan zabierał ze sobą Mechanika, który musiał czekać za drzwiami jako wartownik.

„Jako sługa – pomyślał Mechanik. – Oto kim teraz jestem. A może jestem nim od zawsze".

Tego dnia jednak pozwolił sobie na opuszczenie posterunku. Niech Kapitan wynajmie sobie miejscowego strażnika, jeżeli chce ochrony. Mechanik był zmęczony swoim zajęciem.

– Co ty tu robisz?

Mechanik podskoczył z przestrachu. Obrócił się w kierunku głosu i ujrzał żołnierza stojącego pod kępą figowców. Był to Seka, dowódca przybocznej gwardii króla, mężczyzna o węzłastych muskułach, wijących się pod ciemną skórą. Ubrany był w brązową płócienną spódniczkę, a ramiona okrywała mu skóra geparda. Mechanik zerknął na rękojeść długiego noża, sterczącą mu u pasa, a potem na ceremonialną włócznię w jego dłoni, będącą oznaką rangi.

– Czekam – odpowiedział Mechanik.

– Za czyim zezwoleniem?

Przestraszony Mechanik wytrzeszczył oczy na żołnierza. Nagle uśmiechnął się. Przecież wiedział, co robić. Kapitan mógł sam o siebie zadbać.

– Jestem tu z moim panem.

– Twoim panem – prychnął Seka. – A kto jemu dał pozwolenie?

– Ależ na pewno słyszałeś – zaszczebiotał słodko Mechanik.

Mówił, nie posługując się translatorem. Tak jak Kapitan nauczył się miejscowego języka.

– On ma pozwolenie od królowej. Spotykają się regularnie. Są razem właśnie w tej chwili.

Z satysfakcją obserwował wyraz szoku na twarzy Seki.

– Oni… On… On jest sam z królową?

Mechanik roześmiał się.

– Daj spokój, Seka. Nie udawaj takiego niewiniątka. Na pewno słyszałeś plotki.

– Jestem głuchy na plotki.

– I przez to zawsze będziesz dowiadywał się ostatni.

– Czekaj tutaj!

Był podminowany. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Mechanika, jakby zastanawiając się, co robić, a potem odwrócił się i puścił biegiem w stronę pałacu.

Mechanik uśmiechnął się. Najwyższy czas wyjść z roli kapitańskiego lokaja. Nieśpiesznie ruszył w stronę pawilonu.

Wnętrze pawilonu było piękne. Było to obszerne, jasne pomieszczenie z wysokim sklepieniem i kilkoma oknami wprawionymi w ściany na dużej wysokości. Wpuszczany przez nie powiew był akurat dość silny, by delikatnie poruszać drapowaną zasłoną wokół łoża.

Kapitan stał za rzeźbionym składanym parawanem, przebierając się ze standardowego uniformu zespołu badawczego w lekką, długą szatę, którą dla niego przygotowano. Przed wizytą wykąpał się, zaś włosy, których nie strzygł od kilku lat, miał lekko natarte oliwą i związane w grubą plecioną pętlę na karku. Była to fryzura, jaką nosił tylko on; coś, co odróżniało go od noszących peruki arystokratów. Nigdy nie zniżyłby się do skrywania swoich złotych włosów pod peruką.

Przebrawszy się, wyszedł zza parawanu i ujrzał Hetepheres siedzącą na brzegu łoża. Ubrana była w zwiewną, białą sukienkę, przez którą przeświturywał brąz jej skóry. Oczy miała uczernione kohlem i podkreślone subtelnymi kreskami zieleni.

– O najjaśniejsza królowo – powiedział, pozwalając sobie na lekki uśmiech, aby wiedziała, że jej widok sprawia mu przyjemność. – Jak dobrze cię widzieć.

Hetepheres nieznacznie skłoniła głowę i również się uśmiechnęła.

– Czcigodny panie, minęło tak wiele czasu…

– I mnie jest przykro z tego powodu – odpowiedział. – Ale muszę poświęcać swój czas wielu sprawom.

Nie widzieli się od dawna, ale nie ufał sobie na tyle, aby spotykać się z nią często; zbyt łatwo mógł pozwolić owładnąć się pożądaniu, jakie czuł wobec niej. Igrał z ogniem na więcej niż jeden sposób. Choć Hetepheres, jej służba i kobiety, które nazywała przyjaciółkami, potajemnie przyznawały się do wiary w boskość Kapitana-Ozyrysa, wciąż nie znał poglądu króla. Kilkakrotnie w zawoalowany sposób pytał Hetepheres o zdanie jej męża w tej materii, ale nic nie wiedziała na pewno. Tym samym Kapitan ryzykował życie za każdym razem, kiedy ją odwiedzał. Zagrożenie zbyt słabe, by go zniechęcić, było raczej częścią uroku tej gry.

Powoli podszedł do niej i usiadł obok na łożu. Wszystko w jego postawie emanowało świadomością łaski, jaką jej wyświadcza, zaszczycając odwiedzinami. Nawet język, jakim ze sobą rozmawiali, zawsze był oficjalny i trochę patetyczny.

Hetepheres ujęła jego dłoń i podniosła ją do ust.

– Czy jestem obecna w twoim umyśle, kiedy nie widzisz mnie w cielesnej postaci? – spytała.

Delikatnie ujął jej podbródek i uniósł głowę. Pocałował ją, powoli i zdecydowanie.

– Jesteś tam zawsze – odpowiedział.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego włosów. Choć w ostatnich latach część z nich zasnuła się siwizną, wciąż były oznaką jego wysokiego statusu.

Pociągnął troczek jej szaty, a ta zsunęła się, odsłaniając ramiona i piersi królowej. Pochylił się i bardzo delikatnie pocałował ją w szyję. Stopniowo ich namiętność rosła. Całując się, opadli na łoże. Przesuwając się bliżej środka, Hetepheres wyślizgnęła się z sukni całkowicie, po czym sięgnęła po szatę Kapitana.

Romantyczny nastrój prysł w jednej chwili, spłoszony gwałtownym łomotaniem do drzwi. Nie poprzedziło go żadne ostrzeżenie, żadne odgłosy zbliżających się ludzi, żaden znak, że coś jest nie w porządku – tylko huk, a w następnej chwili drzwi otworzyły się i do środka wmaszerowali czterej żołnierze uzbrojeni w noże i włócznie. Kapitan poderwał się na kolana i uświadomił sobie, że intruzami byli ludzie z gwardii przybocznej króla. Prowadził ich Seka, ten wąż, który tak zazdrośnie strzegł domu

swojego pana. Głowa geparda spoglądała na Kapitana groźnie znad lewego ramienia dowódcy; zwisające mu na piersi szponiaste łapy zdawały się gotowe do zadania ciosu.

– Brać go! – krzyknął Seka.

Dwaj żołnierze pochwycili Kapitana, któremu szata owinęła się na ramieniu. Nie opierał się, choć wściekłość i strach walczyły o kontrolę nad jego emocjami. Przez otwarte drzwi Kapitan ujrzał Mechanika, stojącego na uboczu z przerażoną miną. Żołnierze brutalnie zwlekli jeńca z łóżka. Zamierzali go zabić – ich postawa nie pozwalała w to wątpić. Kapitana zalała fala grozy, ale wiedział, że to, jak zachowa się w ciągu następnych kilku chwil, będzie miało krytyczne znaczenie dla rozwoju sytuacji.

– Podnieśliście rękę na boga! – krzyknęła Hetepheres, siadając na łóżku, wciąż naga.

Kapitan pobłogosławił ją w duchu. Moc jej słów dodała mu sił do odegrania swojej roli.

– Bezcześcicie mnie swoim dotykiem! – ryknął z furią.

Nadal nie próbował stawiać oporu, ponieważ gdyby to robił, można by potem mówić, że żołnierze zdołali go obezwładnić. Powstrzymując się od walki, stwarzał wrażenie, jakby po prostu nie zniżał się do użycia siły.

– Przybyłem tu z darem miłości, ale zgładzę was, jeśli sprowokujecie mnie do gniewu.

Trzymający go mężczyźni wzięli sobie te słowa do serca i poczuł, że ich uchwyt nieznacznie zelżał. To był dobry znak. Bali się go. Przyszli tu na rozkaz Seki, nie z powodu osobistej urazy. Kapitan uwolnił ręce jednym szybkim szarpnięciem.

Jednak okryty skórą geparda Seka nie uląkł się. Złapał Kapitana za ramię, pchnął go na ścianę i oparł czubek włóczni na jego piersi.

– Zaraz zobaczymy, kto kogo zgładzi – wycedził powoli. – Jeżeli jesteś bogiem, z pewnością nie obawiasz się mojej włóczni.

Uniósł broń do ciosu.

– Stój! – zawołał głos za nim.

Seka obejrzał się, by ujrzeć samego króla, stojącego w wejściu pawilonu. Snofru dyszał ciężko, opierając się o ramę drzwi i spoglądając na obecnych rozbieganym wzrokiem. Za nim stało

jeszcze dziesięciu gwardzistów. Król odziany był w krótką, białą spódniczkę, przewiązaną złotą szarfą. Głowę osłaniała mu królewska chusta, nemes, w czerwono-białe pasy. Na piersi dźwigał ogromny pektorał w kształcie orła, wykonany ze złota i wysadzany półszlachetnymi kamieniami. Pektorał był przekrzywiony od biegu.

Król był drobnej postury, ale na twarzy malował mu się gniew, którego moc odczuwali wszyscy obecni. Hetepheres wycofała się ku wezgłowiu łoża, ukradkiem podciągając piernat, by okryć nim nagie ciało.

– Panie – powiedział Seka, skłaniając głowę przed władcą. – Chciałem uchronić cię przed tą wiedzą. Uwalniam cię od tego aroganckiego cudzoziemca, który wziął sobie królową jak swoją kobietę. Jego śmierć to mój obowiązek, ale królową musisz ukarać ty, o panie.

Snofru podszedł do gwardzisty i wyjął mu włócznię z dłoni.

– Jesteś zdrajcą mojego tronu czy po prostu głupcem? – spytał. – A może jednym i drugim jednocześnie?

– Panie?

Seka był wstrząśnięty odkryciem, że gniew jego władcy jest skierowany przeciwko niemu. Snofru uderzył go w twarz końcem włóczni, dość mocno, by pozostawić ślad.

– Zabierzcie go do koszar! – rozkazał pozostałym gwardzistom.

Żołnierze z towarzyszącego królowi oddziału ujęli Sekę i wywlekli na zewnątrz. Kapitan zauważył, że Mechanik przysuwa się bliżej drzwi, żeby lepiej widzieć, wciąż utrzymując jednak bezpieczną odległość.

Snofru odwrócił się do Kapitana, który poprawiał na sobie szatę.

– O czcigodny – zaczął król. – Przyjmij moje uniżone przeprosiny za ten pożałowania godny incydent.

Skłonił nisko głowę.

– Jestem zaszczycony, że uznałeś mnie godnym uszlachetnienia mojej linii rodowej twoją boskością, panie. Ozyrysie.

Dźwięk tego imienia spłynął na Kapitana niczym strumień chłodnej wody. Ozyrys. Król był jego wyznawcą. Wypowiedział jego imię na głos. Ozyrys! Ten prosty gest sprawił, że Kapitan naprawdę stał się Ozyrysem.

– Nie ma potrzeby ukrywania twojej miłości w tej komnacie, o czcigodny – ciągnął król. – Mój pałac jest do twojej dyspozycji.

– Dziękuję ci, szlachetny królu – odpowiedział Kapitan, przybierając stosowny ton, utrzymując w ryzach wewnętrzne drżenie, które groziło wkradnięciem się w jego głos.

– Dowódca straży zostanie przykładnie ukarany.

Kapitan wiedział, że dla Seki może to oznaczać śmierć, ale wciąż był zły za jego wtargnięcie i nie miał najmniejszej ochoty wstawiać się za swoim prześladowcą. Tylko łut szczęścia ocalił go od włóczni tego człowieka.

– Pozostawiam to twojemu osądowi – powiedział.

Snofru skłonił głowę na znak, że przyjął do wiadomości decyzję boga. Następnie zwrócił się do Hetepheres, swojej małżonki i królowej.

– Czcigodna żono, rozumiem twoje pragnienie dzielenia łoża z naszym boskim gościem.

Podszedł do łoża, na którym siedziała, podciągając pod brodę piernaty. Pocałował ją w czoło i Kapitan pomyślał, że Snofru chyba naprawdę nie żywi wobec niej urazy.

– Nie obawiaj się mojego gniewu. Sprawiłaś mi radość. Boska krew uszlachetni mój ród.

Kapitan patrzył, jak Hetepheres przyjmuje mężowski pocałunek. W ciągu minionych lat poznał ją tak dogłębnie, że mógł niemal czytać w jej myślach. Zainteresowanie boga swoją osobą poczytywała za zaszczyt, ale nigdy, ani razu nie pomyślała o tym w kategoriach korzyści dla linii rodowej Snofru – Kapitan był tego absolutnie pewien. Sypianie z bogiem było jej osobistym triumfem. Ale dla Snofru – Kapitan o tym wiedział – małżeństwo z nią było wielkim szczęściem. Snofru był synem jednej z pomniejszych żon poprzedniego króla o imieniu Huni. Hetepheres była córką królowej Huniego. Jej przyrodni brat nigdy nie zdołałby utrzymać tronu, gdyby jej nie poślubił.

Hetepheres uśmiechnęła się do króla.

– Dziękuję, panie – szepnęła.

Snofru raz jeszcze pokłonił się Kapitanowi i wyszedł z komnaty, zabierając ze sobą resztę gwardzistów. Kapitan przez chwilę

odprowadzał go wzrokiem, a potem podszedł do drzwi i zatrzasnął je, nie zaszczyciwszy spojrzeniem Mechanika, który stał na zewnątrz i uśmiechał się do niego. W głowie kłębiły mu się myśli. Cieszył się, że król potwierdził jego boskość, ale cały incydent wstrząsnął nim.

Hetepheres odrzuciła pościel, gestem zapraszając go do łoża, ale seks był ostatnią rzeczą, jaka zaprzątała mu głowę. Teraz musiał znaleźć sposób na umocnienie swojej pozycji. Nie odzywając się do królowej ani słowem, ubrał się z powrotem w spodnie i bluzę. Hetepheres patrzyła na parawan w milczeniu, zaniepokojona jego zachowaniem.

Ubrawszy się, podszedł do niej jeszcze raz.

– To będzie musiało poczekać na następną okazję – powiedział, po czym delikatnie pocałował ją w usta i wyszedł z pawilonu.

Na zewnątrz natknął się na Mechanika siedzącego na ziemi z plecami opartymi o ścianę.

– Wracamy do obozu – rzucił do niego opryskliwie, nie zwalniając kroku.

Mechanik podźwignął się na nogi i dołączył do swojego dowódcy. Kiedy schodzili po szerokich schodach ogrodu w stronę swoich lektyk, pochylił się ku niemu.

– Myślę, że to Lew – powiedział cicho.

Kapitan zatrzymał się i odwrócił.

– Co?

– Chyba nie sądzisz, że król zjawił się ot tak po prostu. Myślę, że to Lew poburzył straże.

Nie wiem, o czym ty mówisz – oznajmił Lew głosem drżącym z oburzenia.

– Podburzyłeś przeciwko mnie pałacowe straże – powtórzył Kapitan.

On, Archeolog i Lew rozmawiali w jego namiocie roboczym. Kapitan nigdy nie zadał sobie trudu zastąpienia namiotu bardziej trwałą budowlą, ponieważ to nie obóz był miejscem, gdzie koncentrowały się jego główne zainteresowania. Lew i jego ojciec

stali naprzeciwko siebie, Archeolog siedziała za stołem Kapitana, obserwując ich twarze.

– Gdyby nie szczęśliwy splot okoliczności, zapewne byłbym już martwy.

– Uwierz mi, tato, wypowiadam się o tobie najoszczędniej, jak tylko się da.

– Nie chce mi się teraz o to kłócić – powiedział Kapitan, dotknięty do żywego tonem syna i okazywaną przez niego dezaprobatą.

Ignorując jego uwagę, Lew mówił dalej.

– Czego się spodziewałeś? Sypiasz z królową! Trudno to nazwać dbałością o spokój domowego ogniska.

– Jeżeli o to chodzi – wtrąciła cicho Archeolog – to zdaje się, że król jest zadowolony.

– Ależ musisz być dumna! – prychnął Lew, zwracając się do matki. – Teraz twój mąż ma zgodę wszystkich na kontynuowanie swojego romansu.

– Uzgodnienia pomiędzy twoją matką a mną są naszą sprawą.

Lew znów odwrócił się w stronę ojca. Patrzył na człowieka podobnego do siebie. Mieli takie same włosy, taką samą cerę i twarze jak bracia różniący się tylko wiekiem. Ale poza tym Lew nie dostrzegał już niczego, co mogłoby ich łączyć.

– Wiem, że mama od dawna sypia ze swoimi strażnikami – powiedział nieco spokojniejszym tonem. Zdążył już pogodzić się z tymi faktami, co nie znaczyło, że nie były dlań przykre. – Mógłbym zrozumieć, że nie jesteście już ze sobą szczęśliwi, ale nie wydaje mi się, aby było to sednem problemu. Jesteście mi coraz bardziej obcy.

– To miejsce jest inne – powiedziała cicho jego matka. – Zgodziliśmy się żyć według innych zasad.

– Zgoda, macie do tego prawo – powiedział Lew po chwili milczenia.

Był zmęczony tą rozmową. Jego rodzice mówili do niego językiem, który dla niego nie brzmiał już wiarygodnie, i nie widział powodu, by kontynuować ten spór.

– Oskarżyłeś mnie o wydanie cię strażom, ojcze. Powiadam ci, nie zrobiłem tego. W mojej opinii to Mechanik był źródłem tej

informacji.

Spojrzał na ojca, ale twarz Kapitana nie wyrażała niczego.

– Tak czy owak – ciągnął Lew – nie powinieneś wierzyć we wszystko, co usłyszysz. Ja wolę nie wierzyć. Gdybym to robił, pewnie już dawno przestałbym się do was odzywać.

To powiedziawszy, wyszedł z namiotu w popołudniowe słońce, pozostawiając rodziców samych.

Niedaleko krzątała się jego świeżo upieczona żona Ipwet, która wraz z Lekarką zajmowała się garstką miejscowych dzieci. Ruszając w jej stronę, Lew wypchnął rodziców z umysłu i skupił się na podziwianiu jej piękna. Była miejscową dziewczyną, młodszą od niego o kilka lat; miała ciemną, doskonałą skórę i uśmiech, od którego miękły mu kolana.

– Co się stało? – spytała, kiedy podszedł do stołu.

W jego minie wciąż było widać ślady gniewu.

– Nic ważnego – odpowiedział Lew, przyciągając ją do siebie i wtulając twarz w jej szyję.

– Na pewno? – dopytywała się Ipwet. – Coś z twoimi rodzicami?

– Nie, nie, moje serce – opierał się Lew. – Naprawdę nieważne.

Mało brakowało – westchnął Kapitan, opadając na krzesło obok żony. – Ale wyszedł z tego niezły zwrot akcji.

– Zdaje się, że wyślizgałeś się z tego całkiem sprawnie – odpowiedziała Archeolog.

Jej głos nie zdradzał żadnych emocji. Kapitan przyjrzał się jej uważniej.

– Boli cię, kiedy z nią jestem.

Odchyliła się w tył na krześle i utkwiła wzrok w stropie namiotu. Jasne włosy, gdzieniegdzie już siwiejące, miała spięte za głową w pleciony kok.

– Nie – powiedziała po namyśle. – Już nie. Zachowałeś przynajmniej tyle przyzwoitości, aby poinformować mnie o swoich intencjach, więc też znalazłam sobie… osłodę.

– Tak, coś słyszałem – uśmiechnął się do niej w cokolwiek lubieżny sposób.

Ale Archeolog nie odpowiedziała uśmiechem. Nawet na niego nie spojrzała.

– I myślę, że znajdę w tym jeszcze inne pociechy.

Kapitan spoważniał i odwrócił się wraz z krzesłem w jej stronę.

– Będzie dość pociech. Dla nas obojga. Jeżeli tylko będziemy współpracować.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Współpracować? Jak?

– Król nazwał mnie Ozyrysem. Stało się. W jego oczach jestem wcieleniem boga.

– Moje gratulacje.

– Teraz muszę sprostać temu wizerunkowi. My musimy mu sprostać.

Archeolog przez chwilę milczała, zastanawiając się, co też to mogło znaczyć. Nagle zrozumiała.

– Ozyrys ma żonę. Chcesz, żebym przyjęła jej rolę.

– Bądź moją Izydą. Razem możemy naprawdę żyć tutaj jak bogowie. Osobno jesteśmy zagrożeni. Oni wiedzą, że jesteś moją żoną. Bóg może szukać przyjemności wśród śmiertelników, ale poślubić może tylko innego boga. Dopóki ty jesteś człowiekiem, ja nie mogę być tym, za kogo się podaję.

– A czyż nie jesteśmy ludźmi? – spytała tonem sugerującym, że pytanie było bardziej filozoficzne niż praktyczne. – Radziłam ci, abyś został bogiem, ale czy pod całą tą maską nie jesteśmy po prostu ludźmi?

– A kim jest bóg, jeśli nie człowiekiem, który inspiruje innych wokół siebie?

Ta myśl była dla niej nowa i potrzebowała kilku chwil, by ją przetrawić. Być może jej mąż miał rację. Powoli, z namysłem, spytała:

– A co z synem? Co z Horusem, synem Ozyrysa i Izydy? Nie wydaje mi się, by Lew zechciał przyjąć tę rolę.

– Już ją przyjął, czy tego chce, czy nie – odparł Kapitan. – Będzie musiał nauczyć się zachowywać jak należy.

Rozdział 22

Czasy obecne.

Pruit wpatrywała się w twarz wysokiego, czarnoskórego mężczyzny. Za cały strój służyła mu luźna przepaska z tkaniny owiniętej wokół jego nóg i krocza oraz szeroki płaski naszyjnik w formie dysku z połączonych paciorków. Jego ciemna skóra wyglądała niezdrowo; oczy miał kaprawe i podkrążone obwisłymi fałdami, chociaż nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Na jego kostkach i wokół ust czerwieniało kilka zaropiałych ran. Stał na obrzeżu osady złożonej z glinianych chatek – strażnik uzbrojony w długą dzidę ozdobioną zawiązanym pod grotem pękiem piór myszołowa.

Wioska za nim wydawała się prawie wymarła. Samotna krowa – chodzący szkielet obciągnięty brudną skórą – wałęsała się apatycznie w błocie między chatkami. W powietrzu unosił się zapach dymu z ogniska, ale poza tym niewiele wskazywało na to, że mieszkają tu jacyś ludzie.

Młodzieniec jako tako mówił po angielsku i wydawał się zafascynowany odzieniem Pruit. Miała na sobie czerwony biokombinezon, w którym wędrowała już od kilku dni. Choć nie mogła tego wiedzieć, jej strój bardzo przypominał pomarańczowe kombinezony ochronne zespołu epidemiologów, który odwiedził wioskę przed kilkoma dniami. W oczach młodego człowieka czyniło ją to postacią budzącą respekt, jeżeli nie lęk.

Nogawki miała podwinięte i wędrowała w swoich podróżnych butach. Jej prawa stopa nadal nie odzyskała pełnej swobody ruchu, ale kombinezon zregenerował ją w wystarczającym stopniu, by mogła chodzić. Lewa kostka, także złamana, nadawała się do użytku tylko dzięki temu, że trzymała ją w kombinezonie dzień i noc.

Nie wiedziała, jak długo leżała w cieniu lądownika. Być może całe tygodnie. Nie pamiętała, jak zamknęła się w kombinezonie, ale

najwyraźniej jakoś sobie z tym poradziła.

Z jej rąk i nóg zniknęły oparzenia. Pozostało jedynie kilka ledwie widocznych blizn, nieco ciemniejszych od miedzianego brązu jej skóry, a i one zaczęły już zanikać. Rękawice zwisały luźno na końcach rękawów, ale jej dłonie wciąż chroniła cienka siateczka biopędów kombinezonu. W ciągu dnia głowę miała odkrytą; na noc zapinała się w stroju całkowicie, pozwalając mu kontynuować leczenie.

– Muszę znaleźć lotnisko – powiedziała Pruit jeszcze raz, powoli i tak wyraźnie, jak tylko potrafiła.

– Loti-szko – powtórzył chłopak, wciąż nie rozumiejąc.

Pruit uświadomiła sobie, że zapewne nieczęsto miał okazję słyszeć to słowo tutaj, w jednym z najsłabiej rozwiniętych rejonów planety. Rozpostarła ręce w imitacji skrzydeł.

– Samolot.

Wizualna demonstracja pomogła.

– Samolot! – ucieszył się młodzieniec, ukazując rzędy pożółkłych zębów. – Tak! Nie, samolot – posmutniał nagle i pokręcił głową. – Może Shinyanga.

– Shinyanga?

To słowo nic dla niej nie znaczyło.

– Samolot w Shinyanga – powtórzył chłopak.

– Ach… – Nagle zrozumiała.

Wyjęła mapę i odszukała miasto, o którym mówił młodzieniec. Wskazując je palcem i trzymając mapę przed oczami rozmówcy, spytała:

– Shinyanga?

Chłopiec bezradnie potrząsnął głową. Pruit zrozumiała. Nie potrafił czytać i mapa nic mu nie mówiła. Ale nie miało to znaczenia; wiedziała, gdzie jest Shinyanga. Leżała dwadzieścia pięć mil od wioski i Pruit mogła do niej dotrzeć – jak oceniała – w ciągu jednego dnia marszu.

Uśmiechnęła się do młodzieńca.

– Dziękuję.

Wyciągnęła do niego dłoń. Chłopiec uścisnął ją, śmiejąc się z miejskiego zwyczaju, który w swojej wiosce widział najwyżej raz

lub dwa.

Kiedy ich dłonie się zetknęły, Pruit poczuła jakąś zmianę w biokombinezonie. Siatka wokół jej dłoni pogrubiła się i zgęstniała, skupiając energię stroju w tym rejonie ciała. Wzrok Pruit powędrował w stronę małego wyświetlacza, wtopionego w tkaninę na prawym przedramieniu. Ekran błyskał ostrzeżeniem. Jej skóra weszła w kontakt z groźnym wirusem.

Młodzieniec spojrzał na nią z niepokojem, kiedy nie wypuściła jego dłoni z uścisku. Nie wyrywał się jednak, nie chcąc jej urazić.

Pruit patrzyła, jak sieć osiąga maksymalną grubość i biokombinezon przystępuje do analizy zagrożenia. Siatka rozrosła się częściowo na dłoń chłopca, ale trzymała ją pod takim kątem, aby nie mógł tego zobaczyć.

Po kilku chwilach ekran wyświetlił uspokajający komunikat. Wirus został zbadany i biokombinezon był w stanie go zneutralizować.

Pruit uśmiechnęła się do młodzieńca, starając się go uspokoić, aby nie wyrwał dłoni. Po kolejnej chwili biokombinezon zasygnalizował koniec procedury. Siatka biopędów wycofała się w głąb rękawa. Pruit zwolniła uścisk.

– Dziękuję – powiedziała jeszcze raz.

Młodzieniec obejrzał swoją dłoń. Czuł dziwne mrowienie w miejscach, gdzie mikroskopijne biopędy wniknęły mu w skórę. Nerwowo potarł palce i spojrzał na Pruit. Posiadała moce, jakich nie rozumiał, ale nie widział w tym nic niezwykłego – tak samo nie rozumiał poczynań tamtych ludzi w pomarańczowych strojach, którzy odwiedzili jego wioskę przed kilkoma dniami.

– Wszystko w porządku – powiedziała Pruit.

Widziała, że już teraz chłopak wygląda lepiej. Nic konkretnego się nie zmieniło, ale rozpromienił się dyskretnym blaskiem życia, którego nie było w nim przedtem. Jego ciało miało teraz broń do walki z wirusem.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Młodzieniec patrzył za nią przez chwilę, a potem puścił się biegiem do wioski. Pruit uśmiechnęła się. Przez dotyk, oddech i ślinę chłopiec przekaże lekarstwo swojej rodzinie, a potem całej osadzie.

Po kilku minutach marszu straciła wioskę z oczu i wróciła na dzikie pustkowia. Szła przez krainę łagodnych wzgórz i otwartych równin. Wszędzie były zwierzęta. Piękno natury powinno ją zachwycać, ale ona czuła się tylko bezbronna.

Spojrzała na niebo. Niepokoiło ją – ta nieskończona otchłań błękitu, wisząca nad nią tak niewyobrażalnie wysoko. Nawet po tylu dniach wędrówki na otwartej przestrzeni wciąż czuła dyskomfort i raz po raz sięgała po maskę tlenową, której nie miała i której przecież nie potrzebowała. Świat poza miejską kopułą nigdy nie kojarzył się jej z niczym przyjemnym, ale miał być stałym elementem tej misji. Nie było wyjścia: musiała nauczyć się w nim żyć.

Rozdział 23

Jean-Claude stał za krzesłem Mechanika, poświęcając spotkaniu akurat tyle uwagi, żeby wiedzieć, czy jego pan czegoś odeń nie potrzebuje. Byli w kawiarni, zajmując stolik w jednym z cienistych zakątków lokalu. Kair był miastem kawiarni, tradycyjnych miejsc, w których mężczyźni spotykali się, by omawiać zdarzenia w sąsiedztwie i na świecie, palić i grać w karty, domino albo tryktraka. Na każdej ulicy była co najmniej jedna, czasem w postaci kilku stolików i krzeseł wystawionych na ulicę, a czasem dużego, otwartego salonu z pięknie rzeźbionymi meblami i usłużnymi kelnerami, jak ta, z której usług korzystał teraz Mechanik i jego niewolnicy.

Przed Mechanikiem stała mała filiżanka tureckiej kawy, której nie raczył nawet skosztować. Nate zajmował miejsce obok niego, zaś naprzeciwko siedzieli dwaj Francuzi, których nieformalne ubiory zadawały kłam ich rzeczywistej pozycji. Nate prowadził rozmowy w imieniu Mechanika i robił wrażenie, jak często ostatnimi czasy, lekko oderwanego od rzeczywistości. Jego brązowy jedwabny garnitur, czysty i świeży w chwili, w której Amerykanin ujrzał swojego oprawcę po raz pierwszy, był teraz obszarpany i pomięty. Opis ten dobrze pasował także do samego Nate'a. Długie tygodnie wysługiwania się Mechanikowi, rozmów z jego potencjalnymi klientami, niedosypiania i nocnych koszmarów odcisnęły na nim swoje piętno.

– Jaką mamy gwarancję, że to nie humbug? – spytał starszy z Francuzów, mówiący poprawną angielszczyzną zmiękczoną obcym akcentem.

– Macie to. – Nate wyjął z teczki plik papierowych kartek i przesunął je po stole.

Mężczyźni pobieżnie przejrzeli papiery, przebiegając wzrokiem po matematycznych równaniach i schematach. Następnie starszy

starannie złożył dokumenty i wsunął je do kieszeni swojej luźnej lnianej marynarki.

– Te wzory nie stanowią klucza do wspomnianej techniki – wyjaśnił Nate. – Dowodzą jednak, że technika tak wysokiego poziomu rzeczywiście istnieje i znajduje się w posiadaniu mojego przyjaciela.

Uwadze Jeana-Claude'a nie uszła łatwość, z jaką Amerykanin wymówił słowo przyjaciel. Nate zrezygnował z nienawiści wobec Mechanika, którą uznał za bezcelową, i teraz sunął przez kolejne dni w półtransie, zwyczajnie modląc się o swoje uwolnienie. Jean-Claude dziękował Bogu, że sam nie odpłynął aż tak daleko.

Pomyślał o swojej sytuacji. Był uzależniony od narkotyku, którego jedynym źródłem był Mechanik. Będąc pod wpływem tej substancji, doznawał przypływów jasności umysłu i energii, jakich nigdy wcześniej nie osiągał – z wyjątkiem być może czasów dzieciństwa. Po ustaniu jej działania przemieniał się we wrak człowieka, rozpaczliwie błagający o zastrzyk, kiedy zaś Mechanik uznawał za stosowne opóźnić podanie mu dawki o kilka godzin, aby go ukarać – co zdarzało się nader często – Jean-Claude tracił kontrolę nad mięśniami, które wykręcały mu ciało w straszliwych konwulsjach, a ból pragnienia przenikał całe jego jestestwo. Mimo to w czasie pomiędzy tymi skrajnościami, kiedy działanie narkotyku słabło, ale wciąż się utrzymywało, Jean-Claude zachowywał trochę podobieństwa do dawnego siebie. Nate stracił nawet to.

Jego prawa ręka powędrowała do małego, złotego krzyżyka na jego szyi.

– Daj mi siłę, dobry Boże – wyszeptał Jean-Claude.

– Proszę skonsultować się z ekspertami i odezwać się do nas – mówił Nate. – Mój przyjaciel oczekuje oferty w ciągu następnych siedmiu dni. Do piętnastego dnia bieżącego miesiąca podejmie decyzję, którą ofertę przyjąć.

Jean-Claude patrzył na beznamiętne twarze Francuzów. Nie miał wątpliwości, że ich mocodawcy wkrótce przekonają się o prawdziwości zapewnień Mechanika. Wszyscy w końcu się przekonywali. Siedzący przed nim Mechanik milczał. Nigdy się nie odzywał podczas tych spotkań. Jego głowa kiwała się lekko

zaledwie kilka cali od dłoni Jean-Claude'a Jakże łatwo byłoby mu złapać tego człowieka za szyję i wycisnąć zeń życie.

Jean-Claude puścił krzyżyk i chwycił oparcie krzesła Mechanika. Ale jego dłonie nie przesunęły się dalej. Śmierć Mechanika oznaczałaby także jego śmierć. Jeszcze nie był aż tak zdesperowany. Kiedyś w jakiś sposób znajdzie możliwość dokonania zemsty. Wykorzysta tę chwilę bez wahania, a wtedy Mechanik dowie się, co to znaczy ból i strach.

Rozdział 24

Pruit siedziała w toalecie portu lotniczego w Kairze i oglądała sobie lewą kostkę. Zamknęła się w jednej z wygodnych przebieralni, których szereg znajdował się na końcu pomieszczenia zalanego żółtawym światłem świetlówek. Za drzwiami kabiny tuziny kobiet wchodziły i wychodziły, rozmawiając między sobą i ze swoimi dziećmi po arabsku, angielsku i w kilku innych językach.

Pruit była w samej bieliźnie, ziemskiej bieliźnie, którą kupiła w Nairobi wraz z dwoma kompletami ubrań w stylu zachodnim. Przesunęła dłonią po kostce. Kość zrastała się ładnie; Pruit mogła już chodzić, lekko tylko utykając. Jej noga wciąż trochę bolała przy prostowaniu, ale jej sztywność stopniowo zanikała. Musiała tylko nadal sypiać w biokombinezonie, a wkrótce będzie całkowicie uleczona.

W Shinyanga, małym miasteczku w Tanzanii, czekała trzy dni, śpiąc na czymś w rodzaju zadaszonego peronu przy krawędzi długiego pasa betonu, służącego miejscowym za port lotniczy. Przez cały czas padał deszcz, właściwie ulewa nocą urozmaicana grzmotami i błyskami piorunów. Trzeciego dnia przestało lać i na pasie wylądował samolot. Pruit zdołała przehandlować kilka drobiazgów z plecaka za miejsce w kabinie i rozklekotana dwusilnikowa maszyna poniosła ją do Nairobi.

W Nairobi zderzyła się z ziemską cywilizacją w jej pełnej krasie. Zdjęła biokombinezon, szybko przekonawszy się, że ściąga na nią zdumione spojrzenia. Tamtego dnia nie udało jej się złapać samolotu do Kairu, ponieważ nie miała paszportu. Tubylcy mówili po angielsku, ale z silnym akcentem, który przysparzał jej trudności w rozumieniu ich słów. Spędziła w Nairobi dwa wyczerpujące dni, zanim wystarała się o fałszywy brytyjski paszport z jej zdjęciem.

Nareszcie dotarła do Kairu, który rozpościerał się pod samolotem niczym olbrzymi brązowy ziarniak wyrosły na Nilu i jego żyznej

dolinie. Była to olbrzymia metropolia i Pruit ogarnęły wątpliwości, czy poradzi sobie tutaj w roli rodowitej Ziemianki.

Przejrzała zawartość małego plecaka, który nosiła ze sobą. Był w nim biokombinezon, schludnie złożony i skompresowany, a także broń: dwa noże i dwa małe miotacze. Pruit rozmontowała je na części, aby mniej rzucały się w oczy, zaś osobliwe kształty i w dużej mierze organiczna konstrukcja pozwoliły uniknąć wykrycia podczas kontroli.

Wcisnęła klingę w rękojeść, dopychając mocno, dopóki nie kliknęła zapadka. Potem zmontowała drugi nóż. Klingi zrobiono z białej twardotrzciny, która przewyższała wytrzymałością wiele metali. Ostrzyły się samoczynnie, złuszczając z krawędzi tnącej kolejne warstwy komórek w miarę, jak ulegały zniszczeniu. Trzonki wykonano z tego samego materiału, a kiedy Pruit połączyła je z ostrzami, spoina zarosła samoczynnie, zespalając elementy w jednolitą bryłę twardotrzciny. Jeden nóż przypięła sobie do prawej kostki, drugi przy żebrach pod prawym ramieniem.

Miotacze także były zrobione z twardotrzciny. Trzymało się je pod wewnętrzną stroną dłoni, z płaską kolbą wysuniętą na kilka cali wzdłuż przedramienia i umocowaną obręczą do nadgarstka. Lufa biegła wzdłuż spodniej powierzchni środkowego palca i była utrzymywana na obrączkach obejmujących palec wskazujący i serdeczny.

Jeden z miotaczy emitował laserową wiązkę o regulowanej mocy, drugi strzelał śmiercionośnymi pociskami z najtwardszej twardotrzciny, jaką potrafiono wyhodować na Herrodzie. Drugi miotacz budził w Pruit dyskomfort. Dorastając pod miejskimi kopułami, przywykła myśleć o broni palnej jak o czymś szalenie nieprzewidywalnym. Każdy kinlajski dzieciak miewał senne koszmary, w których rzucał czymś zbyt mocno w kopułę i później patrzył ze zgrozą na rozrastającą się szczelinę, słuchając syku radioaktywnego powietrza wsączającego się do miasta.

Ale tutaj każda z tych broni była odpowiednia – przypomniała sobie Pruit. Przypięła sobie miotacze: jeden do lewej kostki, drugi po lewej stronie klatki piersiowej – po przeciwnej stronie noża.

Sprawdziła endoskórę – w pełni aktywną, odkąd Pruit zdjęła biokombinezon. W tej chwili nie była widoczna, ponieważ wycofała się w głąb skóry, czekając na biologiczne zagrożenie w swoim otoczeniu, gotowa w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Pruit przesunęła palcem po dolnej powierzchni lewego przedramienia, aktywując panel kontrolny endoskóry. Jej komórki wyłoniły się z ciała i uformowały w mały ekran w odcieniach błękitu i czerwieni. Muskając go palcami prawej dłoni, zaczęła sprawdzać działanie endoskóry. Wszystko funkcjonowało jak należy.

Następnie założyła bawełniane spodnie, bawełnianą bluzkę i buty do biegania. Ubranie było dość luźne, by dobrze zakrywać broń, i okazało się nim całkiem wygodne.

Wyjęła z plecaka plik kenijskich banknotów. Aby zdobyć pieniądze, sprzedała kilka kawałków złota i srebra należących do wyposażenia jej zestawu surwiwalowego, a teraz musiała wymienić je na lokalną egipską walutę. Upchnęła pieniądze w kieszeni spodni, do drugiej wsunęła paszport.

Zamknęła za sobą drzwi kabiny i znalazłszy sobie miejsce pomiędzy kobietami, myjącymi ręce i poprawiającymi makijaż, przyjrzała się swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Jej rudobrązowe włosy zbiegały się potulnie z tyłu głowy w dwa nieduże, sięgające ramion warkocze. Miedziany kolor jej skóry nie był w tych stronach powszechny, ale też nie wyróżniał się szczególnie. Tylko jej błękitne oczy wyglądały niezwykle w zestawieniu z kolorem skóry, ale nie sądziła, aby to połączenie było na tyle osobliwe, aby zdradzić ją jako przybyszkę z innej planety.

Eddie stał przed strefą odprawy celnej lotniska w Kairze, patrząc przez barierki na wyłaniający się z punktu odbioru bagażu tłum pasażerów, którzy dopiero co przylecieli z Londynu. Jak na port lotniczy Trzeciego Świata, ten prezentował się całkiem przyzwoicie. Wybudowany w latach sześćdziesiątych XX wieku miał posadzkę wyłożoną kwadratami beżowo-szarego linoleum i oświetlenie z lamp wbudowanych w ściany, które ozdobiono abstrakcyjnym wzorem

przypominającym plaster miodu. Lotnisko było stosunkowo czyste, zaś bezpieczeństwa podróżnych strzegły setki żołnierzy w zawadiackich ciemnogranatowych mundurach, z karabinami maszynowymi przewieszonymi przez ramię. Z głośników dobywał się przyjemny kobiecy głos, który zapowiadał przyloty i odloty samolotów po arabsku, angielsku i francusku.

Eddie przyjechał z wykopalisk poprzedniego wieczoru i przenocował w Hiltonie Semiramis, wysokim, nowoczesnym hotelu, wyrastającym w aroganckim samozachwycie nad samym brzegiem Nilu. Długo rozkoszował się gorącym prysznicem, a rano ubrał się w odprasowane bawełniane spodnie, białą koszulkę z dżerseju i baseballówkę – wszystko niebiańsko świeże i pachnące, co bardzo doceniał po tygodniach spędzonych w obozie. Od pracy w słońcu ładnie się opalił i jego przystojna twarz kontrastowała z bielą koszulki. Zdawał sobie sprawę, że wygląda atrakcyjnie, i czerpał z tego satysfakcję. Przyjechał na lotnisko po dwoje archeologów, którzy mieli przyłączyć się do prac w świątyni. Jednym z nich był Gary Brewer, dobrze znany brytyjski egiptolog specjalizujący się w okresie Starego Królestwa obejmującym dynastie od trzeciej do szóstej. Towarzyszyła mu Amerykanka Julianne Malcosky, ekspertka od ewolucji egipskich wierzeń religijnych. To Julianne była powodem zgłoszenia się Eddiego na ochotnika do wykonania kursu na lotnisko. W ciągu minionych lat spotkał ją kilka razy na rozmaitych konferencjach egiptologicznych. Nie była z nikim związana – tak przynajmniej wynikało ze zgromadzonych przez niego informacji – i nabrał nadziei na przelotny romans podczas wspólnej pracy na wykopaliskach. Choć nie był typem kobieciarza, dzięki przystojnej aparycji nie narzekał na brak okazji do intymnych spotkań. Podziwiał piękne kobiety, sypiał z nimi, jeżeli nadarzyła się okazja, ale szybko męczyły go, jeżeli pod skórą brakowało im intelektualnej substancji. Julianne – o czym przekonał się podczas tych kilku rozmów, jakie z nią odbył – była błyskotliwa i energiczna. Wydawało mu się całkiem naturalne, że powinni się zejść.

Julianne dołączyła do tego lotu, przylatując z Nowego Jorku. Gary zaczął podróż w Londynie. Odprowadzając wzrokiem

kolejnych pasażerów przechodzących przez odprawę celną, Eddie zobaczył ich wreszcie, gdy wychodzili razem z punktu odbioru bagażu, ciągnąc za sobą wózki wyładowane górą walizek. Gary – co Eddie skonstatował z niejaką irytacją – był atrakcyjnym mężczyzną po czterdziestce. Co gorsza, para była całkowicie pochłonięta ożywioną rozmową. Zachowywali się tak, jakby rozmawiali od wielu godzin; być może nawet siedzieli razem w samolocie. Nietrudno było dostrzec – Eddie musiał to przed sobą przyznać – że mają się ku sobie.

Pomachał do nich, a oni podeszli, uśmiechając się szeroko. Nastąpiły prezentacje, a potem Eddie skinął na bagażowego, aby zabrał rzeczy przybyłych na zewnątrz.

– Masz jutro trzy spotkania w Gizie, Gary – powiedział Eddie. – Dlatego pomyślałem, że może przenocujemy tam dzisiaj i jutro, a na wykopaliska pojedziemy pojutrze, wszyscy razem.

– Brzmi nieźle – odpowiedział Gary, po czym wydał z siebie westchnienie zmęczonego życiem światowca i uśmiechnął się w sposób, jaki Eddie uznał za wstrętny i egoistyczny.

Julianne pomasowała Gary'emu ramię w kojącym geście. Eddie odwrócił się, by wyprowadzić ich z budynku terminalu prosto w popołudniowe słońce i podmuch żaru wiejący od strony pustyni. Czekali przy krawężniku, a Eddie przepatrywał stłoczone samochody w poszukiwaniu mikrobusu, który wynajął, by zawiózł ich do hotelu. Wyglądało na to, że kierowca został zmuszony do kolejnego okrążenia pętli dojazdowej lotniska.

Archeolodzy gawędzili z nim przez chwilę o wykopaliskach, ale szybko osunęli się z powrotem w rozmowę między sobą i zapomnieli o nim, kontynuując przyjacielską dysputę. Zły, że został przedwcześnie wyrolowany, Eddie wcisnął dłonie do kieszeni i wydał własne ołowiane westchnienie, koncentrując się na wypatrywaniu mikrobusu. Gdy toczył wzrokiem po trąbiących samochodach, pieszych taszczących bagaże oraz strażnikach przechadzających się wzdłuż murów, jego uwagę przyciągnęła dziewczyna, która kucała na chodniku, studiując rozpostartą przed sobą mapę. Na ramieniu niosła nieduży plecak.

Nie było w niej nic szczególnie niezwykłego, ale Eddie z jakiegoś powodu zatrzymał na niej wzrok na dłuższą chwilę, a wtedy zauważył błysk przy jej szyi. Był to wisiorek na skórzanym rzemyku. Ponieważ dziewczyna kucała pochylona do przodu, klejnocik wyśliznął się jej spod bluzki i teraz wisiał w powietrzu pod jej podbródkiem. Eddie poczuł, że nogi same niosą go w jej stronę. W wisiorku było coś osobliwie znajomego. Zbliżył się na kilka kroków, a wtedy, w nagłym olśnieniu, zrozumiał, dlaczego jest tak zaintrygowany. Dziewczyna miała na szyi jeden z kryształów. Lśniący klejnot był taki sam jak te, które ukradł z wykopalisk. Podszedł jeszcze bliżej i pozbył się wszelkich wątpliwości. Na szyi nieznajomej, na skórzanym rzemyku, wisiał mały, przejrzysty kryształ o pomarańczowym zabarwieniu, z dwoma ciemnymi pasmami koloru zatopionymi we wnętrzu. Eddie wstrzymał oddech. Stał teraz zaledwie dwa kroki od dziewczyny, która usłyszała go i podniosła nań wzrok.

Kiedy obróciła głowę, ujrzał kryształ bardzo wyraźnie, spoczywający na białym materiale jej bluzki. Nie był dokładnie taki sam jak te, które znalazł – teraz to widział. W tym pasma koloru były ciemnoniebieskie, nie ciemnozielone, a z jednego końca rozbiegała się siateczka pęknięć, jakby kiedyś został częściowo zmiażdżony. Jednak poza tymi drobnymi różnicami kamienie były identyczne.

Minęło kilka chwil, nim uświadomił sobie, że dziewczyna na niego patrzy. Szybko przeniósł wzrok z kryształu na jej twarz.

– Tak? – zagadnęła dziewczyna.

Wyglądała raczej egzotycznie ze swoją rzadką kombinacją brązowej skóry, niebieskich oczu i rudobrązowych włosów. Twarz miała ładną, albo dokładniej – jak pomyślał Eddie – uderzającą.

– Prze… praszam – bąknął Eddie, wpadając w lekki popłoch.

Aby usprawiedliwić jakoś swoje zainteresowanie, pochylił się nad mapą.

– Przepraszam, ale zauważyłem… Może mogę w czymś pomóc?

– Jadę tutaj, do Gizy. – Wskazała miejsce na mapie.

Przyglądając się uważniej, Eddie ujrzał, że dziewczyna trzyma dużą mapę topograficzną Egiptu z wyraźnie zaznaczonymi

poziomicami i małymi iksami w miejscach, w których powinny być zaznaczone kontury miast i osad. Tylko niektóre z iksów były podpisane, odręcznie, małymi literkami. Z całą pewnością nie była to mapa, jaką wziąłby ze sobą przeciętny turysta.

– Czy taksówka to najlepszy sposób, aby się tam dostać? – Dziewczyna dziwnie intonowała słowa, ale Eddie nie był w stanie umiejscowić jej akcentu.

– Och… – Gorączkowo próbował poukładać sobie w głowie myśli: o niej, o dziwnej mapie, o kryształach. – …a tak… tak. Taksówka będzie świetna.

– Dobrze.

Miała metr siedemdziesiąt kilka centymetrów wzrostu i nieco patykowatą figurę tancerki. Dźwignęła się na nogi i zaczęła rozglądać za taksówką. Eddie gorączkowo myślał, jak ją zatrzymać.

– Chce pani zobaczyć piramidy? – wypalił rozpaczliwie.

– Piramidy?

Ruszyła w stronę taksówki, poprawiając plecak na ramieniu.

– No… w Gizie – zająknął się Eddie, idąc za nią. – Wielka Piramida Cheopsa…

Dziewczyna wahała się przez króciutką chwilę, nim odpowiedziała:

– Tak, oczywiście.

– Eddie!

Eddie obejrzał się i zobaczył Julianne i Gary'ego, machających do niego rękami. Mikrobus nareszcie podjechał i archeolodzy ładowali do niego bagaże.

– Zaraz przyjdę!

Odwrócił się do dziewczyny, która otwierała już drzwi taksówki.

– My też jedziemy do Gizy – powiedział szybko zdecydowany nie dopuścić do jej odjazdu. – Zapraszam, niech pani pojedzie z nami. Mamy mnóstwo miejsca.

Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, a potem rozciągnęła usta w uśmiechu i pokręciła głową.

– Dziękuję, ale nie skorzystam.

Eddie zauważył, że jej mowa była teraz bardziej naturalna, bardziej jak jego własna.

– Wolę sama.

– Jasne, rozumiem. Nie zna mnie pani. – Cofnął się o krok, żeby mogła zamknąć za sobą drzwi. – Ale proszę posłuchać mojej rady i zatrzymać się w Mena House. To jedyny przyzwoity hotel w mieście, a Wielka Piramida jest zaraz naprzeciwko.

– Dziękuję.

– Naprawdę, proszę tam pojechać. Jest bardzo wygodnie.

Skinęła lekko głową, dając do zrozumienia, że kończy rozmowę, po czym pochyliła się, by wydać dyspozycje kierowcy. Jednocześnie jedną ręką wsunęła kryształ za bluzkę.

– Skąd pani ma ten wisiorek? – spytał Eddie, zanim zdążyła odezwać się do taksówkarza.

Dziewczyna odwróciła głowę.

– To podarunek.

– Czy jest bardzo stary?

– Tak. Bardzo.

Powiedziawszy to, dziewczyna pochyliła się ku kierowcy i mówiąc po arabsku, kazała mu zawieźć się do Gizy. Ale Eddie widział, że zdołał przykuć jej uwagę. Kiedy taksówka ruszyła, dziewczyna obejrzała się na niego i przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

Eddie odprowadzał samochód wzrokiem, dopóki nie znikł mu z oczu. Myślał o dziwnej dziewczynie, w której wyczuwał powagę, obcość oraz coś jednocześnie złego i dobrego. Otrząsnął się z zamyślenia, słysząc wołanie archeologów, i bez słowa wrócił do mikrobusu. Podczas gdy kierowca przeciskał się przez korki pod lotniskiem, Julianne i Gary wciąż gadali w najlepsze, siedząc tuż obok siebie mimo przestronnego wnętrza samochodu. Eddie nie zwracał na to uwagi.

Rozdział 25

Pruit siedziała na tarasie restauracji hotelu Mena House pod markizą w szerokie, biało-czerwone pasy. Było wcześnie i poza nią w restauracji nie było jeszcze nikogo. Z miejsca, w którym siedziała, rozpościerał się widok na betonowy chodnik, wiodący krętą ścieżką do budynku właściwego hotelu. Dalej widać było sam hotel, otoczony wysokimi palmami i trawnikami, zaś za nim, odcinając się trójkątnym masywem na tle nieba, wznosiła się Wielka Piramida Cheopsa.

Na stole przed nią leżał talerz z owocami i drugi z *ful medames*, egipską potrawą z bobu, która bardzo jej zasmakowała. Po tak długim pobycie na statku każde świeże jedzenie wydawało się jej niebiańskim przysmakiem. Na środku stołu rozłożyła swoje mapy. Jedząc, przyglądała się najdokładniejszej mapie rejonu celu, jaką dysponowała. Radiolatarnia znajdowała się gdzieś blisko jej obecnej lokalizacji, prawdopodobnie w sąsiedztwie piramidy.

Kiedy ten młody mężczyzna zagadnął ją lotnisku i wspomniał coś o Wielkiej Piramidzie, przypomniała sobie jak przez mgłę, że czytała coś o niej w materiałach dotyczących rejonu celu. Piramidy były, zdaje się, czymś w rodzaju pomników, ale nie przykładała do nich szczególnej wagi. Były dla niej tylko kolejnym z setek tysięcy obiektów związanych z Ziemią.

Jednakże poprzedniego wieczoru przeczytała o nich w hotelowej broszurze. Oceniano, że Piramidę Cheopsa wybudowano prawie pięć tysięcy lat temu, co znaczyło, że mogła powstać w czasie obecności w tych stronach zespołu badawczego. Tym samym piramida nabrała nowego znaczenia dla misji.

Pruit rozejrzała się, sprawdzając, czy wciąż jest sama na tarasie. Przekonawszy się, że tak, podciągnęła lewy rękaw i uruchomiła panel sterujący endoskóry. Komórki wyłoniły się ze skóry i uformowały ekran. Pruit manipulowała nim przez chwilę i wkrótce otrzymała dokładne współrzędne swojego położenia uzyskane przez

ostrzelanie rozmaitych ziemskich satelitów falami radiowymi i mierzenie parametrów odbitego od nich sygnału.

Porównała wynik ze współrzędnymi z mapy. Następnie spojrzała na piramidę i oszacowała dystans. Coś przyszło jej do głowy.

Sięgnęła pod bluzkę i wyjęła swój miotacz laserowy. Umocowawszy go pod prawą dłonią, kciukiem przestawiła pokrętło długości fali na najwyższą nastawę: promieniowanie podczerwone. W tym zakresie miotacz mógł pracować jako dalmierz, emitując wiązkę fal elektromagnetycznych, a następnie odbierając wiązkę odbitą od celu, by na podstawie opóźnienia jej powrotu obliczyć odległość. Ruchem małego palca Pruit uruchomiła detektor fali odbitej.

Spoglądając wzdłuż ręki, wycelowała lufę w czubek piramidy. Strzeliła. Niewidzialny promień podczerwieni o niewielkiej mocy wystrzelił z miotacza, uderzył w kamienną ścianę i odbitą falą powrócił do odbiornika – wszystko w ułamku sekundy. Pruit spojrzała na wyświetlacz miotacza. Podał jej dokładny dystans dzielący ją od piramidy oraz wektor strzału pomiarowego. Naniosła dane na mapę. Linia, którą na niej wykreśliła, kończyła się dokładnie w miejscu celu.

Radiolatarnia nie znajdowała się w pobliżu Wielkiej Piramidy. Radiolatarnia była Wielką Piramidą. Pruit uśmiechnęła się, myśląc o starym porzekadle ostrzegającym przed rzeczami tak oczywistymi, że aż trudnymi do dostrzeżenia. Pomimo wypadku z lądownikiem jej misja posuwała się naprzód całkiem sprawnie.

Omiotła wzrokiem chodnik przed restauracją i na widok mężczyzny zbliżającego się od strony hotelu szybko wsunęła miotacz do kabury pod pachą. Po chwili rozpoznała go: był to ten sam człowiek, który rozmawiał z nią wczoraj na lotnisku. Uśmiechnęła się kącikiem ust – miała nadzieję, że znów go zobaczy. Po jego pytaniach o kryształ zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie mógł mieć jakichś informacji o technice starożytnych Kinlai pozostawionej przez nich na Ziemi. Ukradkiem zdjęła z szyi kryształowy wisiorek i wsunęła go do głębokiej kieszeni spodni. Postanowiła, że poczeka i przekona się, czy mężczyzna znów o niego zapyta.

Mężczyzna podszedł do jej stolika z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Miałem nadzieję, że skorzysta pani z mojej rady i zatrzyma się tutaj – powiedział. – Czy miałaby pani coś przeciwko temu, gdybym dotrzymał jej towarzystwa przy śniadaniu?

– Ależ skąd. – Wskazała mu krzesło przy swoim stoliku.

Mężczyzna wyciągnął ku niej dłoń.

– Jestem Eddie – przedstawił się.

– A ja Pruit – odpowiedziała Pruit.

Uścisnęli sobie dłonie. Eddie wszedł do restauracji, aby zamówić śniadanie, a potem wrócił do niej. Spostrzegła, że zerka jej na szyję, na której nie było już kryształu. Nie była w stanie określić, czy powodowała nim podejrzliwość, czy zwyczajna ciekawość. Tak czy owak, jego zainteresowanie jej osobą nie było w najmniejszym stopniu podszyte chęcią flirtu. Nie bardzo wiedziała, co ma o nim myśleć.

Po wymianie standardowych grzeczności, Eddie przeszedł do rzeczy.

– Jestem dziś wolny do popołudnia. Nie miałabyś ochoty na wycieczkę po Wielkiej Piramidzie? Jestem wyśmienitym przewodnikiem.

Już miała odmówić, ale powstrzymała się. Przewodnik znający piramidę mógł się jej przydać, a ona chciała się przekonać, czy Eddie miał cokolwiek do powiedzenia o jej krysztale. Gdyby później uznała jego towarzystwo za niepożądane, nie spodziewała się mieć żadnych trudności z pozbyciem się go.

– W porządku.

Godzinę później Pruit i Eddie byli na Płaskowyżu Gizy, spłachetku pustyni, na którym stały trzy ogromne piramidy i całe miasto innych budowli sepulkralnych. Stanęli pod Wielką Piramidą, mrużąc oczy w blasku porannego słońca. Wznosiła się ponad nimi mozaiką brązowych, zwietrzałych bloków, chylącą się łagodnie w górę i w dal, aż do szczytu, gdzie spotykały się ze sobą jej cztery ściany.

Wciąż było wcześnie i pod piramidą stała tylko garstka tubylców w wyświechtanych bawełnianych galabijach rozglądających się za turystami, by wciskać im pocztówki i pamiątkowe błyskotki. Nieco

dalej czekali poganiacze z wielbłądami i końmi, sprzedający przejażdżki na swoich zwierzętach. Nieopodal przemknął oddział policjantów patrolujących Płaskowyż Gizy na wielbłądach.

Strażnicy piramidy nosili białe wojskowe mundury i karabiny maszynowe. Trzej z nich zaczęli odpędzać ich gestami.

– Zamknięte – oznajmił jeden z nich.

– Dlaczego? – zainteresował się Eddie.

– Zamknięte – powtórzył strażnik, nie potrafiąc wyjaśnić przyczyny po angielsku.

– Dlaczego zamknięte? – zapytał Eddie łamaną arabszczyzną.

Mężczyzna odpowiedział krótkim zdaniem, z którego Eddie zrozumiał tylko pojedyncze słowa. Pruit dostrzegła jego konfuzję i zaoferowała swoje tłumaczenie.

– Mówi, że jest zamknięte z powodu badań sejsmicznych.

– Mówisz po arabsku?

– Tak – odpowiedziała Pruit i zwróciła się do strażnika. – Dlaczego akurat sejsmicznych?

– Podobno był jakiś słaby wstrząs parę tygodni temu – powiedział mężczyzna, przyjemnie zaskoczony tym, że cudzoziemka mówiła jego językiem, i to z jedynie najsłabszym śladem obcego akcentu.

Turyści tak rzadko zawracali sobie głowę poznawaniem miejscowej kultury. Dla tak świetnej arabszczyzny był gotów nawet wybaczyć jej pokazywanie się z odkrytą głową.

– Piramida zadrżała. Nic się nie uszkodziło, ale pan Hawass, szef tego miejsca, musi myśleć o bezpieczeństwie.

Pruit poczuła ukłucie ekscytacji. Skoro piramida zadrżała kilka tygodni temu, przyczyną mogła być jej transmisja z Jowisza, co potwierdzałoby, że Wielka Piramida rzeczywiście jest radiolatarnią. Przekazała Eddiemu słowa strażnika.

– Drżenie? – zdumiał się Eddie. – Stoi tu od pięciu tysięcy lat. Czym oni się martwią?

Pruit wzruszyła ramionami.

– Mówi, że chodzi o bezpieczeństwo. Ale ja się nie boję. Nadal chciałabym tam wejść. Możemy spróbować ich przekupić?

– Zawsze.

Eddie zmierzył strażników wzrokiem. Pomimo oficjalnych mundurów i niemałej siły ognia była to generalnie raczej wyluzowana zgraja. Wyszkolenie mieli minimalne, podobnie jak żołd, dlatego byli otwarci na negocjacje, dopóki postrzegali je jako niewinne w swojej intencji.

– Powiedz mu, że bylibyśmy dozgonnie wdzięczni, gdyby znalazł sposób na wpuszczenie nas do środka – powiedział Eddie, a Pruit przetłumaczyła. – Przybyliśmy z tak daleka, że byłoby to dla nas naprawdę wiele warte…

Eddie przeprowadził Pruit przez rytuał bakszyszu. Choć ludzie Zachodu zwykle nie odróżniali bakszyszu od łapówki, Eddie zdawał sobie sprawę z dzielących te dwa pojęcia subtelnych różnic. Bakszysz był po prostu kwotą pieniędzy wręczaną jako jałmużna albo w wyrazie wdzięczności za wyświadczoną przysługę. Był to niezbędny smar maszynerii ludzkich spraw w Egipcie i większej części Bliskiego Wschodu. Po wielu grzecznych odmowach strażnika ustalono kwotę na czterysta funtów egipskich, zaś Pruit i Eddie zostali zaproszeni do powrotu w porze lunchu, kiedy inni pracownicy będą mniej czujni.

Zgodnie z umową w samo południe Pruit i Eddie zostali pośpiesznie wprowadzeni po stopniach wykutych w dolnej części fasady Wielkiej Piramidy do wejścia wybitego w jej zewnętrznej ścianie przez kalifa Bagdadu Al-Mamuna w dziewiątym wieku naszej ery. Przeszli między dwoma strażnikami siedzącymi po obu stronach niewielkich drzwi. Żołnierze tylko obejrzeli się za nimi bez słowa, już wcześniej zniechęceni do zadawania pytań stosowną częścią bakszyszu.

Potem Eddie i Pruit wstąpili do wnętrza piramidy i zostali sami. Na twarzy dziewczyny malowało się pełne napięcia oczekiwanie – Eddie widział to wyraźnie. Sam też był spięty, chociaż był w piramidzie już wiele razy. Niski strop zmusił ich do pochylenia głów. Jeszcze kilka kroków i opuścili strefę światła dziennego, wkraczając w żółty blask lamp, umocowanych wzdłuż ścian.

– To nie jest oryginalne wejście – wyjaśnił Eddie, gdy szli wąskim przejściem w stronę skrzyżowania korytarzy wstępującego i zstępującego.

Choć urząd turystyczny utrzymywał piramidę w czystości, na posadzce zalegał zgrzytliwy pył i piasek, wdmuchiwany codziennie przez pustynny wiatr. Ale im bardziej oddalali się od wejścia, tym było go mniej.

– Oryginalnym wejściem jest to, które widziałaś powyżej na ścianie. W czasach przedmuzułmańskich piramida była całkowicie zakryta białą, wapienną powłoką i nikt nie wiedział, gdzie są drzwi.

Przez kilka chwil szli w milczeniu, po czym Eddie odezwał się znowu.

– Ten kryształ, który miałaś wczoraj na szyi… Mówiłaś, że skąd go masz?

– Dostałam w prezencie.

– Od rodziny? – spytał.

– Tak, od rodziny. Czemu pytasz?

Czy on mógł coś wiedzieć o technice Kinlai? Może po prostu interesował się kryształem ze względu na jego nietypowy wygląd. Trudno było to stwierdzić.

– Jestem po prostu ciekawy. Wiesz, skąd pochodzi?

– Nie pytałam.

Po tych słowach Eddie porzucił temat. Dotarli do skrzyżowania korytarzy, w którym prawie mogli się wyprostować.

– Kiedy piramida wciąż była wyłożona wapieniem, na zewnątrz była doskonale gładka i śnieżnobiała – powiedział Eddie. – Wyobrażasz sobie, jak piękna musiała być?

– Doskonale geometryczna.

– Dopasowana nawet do osi Ziemi i czterech stron świata.

Pruit uśmiechnęła się i pokiwała głową. Jako radiolatarnia budowla prezentowała się nieco okazalej, niż się spodziewała. Wyglądało na to, że zespół badawczy nie robił niczego na pół gwizdka.

– Jak wiadomo, wapienną okrywę rozkradziono, aby wykorzystać kamienie przy budowie muzułmańskiego Kairu, ale piramida wytrwała w swojej pierwotnej postaci przez prawie cztery tysiące lat.

Zanurkował w wylot korytarza wstępującego, wspinającego się pod sporym kątem w głąb piramidy. Wysokość stropu nie

przekraczała tu czterech stóp i znów musieli pochylić się nisko, uważając, by nie rozbić sobie głów. Szli po drewnianej pochylni z przybitymi poprzecznymi listwami, poprawiającymi oparcie dla stóp. Nie było tu nic do oglądania poza nagimi ścianami oraz ich własnymi stopami, stąpającymi miarowo po deskach. Korytarz ciągnął się w górę zdawałoby się bez końca, niewygodny, zmuszający do wspinaczki w nieprzyjemnie przygarbionej pozycji. Wreszcie dotarli do końca. Wspiąwszy się po krótkich metalowych schodkach zamontowanych przez urząd turystyki, weszli do Wielkiej Galerii.

– Łał… – wyrwało się Pruit, kiedy weszła do galerii i spojrzała w górę na wznoszące się nad nimi kamienne ściany.

Po raz pierwszy znalazła zastosowanie dla tego slangowego słowa i pomyślała, że całkiem nieźle pasuje do sytuacji. Po ich obu stronach piętrzyły się ciągi wapiennych monolitów. Każdy kolejny ciąg był przesunięty względem niższego, tworząc nad nim nawis, przez co ściany zbiegały się schodkowo ku górze, aż do wąskiego stropu prawie trzydzieści stóp ponad posadzką. Galeria biegła w górę, prowadząc do samego centrum piramidy. Deski pochylni dla turystów umocowano tu na kamieniach tak gładkich, że niemal błyszczących.

– Ile ważą te bloki? – spytała, przyglądając się ścianom.

– Niektóre nawet dwieście ton.

Ruszyli w górę pochylni.

– Wiadomo, jak to zrobili? – spytała po chwili.

Miała już kilka własnych pomysłów. Można to było zrobić, na przykład, za pomocą twardotrzciny, choć z drugiej strony twardotrzcina nie przypominałaby tak bardzo naturalnej skały.

– Jest wiele teorii: tysiące niewolników toczących bloki na pniach drzew; spławiających je rzeką, a nawet używających gigantycznych latawców do transportowania ich z kamieniołomów na plac budowy. Jednak w środowisku naukowym panuje coraz silniejszy konsensus co do tego, że tak naprawdę nie wiemy, jak zbudowano piramidy.

Po kilku minutach nieśpiesznej wspinaczki z zadartymi głowami dotarli do szczytu Wielkiej Galerii i odwrócili się, by spojrzeć w dół,

w jej głąb. Galeria była imponującą budowlą z każdego punktu widzenia; osiągnięciem inżynieryjnym, jakie pod wieloma względami pozostało niedoścignione nawet na nowoczesnej Ziemi. Było to – jak pomyślała Pruit – brakujące ogniwo w historiach zarówno Ziemi, jak i Herroda. Czy tamten śpiący naprawdę żył? A może raczej rozmawiała z jakimś prastarym programem komputerowym? Czy wciąż istniał ktoś, kto pamiętał, co się tu wydarzyło prawie pięć tysięcy lat temu?

Eddie odczekał chwilę, pozwalając Pruit chłonąć widok, a potem skinął na nią i zanurkował w niskim pasażu łączącym wylot galerii z Komorą Królewską. Kiedy znów się wyprostowali, znajdowali się w przestronnym pomieszczeniu zbudowanym z gładkościennych monolitów, pustym, jeżeli nie liczyć kamiennego sarkofagu na przeciwległym końcu. Ściany były z różowawego granitu, podkolorowanego punktowo żółtym blaskiem lamp. Strop tworzyło dziewięć gigantycznych bloków. Pruit i Eddie wiedzieli, że znaleźli się w samym centrum piramidy.

– Witam w sali echa – powiedział Eddie.

Podczas gdy mówił, jego głos rozdźwięczał się donośnie, zwielokrotniony tysiącem odbić, które nakładały się na siebie, wcześniejszymi słowami zakłócając te, które wypowiedziano później. Pruit spojrzała w górę i potoczyła spojrzeniem po ścianach, uświadamiając sobie, że specjalnie skonstruowano je tak, aby działały w ten sposób na dźwięk. Nawet teraz, odarta z kamiennej okrywy nadającej jej gładkość, splądrowana i uszkodzona licznymi włamaniami, radiolatarnia wciąż spełniała funkcję, do której została stworzona.

– To niezwykłe – powiedziała cicho Pruit, a jej szept rozszumiał się echami w komorze.

Eddie podszedł do sarkofagu. Korzystając z tego, że jej towarzysz jest odwrócony, Pruit wyjęła z kieszeni niewielkie urządzenie, okrągłe i płaskie, mierzące jakieś trzy cale średnicy. Był to minitransmiter. Jeszcze na statku nastawiła go na częstotliwość radiolatarni zespołu badawczego, zaś poprzedniego wieczoru zaprogramowała przyrząd tak, aby nawiązał kontakt z radiolatarnią i zażądał od niej pewnych informacji.

Spojrzała na transmiter i zaczęła przewijać kolejne obrazy na wyświetlaczu, upewniając się, że wszystko jest w porządku.

– Pruit?

Obejrzała się, skrywając transmiter w lewej dłoni. Eddie siedział w sarkofagu i patrzył na nią.

– Wszedłeś do grobu?

– Nie wydaje mi się, żeby to był grób – odpowiedział. – Nikt nigdy nie odnalazł zwłok. Posłuchaj.

Położył się na wznak wewnątrz sarkofagu i poczekał, aż umilkną echa jego ostatniego słowa. Kiedy zapadła cisza, zaczerpnął powietrza i zaintonował przeciągłe, basowe om, tocząc dźwięk ciężko, jakby z głębin własnych trzewi. Pruit słuchała, jak nuta odbija się od ścian i całe pomieszczenie zaczyna wibrować głuchym pomrukiem. Pogłos trwał jeszcze wiele sekund po tym, jak Eddiemu zabrakło tchu.

Eddie usiadł w sarkofagu.

– Na zwykłej wycieczce nie pozwalają tak robić. Chcesz spróbować?

Zawahała się, ale po krótkiej chwili skinęła głową.

– Dobrze.

Eddie zeskoczył na podłogę, a Pruit wspięła się do sarkofagu, wciąż ściskając w dłoni transmiter. Położyła się na chłodnym, prastarym kamieniu, czując pył na swoim ubraniu i magię piramidy. Czekała, aż zapadnie cisza. Eddie odsunął się o kilka stóp i zamknął oczy, by słuchać. Pruit straciła go z oczu.

– Ommmmm – zaśpiewała, obniżając głos tak samo, jak robił to Eddie.

Słyszała jak dźwięk wybiega i wraca, wybiega i wraca, raz za razem. Piramida łapała jej głos i powtarzała, odbijając w górę i w dół przez pięć komór, spiętrzonych jedna nad drugą ponad Komorą Królewską, by wreszcie posłać z powrotem do pomieszczenia na dole. Pruit nasłuchiwała, a kiedy fale dźwięku zaczęły słabnąć, wdusiła kciukiem przycisk transmitera, wydając mu rozkaz wysłania komunikatu.

Transmiter nawiązał kontakt i przekazał polecenia piramidzie, ta zaś, odbierając rozkazy na właściwej częstotliwości, przyjęła je

pomiędzy swoje mury, wypełniła nimi swoje kamienne wnętrze, a potem wzmocniła i posłała dalej.

Pruit poczuła, że piramida zadygotała. Nie, to nie był dygot; drżenie raczej, jakby budowla wzdrygnęła się, przeszyta dreszczem i wydała potężne westchnienie – westchnienie każdego z kamiennych bloków, które przyłączyły się do transmisji.

– Jezu! – Pruit usłyszała okrzyk Eddiego.

Spojrzała na transmiter. Urządzenie zadało pytanie, a potem odebrało odpowiedź. Na jego maleńki wyświetlacz wypłynął nowy zestaw współrzędnych – lokalizacja miejsca, gdzie schronili się śpiący.

Usiadła w sarkofagu i spojrzała na Eddiego. Stał na środku komory na ugiętych nogach i z lekko rozpostartymi rękami, jakby szykował się do balansowania, pewien, że piramida za chwilę zacznie się walić.

– Jezu… – stęknął jeszcze raz i podniósł wzrok na Pruit. – Co to było?

– Nie wiem. – Próbowała przywołać na twarz wyraz zatroskania. – Nie powinniśmy wyjść?

Po ich pośpiesznym odwrocie z wnętrza Wielkiej Piramidy Eddie zdołał ustalić, pod jakim numerem zatrzymała się jego nowa znajoma, a kiedy Pruit poszła popływać w hotelowym basenie, przekupił pokojówkę, aby wpuściła go do jej pokoju. Miał nadzieję spędzić tam najwyżej pięć minut, minęło jednak prawie pół godziny, nim wreszcie stamtąd wyszedł.

Rozdział 26

Rok 2600 p.n.e.
Siódmy rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Jest moim dobrym przyjacielem oraz szlachetnym dżentelmenem.

William Szekspir *Tymon Ateńczyk*

Jeszcze możesz zmienić zdanie, Lew – powiedział Inżynier.

On, jego żona i Lew stali w jasnej, chłodnej hali, która służyła Inżynierowi za obozowy warsztat. Był to budynek z zielono-czarnego diorytu, pięknego kamienia, który wydawał się jarzyć w blasku słońca. Ściany i strop zostały wyhodowane na miejscu przez Inżyniera, który potrafił nakłonić kryształy minerałów, aby w ciągu dni urosły do rozmiarów, na jakich osiągnięcie w naturze potrzebowałyby setek tysięcy lat. Dach opierał się na czterech kamiennych słupach stojących w narożach ścian, dzięki czemu pod stropem otwierała się szeroka szczelina. Wpadało przez nią dość słonecznego światła, by zapewnić komfort pracy, zaś ciemny kamień utrzymywał pomieszczenie w chłodzie.

– Nie, nie zmienię – powiedział Lew, sprawdzając załadowane drewniane skrzynie, poustawiane wzdłuż ściany. – Mam żonę. Wkrótce będziemy mieć dzieci.

– Znajdzie się dla niej miejsce. – Inżynier pakował zestawy kryształów pamięci do miękkich, skórzanych teczek. – Biolog i Rączka wciąż nie potwierdzili, że wybierają się z nami. Będą wolne komory.

– Zabierz ją ze sobą do domu – powiedziała Lekarka. – Wychowajcie wasze dzieci na Herrodzie.

Lew spojrzał na swoich przyjaciół. Inżynier wyglądał bardziej krzepko i zdrowo, niż kiedy przybyli na Ziemię. Minionych siedem

lat poświęcił projektom, które poprawiały ich jakość życia w Egipcie. Nadzorował budowę – a może należałoby powiedzieć: hodowlę – tuzina pięknych budynków w obozie. Jego kasztanowe włosy urosły, a skóra zbrązowiała, podobnie jak u jego żony. Oboje wyglądali prawie jak tubylcy.

Minęło pięć lat, odkąd odebrali ostatnią wiadomość z domu – wiadomość informującą ich, że ratunek musi poczekać. W ciągu tego czasu wiara Inżyniera w nieuchronne przybycie statku z ekipą ratunkową pozostała niezachwiana; uzupełniło ją jednak przekonanie, że zanim to nastąpi, upłynie bardzo dużo czasu.

– Moja żona i ja mamy życie tutaj – powiedział Lew. – Moje dzieci będą Ziemianami. Nie boli mnie już, że nigdy więcej nie ujrzę Herroda. Mój dom jest tutaj.

Inżynier spojrzał na Lwa, swojego najbliższego przyjaciela na tej najdłuższej z wypraw.

– Podziwiam twoją postawę. Byłoby łatwiej, gdybym czuł to samo co ty, ale z jakiegoś powodu mnie ciągnie z powrotem – powiedział z uśmiechem, a potem objął ramieniem Lekarkę. – Chcemy stanąć razem na Latarniowym Wzgórzu o wschodzie słońca. Tam się jej oświadczyłem. Nawet jeśli zastaniemy tam zupełnie inny świat, w którym po naszym pokoleniu nie ma już nawet śladu, chcemy być w domu. Pierwszy zostawił na Herrodzie żonę i syna. Jak moglibyśmy nie wrócić.

– Rozumiem wasze motywy. Gdybym nie miał żony, zapewne poszedłbym z wami.

– Czy przynajmniej poprowadzisz ze mną transportowiec podczas przenosin do bunkra? Ostatni wspólny projekt?

– Nie wydaje mi się to rozsądne.

– Dlaczego? – zdumiał się Inżynier.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli nie będę znał lokalizacji bunkra. Myślę, że nikt nie powinien jej znać.

– Lew, powierzylibyśmy ci własne życie bez chwili wahania – powiedziała Lekarka.

– Tak, wiem – odparł Lew. – A ja zrobiłbym wszystko, aby nie zawieść waszego zaufania, ale nie tylko mnie musimy brać tu pod uwagę.

Lew utrzymał spojrzenie Inżyniera, prosząc w duchu, aby ten zrozumiał go bez dodatkowych wyjaśnień. Inżynier skinął głową.

– Ach, twoi rodzice – wycedził powoli. – Nigdy nie podjęliby działań, które naraziłyby nas na niebezpieczeństwo, Lew. Jestem o tym przekonany. Kapitan bardzo poważnie podchodzi do swojej obietnicy wybudowania wieży transpondera. Pomogłem mu nawet wybrać projekt. Nie zawiedzie mnie. Znam go wystarczająco dobrze, by wiedzieć to na pewno.

– Chciałbym nie mieć wątpliwości, jak ty, Inżynierze, ale mam. Już nie wiem nawet, co mam myśleć o motywach jego działań. Ani jej. Zupełnie jakby środek ich osobowości przesunął się i przestała ich obowiązywać zwykła logika postępowania.

Inżynier i jego żona uśmiechnęli się.

– Jest trochę tak, jak mówisz. – Lekarka kiwnęła głową. – Czy to prawda, że syn królowej jest twoim przyrodnim bratem?

Kapitan żył w coraz większym i większym oddaleniu od reszty zespołu w obozie. W ostatnich czasach większość dotyczących go informacji, jakimi dysponowali jego dawni koledzy, pochodziła z plotek.

– To prawda – powiedział Lew. – Nazywa się Chufu. Obawiałem się, że stanie się celem ataków innych książąt, ale oni powitali go z radością jako boski przydatek do rodu.

Wypowiedział te słowa tonem zdumionego sprzeciwu. Inżynier pokiwał głową.

– Kiedy byliśmy jeszcze na Herrodzie i dopiero planowaliśmy tę wyprawę, potrafiłbyś sobie wyobrazić twojego ojca w jego obecnej sytuacji? Był wówczas takim zasadniczym człowiekiem, rasowym bohaterem. Świat zjawisk fizycznych jest czymś, co rozumiem, Lew. Ludzkie zachowania to zupełnie inna para kaloszy.

– Na to wygląda.

– Ale głęboko wierzę, że Kapitan dotrzyma danej mi obietnicy – powiedział Inżynier.

– To dobrze – odpowiedział Lew. – A ja zostanę i dopilnuję, aby twoja wiara była uzasadniona.

Inżynier uśmiechnął się.

– Doceniam to.

Potoczył wzrokiem wokół siebie. Kryształy i narzędzia były już zapakowane, podobnie jak wszystkie rzeczy, których potrzebował, aby wyposażyć tak zwany bunkier.

– Poproszę Mechanika, żeby wziął ludzi i zaczął przenosić to wszystko do transportowca.

Na te słowa Lew przypomniał sobie o kolejnej kwestii.

– Inżynierze – powiedział powoli. – Jak dalece ufasz Mechanikowi?

– W jakim sensie?

– Czy uważasz, że jest dobrym człowiekiem?

– Nie wiem – odpowiedział Inżynier po chwili namysłu. – Jest niechlujny w sposób, który może okazać się groźny. Ale jeśli go dobrze przycisnąć, robi, co do niego należy.

– Myślę, że nie to jest w nim najgorsze – powiedział Lew.

– Jest bardzo skryty – zauważyła Lekarka. – Nie mówi zbyt wiele, a ludzie mylą to z posępnością.

– Czy to na pewno pomyłka?

– On jest nieśmiały, Lew. Zawsze żył w cieniu Kapitana.

– Cień Kapitana – mruknął Lew. – Celnie to ująłeś. Zawsze niewidoczny, szepczący do ucha…

– O czym ty mówisz? – zmarszczył brwi Inżynier.

Lew przeczesał dłonią swoją długą, jasną grzywę i westchnął głęboko.

– Nie ufam mu – powiedział twardo. – I nie chodzi o jego niechlujstwo, niekompetencję czy nieśmiałość. On zawsze… czai się. Słucha, co mówią inni. Myślę, że nie ma dobrych zamiarów. Jakby zależało mu na skłóceniu ludzi. I zdobyciu władzy nad sytuacją.

– Mówisz jak stary, zgorzkniały plotkarz! – powiedziała Lekarka.

– To samo powiedziała mi żona – uśmiechnął się Lew, ponieważ wiedział, że naprawdę brzmi jak plotkarz.

Jednak pod uśmiechem skrywał frustrację. Jego przeczucia nie były łatwe do uzasadnienia, a jednocześnie czuł, że to bardzo ważne, aby przyjaciele dobrze go zrozumieli.

– Pomyślcie o naszym pobycie w tym miejscu. Kiedy dochodziło do sporów, czy nie było tak, że Mechanik zawsze był w nie jakoś zaangażowany?

Inżynier zamyślił się na chwilę. Potem powoli zaczął mówić:

– Możesz mieć rację. Rzeczywiście często był zamieszany w kłopoty.

– Nie jest nas zbyt wielu – zauważyła Lekarka. – Wszyscy jesteśmy zamieszani we wszystko w mniejszym lub większym stopniu. Słuchaj, Lew, zdaję sobie sprawę, że raczej trudno go lubić, ale czy aby na pewno opierasz swoje przeczucia na faktach?

Z twarzy Lwa odpłynęła resztka animuszu, podobnie z jego głosu.

– Nie ufam mu i myślę, że wy też nie powinniście. W bunkrze będzie was tylko garstka, stłoczonych razem w jednym miejscu. W bardzo realnym sensie będziecie musieli polegać na sobie nawzajem. Kryształy, które zabieracie ze sobą, mają niewyobrażalnie wielką wartość w tym prymitywnym świecie. To silna pokusa. Ja zostaję i dopilnuję, żeby mój ojciec jej nie uległ, ale mam poważne wątpliwości, czy Mechanik zasługuje na to, aby znaleźć się w waszej grupie.

Oboje spojrzeli na niego ze zdumieniem. Lekarka wyglądała na wstrząśniętą jego słowami.

– My nie… Przecież nie możemy po prostu go zostawić – powiedziała cicho. – Już mu powiedzieliśmy, że jest dla niego komora…

– Czy to ważne? – rozłożył ręce Lew. – To od was zależy, kogo weźmiecie ze sobą. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek protestował przeciwko wykluczeniu akurat Mechanika.

Zapadła grobowa cisza. Po kilku chwilach myślenia Inżynier pokręcił głową.

– Nie sądzę, by on był aż tak zły, jak go malujesz, Lew. Mogę go pilnować. Nie będzie miał szansy, żeby nam zaszkodzić.

Lew przyglądał się ich twarzom w poczuciu bezradności, żałując, że nie ma żadnych konkretnych dowodów, które mógłby im przedstawić. Nie miał prawie nic, oprócz złych przeczuć.

– No dobrze – westchnął po dłuższej chwili. – W takim razie mam coś, co chciałbym wam dać.

Poszperawszy w kieszeni spodni, wydobył stamtąd mały prostokąt. Wręczył go Inżynierowi.

Urządzenie miało mały krystaliczny wyświetlacz, na którym jarzyła się mała kropka. Był to monitor nadajnika lokalizacyjnego. Kropka poruszała się powoli na tle mapy najbliższej okolicy. Inżynier pomanipulował suwakami z boku i mapa zmieniła skalę, pokazując najpierw znacznie większy rejon, a potem cały Egipt.

– Lokalizator? – spytał Inżynier.

– Jest w karku Mechanika – wyznał Lew. – Kilka lat temu uśpiłem go i wszczepiłem mu to osobiście.

Zauważył, że Lekarka i Inżynier porozumieli się spojrzeniem, i szybko ciągnął dalej.

– Ja po prostu… pomyślałem, że to dobry pomysł, by mieć go na oku. Ale teraz zostało tylko kilka tygodni, zanim odejdzie razem z wami. Weźcie to. Uważajcie na niego. Pilnujcie, czy nie robi czegoś dziwnego.

– A co mógłby zrobić? – Oboje patrzyli na niego takim wzrokiem, jakby bali się, że oszalał.

– Po prostu nie ufajcie mu całkowicie, dobrze? – Głos Lwa zdradzał desperację.

– W porządku, Lew – powiedział Inżynier, wsuwając wyświetlacz do kieszeni. – Jeżeli taka jest twoja rada, wezmę ją sobie do serca.

Lew uśmiechnął się i z ulgą poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Świetnie.

Rozdział 27

Rok 2600 p.n.e.
Siódmy rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Czterostopowe fale miarowo kołysały statkiem. Słońce częściowo przesłaniała cienka warstwa wysokich chmur. Biolog była na rufie w małej prywatnej kajucie, którą dzieliła z Rączką.

Rączka stał przy wioślarzach, wypatrując punktów nawigacyjnych na wybrzeżu. Był specjalistą wielu różnych dziedzin, od procesów zachodzących w atmosferze po interakcje ludzi z ich środowiskiem. Znał się na wszystkim i właśnie dlatego w zespole badawczym nazywano go Złotą Rączką.

Był to ich drugi tydzień na pokładzie. Balansując w przejściu pomiędzy rzędami wioślarzy, Rączka omiatał wzrokiem brzeg. Zabrał ze sobą na statek całą kolekcję map, większość wygenerowanych przez „Zwycięzcę", gdy zbliżali się do Ziemi. W tej chwili korzystał z mapy Morza Śródziemnego. Żeglowali na zachód wzdłuż południowego brzegu, kierując się ku cieśninie, która miała wypuścić ich na wielki ocean.

Statek był świetnie zaprojektowany. Egipcjanie byli znakomitymi szkutnikami i Rączka – od dzieciństwa zapalony żeglarz amator – wprowadził tylko kilka drobnych usprawnień. Ich jednostka wykorzystywała zarówno wiosła, jak i żagle, co zapewniało jej stałą mobilność.

Rączka odszukał punkt nawigacyjny i zaznaczył pozycję statku na mapie. Za kilka godzin sprawdzi ją ponownie. Dopilnował zmiany drużyn wioślarzy, a potem przeszedł na rufę i wszedł do kajuty, gdzie Biolog drzemała na ich maleńkiej pryczy. Przypiął mapę na jej miejscu nad małym sekretarzykiem i przyglądał się jej jeszcze przez

chwilę, w myśli szacując czas pokonania kolejnych etapów podróży. Robili szybkie postępy.

On i Biolog stracili wiarę w Kapitana już przed wielu laty. Ostatnio, podczas gdy inni przygotowywali się do hibernacji, postanowili, że urządzą sobie życie na Ziemi najlepiej, jak potrafią, i tak daleko od Kapitana, jak to tylko możliwe. Statek był pomysłem Biolog, a Rączka zgodził się bez wahania. Wyprawa była niebezpieczna, to jasne, ale kto się przejmował jeszcze takimi drobiazgami? Znaleźli się w wyjątkowej sytuacji, pozwalającej im na życie wyłącznie dla dreszczu nowej przygody. Przy znacznych umiejętnościach medycznych Biolog – wyszlifowanych do rangi sztuki przez siedem lat pomagania ludziom mimo prymitywnych zasobów – oraz wiedzy Rączki o technice i ekologii, czuli, że są dobrze przygotowani do rzucenia wyzwania żywiołom.

Ich plan zakładał pożeglowanie do dwóch wielkich kontynentów, położonych na zachodzie, za wielkim oceanem. Badanie tych ziem mieli uczynić dziełem swojego życia. Zatrudnili – bez żadnych trudności – młodych Egipcjan, którzy chcieli towarzyszyć im w tej wyprawie. Stanowili niewielką grupę, wszyscy płynęli z własnej woli i na pokładzie panował nastrój radosnego podniecenia.

Rączka usiadł na brzegu pryczy i pocałował Biolog w czoło. Jej powieki rozchyliły się.

– Jutro po południu wpłyniemy do cieśniny – powiedział cicho.

Uśmiechnęła się.

– A potem w szeroki świat?

– A potem w szeroki świat – przytaknął.

Rozdział 28

Czasy obecne.

Jean-Claude leżał na swoim łóżku polowym odkryty, odrzuciwszy kołdrę na podłogę. Był środek nocy, ale on nie czuł się zmęczony. Nieruchomymi oczami wpatrywał się w sufit ozdobiony arabskim wzorem: powtarzającymi się motywami czerwieni i zieleni. Znajdował się w pięknym pokoju pięknego apartamentu. Państwa goszczące Mechanika dawały mu dość pieniędzy, aby mógł żyć jak książę, podczas gdy zastanawiał się, komu przekazać swój bezcenny skarb myśli technicznej.

Okna wznoszące się niemal od podłogi do sufitu były przesłonięte długimi, zwiewnymi firanami. Sączył się przez nie biały blask księżyca, jasny, ponieważ zbliżała się pełnia. Światło wywabiało z mroku kształty przedmiotów, malując kontrastowe reliefy. Jean-Claude uniósł dłoń do twarzy, przyglądając się jej ciemnej sylwetce.

„To już nie jest moja ręka – pomyślał. – Nie ja panuję nad jej czynami".

Mechanik spał w drugim pokoju zaledwie kilka metrów dalej, ale ciężkie drzwi jego sypialni były solidnie zamknięte. Ich oprawca wolał nie ryzykować, że jego niewolnicy zbuntują się i przyjdą po niego w nocy. Jean-Claude mógł go sobie bez trudu wyobrazić: rozciągniętego wygodnie w białej pościeli, z pistoletem pod poduszką i swoim straszliwym elektrycznym sztyletem przypiętym do kostki.

Nate ostrzegł Mechanika, że ich pokoje mogą być podglądane, więc codziennie przenosili się do innego miejsca, zaś w ciągu minionych kilku dni każdy kolejny przystanek był przyjemniejszy od poprzedniego.

Kilka stóp obok Nate leżał na własnym składanym łóżku, skulony na boku, z kołdrą naciągniętą na głowę.

Jean-Claude złożył ręce na piersi jak do modlitwy, ale odkrył, że wstydzi się modlić. Wydała mu się niestosowna, jakby Bóg skrzywił się na jego widok i kiwał mu palcem przed nosem na znak, że nie życzy sobie słuchać jego skarg. Nawet jako męska prostytutka nie czuł się tak upodlony jak teraz.

Łzy napłynęły mu do oczu.

„Ojcze niebieski…!" – zapłakał w duchu, ale nie zdobył się na nic więcej.

Nie miał nic do powiedzenia i nie będzie nic więcej do powiedzenia, dopóki coś w nim nie pęknie.

Wciąż był pod działaniem antidotum, które Mechanik podał mu zaledwie przed godziną; wciąż tkwił w jego ekstatycznych objęciach, ale owa ekstaza nie plątała mu już myśli tak jak dawniej. Pławiąc się w narkotycznym uniesieniu, jego umysł kipiał nienawiścią i zarysami planów. Jedno i drugie było mu na nic. W nagłym przypływie rozpaczy grzmotnął pięścią w łóżko pod sobą.

Wtedy zauważył jakiś ruch tuż przy sobie. To był Nate. Wyśliznął się po cichu z łóżka i teraz klęczał obok polówki Jeana-Claude'a. Przygarbiony wyglądał jak troll z dziecięcego koszmaru. Nate uniósł rękę i lekko dotknął ciemnej skóry na udzie Jeana-Claude'a. Chłopiec odtrącił jego dłoń.

– Co ty wyprawiasz? – spytał, unosząc się na łokciach.

– Nigdy z tego nie wyjdziemy – wyszeptał Nate płaczliwie. – Nigdy!

W świetle księżyca Jean-Claude widział jego wymizerowaną twarz z dużymi ciemnymi kręgami wokół oczu. Po tygodniach w niewoli wyglądał na starszego o dziesięć lat niż w rzeczywistości.

Nate wyciągnął rękę jeszcze raz i delikatnie pogładził Jeana-Claude'a po brzuchu.

– Nigdy nie wyjdziemy z tego żywi.

Zniecierpliwiony Jean-Claude znów odtrącił naprzykrzającą się dłoń.

– Nie ma żadnych nas – powiedział ze swoim ciężkim, francuskim akcentem. – Jesteś ty. Jestem ja.

Nate uniósł głowę i rzucił mu długie spojrzenie umęczonych oczu. Nagle poderwał drugą rękę spod łóżka i wzniósł nad głową nóż

myśliwski. Jean-Claude nie miał pojęcia, skąd mógł go wziąć. Ostrze błysnęło księżycowym blaskiem. Jean-Claude złapał za wzniesiony nadgarstek i przezwyciężając opór Nate'a, przycisnął mu rękę do łóżka.

– Co ty robisz? – wysyczał.

– Zabij mnie – jęknął Nate.

Rozpostarł dłoń i nóż wysunął mu się z palców na łóżko.

– Zabij mnie! Błagam!

Jean-Claude puścił rękę i odepchnął go od siebie.

– Wracaj do łóżka.

Ale Nate porwał nóż i spróbował wcisnąć go Jeanowi-Claude'owi w dłoń.

– Proszę, Jean-Claude! Pomogłeś mu mnie zniewolić. Ja nie chcę tu dłużej być. Zrób to dla mnie.

– Sam to zrób.

– Nie mogę… – Nate opadł na podłogę, podciągnął kolana pod brodę i rozszlochał się. – Nie potrafię…

Jean-Claude patrzył na żałosną postać Amerykanina i czuł wzbierającą w nim na nowo wściekłość – wściekłość za to, co Mechanik uczynił z tym człowiekiem. To było dobre uczucie; niosło siłę, nawet jeśli nie miał dość władzy nad sobą, by tę siłę ukierunkować.

– Nie poddawaj się jeszcze – powiedział Jean-Claude, tym razem łagodnym tonem. – Znajdziemy sposób, żeby się z tego wyrwać.

Nate potrząsnął głową, ale jego szloch stopniowo ucichł. Jean-Claude opadł z powrotem na łóżko i usłyszał, jak Amerykanin gramoli się do swojego.

– Przepraszam – szepnął Nate po kilku chwilach.

– Ja też – odpowiedział Jean-Claude.

Jego wściekłość gasła. Przesunął dłonią po piersi, by dotknąć krzyżyka, i zamknął oczy.

Rozdział 29

Eddie, Julianne i Gary stali przed budynkiem Mena House, ładując swoje bagaże i wyposażenie na skrzynię leciwej terenowej toyoty, wyglądającej na zaprawioną w bojach i twardą jak mały czołg. Eddie spostrzegł wychodzącą z hotelu Pruit i podszedł do niej.

– Wyjeżdżacie? – spytała go.

– Tak, wracamy na wykopaliska.

– Skąd macie samochód?

– Z wypożyczalni w Kairze. Przyda nam się dodatkowy wóz w obozie.

Pruit przez chwilę przyglądała się terenówce.

– Myślę, że też sobie taki wynajmę.

– Land cruisera? A po co?

– Żeby jeździć.

Eddie zmrużył oko i przyjrzał się jej sceptycznie.

– Jeździć gdzie?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

Eddie przybrał poważny ton. Był zadowolony, że trafił mu się dobry pretekst, by zaproponować Pruit to, co chciał zaproponować.

– Pruit, wydajesz się ciut naiwna jak na kogoś, kto płynnie mówi po arabsku. Czy ty nic nie wiesz o kulturze islamu?

– O co ci chodzi?

– O to, że samotne jeżdżenie po dużym mieście jeszcze jakoś ujdzie, ale żeby kobieta pojechała sama na wieś albo na pustynię, musiałoby jej brakować piątej klepki.

– A kto mówił coś o pustyni?

– A co jeszcze jest do oglądania w Egipcie?

– Uważasz, że nie potrafię o siebie zadbać?

– Uważam, że prawdopodobnie potrafisz. Ale nie ma potrzeby, żebyś afiszowała się ze swoją wyzwoloną kobiecością przed Arabami. Są bardzo drażliwi i trudno ich nazwać przyjazną

gromadką, kiedy się wkurzą. Dobra, powiedz lepiej, dokąd się wybierasz.

Pruit uciekła wzrokiem, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale po chwili odzyskała rezon.

– Chciałabym odwiedzić wykopaliska, na których pracowali moi rodzice, kiedy byli na studiach. To była wielka przygoda ich studenckich czasów i pomyślałam, że sprawię im frajdę, jeśli pstryknę sobie tam parę fotek.

Eddie pomyślał, że musiało mu się coś pomylić poprzedniego dnia, kiedy uznał jej akcent za niezwykły. Dziś mówiła tak, jakby wychowała się w Kalifornii, tak jak on.

– Gdzie to jest? – spytał.

Rozpostarła mapę i wskazała miejsce.

– Gdzieś w tej okolicy.

Eddie przyjrzał się mapie. Nigdy nie słyszał o wykopaliskach w tak odległym miejscu. Nie było to niemożliwe, ale było mało prawdopodobne.

– To może zróbmy tak: pojedziesz z nami do obozu i tam wysadzimy tych dwoje. – Obejrzał się przez ramię, by ujrzeć archeologów siedzących na kanapie toyoty w dosyć intymnej pozycji. – Zresztą towarzystwo bardzo by mi się przydało. – Uśmiechnął się krzywo. – A potem zawiozę cię, gdzie chcesz. Co ty na to?

– Czy to nie za duży kłopot?

– Coś ty. Tylko czekają na pretekst, żeby pobyć się mnie z obozu. Po przyjeździe tych nowych praktycznie nie będzie dla mnie miejsca.

Nie była to do końca prawda, ale Pruit nie mogła tego wiedzieć.

– No dobrze, jak chcesz – powiedziała.

Uśmiechnął się i ruszył do samochodu. Pruit zawróciła do hotelu, by zabrać z pokoju plecak.

Rozdział 30

Adaiz obserwował Pruit i jej towarzysza rozmawiających przed wejściem hotelu. Hotel stał w cieniu starożytnych piramid, którymi Pruit wydawała się zafascynowana aż do poprzedniego dnia. W ich grupie były jeszcze dwie osoby, kobieta i mężczyzna, którzy teraz siedzieli razem na tylnym siedzeniu samochodu. Mężczyzna obejmował kobietę ramieniem i – na oczach Adaiza – pochylił się ku niej, by dotknąć ustami jej ust. Adaiz odwrócił się, zbulwersowany uczuciem, jakie pocałunek wzbudził w nim samym.

Pruit rozmawiała z wysokim, młodym mężczyzną, który poprzedniego dnia towarzyszył jej w piramidzie. W jego obecności Pruit wydawała się nieco weselsza. Dało się zauważyć subtelną zmianę w sposobie, w jaki stała, i wyrazie twarzy.

Adaiz rozzłościł się na swoją zazdrość. Przyłapał się na zastanawianiu nad dziwnymi pytaniami. Czy Pruit czuła coś do tego mężczyzny? Czy chciała być blisko niego w taki sposób, w jaki byli ze sobą tamci dwoje w samochodzie? Była pierwszą kobietą-człowiekiem, jaką kiedykolwiek ujrzał na oczy i żywił wobec niej coś w rodzaju osobliwego poczucia własności.

Ukrywał się w stareńkim, zielonym jeepie z wojskowego demobilu, z wyświechtanym płóciennym dachem i foliowymi osłonami zamiast okien. Folia była zmatowiała i pożółkła ze starości, dzięki czemu dobrze osłaniała go przed niepożądanym wzrokiem, ale – na wypadek gdyby Pruit przypadkiem spojrzała uważniej w jego stronę – założył jeszcze baseballówkę i duże okulary przeciwsłoneczne. Jednak Pruit nie zdradzała żadnych oznak niepokoju człowieka, który obawia się, że może być śledzony. Ostatecznie jak mogła podejrzewać, że Luceni lecieli za nią przez lata świetlne, od samego początku wiedząc o jej desperackiej misji?

Po pewnym czasie Pruit dołączyła do trójki w samochodzie i wszyscy odjechali. Adaiz śledził ich przez długi czas, na ulicach miasta i zatłoczonej wylotówce, ale kiedy po godzinie jazdy skręcili

z głównej szosy na drogę wiodącą do wyludnionej wioski, nie mógł jechać za nimi, nie będąc zauważonym.

Zatrzymał wóz na poboczu i wyjął monitor śledzący dwa nadajniki, które wszczepił Pruit w grzbiet. Przemieszczała się w głąb pustyni. W tej sytuacji jej dyskretne śledzenie nie było możliwe, ale nie miało to większego znaczenia. Jej statek był niesprawny i oddalony o tysiące mil. Adaiz wiedział, że nawet jeśli Pruit znajdzie na pustyni to, czego szuka, on zdąży przechwycić te informacje, zanim opuszczą planetę.

Adaiz uruchomił silnik jeepa i zawrócił w stronę miasta. Znajdzie ją i będzie śledził dalej, kiedy wróci w anonimowe tłumy Kairu lub Gizy.

Zaparkował wóz pod hotelem, w którym on i Enon-Amet mieszkali od czasu przybycia Pruit do Egiptu. Enon rzadko wychodził z pokoju. Obu braci zdejmowała groza na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby został publicznie zdemaskowany. Mimo to Adaiz miał wrażenie, że w tym arabskim kraju Enon mógłby stosunkowo bezpiecznie poruszać się po ulicach pod warunkiem, iż robiłby to w towarzystwie brata, nigdy nie zdejmując kaptura i pilnując, by poruszać się krótkim, ludzkim krokiem. Tak czy owak woleli nie ryzykować i ustalili, że Enon będzie wychodził na zewnątrz tylko w razie najwyższej konieczności.

Zamiast wrócić do hotelu, do czekającego na górze brata, Adaiz pozwolił stopom ponieść się w miasto. Był to dzień targowy i na ulicach roiło się od ludzi i samochodów. W tym mieście zawsze było tłoczno, ale dziś główne ulice praktycznie stanęły. Brudny, brązowy miazmat wisiał nad pojazdami, wyrzucany do atmosfery przez ich niewydajne silniki.

Adaiz zaciągnął się spalinami, smakując składniki chemiczne i dumając nad ich niewątpliwie zgubnym wpływem na tubylców. Szedł uliczką pełną małych sklepików i straganów z ubraniami. Minął grupę młodych dziewcząt, stojących przed witryną i pokazujących sobie palcami sukienki udrapowane na manekinach. Kawałek dalej kilka tęgich, starszawych kobiet w czarnych szatach i białych chustach przebierało wśród płodów rolnych wystawionych na otwartym straganie, uskarżając się głośno sprzedawcy na

wyimaginowane i prawdziwe wady oglądanych owoców. Mężczyźni w garniturach chodzili grupami, maszerując dziarskim krokiem i rozmawiając między sobą ożywionym tonem.

Adaiz chłonął to wszystko łapczywie tak jak każdego dnia, odkąd zanurzył się w cywilizacji ludzi. Informacje o ludzkim społeczeństwie – innym niż społeczeństwo Trucicieli – miały wielką wartość dla Lucenów i było jego obowiązkiem zgromadzić ich tak wiele, jak tylko potrafił. W rzeczywistości niespecjalnie lubił te przechadzki; raczej się do nich zmuszał. Widok tak wielkiej masy ludzi, stłoczonej i przemieszanej w społeczeństwach wyrosłych na ludzkim doświadczeniu i ludzkiej naturze, sprowadzał nań grad emocji, jakich nie był w stanie łatwo kategoryzować ani kontrolować.

Niedaleko para młodych ludzi trzymała się za ręce; kobieta miała brzuch nabrzmiały ciążą. Gromadka małych chłopców kopała kamienie wzdłuż chodnika, zawodzącymi głosikami śpiewając arabską piosenkę. Adaiz, nagle przytłoczony nadmiarem wrażeń, zatrzymał się i oparł o słup latarni. Wokół niego przepływały potoki ludzi.

Jego umysł był głośny, właściwie krzyczał. Ale dlaczego? Zaczerpnął kilka głębokich oddechów i zmusił się do uspokojenia. Przyjrzał się uczuciu, jakie nim owładnęło, poddał je analizie. Nie było to ani zaskoczenie, ani gniew, ani szczęście, ani odraza, ani żadne z uczuć, o których pomyślał w pierwszym odruchu. Nie – Adaiz ze zdumieniem odkrył, że czuje tęsknotę.

Ale tęsknotę za czym? Nie był człowiekiem, choć jego ciało mogło sądzić inaczej. Był Lucenem, była nim każda piędź jego ciała. Wiedział, gdzie leży jego serce – osiem lat świetlnych od tego obcego świata, w domu, na cudownej świętej Galei.

Rozdział 31

Toyota sunęła naprzód nieśpiesznym, lecz stałym tempem, niosąc ich przez falujące łagodnie wydmy na północny zachód w głąb tysiącmilowego pasa pustyni oddzielającego Egipt od Libii. Archeologów wysadzili w obozie poprzedniego dnia, a dziś, wczesnym rankiem, wyruszyli do miejsca wskazanego przez Pruit. Inni członkowie zespołu nie kwestionowali jego decyzji o wyjeździe z nową znajomą. Zawarte porozumienie gwarantowało mu wolność poczynań bez żadnych nacisków z ich strony, zaś oni mieli najszczerszy zamiar dotrzymania swojej części umowy.

Prowadził Eddie. Pruit chętnie oddała mu kierownicę, by móc poświęcić całą uwagę nawigacji. Wypuścili trochę powietrza z opon, żeby zwiększyć przyczepność kół na piasku, i ze średnią prędkością pięciu mil na godzinę posuwali się ku niewidocznemu punktowi w oddali, który Pruit zaznaczyła na swojej mapie.

Pruit siedziała na przednim miejscu pasażera i wyglądała przez otwarte okno. Oboje byli ubrani w koszulki z krótkimi rękawami i szorty. Wokół nich piaszczyste wzgórki ciągnęły się aż po horyzont. Daleko za nimi Pruit mogła jeszcze dostrzec Czerwoną Piramidę w Dahszur, maleńką z tej odległości, ledwie widoczną poprzez drżący pustynny opar. Był to ostatni widoczny ślad cywilizacji.

Piasek był paskudny, niemal jakby ktoś zmieszał go z brudną ziemią. Tu i ówdzie wydmy luźnych łupków musiały piętrzyć się nad pogrzebanymi starożytnymi budowlami, ponieważ, jak oceniano, do tej pory najwyżej dziesiąta część sekretów Egiptu doczekała się odkrycia.

Pustynny krajobraz pasował do wyobrażenia Pruit o świecie poza miastem lepiej niż którykolwiek z napotkanych dotychczas. To była kraina śmierci. Bez samochodu i butli z wodą, których zapas wzięli ze sobą, żadne z nich nie przetrwałoby tu długo. Jej odruch

założenia maski tlenowej był przemożny, ale zwalczyła go, zmuszając się do przyjęcia postawy osoby zrelaksowanej.

Zastanawiała się, co powie Eddiemu, kiedy dotrą do celu podróży. Rzecz jasna, nie zastaną tam żadnego opuszczonego stanowiska archeologicznego. Być może nie będzie tam w ogóle żadnego śladu tego, czego szukała.

Dlaczego pozwoliła mu jechać? Istniało wiele odpowiedzi na to pytanie, ale przede wszystkim zrobiła to dlatego, że go polubiła. Eddie był dla niej stworzeniem zupełnie nowego gatunku, mężczyzną, który przez całe swoje życie odbijał się pomiędzy wyłącznie dwoma stanami: zadowolenia i nudy. Promieniował aurą kojarzącą się z długimi popołudniami opalania na leżaku, pomimo jego niewątpliwej inteligencji i wysportowanego ciała. Była w nim frywolność budząca dezaprobatę, a jednak na swój sposób bardzo przyjemna. Pruit nie obawiała się, że nie da sobie z nim rady. Nie było w nim nic złowrogiego.

– Rzuć okiem na mapę – powiedział Eddie. – Widzisz ten grzbiet po lewej? Sprawdź, czy dobrze jedziemy.

Wygładziła mapę i ołówkiem wykreśliła ich dotychczasowy kurs.

– Wszystko dobrze – oznajmiła. – Jedziemy prosto do celu.

Eddie pociągnął długi łyk wody z plastikowej butelki, którą trzymał przy fotelu.

– Nic mi nie powiedziałaś. Co to były za wykopaliska? – spytał, ocierając usta wierzchem dłoni.

Pruit nie odwróciła głowy od okna.

– Jakiś grobowiec. – Wzruszyła ramionami. – Cóż by innego.

– Z jakiej dynastii, nie wiesz?

– Nie pamiętam. Sprzed pięciu tysięcy lat chyba. Jakoś tak.

– Czyli czwarta dynastia. Moja ulubiona. Co tam znaleźli? Nie wiedziałem, że są jakieś grobowce tak daleko. Jedziemy daleko poza powszechnie uznawaną granicę starożytnej cywilizacji.

– Nie było tam nic wielkiego. – Pruit poprawiła się na fotelu i spojrzała na Eddiego. – Kilka jakichś drobiazgów, żadna rewelacja.

Po kilku dniach rozmawiania z Eddiem jej potoczna amerykańska angielszczyzna nabrała naturalności.

– Głupio mi to mówić, ale tak naprawdę nie znam się na tym za bardzo.

Pomyślała, że zanim dotrą na miejsce, będzie musiała wymyślić coś bardziej przekonującego. Eddie spojrzał na nią, uśmiechając się kącikiem ust.

– Zastanawiasz się, co mi powiesz, kiedy już dojedziemy, prawda? – powiedział powoli.

Ich oczy spotkały się, ale Pruit przymusiła się do zachowania swobodnego uśmiechu.

– Co masz na myśli?

– Widzisz, Pruit, nie jesteś zła w udawaniu – powiedział Eddie. – Po prostu nie da się zachowywać całkiem naturalnie, kiedy jest się gdzieś świeżakiem i spędza się dużo czasu z kimś, kto świeżakiem nie jest.

Poczuła skurcz w żołądku.

– Co masz na myśli? – spytała znowu.

– Dużo drobnych rzeczy – odpowiedział. – Nie zauważyłbym, gdybym spędził z tobą godzinę, ale minęły już trzy dni. To, jak mówiłaś, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy. To, jak kosztowałaś mój omlet wczoraj rano: jakbyś kompletnie nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Ale głównie chodzi o piramidę. No i ten kryształ…

– Kryształ – powtórzyła Pruit cicho. – Co o nim wiesz?

Eddie wetknął dłoń do kieszeni, gmerał tam przez chwilę, po czym wręczył Pruit jakiś przedmiot. Był to kryształ, pomarańczowy z zielonymi pasami, bardzo podobny do jej własnego. Z całą pewnością był dziełem starożytnych Kinlai i serce Pruit nagle zabiło szybciej. Będzie musiała jak najszybciej sprawdzić go swoim czytnikiem.

– Wiem, że znalazłem ten i sześć takich samych w odkopanej świątyni, która tkwiła pod ziemią od pięciu tysięcy lat – powiedział Eddie. – Wiem, że na Ziemi nie istnieje technologia pozwalająca na produkcje takich kryształów. Wiem też, że nie są pochodzenia naturalnego.

– Znalazłeś to na swoich wykopaliskach? – spytała, czując nagły przypływ paniki.

Czyżby coś przeoczyła? Czy miejsce, w którym kopał Eddie, było w jakiś sposób powiązane z jej zadaniem?

– Powiedz mi, kim jesteś, Pruit.

– Ty mi powiedz – odparła.

– Na początku wziąłem cię za archeolożkę, kogoś, kto był już kiedyś w Egipcie. Ale już po kilku minutach stało się jasne, że się pomyliłem. Potem pomyślałem, że ukradłaś kryształ z innych wykopalisk albo ktoś inny go ukradł i podarował tobie. Potem poszliśmy razem do piramidy i ta zatrzęsła się. Ale ty nie byłaś ani trochę zaskoczona…

– Dlaczego miałabym być? Strażnik mówił, że trzęsie się od tygodni.

– No a teraz – ciągnął Eddie, ignorując ją – zacząłem myśleć, że w ogóle nie jesteś stąd.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że moim zdaniem twój dom nie jest na Ziemi.

Widząc jego poważną minę, uśmiechnęła się protekcjonalnie.

– To dość daleko idący wniosek oparty raczej na wątłych poszlakach.

– Tak, wiem – kiwnął głową. Jego głos zdradzał podniecenie. – To brzmi jak totalne wariactwo i szczerze mówiąc, nigdy bym nie odważył się tak pomyśleć, ale wczoraj wszedłem do twojego pokoju.

Pruit wytrzeszczyła oczy. Jej uśmiech powoli zgasł. Zapasy i narzędzia, jakie miała ze sobą, miały kluczowe znaczenie dla powodzenia jej misji. Nie było żadnego usprawiedliwienia dla pozostawienia ich bez nadzoru.

– Wszedłeś do mojego pokoju? – spytała cicho.

– Szukałem kryształu, ale natknąłem się na twój plecak, a w środku był ten twój czerwony strój. Ze dwadzieścia minut kombinowałem, jak go rozwinąć, ale w końcu się udało. Wsadziłem rękę w rękaw i patrzyłem, jak wyrastają te… czułki. Wyrastają z materiału. I wrastają mi w skórę! Chyba nie powiesz mi, że tę rzecz zrobiono gdzieś na Ziemi?

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem odwróciła głowę i potoczyła wzrokiem po pustyni.

– Powiedz mi, kim jesteś, Pruit.

– Nie jestem pewna, czy chciałbyś wiedzieć – powiedziała cicho. – Ta wiedza sporo by zmieniła w twoim życiu.

– I dobrze!

Eddie odwrócił głowę. Przez kilka chwil milczał, a potem znów spojrzał na Pruit i zaczął mówić, cicho, prawie szeptem:

– Jeździłem do Egiptu, odkąd byłem nastolatkiem. Włóczyłem się po tych miejscach, poznawałem ludzi, miałem nadzieję na… na coś. Przez całe życie chciałem wierzyć, że istniejesz.

– Ja?

– Ktoś taki jak ty.

Pruit uniosła brwi.

– W historii naszej rasy zieją wielkie dziury – ciągnął Eddie. – Może potrafisz wyjaśnić niektóre z tych tajemniczych kwestii.

Pruit uśmiechnęła się do niego z nutą współczucia. Sama decydowała, komu może powierzyć swoje sekrety. Gdyby Eddie zaczął sprawiać kłopoty, mogła łatwo sprawić, by nie miał żadnej szansy jej zdradzić. Tyle że on zdawał się sądzić, że jej misja może mu pomóc w rozwiązaniu jakichś osobistych dylematów.

– Owszem, jestem tutaj, żeby rzucić trochę światła na starożytne tajemnice, ale nie tyle twoje, ile moje.

– Czyli mam rację?

– Tak, nie jestem z Ziemi.

Nie chciała rozwodzić się nad tą kwestią, choć wyczuwała, że w głowie Eddiego czeka lawina pytań.

– Powiedz mi jedno – powiedział Eddie po chwili milczenia. – Czy przynosisz Ziemi zmiany?

– Eddie, twój świat nie jest przedmiotem mojego zainteresowania. Mam nadzieję znaleźć to, po co przybyłam, ale potem opuszczę to miejsce na zawsze.

Eddie powoli skinął głową.

– Cieszę się, że to właśnie ja mogę ci pomóc – powiedział poważnym tonem. – Nie – poprawił się. – Jestem zachwycony, że to ja ci pomagam.

– Doceniam to, że mi pomagasz.

Pruit westchnęła, a potem uruchomiła panel sterujący swojej endoskóry na lewym przedramieniu. Eddie przyglądał się uważnie

jej poczynaniom, ale nie zadawał pytań. Pruit sprawdziła współrzędne i zaznaczyła aktualną pozycję samochodu na mapie.

– To znacznie łatwiejsze niż nawigowanie z waszym kompasem.

Widok endoskóry był ostatecznym dowodem i Eddie zaczął się cicho śmiać.

– Powiesz mi, co tam znajdziemy? – spytał.

– Coś bardzo starego i, mam nadzieję, niezwykle cennego – odpowiedziała Pruit. – Przynajmniej dla mnie.

Nie powiedziała nic więcej, po części dlatego, że trzymanie Eddiego w niepewności sprawiało jej frajdę, a po części, ponieważ nie chciała zdradzać wszystkich sekretów swojego życia i swojej misji. Jeszcze nie teraz. Byłaby to raczej męcząca rozmowa, a jej zależało na zachowaniu świeżości umysłu, kiedy już dotrą do celu swojej podróży.

– No to zobaczmy, co kryje w sobie ten twój kryształ.

Wsunęła rękę do plecaka i wydobyła stamtąd dziwaczny przyrząd, przypominający mikroskop z pękatym, nieregularnym w kształcie korpusem. Zrobiono go z krystalicznej substancji o metalicznym połysku. Z górnej części wystawał podwójny okular.

– Co to jest? – spytał Eddie. – Wczoraj nie mogłem się nijak domyślić.

Pruit rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

– To czytnik kryształów – powiedziała. – Starożytni z mojego świata używali kryształów do przechowywania informacji. Mieszczą ogromne ilości danych. Chcę sprawdzić, czy twój kryształ ma związek z tym, czego szukam.

Złapała mały kryształ Eddiego i wetknęła go w otwór z boku urządzenia. Maszyna zabrzęczała miękko i kryształ zniknął w jej wnętrzu. Pruit przysunęła oczy do okularów. Czytnik zeskanował pierwszy blok danych i wyświetlił spis treści. Przed Pruit rozwinęły się wiersze słów w haight. Przez kilka minut przeglądała stronę za stroną, aż wreszcie uniosła głowę.

– Co tam jest? – zapytał Eddie.

– To podręcznik medyczny, opisujący, jak z różnych miejscowych roślin uzyskać leki na rozmaite przypadłości. Bardzo ciekawa rzecz, ale dla mnie bezwartościowa, niestety.

Oddała kryształ Eddiemu.

Był już prawie wieczór, kiedy daleko przed nimi pojawił się długi, niski, kamienisty wał, odcinający się ciemną krechą na tle zachodzącego słońca. Jechali już od prawie dziesięciu godzin i oboje byli wycieńczeni. Pruit pilnowała kursu, raz po raz sprawdzając koordynaty na wyświetlaczu swojej endoskóry. Nie ulegało wątpliwości, że kamienie są celem ich podróży.

Podjechali do podnóża nasypu i wysiedli z auta, zarzucając sobie na grzbiety dwa duże plecaki, które przygotował dla nich Eddie. Była w nich woda i podstawowe wyposażenie kempingowe.

– To niedaleko – powiedziała Pruit, kiedy weszli na kamienie i zaczęli wspinać się na wał. – Może dwieście stóp w linii prostej.

Nieśpiesznie pokonali zapylone, pokryte pokruszonym łupkiem zbocze i stanęli na grzbiecie. Przed nimi rozpościerał się widok na szereg kolejnych nasypów, ciągnących się w dal na pół mili. Niskie słońce świeciło im w oczy i rzucało długie cienie wpełzające pomiędzy kamienie. Pokonawszy zagłębienie dzielące pierwszy wał od następnego, wspięli się na drugi grzbiet. Pruit prawie nie odrywała wzroku od wyświetlacza na przedramieniu. Cel był zaledwie trzydzieści stóp przed nimi. Pruit potoczyła wzrokiem po skałach.

– Trzydzieści stóp w tę stronę – powiedziała do Eddiego, wskazując kierunek dłonią. – Widzisz coś?

– Nie.

Przed nimi były tylko kamienie i piasek. Ruszyli dalej i zeszli w kolejne zagłębienie pomiędzy drugim i trzecim nasypem. Pruit trzymała lewą rękę uniesioną przed oczami i obserwowała zmieniające się współrzędne. Lokalizator endoskóry wskazywał położenie z dokładnością do mniej więcej dziesięciu stóp. Po kilku chwilach wyświetlacz poinformował ją, że dotarła do celu.

– Wygląda na to, że to tutaj.

Eddie podszedł do niej i powiódł wzrokiem wokół siebie.

– Tam! – zawołał, wskazując na płytkie zagłębienie u stóp nasypu.

Podeszli bliżej. Zagłębienie sprawiało wrażenie, jakby powstało całkiem niedawno poprzez wypchnięcie z niego kamieni i piasku – kilka tuzinów sporych odłamów skał zostało odsuniętych promieniście od wspólnego środka, a niektóre z nich wciąż opierały się na sobie w chwiejnej pozycji, która z czasem musiałaby się zmienić.

„To on – pomyślała Pruit. – To nie był automat. To był człowiek. Obudziłam go, a on wyszedł ze schronu. Zaledwie kilka, kilkanaście dni temu".

– Coś tu się stało niedawno? – mruknął Eddie, przyglądając się kamieniom.

– Tak mi się wydaje – odpowiedziała Pruit. – Zacznijmy kopać.

Zrzucili plecaki z ramion i zabrali się do wygarniania piasku z dna zagłębienia. Słońce skryło się już za horyzontem i pustynia wokół nich powlekała się ciemnością. Pracowali w milczeniu, a po kilku minutach ich dłonie dotknęły czegoś twardego. Odgarnęli więcej piasku i ujrzeli ciemną powierzchnię wyglądającą jak skała, ale zbyt gładką, by mogła być naturalnego pochodzenia. Pruit odszukała krawędź i w ciągu kilku chwil odsłoniła okrągły właz. Położenie pomiędzy dwoma wzniesieniami chroniło go przed wiatrem i niepogodą, zaś oddalenie od ośrodków cywilizacji – przed ciekawskimi oczami. Gdyby przykrywające właz kamienie nie zostały rozsunięte, jego odnalezienie byłoby praktycznie niemożliwe.

Eddie utkwił wzrok we włazie, próbując utrzymać w ryzach własną ekscytację.

– Rozumiem, że to jest właśnie to – powiedział powoli.

Pruit była zbyt pochłonięta pracą, by dostrzec stłumione podniecenie w jego głosie. Przesunęła palcami wzdłuż krawędzi koła i mała klapka ze skałopodobnego materiału odskoczyła w górę, odsłaniając pokrętło na tarczy okolonej znakami haight. Pruit sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła złożony kawałek papieru. Były na nim instrukcje, które wynotowała z książki procedur. Choć znała je na pamięć, wolała odczytać je starannie jeszcze raz. Następnie położyła dłoń na pokrętle i zaczęła nim obracać, kierując w stronę

poszczególnych liter w określonej sekwencji. Kiedy wskazała ostatni znak, właz ożył.

Parasol pola siłowego rozpostarł się ponad płytą, odtrącając dłoń Pruit od pulpitu, a ją samą przewracając na ziemię. Reszta piasku, która pozostała na włazie, rozprysła się na boki. Właz poruszył się. Nie wydając żadnego dźwięku, ruszył w górę, popychany od spodu teleskopową rurą szybu. Wzniósł się na wysokość stopy, a kiedy całkowicie wynurzył się spod piachu i kamieni, znieruchomiał.

– Na wypadek gdyby wiatr zasypał rów piaskiem – wyszeptał Eddie, podziwiając konstrukcję. – Właz zawsze może wznieść się ponad powierzchnię.

Pruit skinęła głową, ale przyszła tu w poszukiwaniu większych arcydzieł myśli technicznej. Patrzyła w skupieniu, jak skałopodobna pokrywa bezgłośnie odsuwa się na bok. Kiedy właz stanął otworem, w głębi szybu rozjarzyło się przymglone żółte światło. Pruit i Eddie spojrzeli po sobie.

– Chryste Panie! – stęknął Eddie.

Zajrzeli do środka i zobaczyli kamienną drabinę schodzącą przez wąski kanał szybu do korytarza poniżej.

– Idziemy – rzuciła Pruit.

Jej opanowany ton zadawał kłam podnieceniu, jakie w rzeczywistości czuła. Odruchowo sprawdziła obecność broni pod ubraniem, a potem przerzuciła nogi przez krawędź włazu, odszukała stopą szczebel drabiny i znikła w głębi szybu. Drabina mierzyła około dwudziestu stóp wysokości, prowadziła przez pionowy kanał o ścianach z tej samej substancji, z jakiej wykonano pokrywę, i kończyła się trzy stopy nad posadzką. Pruit zeskoczyła z ostatniego szczebla i spojrzała w głąb otwierającego się przed nią korytarza. Wystarczająco wysoki, aby nie trzeba się było w nim schylać, miał sklepiony strop i doskonale gładkie ściany. Oświetlenie zapewniały wąskie, zagłębione w ścianie listwy. Pruit zgadywała, że źródłem żółtawej poświaty, jaką emanowały, był jakiś rodzaj reakcji chemicznej. Światło było słabe, ale zupełnie wystarczające, by móc się przy nim swobodnie poruszać.

– Rzuć mi plecaki i chodź! – krzyknęła do Eddiego.

Spełnił polecenie, a ona złapała plecaki, jeden po drugim, i postawiła pod ścianą. Potem zobaczyła Eddiego na tle ciemniejącego nieba, schodzącego ostrożnie po drabinie.

– Zamknij właz, jeśli ci się uda.

Eddie przyjrzał się spodniej stronie włazu i spostrzegł prosty uchwyt. Popchnął go, a wtedy pokrywa zasunęła się nad nim bezszelestnie. Zaczął schodzić po szczeblach. W miarę jak schodził coraz niżej, teleskopowy szyb skracał się, powracając do poziomu spoczynkowego. Eddie aż zaśmiał się z podziwu. Nie było innej możliwej reakcji na widok urządzeń tak starych i tak doskonale działających.

Przeszli korytarzem, by stanąć przed dużymi drzwiami wprawionymi w ścianę zamykającą przejście. Pruit odnalazła kamienną pokrywę zamka, uniosła ją i ponownie zajrzawszy do swojej notatki, wprowadziła kombinację. Skrzydła drzwi rozsunęły się, znikając w ścianach po obu stronach przejścia. Za nimi ciągnął się dziesięciostopowy odcinek korytarza zamknięty kolejnymi drzwiami. Pruit wprowadziła trzecią kombinację i odstąpiła o krok, patrząc, jak ostatnia przeszkoda chowa się w ścianie, otwierając przejście do bunkra Śpiących.

Było to przestronne, prostopadłościenne pomieszczenie, które sprawiało wrażenie – podobnie jak szyb – wykutego w ciemnej skale. Strop wisiał nisko, najwyżej dziewięć stóp nad podłogą. Na wprost drzwi znajdował się rząd komór stazy – dużych, ciemnych, trumnokształtnych skrzyń na kamiennych podestach, utrzymujących swoich lokatorów na poziomie trzech stóp nad posadzką. Komór było osiem, ustawionych w szeregu pod ścianą naprzeciwko wejścia.

Pruit i Eddie weszli do środka i stwierdzili, że poza komorami schron nie zawiera prawie niczego więcej. Po prawej stronie drzwi znajdowała się wnęka natrysku, po lewej widać było kamienną ławę, a przed nią wbudowany w ścianę rodzaj komputera. Kilka prostokątnych obrysów na ścianach wskazywało, gdzie szukać hermetycznych schowków. To było wszystko.

Eddie gwizdnął przeciągle. To było urzeczywistnienie jego najdzikszych archeologicznych fantazji.

Pruit oglądała komory. Ostatnie dwie – te na wprost nich – miały włączone światła na pulpitach kontrolnych. Dwoje Śpiących wciąż żyło.

Rozdział 32

Tej nocy urządzili sobie obóz w korytarzu przed salą Śpiących. Rozwinęli śpiwory i posilili się lekką kolacją złożoną z kanapek z masłem orzechowym i dżemem przygotowanych przez Eddiego.

Zanim poszli spać, Pruit wprowadziła do dwóch czynnych komór polecenie wybudzenia ich użytkowników. Odkryła przy tym, że proces będzie długotrwały i może potrwać nawet trzy dni. Potem zajęła się komputerem i po niezliczonych próbach zdołała jakoś obudzić go do życia. Jego system operacyjny był jej zupełnie obcy i postanowiła, że poczeka na śpiących nieznajomych, zanim spróbuje go użyć. Jeśli nie będą mogli jej pomóc, wtedy ponowi próbę.

Pruit i Eddie odkryli obszerny schowek zawierający skórzane teczki pełne kryształów pamięci oraz papierowe dokumenty. W pierwszym odruchu Pruit chciała od razu zabrać się do skanowania kryształów, ale powstrzymała się. Byli w podróży od dwunastu godzin i czuła, że zmęczenie daje się jej we znaki. Będzie lepiej, jeśli przystąpi do pracy ze świeżym umysłem.

Wykąpali się po kolei, zapewniając sobie nawzajem prywatność, i przebrawszy w swoje najlżejsze ubrania, wpełzli do śpiworów na korytarzu.

Następny dzień spędzili w schronie. Pruit poświęciła go na systematyczne badanie kryształów swoim czytnikiem, z rzadka tylko odrywając się od tego zajęcia, by sprawdzić postępy wybudzania w komorach stazy. Niepokoiło ją, że pulpit jednej z nich zdawał się sygnalizować jakiś defekt, ale jej lokator najwyraźniej budził się mimo wszystko.

Za pozwoleniem Pruit Eddie od czasu do czasu próbował zaglądać w okulary czytnika, ale pismo Kinlai było mu całkowicie obce, więc szybko stracił zainteresowanie i zajął się badaniem wnętrza schronu.

– Nie wiemy zbyt wiele o pompie Eschlessa – oznajmiła Pruit, wkładając nowy kryształ w otwór czytnika i regulując ostrość.

Ten był o botanice – cała biblioteka informacji. Pewnego dnia okaże się szalenie wartościowy, była tego pewna, ponieważ prezentował podejście do tej dziedziny z zupełnie innej perspektywy niż obowiązująca obecnie na Herrodzie. Jednak w tej chwili nie miał dla niej znaczenia. Odłożyła kryształ na bok i wzięła następny.

– Gdybyśmy wiedzieli – podjęła swoją wypowiedź – zapewne nie musiałabym tutaj lecieć. Wiemy, że została tak nazwana na cześć swojego wynalazcy, Eschlessa. Ale poza tym nie mamy o niczym pojęcia.

– Dlaczego pompa?

– Wiesz tyle co ja. Niektórzy sądzą, że silnik zasysa energię wszechświata, przemieniając ją w coś użytecznego, ale tak naprawdę, kto to może wiedzieć? Może ten silnik po prostu wygląda jak pompa.

– Wiecie jednak, że została wynaleziona – zauważył Eddie, oglądając pustą komorę stazy. – Czy to nie oznacza, że można po prostu wynaleźć ją jeszcze raz? A tak w ogóle to chyba nie jest skała.

– Mam wrażenie, że to jakieś połączenie skały z metalem, pewnie o wiele wytrzymalsze niż każdy z tych składników z osobna. Przypomnij mi, żebym wzięła próbkę. A odpowiadając na twoje pytanie: nie, nie mogliśmy po prostu wynaleźć pompy Eschlessa po raz drugi, ponieważ nie dysponujemy żadnym zapisem samej techniki, na jakiej opiera się jej działanie. Powstanie pompy było czymś, co nazywamy technicznym zrywem, nagłym przełomem, który niemal z dnia na dzień popycha technikę całej cywilizacji daleko naprzód. Jestem pewna, że Ziemia też miała swoje przełomy.

– Telefon – przytaknął Eddie. – Albo układ scalony…

– W jaki sposób dochodzi do takiego zrywu? Ze swojej natury jest on owocem genialnego przebłysku, który zmienia sposób myślenia ludzi.

Otworzyła kolejną teczkę z kryształami. Te dotyczyły klimatologii – znów temat bardzo ciekawy, niestety zupełnie bez związku z celem jej poszukiwań.

– Oceniamy, że technicznie jesteśmy opóźnieni o jakieś pięćset lat względem naszych przodków. Być może nawet więcej. I nie możemy

czekać tak długo na ten przebłysk.

Spodziewała się, że Eddie zapyta dlaczego, ale jego uwaga była skupiona na innych kwestiach.

– Jak myślisz, co się stało z ludźmi z tamtych zbiorników? – spytał, patrząc na sześć pustych komór. – Skoro część z nich przestała działać, to czy w końcu nie powinny przestać wszystkie?

– Można by tak pomyśleć – zgodziła się. – Miejmy nadzieję, że ci dwoje będą w stanie udzielić nam odpowiedzi. – Skinęła głową w stronę aktywnych komór.

– Pruit, spójrz na to! – Eddie podniósł coś z podłogi między komorami i podał jej na otwartej dłoni.

Był to kryształ pamięci, żółto-pomarańczowy z czerwonymi wstęgami danych, długi na pięć cali. Pruit ujęła go w palce i spostrzegła, że coś jest z nim nie tak. Był spękany, rozbity w środku na sto tysięcy małych okruchów. Pruit ostrożnie wsunęła go do czytnika, ale urządzenie nie było w stanie odczytać żadnych danych. Wyjęła kryształ i obróciła w palcach. Pod lekkim naciskiem paznokcia mały fragment odłupał się i rozpadł na ziarnisty pył.

– Dziwne. Został w jakiś sposób zniszczony.

Eddie przeszukał zakamarki między komorami i w kątach pomieszczenia, ale niczego więcej nie znalazł.

Pruit kontynuowała badanie zdrowych kryształów. Przeskanowanie wszystkich i przejrzenie wszystkich papierowych dokumentów zajęło jej wiele godzin i skończyło się okrutnym rozczarowaniem. Żaden nie zawierał nawet najogólniejszej wzmianki o pompie Eschlessa. Żaden.

Kolację zjedli na zewnątrz, na grzbiecie najbliższego nasypu, podziwiając zachód słońca. Tego dnia nad pustynią wisiały wysokie, rzadkie chmury, które mieniły się jaskrawymi pąsami i fioletami w blasku opadającej gwiazdy. Piasek ciemniał, wpadając w brąz, i widok był urzekający.

– Wiesz, co tu robił ten zespół badawczy? – spytał Eddie. – Wchodzili w jakieś interakcje z Egipcjanami?

– Mieli badać Ziemię jako neutralni obserwatorzy, ale interakcji, jak widać, nie udało się uniknąć. Zbudowali Wielką Piramidę, radiolatarnię, która miała nas wezwać do miejsca ich spoczynku. Są odpowiedzialni za kryształy, które znalazłeś i kto wie, za jakie jeszcze aspekty starożytnego Egiptu. Nie znam jednak żadnych szczegółów dotyczących tej interakcji.

Eddie domyślił się części o piramidzie, ale większą satysfakcję dało mu usłyszenie tego od Pruit. Po latach głowienia się nad wszystkimi przeciwstawnymi teoriami dotyczącymi jej pochodzenia i funkcji, nareszcie mógł wyznaczyć piramidzie w miarę stałe i pewne miejsce w swoim umyśle.

– Ale jakim cudem oboje jesteśmy ludźmi? – spytał. – Jeżeli był to pierwszy kontakt między naszymi światami, to dlaczego jesteśmy tacy sami?

– Poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie było jednym z celów ich wyprawy. Wciąż nie wiemy, dlaczego tak jest, ale obecnie przychylamy się do teorii, że cywilizacje przychodzą i odchodzą w długich cyklach. Wierzymy, że istniały już tuziny inkarnacji naszego świata i że w jednej z nich być może skolonizowaliśmy waszą planetę. Albo wy naszą. Albo jakaś inna cywilizacja sprowadziła ludzi na obie. Wszystko jest możliwe.

Patrzyli, jak słońce znika za horyzontem. Na wschodzie było już widać gwiazdy.

– Jak daleko stąd jest twój dom? – spytał Eddie.

– Osiem lat świetlnych, mniej więcej.

Choć sama przebyła ten dystans, wydawał się jej nierzeczywisty. Nic nieznacząca liczba.

– Długo stamtąd leciałaś?

Podróże mierzone w latach świetlnych nie mieściły się w wyobrażeniach Eddiego, będąc ideą przypisaną domenie fantastyki naukowej.

Pruit odchyliła się w tył, opierając na kamieniu za sobą, i spojrzała w niebo.

– Osiemnaście lat.

– Boże… – jęknął cicho Eddie, nie wiedząc, jak jeszcze mógłby zareagować. – Ale… Twój wiek?

– Kojec hibernacyjny. Podobny do tych pod ziemią. Inne rozwiązania techniczne, ale przeznaczenie to samo. Każdego roku budziłam się tylko na kilka dni.

– Aż tak ważne jest to, czego szukasz?

Odwróciła się na bok, podpierając głowę ręką opartą łokciem na ziemi. Spojrzała na Eddiego.

– Tak, to ważne. Na naszej planecie jest tylko garstka miejsc nadających się do życia. Nie mamy nieskażonych zbiorników wodnych, no i są też… inne komplikacje.

Nie chciała mówić mu o Lucenach i wyznaczonym przez nich terminie zagłady jej ludu. Po raz pierwszy znalazła przyjemność w podziwianiu pejzażu tego świata, czując się niemal komfortowo pod otwartym niebem. Nie chciała psuć sobie tej chwili gniewem.

– Potrzebujemy sposobu na budowanie szybkich statków i szybkiej broni, być może nawet na wyprowadzenie dużej części ludności z Herroda. Pompa Eschlessa umożliwiłaby nam to.

– Dlaczego akurat ty?

– A dlaczego nie? – odparła. – Ktoś to musiał zrobić. Dlaczego nie ja? Być może za mną posłano kolejne wyprawy. Zanim wyruszyłam, mówiło się o co najmniej jeszcze jednej misji. Ale zasoby były skąpe i muszę założyć, że jestem jedyna. Propozycja podjęcia się tego zadania była dla mnie zaszczytem. Oznaczała, że moi koledzy uważają mnie za jedną z najlepszych.

– Ale twoja rodzina…

– Tęsknię za nimi, to jasne – powiedziała szybko, jakby w nadziei, że brak wahania uchroni ją przed emocjonalnym oddziaływaniem własnych słów. – Ale mam nadzieję, że znów ich zobaczę. A kiedy wrócę, będzie to miało decydujący wpływ na ich losy.

Po raz tysięczny zadumała się nad tym, co pomyśleli rodzice o jej zniknięciu.

„Czy jestem dla nich martwa?”.

Zamilkła na chwilę, nie potrafiąc skutecznie uciec przed wzruszeniem.

– Przygotowywałam się do tej misji bardzo długo, Eddie. Wiedziałam, co mnie czeka, na długo zanim odleciałam.

– Przykro mi. – Żadna inna odpowiedź nie przyszła mu do głowy.

– Przyjdą inne życia – powiedziała Pruit cicho, wiedząc, że na Herrodzie nie będzie już żadnego życia, jeżeli jej wyprawa skończy się fiaskiem. Odwróciła się na wznak i znów spojrzała w niebo. – Szczęśliwsze, mam nadzieję.

– Naprawdę w to wierzysz? Że będziesz żyć znowu?

– Oczywiście.

Eddie nie odpowiadał. Pruit obróciła głowę, aby na niego spojrzeć.

– Nie wierzysz we własną nieśmiertelność? Myślałam, że wszystkie cywilizowane społeczeństwa to rozumieją.

– Chciałbym w to wierzyć.

– No to uwierz.

Powoli wyciągnęła rękę i ujęła go za dłoń. Uniosła ją w taki sposób, jakby trzymała martwy przedmiot.

– To nie jesteś cały ty.

Uśmiechnął się.

– Pomyśl – ciągnęła – jak wielkie mamy szczęście. Możemy doświadczać sztuki, miłości, piękna… Jesteśmy nieskończeni, tak jak te rzeczy są nieskończone.

– Nieskończeni… – powtórzył w zamyśleniu, wpatrzony w gwiazdy.

– Dlaczego trwamy nawet wtedy, gdy życie sprawia nam tyle bólu? – spytała lekko łamiącym się głosem, ponieważ te słowa miały dla niej osobisty wymiar. – Ponieważ jesteśmy silniejsi niż przeszkody czy ból. Świat wokół nas może sobie istnieć, ale my żyjemy. My jesteśmy.

Ostatnie słowo wybrzmiało pomiędzy nimi i pozostawiło w ciszy. Eddie wpatrywał się w granat nocnego nieba poruszony tym, co usłyszał, ale Pruit odkryła, że rozmowa napełniła ją smutkiem. Przypomniały jej się przyczyny, z powodu których jej życie było bolesne, a zwłaszcza Niks, który wciąż gdzieś tam istniał – wiedziała o tym – ale nie był już z nią. Odszedł w swoją własną przyszłość, pozostawiając ją samą w teraźniejszości.

– Ty jesteś – powiedział cicho Eddie po dłuższej chwili, odpowiadając na jej stwierdzenie.

– Nie różnimy się aż tak bardzo, Eddie – wyszeptała.

Czuła, jak wzbiera w niej tęsknota za Niksem, pomieszana ze smutkiem, jakim napełniały ją myśli o losie jej rodziny i całej jej rasy. Wiedziała, że jeśli posiedzi tu dłużej, rozpacz owładnie nią całkowicie. Usiadła i przeczesała palcami włosy.

Eddie przyglądał się jej uważnie. Na pierwszy rzut oka była po prostu dziewczyną o interesującej twarzy, przeciętnego wzrostu, niedającą praktycznie żadnego powodu do nazwania jej niezwykłą. A jednak to właśnie ona świadomie zrezygnowała ze wszystkiego, co znała i kochała, aby znaleźć się tutaj.

– Różnimy się – powiedział.

Nie odpowiedziała. Przegrywała bitwę o zachowanie zimnej krwi i wiedziała, że jeśli się odezwie, wybuchnie szlochem.

– Widzę, jak na mnie patrzysz – ciągnął Eddie, dostrzegłszy zmianę w jej postawie, ale nie zdając sobie sprawy z głębokości owej zmiany. – Jestem beztroskim człowieczkiem w świecie, w którym można sobie pozwolić na beztroskę. Myślisz, że nigdy nie zaznałem bólu. Uważasz mnie za lenia.

Przerwał na chwilę i uśmiechnął się do siebie, ponieważ właśnie opisał sposób, w jaki sam o sobie myślał.

– I masz rację, jestem nim – zaśmiał się. – Mój ojciec powtarza mi to od lat. Ale z jakiegoś powodu teraz traktuję to poważniej. Chciałbym być… użyteczny dla ciebie.

Pruit patrzyła w drugą stronę, aby ukryć drżenie kącików ust i połysk łez w oczach. W ciągu kilku sekund zdołała pokonać żal – przynajmniej na jakiś czas. Słyszała, co powiedział Eddie, i doceniała jego postawę. Po długiej pauzie odezwała się cicho, zdobywając się nawet na nutkę humoru:

– Dzięki, Eddie. Nie nazwałabym cię beztroskim, ale słowo leń faktycznie przemknęło mi przez myśl.

Eddie roześmiał się. Pruit nie, choć zmusiła się do uśmiechu. Nie był to jednak grymas radości, zaledwie znak, że jest zadowolona z jego towarzystwa. Eddie nie widział jej jeszcze radosnej.

Kiedy śmiech ucichł, Pruit poczuła powracającą falę smutku. Dźwignęła się na nogi.

– Pójdę trochę się przejść. Sama.

Eddie poszukał wzrokiem jej oczu, ale Pruit odwróciła głowę.

– W porządku – powiedział.

Oddaliła się, idąc wzdłuż grzbietu kamienistego wału. Eddie został sam. Położył się na wznak i zapatrzył się w gwiazdy, myśląc o tym, że chciałby, aby Pruit miała rację. Chciałby być czymś więcej niż ręką, nogą, czy jakąkolwiek częścią swojego fizycznego ciała. Chciałby być nieskończony.

Pruit sięgała w głąb kojca. Tam był Niks – łapała go za ramię. Widziała go przez biofluid, choć trudno jej było dojrzeć rysy twarzy. Próbowała go podtrzymywać, ale wyślizgiwał się jej z rąk. Kojec był za głęboki. Wydawał się ciągnąć w dół w nieskończoność, całe mile biofluidu, bezdenna mroczna otchłań.

Musiała go wyciągnąć, musiała uchwycić pewniej jego ciało, wyrwać je na powietrze, uratować.

Czuła ruch jego ramion. Walczył. Próbował ją chwycić, ale za każdym dotknięciem wyślizgiwał się i osuwał w głębinę. Trzymała go pod ramię, próbując uchwycić pewniej, ale nie była w stanie go utrzymać.

– Niks, trzymaj się! – krzyknęła. – Złap mnie za rękę!

Pod wnętrzem dłoni poczuła jego łokieć, nadgarstek, dłoń i wreszcie koniuszki palców. Przesunęły się po jej własnych palcach i już ich nie było, a ona ujrzała Niksa tonącego w biofluidzie, wciąganego w otchłań. Wciąż walczył.

– Niks! – krzyknęła. – Niks!

– Pruit…

Wołał ją po imieniu, ale jego głos był dziwny.

– Niks!

– Pruit! Pruit!

Pruit ocknęła się i otworzyła oczy w ciemności. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę ze szlochu, który wstrząsał jej słabym, wycieńczonym ciałem. Spróbowała odzyskać poczucie kierunków. Była w tunelu – to pamiętała. Ktoś ją trzymał; czuła dotyk dłoni na ramionach.

– Pruit?

To był Eddie. Naraz przypomniała sobie o jego istnieniu.

Eddie sięgnął do plecaka i włączył małą lampkę kempingową. Wyglądał, jak wyrwany z głębokiego snu i Pruit uświadomiła sobie, że ona także spała. Wzięła się w garść. To był tylko sen.

– Krzyczałaś – powiedział łagodnie Eddie.

W świetle lampki widział jej twarz, czerwoną od łez i przestraszoną.

– Przepraszam – powiedziała w soulene i natknęła się na pusty wzrok Eddiego. – Przepraszam – powtórzyła, z niejakim wysiłkiem przechodząc na angielski. – Ja… Coś mi się przyśniło.

Teraz panowała już nad sobą. Poczuła ulgę – dobrze, że koszmar się skończył. Eddie powoli puścił jej ramiona.

– To raczej nie był dobry sen, co?

Pokręciła głową i wtuliła twarz w kolana, które podciągnęła sobie do piersi.

– Nie był.

– Chcesz o tym pogadać?

Nie chciała, ale czuła, że ucieka, a to także jej się nie podobało. Żal nie będzie za nią decydował, co powie, a co przemilczy.

– Niks… – zaczęła cicho i poczuła, że to będzie ją wiele kosztowało. – Niks był kimś, kogo… straciłam w drodze tutaj. Był…

Kolejna łza stoczyła się jej z policzka.

– Moim partnerem – szepnęła.

Te dwa słowa niosły ze sobą taki ciężar, że Eddie nie miał wątpliwości co do charakteru tego związku. Było oczywiste, że Pruit nie chce mówić dalej, a on nie miał zamiaru naciskać.

– Jest mi bardzo przykro.

Pruit pokiwała głową i głęboko westchnęła.

– Tak, mnie też.

Naciągnęła śpiwór wyżej na nogi i spojrzała w głąb tunelu. W jej oczach Eddie ujrzał pustkę.

– To nieważne – powiedziała wreszcie.

– To jest ważne – wyszeptał Eddie.

Pruit spojrzała na niego.

– Dobrze, jest – przytaknęła. – A jednak nie zmienia powodu, dla którego tu jestem. Nie zmienia… Nie ma wpływu na Lucenów,

bomby, inwazję ani przyszłość mojego ludu – głos znowu zaczął jej się łamać.

– O czym ty mówisz? – wypalił Eddie, wcale nie mając pewności, czy chce poznać odpowiedź.

Ale odpowiedź nadeszła, wylewając się z niej potokiem słów, niesiona łzami, którym jeszcze nigdy nie pozwoliła popłynąć, aż do teraz. Opowiedziała mu o Lucenach i ich zatargu z Kinlai. O szpiegach, meteorytach i planach zniszczenia Herroda. Opowiedziała o wierszu w krysztale na jej szyi i o tym, że Luceni nigdy nie zwyciężą. Nie mogą zwyciężyć. Ona nigdy im na to nie pozwoli.

Eddie był bezradny wobec tej lawiny emocji. Mógł tylko słuchać i próbować wyobrazić sobie ogrom ciężaru, z jakim musiała brnąć przez każdy kolejny dzień życia. Po długich minutach potok słów ucichł, a Pruit zaniosła się łkaniem.

Delikatnie objął ją ramionami i przytulił. Nie ważył się odezwać. Zresztą co mógłby powiedzieć? Powoli zaczęła się uspokajać; jej oddech nabrał regularności, mięśnie rąk lekko się rozluźniły, a piersią przestał wstrząsać żal.

Eddie pomógł jej wgramolić się do śpiwora, po czym wśliznął się do własnego i ułożywszy obok Pruit, jeszcze raz objął ją ramieniem. Przyciągnął ją do siebie, przyciskając pierś do jej pleców.

Po kilku chwilach westchnęła głęboko i jej oddech stał się niemal normalny – powolny i miarowy. Pruit położyła dłoń na jego ręce i przycisnęła ją do siebie.

– Dziękuję, że jesteś tu ze mną – wyszeptała przed siebie.

– Nie ma za co.

Wtedy, bezpieczna w cieple przyjacielskiego uścisku, na chwilę zapomniawszy o Niksie i grozie przyszłości, Pruit odpłynęła w sen.

Rozdział 33

Adaiz-Ari miał zamknięte oczy. Stał na obu stopach, balansując na palcach, ręce trzymając wyciągnięte przed sobą. Ściśnięty pomiędzy jego dłońmi tkwił nóż – krótki, prosty sztylet, wciąż ukryty w pochwie. Adaiz nie widział go, ale czuł – jego ciężar, położenie, zagłębienia w jego rękojeści.

Naprzeciwko niego stał Enon, także z zamkniętymi oczami, także pochylony do przodu, balansując na palcach i lekko ugiętych obu kolanach każdej nogi.

Oddychali zgodnie – krótki wdech, długi wydech – wyczuwając każdy muskuł w swoim ciele, powoli budując świadomość.

Była to egani-tah, forma Otwarcia, pradawna ceremonia przedbitewna, której sekrety przekazywano z pokolenia na pokolenie na długo przed Pomorem. Dwaj uczestnicy egani-tah najpierw stawali się świadomymi swoich ciał, potem otoczenia, i wreszcie siebie nawzajem. Na koniec mierzyli się ze sobą w rytualnej walce.

Adaiz czuł już każdy swój mięsień. Krew w jego żyłach płynęła swobodniej, serce biło powoli i głęboko. Kontynuował ceremonialne oddychanie – krótki wdech, długi wydech. Wciąż utrzymując pozycję z zamkniętymi oczami, rozszerzył swoją świadomość na pokój. Wykorzystywał teraz fundamentalną część własnego jestestwa, nieśmiertelnego ducha, który był nim, ale bez wszelkiej fizyczności. Wielki Omani nazwał owego ducha „tym, który jest”; wszystko inne mogło przeminąć, ale duch trwał.

Adaiz czuł dywan pod swoimi stopami, każdy mebel w hotelowym pokoju, czuł nawet upał na zewnątrz usiłujący wedrzeć się do środka przez zamknięte okna i grube zasłony. Kiedy zawarł już całe pomieszczenie w swoim wnętrzu, przeniósł swoją uwagę na partnera.

Był tam. Enon-Amet. Zobaczył jego ciało, srebrzystą skórę, długie nogi, trwające w doskonałym bezruchu, zamknięte oczy. Ujrzał

czystego Enona-Ameta, jego ducha, i dokładnie w tej samej chwili Enon sięgnął poza siebie i odnalazł ducha Adaiza.

Ich świadomości zetknęły się i połączyły we wspólnym zamiarze egani-tah. Jednocześnie otworzyli oczy.

Patrzyli na siebie z dwóch stron pokoju, utrzymując swoje pozycje, trzymając noże. Dwa umysły całkowicie opróżnione z myśli. Obaj byli świadomi tylko siebie i najbliższego otoczenia. Zaczerpnęli ostatni haust powietrza pierwszej pozycji rytuału i powoli wypuścili je z płuc.

Uderzyli. Adaiz skoczył naprzód, chwytając rękojeść sztyletu i wyrywając go z pochwy. Enon skoczył na niego dokładnie w tym samym momencie, a każdy z nich miał pełną świadomość przeciwnika. W dłoni Enona błysnął obnażony nóż. Skokiem zmniejszyli dystans i wylądowali twarzą w twarz. Adaiz zamierzył się na Enona prawą ręką. Enon-Amet gładko sparował cios i odpowiedział własnym, który został natychmiast i skutecznie zablokowany przez Adaiza. Ich ruchy nie były przećwiczone; źródłem doskonałej synchronizacji było wzajemne przenikanie się umysłów walczących. Ich świadomości splotły się w jedność i impulsy odruchów walki swobodnie płynęły przez nią w jedną i drugą stronę. Dzięki temu każdy z nich był bezpieczny od ciosów drugiego – przynajmniej dopóki ich jednia pozostawała bez skazy. Najwięksi mistrzowie egani-tah potrafili odprawiać rytuał godzinami, poruszając się w doskonale harmonijnym tańcu ciosów, bloków i kontr. Mistrzowie ci mogli także, w sprzyjających okolicznościach, osiągać egani-tah podczas prawdziwych bitew, przenikając jestestwo przeciwnika i przejmując kontrolę nad walką.

Enon i Adaiz krążyli wokół siebie, trzymając noże w gotowości do ciosu. Enon przerzucił broń z lewej do prawej dłoni i wyprowadził pchnięcie – wszystko w pojedynczym płynnym ruchu – celując w brzuch Adaiza. Adaiz zgrabnie odskoczył, obrócił się i szerokim łukiem śmignął ostrzem w stronę szyi swojego brata. Ale Enon już unosił lewe ramię, aby zablokować cios.

„Jesteśmy doskonali” – pomyśleli razem Adaiz i Enon.

Była to ich pierwsza wspólna myśl. Dopóki te słowa nie błysnęły im w połączonym umyśle, nie było w nim niczego oprócz poczucia

ruchu i półświadomego instynktu walki.

„To początek końca” – pomyśleli i żaden z nich nie wiedział, u kogo ta myśl powstała.

„Zaczęliśmy myśleć zamiast być. Ale myślenia nie da się uniknąć”.

Adaiz wyprowadził kopnięcie, a Enon uchylił się w bok. Ich ruchy nadal były skoordynowane, ale ceremonii brakowało już początkowej gracji.

„Czy tracimy się nawzajem? – pomyśleli, a wtedy myśli popłynęły lawiną, rodząc się w każdym z nich i w obu naraz; sprawy, jakich nigdy nie wypowiedzieli na głos; rzeczy do tej pory pogrzebane głęboko w ich umysłach. – Być może tracimy siebie nawzajem. Nie jesteśmy jednością. Jesteśmy różni. Jesteśmy tutaj, na tym obcym świecie, a on ukazał nam nasze różnice. Wciąż jesteśmy Lucenami. Jesteśmy braćmi…”.

Uderzyli na siebie, odparowali ciosy i uderzyli znowu. Ich ruchy były teraz nieznacznie rozstrojone, ale nadal udawało im się pracować razem. Ale wtedy ich współświadomość zalało wrażenie rozdzierania i nagle poczuli, że ich jaźnie rozplatają się, stają znów odrębnymi bytami. Osobnymi. Ich myśli wciąż biegły obok siebie, ale traciły synchronizację i rozchodziły się w dwie strony.

„Jesteśmy braćmi. Ale tutaj jest świat, jakiego nie mógłbym sobie wyobrazić. Jesteśmy Lucenami – czy jestem Lucenem? Jest w nas splątanie – czym jest to splątanie? Czy jest we mnie? Czy jest we mnie?”.

Enon wyprowadził kopnięcie i Adaiz wykonał unik o ułamek sekundy za późno. Stopa drasnęła mu udo, niegroźnie, ale był to znak końca ich unii.

Ich umysły były już oddzielone. Wyczuwali nawzajem swoje myśli, ale ich pochodzenie było oczywiste.

„Tak, jestem splątany, a mój umysł głośny – to był Adaiz-Ari. – Tutaj żyją ludzie, całe miliony, mają partnerów i dzieci. Ich mowa leży w mojej skali, a ich popędy i zwyczaje są naturalne…”.

Był także Enon:

„Mój brat jest oddalony. Czy zdoła zachować obiektywność w tym świecie? Czy popełniłby wielki grzech, tęskniąc za społecznością,

którą tutaj widzi? Myślę, że ja bym tęsknił, gdybym znalazł się na jego miejscu…”.

Adaiz uderzył nożem i tym razem Enon nie zablokował ciosu na czas. Ostrze pofrunęło w stronę cienkiej szczeliny pomiędzy kostną tarczą chroniącą klatkę piersiową Enona a tarczą osłaniającą podbrzusze i miednicę. Adaiz zatrzymał nóż, kiedy czubek klingi muskał już skórę brata. Byłby to śmiertelny cios.

Bracia spojrzeli na siebie i nóż pomiędzy nimi. Oddychali ciężko, w niezgodnych rytmach.

– To koniec – powiedział głośno Enon.

Na dźwięk tych słów obaj poczuli, że wracają do swoich oddzielnych tożsamości. Byli Enonem-Ametem i Adaizem-Ari, stali naprzeciwko siebie w pokoju hotelowym w Heliopolis, dzielnicy miasta Kair na planecie zwanej Ziemią, wiele lat świetlnych od domu.

Adaiz przytaknął przechyleniem głowy i pozwolił, by ręka z nożem zwisła mu wzdłuż boku. Patrzyli sobie w oczy, obaj świadomi wagi myśli, jakie przepłynęły między nimi, obaj niepewni, co odpowiedzieć drugiemu. Ciszę złamał Enon.

– Nigdy bym w ciebie nie zwątpił, młodszy bracie – powiedział powoli i poruszył rogami w odpowiedniku ludzkiego uśmiechu.

Adaiz ściągnął mięśnie twarzy, nieznacznie poruszając uszami i marszcząc czoło we własnej wersji tego samego grymasu.

– A ja nigdy nie zwątpiłbym w twoje zaufanie, starszy bracie – odpowiedział Adaiz.

Rozdział 34

Obie komory stazy uruchomiły alarm dźwiękowy, zaś żółta lampka na wieku każdej z nich zaczęła zapalać się i gasnąć w regularnych odstępach czasu. Znaczenie sygnału było oczywiste: lokatorzy komór zaczęli się budzić. Pruit i Eddie stanęli w kilkustopowym oddaleniu i patrzyli, jak lampki migocą coraz szybciej. Wyglądało to tak, jakby częstotliwość migotania była skorelowana z tempem funkcji życiowych ludzi w komorach.

Nareszcie żółte światełka zapłonęły jednostajną bielą i rozległ się długi, miękki gong. Z ledwie słyszalnym pokrywy dwóch zbiorników odsunęły się. Pruit wstrzymała oddech, wyczuwając niecierpliwą ekscytację stojącego obok niej Eddiego. Odruchowo cofnęli się jeszcze o kilka kroków.

W zbiornikach widać było zielonkawobrązową substancję, kleistą i gęstą jak smar. Po chwili poczuli jej zapach: organiczny i ciut nieprzyjemny.

Potem pojawiła się dłoń. Wyłoniła się z komory – mokra, oklejona brązowymi zgęstkami – i ujęła brzeg zbiornika. Druga dłoń złapała drugą krawędź. Palce zwarły się mocniej, mięśnie napięły i z brązowej mazi wynurzył się nagi tors kobiety.

Maź pokrywała jej twarz i zlepiała krótkie włosy. Powoli uniosła dłoń, aby otrzeć oczy. Otworzyła je. Zdezorientowana rozejrzała się wokół, trzęsąc lekko, rejestrując obecność komór, świateł, a potem Pruit i Eddiego. Odnalazłszy rurkę w swoich ustach, wyszarpnęła ją, zginając się przy tym w odruchu wymiotnym. Upuściła rurkę w maź.

– Witajcie – powiedziała w haight, słabym i skrzekliwym głosem.

Niepewnymi ruchami zaczęła odłączać rozmaite przewody i rurki przytwierdzone do jej ciała.

– Witaj – powiedziała Pruit miękko.

Z własnego doświadczenia znała dezorientację po wyjściu ze stazy. Jednak jej najdłuższy sen trwał mniej niż rok. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak to jest obudzić się, by odkryć, że

świat wokół postarzał się o tysiąclecia. Będzie musiała być bardzo ostrożna przy przekazywaniu przebudzonym tej informacji.

– Kim jesteście? – spytała kobieta.

Zanim Pruit zdążyła odpowiedzieć, coś zabulgotało i w drugiej komorze gwałtownie usiadł mężczyzna. Otworzył oczy, pomimo zalepiającej je mazi, i spróbował zaczerpnąć powietrza. Dławił się rurką w tchawicy. W panice uniósł ręce do szyi i znów spróbował wziąć oddech – bez skutku. Zaczął się dusić.

Widząc jego cierpienie, kobieta wyrwała z siebie resztę przewodów i wyskoczyła ze zbiornika. Naga, ociekająca mazią, przypadła do mężczyzny, by wziąć go w ramiona.

– Kochanie, kochanie, spokojnie – powiedziała.

Mężczyzna wciąż się szamotał, próbując wykaszleć rurkę z gardła i jednocześnie zaczerpnąć powietrza.

Szybko i z wielką wprawą kobieta złapała go za włosy na potylicy i drugą ręką wyciągnęła mu rurkę z ust.

Gdy łapczywie zachłystywał się powietrzem, odłączyła resztę jego przewodów. Po kilku chwilach uspokoił się nieco, a ona położyła mu kojącą dłoń na ramieniu. Odwrócił głowę, by rzucić jej niespokojne spojrzenie.

– Aj-ach-a… – powiedział. – Ge-ge-gra…

Kobieta spojrzała mu w oczy.

– Kochanie? Co się dzieje?

– A-ach-ach-ach – wykrztusił, z ustami i krtanią drżącymi z wysiłku. – Aj-ghe-ge-ach…

– Co on mówi? – wyszeptał Eddie.

– Nic – odpowiedziała cicho Pruit. – Bezsensowny bełkot. Coś jest nie tak.

– Co się dzieje? – dopytywała się kobieta. – Co się stało?

Inżynier odwrócił się w stronę jej głosu. Stała obok komory, naga. Znał ją, rozpoznawał, w jakiś sposób był mu znajomy każdy fragment jej ciała, każdy gest i każda mina, ale poza tym nie był pewny niczego. Poruszył rękami i poczuł miękki opór brei. „Breja” – pomyślał, nie wiedząc, skąd zna to słowo. Wzrokiem myszkował po

pomieszczeniu. Żółte lampy wydały mu się zbyt jasne i skrzywił się, mrużąc oczy. Zobaczył też dwoje innych ludzi, stojących kilka stóp dalej. Ci byli mu obcy. Był skołowany.

– Aj… aj…e-krii – powiedział, nie wiedząc, co chciał powiedzieć, ale świadomy, że ani jego myśli, ani ciało już go nie słuchają. Poczuł dotyk jej dłoni na ramieniu.

– O co chodzi, kochanie? Co próbujesz mi powiedzieć?

Z wysiłkiem skupił na niej wzrok. Była dla niego cenna – tyle wiedział na pewno. Z jakiegoś powodu należała do niego.

– Kre-ga…

Nie był w stanie zmusić języka i krtani do posłuszeństwa, Jego ręce odruchowo powędrowały do gardła, ale nie znalazły tam nic oprócz dotyku jego własnej skóry. Chciał się odezwać, ale dlaczego? Jaki był cel mówienia?

– Spójrz na mnie, kochanie – powiedziała powoli. – Spójrz na mnie.

Inżynier zrozumiał ją, choć nie znał znaczenia poszczególnych słów, których użyła. Znów odwrócił głowę w jej stronę.

– Poznajesz mnie? – spytała.

Położył dłoń na jej ramieniu, próbując dać znać, że ją poznaje. Oczy zaszkliły mu się łzami.

Pomóżcie mi go stąd wyjąć – powiedziała kobieta, zwracając się do Pruit i Eddiego.

Zbliżyli się i postępując zgodnie z jej wskazówkami, złapali mężczyznę i pomogli mu usiąść na podłodze.

– Połóż się – poleciła kobieta, a kiedy nie zareagował, popchnęła go lekko, kładąc na wznak.

Zaczęła go badać, zaglądając do oczu, naciskając w różnych miejscach i obserwując reakcję. Nie zwracała uwagi na swoją nagość.

Zwróciła się do Pruit.

– Tam – powiedziała, wskazując palcem. – W tamtej szufladzie jest duży zestaw medyczny. Przynieś mi go.

Pruit niezwłocznie podeszła do wskazanego schowka i wyjęła stamtąd duży, lekki pakiet. Kobieta rozwinęła apteczkę i z jednej z kieszonek wybrała przyrząd w kształcie litery V. Sprawdziła pokrętła, po czym zaczęła potrząsać nim energicznie, najwyraźniej ruchem tym ładując źródło energii. Po kilku chwilach ustawiła pokrętła jeszcze raz i wsunęła przyrząd mężczyźnie pod brodę. Rozgałęzione ramiona aparatu obejmowały mu szyję, środkowa część spoczywała na mostku.

– Aj-ach-gre-ga… – wyjąkał mężczyzna, próbując się poruszyć.

– Nie, nie, kochanie – powiedziała łagodnie kobieta, kładąc mu dłoń na czole. – Musisz trochę poleżeć bez ruchu.

Uspokojony, rozluźnił się i zamknął oczy. Kobieta przyglądała się wskazaniom przyrządu i manipulowała nim przez kilka minut. Potem, kiedy dowiedziała się już wszystkiego, czego mogła, usiadła ciężko na ziemi i przełknęła ślinę.

– Co mu jest? – spytała Pruit.

Kobieta uniosła na nią wzrok.

– Potężne uszkodzenie mózgu. Wydaje się mieć kontrolę motoryczną, ale nawet ta jest upośledzona.

– Ogromnie mi przykro.

Kobieta zdawała się nie słyszeć Pruit.

– Mogę go wyleczyć. Chyba. Kiedy wrócimy do domu.

Przeczesała dłonią jego włosy, lepkie od mazi. Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na nią.

Pruit milczała. Jak miała powiedzieć tej kobiecie, że domu już nie ma? Przynajmniej takiego, jaki pamiętała?

Kobieta przeniosła swoją uwagę na okoliczności, w jakich się znalazła. Rozejrzała się wokół, badając wzrokiem pozostałe komory, które stały puste.

– Kim jesteście? – spytała Pruit. – Gdzie pozostali? Jak długo spaliśmy?

– Myślę, że… Chyba lepiej będzie, jeśli się wykąpiesz i ubierzesz. Potem powiem ci, co wiem.

Powinni mieć przynajmniej odrobinę komfortu.

Kobieta powoli pokiwała głową. Podniosła się i pomogła mężczyźnie wstać. Pruit skinęła na Eddiego, a on przyniósł lekką

bieliznę i ubrania, które znaleźli w jednym ze schowków schronu.

Kobieta wzięła ubrania i obejmując mężczyznę ramieniem, poprowadziła go do wnęki z natryskiem. Krok miał niepewny. Znowu próbował coś mówić, ale jego usta nie chciały formować słów.

Pruit kiwnęła głową w stronę wyjścia i razem z Eddiem wymknęli się na korytarz, by przebudzeni mieli trochę prywatności.

Pół godziny później kobieta i mężczyzna siedzieli na posadzce schronu, ubrani w brązowe uniformy robocze. Pruit siedziała naprzeciwko nich. Eddie stał oparty plecami o ścianę.

– Zacznijmy od tego, że jestem Pruit Pax – powiedziała Pruit.

– Mnie zwą Lekarką – odpowiedziała kobieta. – A to jest mój mąż, Inżynier.

– Miło mi was poznać.

Lekarka uśmiechnęła się uprzejmie, ale nie wyglądało na to, aby ta chwila sprawiała jej szczególną przyjemność. Teraz, kiedy była już czysta i ubrana, Pruit skonstatowała, że jest całkiem ładna. Pruit kojarzyła jej fenotyp – oliwkową cerę, brązowe oczy i kręcone, ciemnobrązowe włosy – ze starej książki z obrazkami, którą miała w szkole. Kobieta musiała pochodzić z półkuli południowej, gdzie teraz było tylko radioaktywne szkło, ciągnące się w nieskończoność martwym pustkowiem. Patrząc na nią, Pruit doznawała niepokojącego uczucia zaglądania w odległą przeszłość.

– Kiedy byłam jeszcze na statku, wydawało mi się, że porozumiewam się z kimś z wnętrza tego schronu – ciągnęła Pruit. – Ale kontakt się urwał. Do schronu dotarłam trzy dni temu.. Wszystkie komory oprócz waszych były już puste. Na zewnątrz wyglądało to tak, jakby ktoś wyszedł stąd w ciągu minionych kilku miesięcy, ale nie wiem tego na pewno. Wiem za to, że na zbiorniku twojego męża świeciły lampki alarmowe.

– To nie ma żadnego sensu – powiedziała cicho Lekarka, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. – Program komputera każe mu obudzić jedno z nas przy pierwszej oznace kłopotów.

Pruit poczekała cierpliwie, aż uwaga Lekarki zwróci się z powrotem ku niej, po czym podjęła swoją relację:

– Co do tego, kim jestem, to jestem Kinlai. Przyleciałam z Herroda, ale to nie jest już ten Herrod, który pamiętacie. Przespaliście pięć tysięcy lat.

– Co?! – Lekarka prawie się roześmiała, ale nagle umilkła, próbując wyobrazić sobie ten niewyobrażalnie długi czas. – Ale… jesteś pewna?

– Całkowicie pewna – powiedziała Pruit.

Eddie, który nie rozumiał haight, mógł mimo wszystko domyślić się przebiegu konwersacji na podstawie wyrazu twarzy rozmawiających.

– Prawda jest taka – ciągnęła Pruit łagodnym tonem – że wcale nie przyleciałam tu po was. Nie przyszło nam do głowy, że ktoś z was może jeszcze żyć po tak długim czasie.

– Bo nie wiecie, w jaki sposób mój mąż projektuje rzeczy. – Lekarka z czułością położyła dłoń na nodze swojego upośledzonego męża.

– Nie będę owijać w bawełnę – powiedziała Pruit. – Jestem tu, ponieważ potrzebna mi jest pompa Eschlessa.

Lekarka wpatrywała się w nią przez chwilę, zaskoczona.

– Pompa Eschlessa? Jak to? Czy to nie z nią tu przyleciałaś?

– Nie, wprost przeciwnie – powiedziała Pruit, a potem udzieliła kobiecie lekcji historii, opowiadając pokrótce o wojnie z Lucenami, następnych pięciu tysiącleciach i obecnym zagrożeniu.

Lekarka była bardzo ciekawa Lucenów. Gdy wyruszała z zespołem badawczym, Kinlai wiedzieli o ich istnieniu, a nawet wysłali sondę, aby obserwowała Eimizę, ojczystą planetę Lucenów, ale zdecydowali się nie nawiązywać kontaktu, uznawszy ich za skrajnie agresywną rasę. Pruit wyjaśniła jej, że właśnie owa sonda stała się zarzewiem wojny. Luceni uznali jej przylot za naruszenie ich terytorium, co skłoniło ich do wyprowadzenia kontrataku przeciwko Kinlai.

Lekarka była wstrząśnięta opowieścią Pruit. Myślała o swojej rodzinie, przyjaciołach i wielkich miastach Herroda.

– Nic nie zostało – szepnęła.

– Rozumiesz, jak wielką wagę ma dla mnie kwestia zdobycia dokumentacji pompy Eschlessa?

– Tak… Tak, oczywiście – odpowiedziała Lekarka, opanowując się. – W schowku. Kryształy i papierowe manuały.

– Tam nic nie ma. Sprawdziliśmy schowek i cały wasz schron.

– Ależ to niemożliwe.

Lekarka wstała i podeszła do schowka. Pobieżny przegląd skórzanych teczek z kryształami pamięci ujawnił, że brakuje wszystkich, jakie odnosiły się do statku, jego napędu i fizyki w ogóle. Potem przy pomocy Pruit przejrzała nagłówki wszystkich manuałów. Tam również nie było nic o pompie Eschlessa.

– Wiem, że te materiały tu były – powiedziała Lekarka. – Sama je tu wkładałam.

– Znaleźliśmy coś takiego. – Pruit wręczyła kobiecie uszkodzony kryształ.

Lekarka przyjrzała mu się, a potem mocno ścisnęła palcami. Kryształ zaczął rozpadać się pod naciskiem, gubiąc duże odpryski swojej powierzchni.

– Widziałam już coś takiego – powiedziała Lekarka. – Zniszczono go prądem elektrycznym o wysokim napięciu. Celowo, jak się wydaje.

Obejrzała komory stazy, a potem resztę schronu.

– Musimy otworzyć log komputera i sprawdzić, co się stało z pozostałymi.

Zasiadła na kamiennej ławie przed komputerem i manipulując przyciskami przy krawędzi ekranu, wywołała log komór stazy. Były tam setki stron wpisów, w większości standardowych raportów „bez zmian” rejestrowanych w tygodniowych odstępach. Tu i tam jednakże dało się dostrzec anomalie.

– To nie ma żadnego sensu – mruknęła Lekarka, wybierając jeden z dziwnych wpisów i prosząc komputer o szczegóły. – Inspektor Maszynowni zmarł niemal natychmiast, po zaledwie pięciu latach. Potem, po stu latach, odszedł Mierniczy. Potem prawie pięć tysięcy lat upłynęło bez zmian: żadnych ofiar, żadnych problemów. I nagle, trzy tygodnie temu, umarł Pierwszy Oficer.

Jej głos nie zdradzał emocji związanych ze stratą tych ludzi. W jej świadomości zaszło zbyt wiele gwałtownych zmian, aby znalazło się

w jej miejsce na prawdziwy żal. Ten miał przyjść później. Teraz Lekarka zachowywała się po prostu profesjonalnie.

– Ich komory wyłączyły się nagle. Wiem, że miały wbudowane zabezpieczenia przeciw takim wypadkom. – Odruchowo obejrzała się na męża, szukając potwierdzenia, zapominając na chwilę, że Inżynier nie jest w stanie zapewnić jej o niczym. – Ale spójrzcie! Mechanik był wybudzany. Co dwieście lat. Spójrzcie! Tu znowu… – wyłowiła jeden z wpisów i wyświetliła kolejną stronę. – Kilka tygodni temu. Obudził się prawidłowo.

– Mechanik – powtórzyła Pruit z namysłem. – To znaczy, że to z nim rozmawiałam. To musiał być on. Powiedział mi, że jest jednym ze śpiących. Ale po co miałby uciekać?

– Mnie bardziej ciekawi, dlaczego twoja transmisja w ogóle go obudziła. To było zadanie Inspektora Maszynowni, a wobec jego… – zawahała się, nie chcąc użyć słowa „śmierć” – …nieobecności powinno przypaść Inżynierowi. Nie było powodu, dla którego Mechanik musiałby zostać obudzony. Więcej: specjalnie zaprogramowaliśmy komputer tak, aby Mechanik nie był budzony… – Umilkła, tknięta nagłą myślą.

Nagle cała krew odpłynęła jej z twarzy i przez chwilę Lekarka wyglądała jak sparaliżowana.

– O co chodzi? – spytała Pruit z niepokojem.

– O nie – jęknęła cicho kobieta.

Odwróciła się do komputera i szybko wprowadziła serię poleceń. Pruit patrzyła, jak Lekarka przerzuca kolejne ekrany danych i zaczyna przeglądać coś, co wyglądało na długą listę instrukcji programu. Nagle znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w ekran.

– Co się stało? – niecierpliwiła się Pruit.

– Zmienił program – powiedziała Lekarka cichym, martwym tonem. – Kazał komputerowi budzić tylko siebie.

Dźwignęła się z ławy i zaczęła kroczyć tam i z powrotem, spoglądając na komory stazy i swojego męża. Zwiniętymi w pięści dłońmi ściskała sobie skronie.

– Kto?

Pruit i Eddie wytrzeszczali na nią oczy. Odwróciła się do nich.

– Lew nas ostrzegał. Myśleliśmy, że zaczyna mu trochę odbijać, no bo rodzice zostali bogami, żegnał się z przyjaciółmi i tak dalej. Ale on miał rację, a ja mu nie uwierzyłam. Powiedziałam, że wszystko jest pod kontrolą i że Mechanik powinien pójść z nami.

– Nie nadążam…

– On to zrobił. To jedyne wyjaśnienie: ich śmierci – wskazała na puste komory – braku książek, zniszczonych kryształów. To wszystko on.

– Kto?

– Mechanik.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Ponieważ Lew miał rację. – W oczach Lekarki pojawiły się łzy. – A mój biedny mąż… Mój biedny mąż…

– Co się dzieje? – wtrącił zaniepokojony Eddie.

Pruit szybko przetłumaczyła. Lekarka oparła się o ścianę schronu i powoli osunęła na posadzkę. Ukryła twarz w dłoniach.

– Ale dlaczego miałby niszczyć kryształy? – zdziwiła się Pruit. – A plany? Co zrobił z planami? Czy zniszczył także manuały?

Poczuła, że zaczyna wpadać w panikę. A jeśli wszystkie plany zostały zniszczone? A jeśli dotarła tak daleko tylko po to, by odkryć, że żadna dokumentacja już nie istnieje?

Lekarka tarła dłońmi czoło. Nagle znieruchomiała, porażona kolejnym błyskiem zrozumienia.

– Słodka Matko! – sapnęła. – Teraz widzę wszystko wyraźnie. Teraz… Człowiek mądry po szkodzie… Już wiem, jak on myślał.

Odwróciła się do Pruit.

– To on zniszczył umysł mojego męża. On zabił Pierwszego. Obaj znali się na pompie Eschlessa. Zniszczył kryształy. A manuały… Manuały zabrał.

– Czemu miałby to robić?

– Bo to właśnie ich szukasz! Bo są cenne! – odpowiedziała Lekarka. – Są warte bardzo wiele, być może nieskończenie wiele. A teraz to on je ma. Tylko on.

Pruit przetłumaczyła jej słowa Eddiemu, po czym oboje zamarli wpatrzeni w Lekarkę. Nawet Inżynier patrzył na swoją żonę z wyrazem nieskoordynowanej troski na twarzy.

Nagle w postawie Lekarki zaszła zmiana. Kobieta poderwała się na równe nogi.

– Możemy go znaleźć. Znajdziemy tego przeklętego łajdaka.

Zaczęła otwierać szuflady w jednej ze ścian i gorączkowo przetrząsać ich zawartość. Po kilku minutach znalazła to, czego szukała. Był to mały, półprzejrzysty prostokąt. Rozpięła górną część swojego kombinezonu i docisnęła przyrząd do brzucha, by obudzić go swoim ciepłem. Po chwili pokazała go Pruit na wyciągniętej ręce.

– Urządzenie śledzące – powiedziała. – Nadajnik jest w szyi Mechanika.

Pruit wzięła od niej ekranik. Eddie przysunął się, by obejrzeć go razem z nią. Patrzyli na topograficzną mapę Egiptu, z małą rozjarzoną kropką oznaczającą pozycję Mechanika.

– To Kair – powiedział Eddie.

Lekarka powiększyła obraz. Kropka poruszała się, choć bardzo powoli. Nagle, na ich oczach, znikła.

– Co się stało? – spytała Pruit.

– Czy to nowoczesne miasto? Jeśli tak, emisje elektromagnetyczne będą zakłócać sygnał. Przyrząd skonstruowano do użytku w prymitywniejszych światach.

Pruit przetłumaczyła to Eddiemu. Patrzyli na ekran jeszcze przez kilka długich chwil. Kropka pojawiła się jeszcze raz, by po kilku sekundach rozmyć się i zniknąć znowu.

– Wiemy, że jest w Kairze – powiedział Eddie. – Znajdziemy go, Pru.

Rozdział 35

Rok 2595 p.n.e.
Dwunasty rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Wejdź za nim
w świat legend, Miłości
Dla niego przybierz
każdą z różnych form
Bądź, o Miłości, jak on
prawdziwa legendą

W.H. Auden

Lew i jego żona Ipwet zostali niezwłocznie wprowadzeni do komnaty audiencyjnej jego matki przez osobistą służkę, która omal nie padła plackiem przed czcigodnym gościem. Ipwet trzymała w ramionach Ishę, ich trzymiesięcznego synka. Żona Lwa, wciąż nieco osłabiona, opierała się ciężko na mężowskim ramieniu. Przeżyła ciężki poród, a ponieważ z zapasów medycznych zespołu badawczego już mało co zostało, dochodziła do siebie bardzo powoli.

Komnata audiencyjna była obszerna, z wysokim stropem i naściennym malowidłem: stylizowanym wizerunkiem jego matki przedstawionej jako Izyda udzielająca rad ludziom z wysokości swojego wielkiego tronu. Okien nie było. Mimo iż na zewnątrz świeciło jasne, południowe słońce, jedyne światło w pomieszczeniu pochodziło ze świec i lamp oliwnych. Komnata mieściła się na parterze świątyni matki Lwa, w budynku ze szlachetnego marmuru, zbudowanego – choć być może lepsze byłoby słowo „wyhodowanego” – przed rokiem. Lew był tutaj po raz pierwszy. Minęły prawie dwa lata, odkąd po raz ostatni widział swoją matkę. On i jego żona wynieśli się z Memfis, by zamieszkać w niewielkiej

posiadłości na prowincji. Lew prawie zdołał przekonać samego siebie, że wyjechał, ponieważ zawsze chciał uprawiać ziemię, ale w rzeczywistości budował w ten sposób dystans pomiędzy sobą a swoimi rodzicami.

Na środku komnaty stało podobne do tronu krzesło na wysokim postumencie. Otaczały je mniejsze krzesła – Lew mógł się najwyżej domyślać, że należały do kapłanek Izydy, jego matki. Pozostałą część pomieszczenia wypełniała tylko otwarta, nieprzyjazna przestrzeń. Goście – jak przypuszczał Lew – musieli stać.

Choć wkładał dużo wysiłku w ignorowanie wieści o swojej matce, dowiedział się, że liczba jej wyznawców rośnie. Ani ona, ani jego ojciec nie popełniali błędów, zaś ich działania nie podlegały ocenie moralnej. Wszystko, co robili, było zwyczajnie włączane do mitów o ich istnieniu, zaś każdy stary mit wykręcany i deformowany w celu dopasowania do ich obecnych działań. Lew uświadomił sobie, iż to tchórzostwo pozwoliło mu żywić nadzieję, że jego rodzice wrócą na ścieżkę racjonalności, jeśli tylko da im odpowiednio dużo czasu.

I oto nareszcie wrócił do Memfis z żoną i ich synem. Ostatecznie wypadało, aby chłopiec poznał własną babcię.

– Wiedziałaś, że tu tak jest – spytał Ipwet, wzrokiem wskazując komnatę.

– Słyszałam… – powiedziała cicho.

Ciszę zburzyło echo kroków i drzwi w odległej ścianie otworzyły się. Kobieta, która się w ich pojawiła, nie była jednak jego matką, lecz bogato odzianą Egipcjanką w średnim wieku ze złotymi pasemkami wplecionymi w siwiejące, czarne włosy. Na widok Lwa dotknęła dłońmi czoła, a potem ud, w geście nabożnej czci.

– To nie jest konieczne – próbował powstrzymać ją Lew.

Kobieta uśmiechnęła się, przyjmując słowa do wiadomości, ale nie zgadzając się z nimi.

– Najczcigodniejsza wiele razy mówiła nam o twojej skromności, panie. Proszę – powiedziała, gestem wskazując drzwi. – Matka waszej miłości oczekuje w swojej prywatnej komnacie.

Otworzyła szeroko drzwi, a Lew i Ipwet przekroczyli próg. Ruszyli za nią krótkim korytarzem, którego ściany i strop ozdobiono

malowidłem – podwodną sceną z rybami, hipopotamami, krokodylami i trzciną papirusową. Oboje nie mogli nie podziwiać kunsztu artysty. Przy dekoracji tych wnętrz najwyraźniej nie oszczędzano na niczym.

Koniec korytarza zamykały drzwi odlane z miedzi i ozdobione na całej powierzchni wizerunkami bogini przy pracy. Na jednym obrazku Izyda przywracała zdrowie chorym, na kolejnym wspierała swojego męża, boga Ozyrysa, na jeszcze innym widać było Izydę rażącą niewiernego śmiercionośnym piorunem. W rysach jej twarzy Lew rozpoznawał swoją matkę, w rysach Ozyrysa – ojca. Pomimo wszystkiego, co widział do tej pory, był wstrząśnięty mocą samouwielbienia promieniującego z tych drzwi.

Ich przewodniczka dostrzegła zaintrygowanie Lwa.

– Wasza miłość nie widział jeszcze tych drzwi? Podobieństwo jest zachwycające. Spójrz tutaj, czcigodny, a ujrzysz znajomą twarz.

Lew spojrzał na wskazany fragment i zobaczył obrazek przedstawiający Izydę podczas porodu. Twarz wyłaniającego się z niej chłopca niewątpliwie przypominała jego własną.

– Twoje narodziny, potężny Horusie. – Kapłanka skłoniła się przed nim.

Na dźwięk tego imienia Lew poczuł wzbierający w nim gniew, ale czując dłoń żony we własnej dłoni, zdołał powstrzymać wybuch.

– Proszę, zaprowadź nas do mojej matki – powiedział opanowanym tonem.

Przybył tutaj, żeby pokazać swojego syna i nie zamierzał wdawać się w spory dotyczące jego rzekomej boskości. Miał nadzieję na miłą wizytę u mamy, jakąś częścią siebie licząc na to, że widok rodziny sprowadzi ją do dawnej siebie.

– Oczywiście. – Kapłanka pchnęła ciężkie drzwi, a te rozchyliły się z ociąganiem na swoich ogromnych zawiasach.

Oczom Lwa i Ipwet ukazało się wnętrze olbrzymiej sypialni. Tak jak w komnacie audiencyjnej nie było tu okiem tylko żółty, migotliwy blask lamp. Alabastrową posadzkę przykrywały grubo tkane kobierce. Na ścianach wisiały gobeliny przedstawiające sceny z Izydą-kochanką w objęciach swojego męża Ozyrysa. Lew omal nie

parsknął śmiechem, tak bardzo oddalone były od obecnego stanu rzeczy.

Głównym sprzętem komnaty było łoże. Puchowy materac spoczywał na ogromnej ramie z jasnego drewna bejcowanego na miodowy połysk. Rzeźbione zwierzęta ścigały się wokół niej tam i z powrotem, mieniąc się czerwienią i złotem. W czterech rogach wznosiły się słupki w kształcie kobiecych rąk, podtrzymujących kopulasty baldachim. Ze wszystkich stron łoże osłaniały białe płócienne zasłony, rozchylone tylko od strony podnóża.

Na brzegu łóżka siedziała jego matka, na skrzyżowanych nogach, w błękitno-purpurowej szacie zwisającej na jej kościstym ciele. Straciła na wadze – jak spostrzegł Lew – choć nigdy nie była przy kości. Włosy miała związane z tyłu głowy w sposób, jaki podkreślał kształt jej twarzy z wysokimi kośćmi policzkowymi, teraz wręcz rzucającymi się w oczy. Powieki uczerniła sobie kohlem zgodnie z miejscową modą. Lew pomyślał, że udało jej się osiągnąć dostojny wygląd najwyższej kapłanki, a nawet – przyznał sam przed sobą – bogini.

– Matko – powiedział, odpychając na bok te myśli, by przywitać ją serdecznie.

Podczas gdy zbliżał się do niej, odwróciła ku niemu twarz, ale poza tym nie poruszyła się. Z bliska spostrzegł, że oczy ma zamglone i przekrwione. Poruszyła głową, by na niego spojrzeć.

– Mój syn… – dodała po chwili.

Lew pochylił się nad nią i objął ramionami. Odpowiedziała tym samym gestem, ale jej ruchy był niepewne. Lew odstąpił o krok, uświadomiwszy sobie, że z jego mamą dzieje się coś dziwnego.

– Minęło tak wiele czasu – powiedziała nieobecnym tonem, lekko bełkocąc.

Mówiła do niego w języku tubylców. Własnego już nie używała.

– Czy jesteś chora, matko?

Zignorowała go, ponieważ jej uwagę odwrócił na chwilę odgłos apatycznego śmiechu. Lew obejrzał się, by ujrzeć trzy młode kobiety, wylegujące się w stercie poduszek w kącie komnaty. Chichotały w ten sam otępiały sposób, w jaki mówiła jego matka. Jedna z nich całowała w szyję drugą, podczas gdy trzecia czule

gładziła jej włosy. Swoboda ich zachowania mówiła o długich nocach spędzonych z boginią w tej komnacie.

Lew przyglądał się im przez chwilę, a potem znów odwrócił się do matki.

– Gust ci się zmienił – zauważył bez emocji.

Bogini obdarzyła dziewczęta obojętnym uśmiechem.

– Są piękne, czyż nie?

– Zażyłaś coś?

Otworzyła usta, aby zaprezentować mały cienki wafelek, rozpuszczający się jej na języku.

– Przyjemny środek odurzający – wyjaśniła. – Dla rozluźnienia więzów świadomości.

Zamilkła na chwilę, być może niepewna, co już powiedziała, a czego nie.

– Minęło tak wiele czasu, synu – powtórzyła.

– Jest za mną mój syn, Isha.

Gestem przywołał Ipwet do łoża i ostrożnie wyjął jej Ishę z rąk. Podsunął dziecko swojej matce, kobiecie niegdyś nazywanej Archeologiem, a jeszcze dawniej, na Herrodzie, noszącej imię Elena. Teraz nie był pewien, jak się do niej zwracać.

– Twój wnuk.

Z pewnym wysiłkiem skupiła wzrok na chłopcu. Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, omiatając wzrokiem jego ciemne włosy i brązową skórę, dostrzegając w jego twarzy rysy własnego syna, ale także jego żony. Powoli podniosła wzrok na Lwa.

– Mieszaniec – orzekła.

– Co? – Lew był pewny, że się przesłyszał.

– Rozcieńczasz swoją krew, mój synu.

Ipwet poczuła, że się czerwieni. Lew zmartwiał ze zdumienia, a potem, w miarę jak waga tych słów docierała do jego świadomości, wezbrała w nim fala gniewu. Ostrożnie przekazał syna żonie. Spojrzał z góry na matkę.

– Rozcieńczam swoją krew?

Głos miał cichy, ale napęczniały wściekłością. Jego matka spojrzała na niego i uraczyła wzgardliwym, otępiałym uśmiechem. Struna jego cierpliwości pękła.

– Rozcieńczam swoją krew?! – krzyknął jej w twarz. – Spójrz na siebie! Spójrz na swoje życie! Czy ty w ogóle żyjesz?!

Pomimo otumanienia narkotykiem, jego matka uniosła się na ten wybuch.

– Jak śmiesz podnosić na mnie głos?!

– Obrażasz moją żonę w jej obecności, a sama gnijesz w tej swojej norze, ze swoimi kochankami i narkotykami! Nie jesteś nawet warta mojej wizyty!

W oczach Archeolog pojawił się trzeźwiejszy błysk, wywołany gniewem. Dźwignęła się na kolana i mocno uderzyła syna w twarz.

– Nie waż się podnosić na mnie głosu! To mnie zawdzięczasz swoje życie i swój status!

– Mój status? Nie jestem Horusem, matko! Jestem człowiekiem, twoim synem. Człowiekiem. Jak ty!

Spoliczkowała go jeszcze raz.

– Zamknij się! – wrzasnęła histerycznie.

Do komnaty wbiegli dwaj strażnicy, zaniepokojeni krzykami. Dziewczęta w kącie przestały chichotać i powoli docierało do nich, że ich pani płonie furią.

– Precz stąd! Wszyscy! – piekliła się Archeolog.

Dziewczęta podniosły się chwiejnie i potykając o własne nogi wybiegły bocznym wejściem. Strażnicy wycofali się, przejęci grozą.

Lew stał przed swoją matką, myśląc o tym, że powinien ją ogłuszyć, a potem wynieść z tego pokoju, ze świątyni, z powrotem do realnego świata. Widział jednak, że posunęła się za daleko. Zagubiła się całkowicie w swojej fantazji boskości.

Teraz celowała w niego oskarżycielskim palcem, klęcząc na krawędzi łoża.

– Nie waż się więcej kwestionować moich słów – wycedziła niskim głosem. Palec drżał nerwowo. – Jeżeli miłe ci życie tego twojego skundlonego synka, weźmiesz sobie to do serca. Graj rolę, jaką ci wyznaczono, bo może zabraknąć dla ciebie ról do odegrania. Trzymaj się z daleka od Memfis.

Lew poczuł, że łzy napływają mu do oczu, nie z powodu groźby, ale na widok matki tak bardzo odmienionej.

– Pocieszam się wiedzą – wyszeptał – że nie jesteś już prawdziwą sobą.

Odwrócił się i wyszedł, zabierając swoją rodzinę ze sobą.

Rozdział 36

Czasy obecne.

Pruit szła o przecznicę za Mechanikiem, podążając za nim przez dostępną tylko pieszym dzielnicę Kairu w pobliżu Muzeum Egipskiego. Odnalazła go pół godziny wcześniej naprowadzana przez Eddiego, który porozumiewał się z nią przez telefon komórkowy z pokoju w hotelu. Towarzyszyli mu Inżynier i Lekarka, zaś lokalizację Mechanika zdradzał monitor zabrany ze schronu.

Eddie chciał pójść razem z nią, ale Pruit wolała, aby został w hotelu. Dowiedziała się, że Eddie przeszedł szkolenie w sztuce walki, ale raczej nieformalnego rodzaju. Zadanie odszukania Mechanika mogło prowadzić do fizycznej konfrontacji i Pruit czuła, że jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, lepiej poradzi sobie sama. Mimo to uczyła Eddiego rozmaitych ćwiczeń sprawnościowych, a także chwytów i ciosów, które trenowali każdego ranka.

I tak ostatecznie Eddie został w hotelu, skąd prowadził ją do Mechanika. Sygnał z jego mikronadajnika co chwila się urywał i minęła większa część dnia, nim Pruit nareszcie go znalazła.

Zauważyła go, gdy szedł wzdłuż ulicy. Towarzyszył mu młody postawny Afrykanin oraz niski Amerykanin pocący się obficie w ciemnoniebieskim garniturze. Sam Mechanik był łatwy do rozpoznania, gdy już znalazł się w zasięgu jej wzroku. Lekarka opisała go dobrze. Miał szarą skórę, ponieważ należał do jednego ze starożytnych fenotypów Herroda. Taka pigmentacja nie występowała już na jego ojczystej planecie; rozpuściła się w homogenicznym typie urody, jaki wykształcił się z tych, którzy ocaleli z Wielkiej Wojny.

Jeśli nie liczyć koloru skóry, był zupełnie zwyczajnie wyglądającym mężczyzną o pospolitej, praktycznie niezauważalnej

twarzy. Ubrany był w luźną bawełnianą szatę, jak większość tubylców, i zasadniczo niczym się nie wyróżniał.

Dzień był przyjemnie ciepły, a chodniki zatłoczone, ponieważ nadeszła już pora popołudniowego posiłku i na ulice wyległy tłumy ludzi. Ta, którą szła Pruit, była obstawiona budynkami mieszkalnymi, których partery zajmowały restauracje i rozmaite małe przedsiębiorstwa.

Pruit szła w pewnej odległości za Mechanikiem, który skręcił za róg, przeszedł kolejną przecznicę i wszedł na taras niewielkiej restauracji. Czarnoskóry dryblas pochylił się i wyszeptał mu coś na ucho. Mechanik zwrócił się do stojącego obok Amerykanina, a kiedy ten wzruszył ramionami, znowu przez kilka chwil rozmawiał z Afrykaninem. Potem czarnoskóry zniknął we wnętrzu restauracji, zaś do Mechanika podeszli trzej mężczyźni o azjatyckiej urodzie i cała grupa zajęła miejsca wokół stolika.

Pruit wyłączyła telefon i powoli ruszyła w stronę lokalu.

Ta dziewczyna wciąż pana śledzi – wyszeptał Jean-Claude do ucha Mechanika, kiedy weszli do restauracji.

Chińczycy już się zbliżali.

– Kim ona jest, Nate? – spytał Mechanik.

– Pojęcie nie mam.

– Nie jest sama – powiedział Jean-Claude. – Idzie za nią jakiś młody facet. Zdaje się, że są razem. Wyglądają tak jakoś podobnie.

Był w końcowej fazie działania antidotum. Nadal czuł uniesienie, ale kładła się na nim cieniem zapowiedź przyszłego dołka.

– Chcę wiedzieć, kim oni są – oznajmił Mechanik. – Twoje mieszkanie jest tu gdzieś w pobliżu, Jean-Claude, tak?

– Tak.

– Przyprowadź mi ich. Spotkamy się tam, kiedy skończę tutaj.

Jean-Claude skinął głową i wymknął się do restauracji. Przeszedłszy przez cały lokal, opuścił go tylnym wejściem. Powinien się denerwować na myśl o czekającym go spotkaniu – ludzie śledzący Mechanika mogli być kimkolwiek, mogli być zabójcami – ale nie czuł niczego poza własną potrzebą: potrzebą wykonania

zadania dla Mechanika, żeby móc zostać nagrodzonym kolejną dawką prywatnego raju. Ruszył przez ulicę w stronę miejsca, gdzie po raz ostatni widział młodego mężczyznę, który szedł za dziewczyną.

Pruit dotarła do restauracji i kryjąc się za kępą drzew w donicach, stanęła tuż za płotkiem tarasu. Wokół niej tłoczyli się przechodnie: biznesmeni pnący się po szczeblach kariery, pracownice biurowe i starsi ludzie w bardziej tradycyjnych strojach, śpieszący za swoimi codziennymi sprawami. Wśliznęła się głębiej w wąską lukę pomiędzy tarasem a sąsiednim budynkiem. Poprzez liście widziała Azjatów i tył głowy Mechanika. Podkradła się bliżej, żeby móc słyszeć rozmowę.

– Będziemy musieli dać naszym naukowcom trochę więcej czasu. Przy tak skomplikowanych technologiach musimy dać im trochę przestrzeni. – To mówił jeden z Azjatów.

– Nie dostaniecie więcej czasu – odparł Nate. – Macie tyle, ile dał wam mój klient. Jeżeli to wam nie wystarczy, być może nie jest to interes na waszą miarę.

Pruit poczuła skurcz w żołądku. Lekarka miała rację. Mechanik zabrał manuały, ponieważ były cenne. Próbował sprzedać pompę Eschlessa. To, że leciała osiemnaście lat, aby zdobyć te plany; to, że były one kluczem do przetrwania jego własnej planety – nie, te rzeczy nie miały dla niego znaczenia. Miał towar i zamierzał na nim zarobić. Poczuła, jak wzbiera w niej fala słusznego gniewu.

Ale zanim zdążyła rozważyć swoje możliwości działania, coś ciężkiego spadło jej na głowę. Uderzenie było dość mocne, by powalić ją na podłogę. Runęła ciężko na kolana. Ostry ból przeszył jej nogi, a potem nastąpił kolejny cios i świat wokół niej odpłynął w czerń.

Rozdział 37

Adaiz-Ari ocknął się z jękiem. Miał wrażenie, że ból lada chwila rozsadzi mu czaszkę. Czuł, że opiera się czołem o coś twardego i że coś ogranicza dopływ krwi do jego stóp i dłoni.

Jęknął jeszcze raz i zmusił się do rozchylenia powiek. Zobaczył dywan, rozpościerający się o cal od jego oczu. Leżał na podłodze w jakimś pokoju. Ktoś pozbawił go koszuli, a wraz z nią broni, którą trzymał w kaburze u boku, pozostawił mu jednak spodnie. Adaiz spróbował poruszyć rękami, by dźwignąć się w górę i zdjąć ciężar z głowy, a wtedy odkrył, że dłonie ma ciasno skrępowane za plecami. Kiedy nimi szarpnął, poruszyły się też jego stopy, rażąc go strzałą bólu. Uświadomił sobie, że leży na brzuchu, zaś nogi ma podgięte w tył i przywiązane do przegubów rąk za plecami. Szamocząc się, tylko zacieśniłby pęta.

Stopniowo, krótkimi szarpnięciami, przekręcił się na bok i ujrzał czarnego młodzieńca, jednego z mężczyzn, których śledziła Pruit. Siedział kilka stóp przed nim na dużej poduszce. Obserwował Adaiza, trwając w bezruchu, który byłby absolutny, gdyby nie drobne, nieregularne podrygi jego dłoni. Tuż obok niego na podłodze leżało kilka przedmiotów. Adaiz zobaczył swój nóż, pistolet i cztery sztuki innej broni. Odchylił głowę mocniej i w jego polu widzenia pojawiła się Pruit.

Leżała na dywanie twarzą do Adaiza związana tak samo jak on, rozebrana do podkoszulki i majtek. Jej wierzchnie ubranie, pod którym skrywała broń, leżało kilka stóp dalej. Głowę miała przekręconą na bok, policzek przyciśnięty do podłogi i najwyraźniej wciąż była nieprzytomna. Adaiz po raz pierwszy znalazł się tak blisko niej od tamtego poranka, kiedy znalazł ją przy wraku lądownika. Teraz, skoro spędził już trochę czasu w ludzkich miastach, podziwiając różne kształty i kolory ludzkości, mógł lepiej docenić podobieństwo, jakie łączyło jego i Pruit.

Adaiz powstrzymał ten potok myśli. Traktował ją jak nieożywiony przedmiot, ale Pruit mogła lada chwila ocknąć się, przychodząc do bolesnej świadomości własnego położenia. Zobaczy go wówczas i zacznie pytać. A on tego nie chciał. Dopóki nie położył ręki na pompie Eschlessa, wolał, aby nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia.

Przeniósł wzrok z powrotem na czarnego mężczyznę. Ten zerknął na niego, ale zaraz uciekł spojrzeniem w bok. Adaiz wyczuwał, że człowiek ten z jakiegoś powodu jest nieswój. Jeszcze raz sprawdził moc swoich pęt. Zawiązano je ciasno, kilkakrotnie owijając wokół przegubów. Zerknął na stertę broni i w głowie błysnął mu nowy pomysł. Na lewym biodrze jego spodni był zatrzask do przypinania pochwy noża wszyty w grubą taśmę okalającą pas. Adaiz leżał przodem do czarnoskórego, lewym biodrem do góry. Wykręcił dłonie i namacał zatrzask – wciąż był na swoim miejscu. Ostrożnym ruchem przeciągnął go za siebie, żeby jego strażnik nie mógł go widzieć, a potem czubkami palców zdjął z zatrzasku gumową osłonkę. Czarnoskóry młodzian nie zwracał na niego uwagi, zajęty obgryzaniem paznokci. W jego ruchach widać było pewną nerwowość.

Pozbywszy się gumy, Adaiz poczuł pod opuszkami ząbkowaną krawędź zatrzasku. Miarowymi ruchami zaczął pocierać nią o sznurek, którym był skrępowany.

Leżąc kilka stóp dalej, Pruit powoli odzyskiwała świadomość bólu. Coś szorstkiego i twardego napierało na jej policzek. Rwący ból z tyłu szyi zdawał się promieniować gorącymi iskrami elektryczności w górę, w głąb głowy. Ocknęła się, wydając przeciągły jęk.

Otworzyła oczy i jej spojrzenie przemknęło nad podłogą, by paść na czarne nogi skrzyżowane pod kimś siedzącym nieopodal. Spróbowała skupić myśli i przypomniała sobie, że obserwowała Mechanika w restauracji, kiedy ktoś zaatakował ją od tyłu. Tak jak Adaiz, spróbowała odepchnąć się rękami od podłogi i odkryła, że są mocno skrępowane. Poruszyła oczami, żeby obejrzeć jak największą

część pomieszczenia, ale ten drobny ruch wywołał kolejną falę bólu i pozwoliła powiekom opaść.

Kiedy znów je otworzyła, spostrzegła, że czarny młodzieniec przygląda się jej badawczo.

– Kiedy on przyjdzie? – wykrztusiła z wysiłkiem.

Młodzieniec wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Widziała, że jest spięty. Ignorując ból, rozejrzała się po pokoju. Był mały, skąpo umeblowany, zarzucony stertą poduszek i koców, z jednym krzesłem pod ścianą. Z zewnątrz dochodziła woń śmieci i rozkładu. Na półkach zalegała warstwa kurzu, jakby od tygodni nikt tu nie wchodził.

Obróciła głowę w drugą stronę i spojrzała prosto w twarz młodego Kinlai skrępowanego tak jak ona i leżącego na dywanie kilka stóp dalej.

Był przytomny i patrzył na nią, jakby ocknął się już jakiś czas temu. Widok znajomej twarzy poraził ją wrażeniem, że zagląda w dawno minioną część swojego życia. Po chwili uświadomiła sobie, że nie rozpoznaje tego człowieka – nie jako konkretną osobę. Znajomy był tylko miedziany kolor skóry.

Adaiz patrzył na nią, wciąż cierpliwie i niepostrzeżenie trąc więzami o zatrzask.

– Kto… Kim ty jesteś? – spytała go w soulene.

Adaiz udał, że nie rozumie.

– Kim jesteś? – spytała jeszcze raz, tym razem głośniej i wyraźniej wymawiając słowa.

Nie odpowiedział. Udało mu się przeciąć pojedyncze włókno i poczuł, że naprężenie sznurka nieznacznie zmalało.

– Kim jesteś? – Pruit przeszła na angielszczyznę.

Dlaczego nie odpowiada? Czy to możliwe, że nie jest Kinlai? Ale musi nim być. Gdyby nie krótsze włosy byłby z niego wypisz wymaluj chłopak z klasy Czuwających.

Adaiz odwrócił głowę.

– Dlaczego nie odpowiadasz? – Pruit wróciła do soulene; nie było mowy, by chłopak jej nie rozumiał. – Jesteś z drugiej wyprawy? Kiedy przyleciałeś?

Jean-Claude zerknął na nią, zaintrygowany obcym brzmieniem jej mowy, ale ponieważ nie robiła niczego podejrzanego, wkrótce pozwolił swoim oczom błądzić. Antidotum przestało działać niemal całkowicie i czuł już nerwowość poprzedzającą głębokie łaknienie. Dźwignął się z poduszki i zaczął maszerować tam i z powrotem.

*

Pruit spojrzała na czarnoskórego, a potem znowu na Adaiza.

– Odpowiedz mi! – zażądała, podnosząc głos.

Kim był ten człowiek?

– Nie znasz mnie – wymamrotał Adaiz, wciąż zwrócony twarzą w drugą stronę. Powiedział to po angielsku.

– Jesteś Kinlai – odpowiedziała w soulene. – Ja to wiem. Proszę… Powiedz mi, kim jesteś.

Odwrócił głowę, aby na nią spojrzeć, i ujrzał w jej twarzy napięcie, którego źródłem musiała być rozpacz. Gdy się odwracał, Pruit dostrzegła coś dziwnego w sposobie, w jaki to zrobił. Jego ruchy były szybkie i płynne, ale wydawały się zaczynać i kończyć bardzo nagle.

– Nie znasz mnie – wyszeptał do niej w soulene.

Nie wiedział, dlaczego przerzucił się na jej mowę. Pod względem taktycznym nie miało to logicznego uzasadnienia, ale coś w jego wnętrzu aż rwało się, aby dać jej znać, że zmysły nie wprowadzają jej w błąd.

Wtedy Pruit dostrzegła w jego twarzy coś znajomego, ulotnego, jak wspomnienie snu. Ta twarz… pochylająca się nad nią, ciemna na tle błękitnej kopuły ziemskiego nieba.

– A jednak cię znam – powiedziała. – Widziałam cię już wcześniej.

Adaiz milczał.

– Odpowiedz mi! – krzyknęła.

– Cicho bądź! – syknął czarnoskóry młodzieniec, przerywając na chwilę niespokojne dreptanie, by na nią spojrzeć. W oczach miał strach i nerwowo zagryzał pięść.

Pruit przyciszyła głos.

– Proszę…

– Nie ma o czym mówić – powiedział Adaiz łagodnie. – Nie znamy się.

Mówił w soulene bardzo dobrze, ale nie doskonale, jakby miał nieznaczną wadę wymowy. „Nie – pomyślała. To nie tak. Soulene nie jest jego rodzimym językiem”. Zatem kim on był?

Znów odwrócił głowę, żeby na nią nie patrzeć, a ona znów zwróciła uwagę na osobliwą ptaszość jego ruchów – te nagłe starty i zatrzymania bez żadnej fazy pośredniej. Był albo w pełnym ruchu, albo nieruchomy jak głaz, jakby jego mięśnie nie były w stanie stopniować szybkości.

– Czemu nie chcesz mówić? – spytała. W jej głosie pobrzmiewała desperacja.

Wciąż odwrócony, Adaiz odpowiedział:

– Bo nie mam nic do powiedzenia.

Wtedy to usłyszała: lekkie mlaśnięcia w jego wymowie. Próbował je zamaskować szeptem, ale ona nareszcie to dostrzegła. Jego ruchy, seplenienie – wszystko do siebie pasowało. Pruit poczuła mdlący ucisk żołądka, kiedy spłynęło na nią zrozumienie. Ten człowiek był Kinlai, ale nie z Herroda. Był Lucenem. Był jednym z ich szpiegów, nauczonym kinlajskich obyczajów, ale tutaj, w stresie niewoli, jego naturalny język ciała zdradził go.

Zmierzyła go wzrokiem, czując wzbierającą w niej dziwną mieszankę grozy i wściekłości. Jej pierwsza myśl brzmiała: „To zdrajca, człowiek wychowany przez nich, który z własnej woli stał się jednym z nich”. Druga była gorsza: „Luceni są tutaj. Przylecieli za mną. Wiedzą, że znamy ich zamiary i znają cel mojej misji”.

– Wiem, czym jesteś – wysyczała.

Adaiz usłyszał zmianę w jej głosie i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Jesteś jednym z nich – wycedziła powoli. – Jesteś Lucenem.

Obserwując jej twarz, Adaiz pojął nagle, że rozpoznaje emocje, jakie wyraża jej grymas. Dziewczyna nienawidziła go, zaś świadomość tej nienawiści bardzo go raniła. Była pierwszą ludzką kobietą, jaką spotkał w życiu. Starannie umieścił ją w jej

biokombinezonie, aby mogła przeżyć. Dotykanie jej sprawiło mu przyjemność. Nie chciał, aby wiedziała, że jest jej wrogiem.

Patrzył jej w oczy, ale nie zaprzeczył jej oskarżeniom.

– Ojcze odrodzenia! – zawołała Pruit, kipiąc furią. – Pomagasz im zgładzić swoją własną rasę!

Nie chciał się spierać, bo też co mógłby tym osiągnąć? Ale te słowa sprowokowały go do odpowiedzi.

– Moja rasa to Luceni – oznajmił. – To moi bracia i moja rodzina.

Skąd ta potrzeba usprawiedliwienia się?

– Właśnie to wam wmawiają, żebyście odwalali za nich brudną robotę?

– Nie ma żadnych nich! – Adaiz podniósł głos w gniewie i jego seplenienie przybrało na sile. – Oni to ja!

Pruit roześmiała się nieprzyjemnie.

– Jak oni to robią? – zadrwiła, udając zdumienie. – Jak robią z was takich oddanych niewolników?

– Na Omaniego! – krzyknął w avani, po czym znów przeszedł na soulene. – Jestem Adaiz-Ari z Klanu Wojowników i Klanu Opatrzności! Należę do rasy poszukującej dróg wiedzy i braterstwa. Nie może być niewolników tam, gdzie jest oświecenie!

– Oświecenie?! Od setek lat dusicie nas! Blokujecie na naszej planecie, gdzie pozostajemy na waszej łasce!

Szarpnęła się gniewnie i poczuła, jak więzy wokół jej kostek i przegubów zacieśniają się boleśnie.

– To nie jest blokada – powiedział Adaiz powoli, trzymając w ryzach płonącą w piersi wściekłość. – To kwarantanna.

Wciąż pracował nad rozcięciem więzów. Nie pozwolił, by emocje oderwały go od zadania. Drugie włókno puściło i sznurek znów trochę się rozluźnił.

– Jak podła musi być rasa, żeby zabić każdego mężczyznę, kobietę i dziecko na całej planecie? Jaka rasa wymyśla chorobę specjalnie w tym celu, by sprowadzić zagładę na cywilizację? Przez zwykły łut szczęścia mieliśmy nasze kolonie na planetoidach i garstka z nas zdołała ocaleć.

– A jakim zagrożeniem jesteśmy dla was teraz? Ale nie, wam to nie wystarczy, prawda?! Musicie się nas pozbyć na dobre, wyplenić

z wszechświata! Z samego życia!

Oczy Pruit płonęły furią. Krzyczała.

Siedź cicho! – krzyknął na nią Jean-Claude.

Sam zajęty był właśnie przetrząsaniem szafki w poszukiwaniu haszyszu. Pamiętał, że zostawił w pokoju kilka kostek. Nie wiedział, jaki wywrze na niego wpływ, ale miał nadzieję, że zdoła zrobić coś – cokolwiek – dla uśmierzenia narastającego w nim łaknienia. Na zewnątrz już zmierzchało, a Mechanik ciągle nie wracał. A jeśli zapomniał? A jeśli Jean-Claude zostanie tu na całą noc bez antidotum?

Jak możesz twierdzić, że jesteście nieszkodliwi? – powiedział Adaiz nieco ciszej. – Pokazaliście nam, do jakich zbrodni jesteście zdolni. Do nieskończonych!

– A co niby mieliśmy zrobić? Obrzuciliście bombami nasze miasta – odparła Pruit. – Bombardowaliście nas bez opamiętania!

– Ale nie mieliśmy zamiaru niszczyć waszej rasy! Planeta może przetrwać bombardowanie. Wy wytępiliście nas do cna!

Głos Pruit opadł do złowróżbnie niskich rejestrów.

– A wiesz może, ilu z nas przetrwało ten atak? Wiesz, ilu zdrowych ludzi pozostało na Herrodzie, kiedy bombardowania nareszcie ustały?

Adaiz milczał. Nie znał odpowiedzi.

– Mniej niż tysiąc.

Nie odezwał się. Nawet nie drgnęła mu powieka, ale choć nie dał tego po sobie poznać, liczba wstrząsnęła nim.

– Mniej niż tysiąc osób! – wysyczała Pruit. – Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego wszyscy wyglądamy tak samo? Zastanawiałeś się, czemu odbudowa cywilizacji zajęła nam tak strasznie dużo czasu? Wiesz, co promieniowanie robi z ludzkim ciałem?

Adaiz nie wiedział żadnej z tych rzeczy. Wciąż dochodził do siebie po szoku wywołanym pierwszą rewelacją. Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiał, ale do tej pory był pewien, że liczba ocalałych musiała być znacznie większa. Mniej niż tysiąc osób? Czy

to mogła być prawda? Luceni nie wiedzieli o tym. Po Pomorze minęło tysiąc lat, zanim doszły ich pierwsze wieści o Kinlai. I panowało powszechne przekonanie, że ludzie ucierpieli tej w wojnie w znacznie mniejszym stopniu niż Luceni.

– Dziewięćdziesiąt procent tych, którzy przetrwali bombardowania, umarło w ciągu roku – ciągnęła Pruit. – Dziewięćdziesiąt procent! A z pozostałych dziesięciu kolejnych dziewięćdziesiąt procent nie przeżyło dwóch lat. I tak dalej.

Adaiz nie zdołał powstrzymać się przez zadaniem pytania, które pojawiło się w jego głowie:

– No to jak… jak przetrwaliście?

– Pewien lekarz wraz z garstką innych osób poświęcił życie na gromadzenie i tworzenie przechowalni materiału genetycznego pięciuset ocalałych. Tych najzdrowszych. Zbierał komórki rozrodcze, kiedy tylko było to możliwe; kiedy nie było – wszelkie inne. Przeprowadził planową regenerację rasy poprzez staranne ekranowanie i inkubację płodów. Zajęło to więcej pokoleń, niż możesz zliczyć, więc daruj sobie kazania o zagładzie.

Jej słowa wstrząsnęły Adaizem. Nie miał pojęcia o skali zniszczeń, jakie luceńskie bomby dokonały na Herrodzie.

– Po wojnie wyewoluowaliśmy w zupełnie inną rasę, niż byliśmy przedtem – powiedział cicho. – Jesteśmy dziś kimś więcej niż tylko wojownikami.

– A ponieważ odbiliście się szybciej – przerwała mu Pruit, krzywiąc się szyderczo – postanowiliście zdecydować o naszej przyszłości. A raczej jej braku.

– Musimy dokonywać wyborów – odparł Adaiz. – Wasza populacja rośnie szybciej, niż jesteście w stanie powiększać jej przestrzeń życiową. To może prowadzić tylko do jednego: potrzeby kolonizacji. W nieodległej przyszłości stalibyście się potęgą kosmiczną zdolną do kolonizacji planet. Nie możemy do tego dopuścić choćby dlatego, że jesteśmy waszymi najbliższymi sąsiadami.

– No więc zmieciecie nas z powierzchni Herroda.

– Wybraliście swój los wieki temu.

– Wiesz, dlaczego nasza populacja rośnie? – spytała cichym głosem. – Wiesz, jaki jest okres połowicznego rozpadu plutonu? Dziesięć tysięcy lat. Brakuje nam miejsca, ale musimy się rozrastać. Nie masz pojęcia o tym, z czym musimy się mierzyć. Wciąż mamy mutacje, nawet teraz. Zdarzają się coraz rzadziej i rzadziej, ale się zdarzają. Wciąż nie rozmnażamy się naturalnie. Gdy ktoś chce mieć dziecko, wszczepia mu się zdrowe jajeczko zapłodnione zdrowym nasieniem. Może mieć nawet kilkaset lat. Wszystko jest ekranowane, ale wciąż mamy mutacje, nawet kiedy kopuły są szczelne, tak bardzo podstępne jest promieniowanie. Musimy się rozrastać, dopóki nie będziemy mieli dość ludzi ze zdrowymi genami, aby populacja mogła utrzymać się naturalnie. Wciąż brakuje nam do tego kilku pokoleń, a dopóki nie osiągniemy tego etapu, jesteśmy rasą tylko z nazwy.

Adaiz nagle ujrzał Trucicieli jako rasę wykonującą skomplikowany taniec na linie gotową w każdej chwili przechylić się w jedną bądź w drugą stronę i osunąć w otchłań. Ich wizerunek, jaki wpajano mu od dzieciństwa – barbarzyńskiego ludu, dość bezwzględnego, by sprowadzić zagładę na całą inną myślącą rasę – jakby zatracił swoją wyrazistość. Lucenów uczono, że ich przodkowie ponosili znaczną część winy za wybuch wojny i Pomór, ale zawsze z zastrzeżeniem, że ich rasa zmieniła się, ucywilizowała, znalazła przewodnika w Omanim i jego dobroci. Po raz pierwszy Adaiz dopuścił do siebie myśl, że Truciciele też mogliby okazać się zdolni do takiej zmiany. Mimo to wciąż trzymał się rozsądku stojącego za ideą zniszczenia Herroda. Cywilizacja Lucenów znajdowała się w fazie bezprecedensowej prosperity i w najlepszym interesie rasy leżało utrzymanie całkowitego panowania nad własnym układem gwiezdnym. Własne przetrwanie było najważniejsze.

– Tylko pomyśl – ciągnęła Pruit, a jej słowa niosły tyle nienawiści, ile tylko mógł pomieścić język. – Gdybyś urodził się na Herrodzie, mógłbyś wiedzieć te rzeczy, a nawet odczuwać troskę o przyszłe losy własnej rasy.

Jeśli Adaiz mógł dotąd czuć jakąkolwiek sympatię wobec niej, te słowa uśmierciły ją w jednej chwili.

– Nie jesteś z mojego ludu – powiedział. – Nie odlecisz stąd z techniką, której poszukujesz. A twoja rasa zginie.

Przez chwilę wytrzymał jej płonące spojrzenie, a potem odwrócił głowę. Rozmowa była skończona. Za jego plecami puściło trzecie włókno i więzy wyraźnie zaczęły się rozluźniać.

Pruit pozwoliła, by jej głowa ciężko opadła na podłogę. Czuła się wycieńczona. Musiało minąć kilka dobrych chwil zanim wzburzenie przygasło, a ból w końcu ściągnął ją z powrotem do jej obecnej sytuacji. Kłócąc się z Adaizem, zapomniała o swojej głowie, ale teraz pulsujące rwanie powróciło. Przypomniała sobie o czarnym mężczyźnie. Chodził teraz tam i z powrotem przy oknie, ściskając coś kurczowo w prawej dłoni. Pruit patrzyła, jak zatrzymuje się i otwiera dłoń, wpatrując się w małą, gumiastą kostkę o bursztynowym zabarwieniu. Drugą rękę przyciskał do brzucha. Wyglądało na to, że cierpi.

Jean-Claude zawahał się, a potem ostrożnie położył sobie kostkę haszyszu na języku. Oparłszy się plecami o ścianę, zamknął oczy i jął delektować się narkotykiem. Ileż to razy ten smak był zapowiedzią pięknych narkotycznych fantazji. Ale teraz, w miarę jak kostka rozpuszczała mu się w ustach, Jean-Claude czuł, że jego łaknienie tylko się wzmaga. Wypluł haszysz i obiema rękami ścisnął się za brzuch. Nie już nie było w stanie go zaspokoić ani nawet złagodzić cierpienia, nic poza antidotum. Jean-Claude wydał z siebie niski jęk.

Jego więźniowie przyglądali mu się z uwagą, ale jego to nie obchodziło. Ależ tak, obchodziło – przypomniał sobie – musiał ich pilnować. Pilnować dla Mechanika. Mechanik wściekłby się, gdyby coś poszło nie tak, jak sobie życzył, a jeśli się wścieknie, łaknienie nigdy nie ustanie; przeciwnie: będzie coraz silniejsze i silniejsze, a potem przyjdą konwulsje, które wypełnią Jeana-Claude'a cierpieniem, a jeśli wciąż nie będzie antidotum, skurcze złamią go i skręcą w kłębek, a ból powoli zabije.

Obserwując czarnego młodzieńca, Pruit dostrzegła jego narastającą panikę. Do tej pory zamierzała zaczekać spokojnie na przybycie Mechanika – na pewno zacząłby ją wypytywać, a ona znalazłaby jakiś sposób na uwolnienie się i poznanie jego planów – ale z tym człowiekiem coś było nie tak. Obserwowała go medycznie przeszkolonym okiem i uświadomiła sobie, że młodzieniec doświadcza objawów głodu czegoś, czego stanowczo domagało się jego ciało. Najpierw był coraz bardziej pobudzony, a teraz wyglądało na to, że zaczęły dokuczać mu skurcze w układzie pokarmowym. Być może tkwiła w tym jakaś szansa.

– On ci coś podaje, prawda? – spytała, domyślając się stosowanej przez Mechanika metody wymuszania lojalności.

Młody człowiek obrócił ku niej głowę. Oddech miał krótki, szarpany; dłonie zaciskał tak mocno, że paznokcie kaleczyły mu skórę.

– Podaje ci coś, co trzyma cię przy nim.

Powoli, z ociąganiem, kiwnął głową.

– Tak – szepnął.

– Jak często musisz to brać?

– Codziennie – przerwał na chwilę, a potem dodał: – Lepiej byłoby częściej.

Jean-Claude nerwowo zagryzł dolną wargę. Miał suche gardło, które zaczynało go piec.

– Czy w ten sposób cię uwięził?

– Tak…

Wykręcił głowę w reakcji na nagły spazm bólu.

Adaiz przyglądał się rozmowie z niepokojem, nie przerywając pracy nad własnym planem ucieczki. Tracił już czucie w dłoniach, a mięśnie przedramion bolały go od wysiłku, ale wciąż uparcie tarł sznurkiem o klamrę. Widząc, że tamtych dwoje zajęło się sobą, zaczął niepostrzeżenie przesuwać się w stronę sterty broni.

Pruit zaczynała postrzegać Mechanika we właściwym świetle. Był cichym, skromnym członkiem zespołu, ale też człowiekiem

wewnętrznie zepsutym, który tylko czekał na sposobność odegrania się na świecie za swoją małość. Był osobą pozbawioną empatii; kimś, dla kogo nie liczą się inni ludzie.

W młodym człowieku ujrzała swoją szansę na uzyskanie przewagi; gdyby się udało, mogłaby sprawić Mechanikowi paskudną niespodziankę.

– Mogę cię uwolnić – powiedziała.

– Tylko on może to zrobić – odparł czarnoskóry wypranym z emocji głosem.

Ta myśl kołatała mu się po głowie jak mantra: „tylko on może to zrobić…".

– Ma to ze sobą przez cały czas i tylko on umie to przygotować.

– Czy wiesz, kim on jest? Czym jest? – spytała.

– Zaczynam się domyślać.

– Przybyłam z tego samego miejsca co on – powiedziała Pruit – ale moja wiedza medyczna jest większa. Potrafię cię uwolnić.

Ostrożnie, lękliwie, Jean-Claude pozwolił, by w jego umyśle rozbłysła maleńka iskierka nadziei.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– A co ryzykujesz? Jeśli nie potrafię spełnić swojej obietnicy gorzej i tak na tym nie wyjdziesz. Pozwól mi spróbować. Przecież nie masz w sobie krzty lojalności wobec tego człowieka; widać to od razu.

– Nic o mnie nie wiesz.

Widziała, że już prawie stracił nadzieję; właściwie porzucił myśl, że kiedykolwiek odzyska kontrolę nad własnym ciałem.

– Rozwiąż mi dłonie, to ci pokażę – powiedziała łagodnie.

Młodzieniec parsknął kpiąco.

– Zabrałeś mi broń – przypomniała Pruit. – Twój pan wkrótce tu będzie. Przyjmujesz moją ofertę czy nie?

Jean-Claude znów zaczął kroczyć tam i z powrotem. Czuł już pierwsze skurcze mięśni nóg. Wkrótce nie będzie mógł chodzić. A jeśli to jakaś sztuczka? Czy miało to jakieś znaczenie? Na pewno zdołałby się obronić. Jeśli tylko dziewczyna wciąż tu będzie, kiedy

przyjdzie Mechanik, on będzie bezpieczny. Potarł twarz dłońmi, a potem podjął decyzję.

Podszedł do szafki na ścianie i wyjął z niej cienki, srebrny drut z małymi rękojeściami na obu końcach. Oboje więźniowie rozpoznali ten przedmiot: była to garota. Jean-Claude starannie objął nią szyję dziewczyny, a potem zacisnął mocno lewą ręką. Oparł stopę na środku jej pleców i przycisnąwszy do podłogi, prawą dłonią ostrożnie odwiązał sznur krępujący jej nadgarstki. Pęta na kostkach pozostawił nienaruszone.

Adaiz przesuwał się stopniowo w stronę broni. Jak dotąd nie przemieścił się o więcej niż stopę, ale to wystarczyło, by nóż i pistolet znalazły się niemal w zasięgu jego ręki. Kolejne włókno sznurka na jego przegubach już zaczynało się strzępić.

Pruit wyswobodziła ręce, a czarnoskóry młodzieniec zacisnął garotę mocniej. Chwyt miał niepewny. Tracił panowanie nad mięśniami. Ostry drut zagłębił się w skórze Pruit. Jeszcze chwila, a ją przetnie. Powoli podniosła się do pozycji siedzącej, czując mrowienie w zdrętwiałych dłoniach, do których zaczęła powracać krew.

Pruit spojrzała na młodzieńca i odezwała się łagodnym tonem.

– Jak się nazywasz?

– Jean-Claude.

– Jean-Claude, będę musiała dotknąć mojej ręki, a potem ciebie.

Jean-Claude zdołał zmusić się do kiwnięcia głową.

Wywołała pulpit sterujący endoskóry, który wyrósł jej z ciała na spodniej stronie przedramienia. Widząc to, Jean-Claude jakby się trochę uspokoił. Obca technika przydała jej wiarygodności.

Kilka następnych minut Pruit poświęciła na programowanie endoskóry w przygotowaniu do badania, jakie zamierzała przeprowadzić. Wykraczało ono poza normalne zastosowania endoskóry, ale wciąż leżało w zakresie jej potencjalnych możliwości.

– Teraz muszę cię dotknąć. Kostka stopy byłaby dobrym miejscem…

– Działaj – powiedział.

Delikatnie położyła dłoń na ciemnej kostce, palcami dotykając tętnicy. Endoskóra rozpoczęła działanie. Jej komórki zgromadziły się wokół dłoni Pruit, wyrastając ze skóry i gęstniejąc w białawą błonkę, która zaczęła grubieć i rozrastać się także na skórę Jeana-Claude'a. Chłopiec patrzył na dłoń na swojej kostce i krzyknął cicho, zaskoczony wrażeniem, jakie wywołała endoskóra, przenikając do jego ciała. Uczucie było bardziej elektryczne niż bolesne. Obce komórki wrosły do wnętrza tętnicy.

Pruit obserwowała ekran, podczas gdy komórki endoskóry przemierzały ciało Jeana-Claude'a, próbując ustalić, co mu dolega. Po kilku minutach dostała swoją odpowiedź. Endoskóra ustaliła rodzaj uzależnienia, a teraz, przeanalizowawszy biochemiczne ścieżki organizmu, była gotowa do jego odwrócenia.

Pruit uśmiechnęła się do Jeana-Claude'a.

– Zablokował ci zdolność do przyswajania pewnych kluczowych witamin – wyjaśniła. – Objawy głodu muszą być bardzo bolesne. Ale mogę cię wyleczyć.

Pomanipulowała chwilę pulpitem i endoskóra rozpoczęła pracę nad lekarstwem dla Jeana-Claude'a. Błona wokół jego kostki pogrubiała, a Pruit doznała ssącego uczucia. Endoskóra wykonywała zadanie, czerpiąc obficie z zasobów jej ciała. Pruit ogarnęła fala przemożnego pragnienia, a potem przyszły zawroty głowy.

Mięśnie Jeana-Claude'a zaczęły się rozluźniać, drżenie rąk ustało. Powieki zaczęły mu ciążyć, a jednocześnie poczuł mdłości i dziwaczny ból zębów. Miał wrażenie, że kuracja działa zbyt szybko, zmieniając jego ciało w nieopanowanym tempie. Uczucie wciąż było dobre, wciąż przynosiło ulgę, ale przytłaczało go i nie mógł już dłużej utrzymać otwartych oczu.

Po drugiej stronie pokoju Adaiz zapamiętale tarł pętami o klamrę. Nie dbał już o zatajenie swoich poczynań, skoro tamtych dwoje kompletnie nie zwracało na niego uwagi.

Zawroty głowy przybierały na sile i Pruit walczyła o zachowanie przytomności. Nareszcie endoskóra wycofała się z kostki Jeana-

Claude'a i wniknęła z powrotem w jej rękę. Wykonała swoje zadanie.

– Już koniec – powiedziała Pruit.

Jean-Claude puścił garotę, która opadła jej na pierś. Pruit szybko uwolniła się z pętli i cisnęła ją na podłogę. Jean-Claude złapał się za brzuch w nagłym ataku mdłości, po czym zwymiotował. Opróżniwszy żołądek padł na bok i znieruchomiał z zamkniętymi oczami.

Wreszcie Adaiz poczuł, że ostatnie włókno jego pęt poddaje się. Wyswobodził dłonie z luźnego sznurka i ujrzał, że Pruit ogląda się na niego. Twarz miała zmęczoną i bladą, ale ręce wolne. Wiedziała, kim jest Adaiz i z jakim przyleciał zadaniem, a teraz zrobi wszystko, co w jej mocy, aby go powstrzymać. Była jego wrogiem.

Nie zdążyła nawet skupić na nim wzroku, kiedy przetoczył się szybko do stosu broni. Złapał najbliższą rzecz – jeden z noży Pruit – i błyskawicznie przeciął sznur krępujący mu stopy.

Pruit skoczyła w jego stronę, zapominając o własnych związanych nogach. Runęła na kolana, a w tej samej chwili Adaiz, bez cienia wahania, cisnął w nią nożem. Zareagowała zbyt wolno. Zanim zdążyła paść na podłogę i przetoczyć się w bok, nóż przemknął, wirując, przez pokój, by zagłębić się ostrzem w jej lewym ramieniu.

Poczuła eksplozję bólu i brutalne uderzenie, kiedy jej ciało grzmotnęło ciężko na podłogę. Ale oprócz tego doznała też dobrego uczucia – uczucia ciała wchodzącego na wysokie obroty. Adrenalina w żyłach wyostrzyła jej zmysły i Pruit poczuła, że płynie na fali euforii.

Adaiz sięgnął po jej drugi nóż i zamachnął się do rzutu. Pruit w porę dostrzegła ten ruch i zareagowała. Prawą ręką złapała za nóż wbity w jej ramię, wyrwała go i niemal w tej samej chwili przetoczyła się w bok, jednocześnie przecinając sobie więzy na kostkach. Nóż świsnął w powietrzu i przeorał dywan o cale od niej. Pruit zgarnęła go lewą ręką, podrywając się na równe nogi. Szybko sprawdziła funkcjonowanie zranionej kończyny – była posłuszna jej

woli, ale praktycznie pozbawiona siły. Endoskóra już zajmowała się raną, zespalając przecięte mięśnie i naczynia krwionośne, ale nie była w stanie działać dość szybko, by zapobiec krwawieniu. Na jej podkoszulce rosła czerwona plama.

Stanęła przed Adaizem, który zdążył już zgarnąć własny nóż, a teraz sięgał po pistolet. Pruit nie znała tego typu, ale nie wyglądał na broń miotającą. A zatem laser. To miało sens. Broń miotająca byłaby zakazana w społeczeństwie rozwijającym się w zamkniętych bazach na planetoidach. Jeżeli zdąży w nią wycelować, walka będzie skończona.

Na podłodze za nią Jean-Claude jęknął cicho i zaczął poruszać się niemrawo.

Pruit skoczyła, zanim Adaiz zdążył poprawić chwyt na rękojeści miotacza. Zderzyła się z nim z impetem, powala-jąc w tył, prosto na długą półkę na ścianie. Przewrócili się na nią razem, a potem runęli na podłogę, spleceni, Adaiz na górze, wypuszczając broń z dłoni. Wykorzystując sposobność, zamachnął się i wbił pięść w jej zranione ramię. Pruit krzyknęła.

Gwałtownym skrętem ciała strąciła go z siebie, a potem cięła z rozmachem przez żebra, znacząc je płytką raną, która zaczęła obficie broczyć krwią. Adaiz rzucił się po broń, ale kopnęła ją pod szafkę, poza zasięg jego rąk.

Adaiz podniósł się z podłogi, krzywiąc się z bólu. Był zaskoczony siłą i sprawnością swojej przeciwniczki. Teraz stała przed nim, z nożami w obu dłoniach i plamą krwi na piersi. Oddychała ciężko, ale nie ulegało wątpliwości, że ma jasny umysł i jest pełna energii. Była ubrana tylko w bieliznę i smukłe krzywizny jej ciała burzyły koncentrację Adaiza. Spróbował oczyścić umysł, wprowadzić się w stan egani-tah. Musiał rozszerzyć świadomość, ogarnąć nią siebie i ją. Musiał zacząć dostrzegać jej zamiary, nim zdąży wykonać pierwszy ruch, uczynić ją częścią siebie. Uspokoił oddech.

„Nie chcę jej zabić. Muszę ją zabić. Nie ma we mnie miłości do niej. Jestem człowiekiem tylko z nazwy. Jestem Lucenem. Jestem

jednym z Ludu. Jestem oświecony. Poznałem gwiazdy i wszechświat. Przeniknęły przeze mnie, a ja pozostałem…”.

Adaiz chciał zgasić te natrętne myśli, ale wciąż odżywały w nim na nowo. Spróbował dotknąć Pruit mentalnie, ale oblała go fala odrazy i odruchowo wycofał się w głąb siebie. Nienawidziła go. Czuł to wyraźnie. Pruit śmiała się i choć ta forma okazywania emocji była Adaizowi obca, rozpoznawał w tym śmiechu drwinę.

Jesteś zdziwiony, że potrafię walczyć, tak? – prychnęła. – Nie znasz swojej własnej rasy. Powiedzieli ci, że jesteśmy słabi.

Uważnie śledziła jego ruchy. Był silny i wygimnastykowany, ale proporcje mięśni miał dziwne. Łydki i uda wydawały się przerośnięte w porównaniu z resztą ciała. Jego postawa i równowaga były dobre, ale nie doskonałe. Sugerowały szkolenie przez trenera, który miał słabe pojęcie o ludzkiej fizjologii. Pruit potrzebowała tej przewagi, ponieważ sama miała tylko jedną rękę w pełni sprawną.

W niespodziewanym ruchu skoczyła naprzód i raniła go w górną część ramienia. Trysnęła krew i Adaiz zatoczył się w tył. Wykorzystując jego utratę równowagi, Pruit pchnięciem powaliła go na podłogę i wzniosła nóż do ostatecznego ciosu.

Ale Adaiz kipiał furią. Ból kolejnej rany dokonał tego, z czym nie poradziły sobie techniki mentalnej kontroli – w jednej chwili wygasił wszelkie zbędne bodźce. Adaiz rzucił się w bok w błyskawicznym uniku, po czym natychmiast skontrował atak potężnym kopnięciem. Obie stopy wbiły się Pruit w brzuch, odrzucając ją na drugi koniec pokoju.

Wylądowała ciężko na plecach i w tej samej chwili spadł na nią Adaiz, mierząc nożem prosto w jej serce. Zdołała zablokować rękę z ostrzem, ale druga zasypała jej twarz i szyję gradem ciosów. Adaiz ryczał z wściekłości.

Uniósł nóż do kolejnego ciosu. Tuż za nim Pruit ujrzała Jeana-Claude’a, który właśnie wstał i uświadamiał sobie, co się dzieje. Adaiz uderzył, ale w tej samej chwili Jean-Claude pchnięciem

zrzucił go z Pruit. Natychmiast poderwała się na nogi. Jean-Claude rzucił się na Adaiza, ale ten machnął nożem, rozcinając mu przedramię i zniechęcając do walki. Cała furia Adaiza zwróciła się wówczas ku Pruit. Jego umysł znów podjął idiotyczny dyskurs z samym sobą: „Ona jest tobą, ty jesteś nią, muszę ją zabić i nie jestem zdrajcą. Nie jestem zdrajcą. Jestem adoptowanym bratem, nigdy nietraktowanym inaczej niż z miłością!”

Wymierzał teraz jeden wściekły cios za drugim. Pruit parowała je, ale czuła, że zaczyna słabnąć. Szok zranienia dopadał ją z opóźnieniem. Czuła chłód. Głowa pękała jej z bólu – po ogłuszeniu przez Jeana-Claude’a i od późniejszych ciosów Adaiza. Uchylając się przed pchnięciami, cofała się w stronę ściany. Osaczał ją. Wstrząśnięty Jean-Claude, który nie był wyszkolonym wojownikiem, trzymał się za nadgarstek i wytrzeszczał oczy na krew, kapiącą mu z ręki na dywan.

Adaiz miał tylko jeden nóż, ale wymachiwał nim jak obłąkany. Pruit ledwie nadążała z blokowaniem ciosów. Nagle poczuła na plecach dotyk czegoś twardego i zimnego. Okno. Była osaczona.

„Nie! – krzyknęła w myśli. – Nie wygrasz ze mną!”

Zebrawszy w sobie ostatki pozostałych w nich sił, zablokowała kolejny cios lewym ramieniem, jednocześnie wyprowadzając rozpaczliwe pchnięcie prawym. Czuła, jak klinga wnika w miękkie ciało. Widziała plamę czerwieni rozkwitającą na jego boku, tuż poniżej żeber. Adaiz krzyknął i zachwiał się, cofając o krok. Pruit uniosła rękę do następnego ciosu.

Zanim zdążyła uderzyć, Adaiz poczuł, jak umysł wypełnia mu świadomość własnej nogi, stopy oraz ciała przeciwniczki na ich drodze. Ujrzał swoje mięśnie. Był w nich ból, ale nie miał już znaczenia. Ujrzał swoją ścieżkę. Zabije ją. Zabije ją teraz, a o plany będzie się martwił później. Uniósł nogę, czując przepływające przez nią strumienie energii. Kopnął. Stopa uderzyła Pruit w tors.

Pruit poczuła uderzenie na piersi, a zaraz potem drugie, na plecach, które zderzyły się z szybą. Owionął ją chłód wieczornego powietrza; wokół niej wystrzeliły w niebo ciemne sylwetki budynków. Spadała.

Wyleciała przez okno. Za chwilę umrze. Teraz. Błysk bólu poraził jej mózg.

W pokoju Adaiz runął na plecy. Przez krótką chwilę czuł się, jakby to on był na zewnątrz, spadając w szumie powietrza. Wyrzucił ręce na boki, aby powstrzymać upadek, ale nie było się czego złapać. Ciężko uderzył o podłogę. Tracił krew. Tracił przytomność. Jęcząc, zacisnął pięść na brzegu dywanu i odpłynął w niebyt.

Jean-Claude zobaczył, jak dziewczyna znika za oknem, a jej przeciwnik pada na dywan bez przytomności. Dopiero co zdążył zatamować własne krwawienie, kiedy walka nagle się skończyła.

Dziewczyna ocaliła go. Uwolniła od łaknienia. A on tylko siedział, kuląc się nad swoją raną, pozwalając, by ten drugi więzień ją zabił.

Przez kilka chwil patrzył na kałużę krwi rosnącą pod Adaizem. Potem wstał, pozbierał broń walającą się na podłodze i wrzucił wszystko do małej reklamówki. Wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach na parter, skąd obskurnym korytarzem przedostał się do tylnego wyjścia i wyszedł na wąską uliczkę za budynkiem.

Nie było tam latarni, ale za cienką warstwą chmur świecił księżyc, zaś w oknach odbite światła miasta. Chłodny powiew zdołał jakoś wcisnąć się w ten ponury zaułek, przynosząc chwilową ulgę od odoru moczu i zgnilizny.

Zobaczył ją. Leżała połową ciała w stercie odpadków, połową w brudzie ulicy. Oczy miała zamknięte. Jean-Claude spojrzał w górę, na drugie piętro, gdzie były okna jego mieszkania. Upadek zamortyzowały śmieci. Możliwe, że wciąż żyła.

Podszedł bliżej i przyłożył palce do jej szyi. Wydało mu się, że wyczuwa słabiutki puls.

– Tak mi przykro – mamrotał po francusku. – Tak okropnie mi przykro.

W zaciśniętych dłoniach wciąż ściskała noże. Jean-Claude włożył je do torby z resztą broni. Potem ostrożnie wydobył ją spomiędzy śmieci i zarzucił sobie na ramię. Nieruchome, bezwładne ciało wisiało na nim jak szmaciana lalka.

Musiał zabrać ją stąd w bezpieczne miejsce gdzieś dalej. Nie mógł skorzystać z taksówki. Był obcokrajowcem rannym od noża niosącym ciężko ranną młodą kobietę. Kierowca na pewno zawiadomiłby policję. Nie chciał policji. Potrzebował czasu. Musiał pomyśleć. Musiał od nowa dojść do tego, kim jest.

Niósł ją przez dwie mile, przemierzając mroczne zaułki, które nawiedzał przez trzy długie lata. Mijał burdele oraz dilerów heroiny i haszyszu zaśmiecających boczne uliczki Kairu.

Minęła północ, zanim dotarł do szpitala sióstr świętego Judy. Pruit pojękiwała cicho. Zaczynała się budzić. Ostrożnie złożył ją na krześle, opierając plecami o ścianę w izbie przyjęć ostrego dyżuru wśród tuzinów innych ludzi tłoczących się tam w oczekiwaniu na pomoc. W świetle padającym przez przeszklone szpitalne drzwi spostrzegł, że Pruit na niego patrzy.

Jean-Claude przykląkł, by znaleźć się twarzą na poziomie jej oczu. Nie był w stanie stwierdzić, na ile jest przytomna.

– On wkrótce dobije targu – powiedział głośno i wyraźnie.

Głowa Pruit osunęła się bezwładnie na bok. Jean-Claude ujął ją za podbródek i delikatnie zwrócił twarzą ku sobie. Oczy wciąż miała otwarte.

– On wkrótce dobije targu – powtórzył. – Wydaje mi się, że ma tylko jedną kopię tego, czego szukasz, i tylko on wie, gdzie to jest ukryte. Kiedy dobije targu, przekaże tę kopię osobiście.

Czy go słyszała?

Dopiero po chwili Pruit udało się lekko kiwnąć głową.

– Rozumiem… – szepnęła z wysiłkiem.

Jean-Claude delikatnie oparł jej głowę o ścianę i puścił podbródek.

– Dziękuję ci za moje życie – powiedział, wstając. – Przykro mi, że nie zasłużyłem na nie bardziej.

Okręcił jej na dłoni ucha reklamówki z bronią i wyszedł, by rozpłynąć się w ciemnościach.

Rozdział 38

Był ciąg białych świateł i woń izopropanolu. Były odgłosy bólu i ruch, szuranie stóp i maszyny, a także wrażenie wielu ciał kłębiących się w ciasnej przestrzeni.

Grupa mężczyzn i kobiet pochylała się nad nią. Ktoś świecił jej w oczy ostrym światłem. Dwie osoby miały białe, bawełniane czepki na głowach i małe maseczki na twarzach.

Pruit powróciła do przytomności w królestwie bólu. Ramię paliło ją, rwało i piekło, a głowa pulsowała powolnym, miażdżącym gwałtem. Dotarła do niej świadomość ostrego pragnienia. Ludzie wokół próbowali ją unieruchomić, ale ona wyrywała im się. Próbowali coś jej wstrzyknąć. Próbowali podłączyć ją do kroplówki.

– Trzymaj ją! – krzyczał ktoś. – Trzymaj ją mocno!

– Nie… – protestowała, próbując odepchnąć ich od siebie. – Nie…

Było szalenie ważne, by im na to nie pozwolić. Dlaczego? Zrazu nie mogła sobie przypomnieć. Nagle olśnienie: endoskóra! Oni nie znali endoskóry. Odkryją ją i zorientują się, że Pruit nie jest stąd.

– Nie! – Odepchnęła natrętne ręce.

– Nie ruszaj się! – krzyknął lekarz.

Uświadomiła sobie, że mówi do nich w soulene, a oni do niej po arabsku.

– Nie! Zostawcie mnie! – zawołała, przechodząc na arabski. – Nie potrzebuję pomocy!

– Obawiam się, że jednak potrzebujesz – powiedział młody egipski lekarz tonem napiętej cierpliwości.

Unieruchomili jej ręce. Poczuła igłę wprowadzaną do żyły w jej ręce.

– Panie doktorze, coś tu jest nie tak! – Przestraszyła się jedna z pielęgniarek.

Endoskóra. Pruit była tego pewna. Zapewne próbowała odizolować kaniulę kroplówki, obce ciało, warstwą własnych komórek.

– Zastrzyk, szybko! Zanim wpadnie w histerię!

Poczuła ukłucie igły w zgięciu łokcia, a potem bolesne mrowienie, gdy tłoczono jej w żyłę zawartość strzykawki. Był to środek przeciwbólowy i Pruit natychmiast poczuła wdzięczność. Rwanie w ramieniu osłabło. Wiedziała, że musi wstać ze stołu, ale powieki miała tak ciężkie…

– Co to jest? – Zmarszczył brwi lekarz, oglądając kaniulę.

– Proszę spojrzeć, doktorze, to wyłazi z jej skóry.

– Nie… – stęknęła Pruit. – Nie…

– To jakiś rodzaj tkanki.

– Jak szybko się rozrasta! Patrzcie.

– Widzieliście kiedyś coś…

– Szybko, wezwijcie doktora Faruka!

– Nie – szepnęła jeszcze raz.

Wtedy przez zgiełk dochodzący z sąsiednich gabinetów przebił się tupot szybkich kroków i huk otwieranych drzwi.

– Pruit? Pruit?

Znała ten głos.

– Pruit!

– Eddie… – mogła najwyżej szeptać. – Eddie…

Nie była w stanie wykrztusić nic więcej, ale on ją usłyszał. Spod wpółprzymkniętych powiek patrzyła, jak Eddie odpycha biały kitel na bok.

– Co pan tu robi? – oburzył się lekarz po arabsku. – Zabrać go stąd!

– To moja żona. W domu czeka na nią nasz lekarz.

Lekarz i jeden z pielęgniarzy próbowali go złapać, ale wymierzył im po jednym, zgrabnym uderzeniu z otwartej ręki, nadając ciosom akurat tyle siły, by roztrącić napastników, nie czyniąc im żadnej krzywdy.

– Zabieram ją stąd! Puśćcie mnie!

– Tak… – bełkotała po arabsku Pruit, aby mogli ją zrozumieć. – To jest mój mąż.

Nawet w swoim półprzytomnym stanie dostrzegała spryt stojący za fortelem Eddiego. W kulturze islamu mąż był władcą absolutnym rodziny. Mógł nawet przerwać kurację ratującą życie żonie.

Mężczyźni znów przypadli do Eddiego, ale tym razem bez przekonania. Jego oświadczenie poruszyło właściwą strunę i zatrzymało ich w pół kroku.

– Puszczajcie! Zabieram ją do domu.

Szarpnięciem usunął kaniulę i pomógł Pruit usiąść na stole. Nikt nie próbował go powstrzymać. Pruit zarzuciła mu ramiona na szyję, a on jedną ręką przyciągnął ją do siebie, a drugą pomógł jej nogom objąć go w pasie.

– Czekaj – wymamrotała i ręką, która ledwie reagowała na rozkazy jej woli, rozpaczliwie machnęła w stronę noszy.

Eddie porwał reklamówkę, po którą sięgała, i Pruit wczepiła się w nią kurczowo.

– Wychodzimy – oznajmił Eddie. – Wychodzimy!

Wycofał się z sali przez dwustronne drzwi odprowadzany zdumionym wzrokiem zespołu medycznego. Znalazłszy się za progiem, puścił się truchtem wzdłuż wąskiego korytarza, z Pruit uwieszoną u szyi. W holu czekali ludzie siedzący na ławach, na podłodze, przybyli tu z rozmaitymi dolegliwościami – od drobnych ran po bardzo poważne schorzenia. Roztaczali zapach choroby i śmierci. Był to szpital dla najuboższych, z których wielu znajdowało na tym korytarzu tymczasowy dom.

Eddie kluczył między nimi, przestępując nad leżącymi i przyciskając do siebie Pruit, która wydawała mu się wiotka i nieważka. Skórę miała zimną, wilgotną. Na końcu korytarza otworzył kolejne drzwi i wkroczył do przestronnej izby przyjęć wypełnionej płaczącymi dziećmi i rojowiskiem niedomytych ludzi. Przecisnął się do wyjścia i już po kilku chwilach znaleźli się na zewnątrz. Pruit poczuła chłodny dotyk nocnego powietrza. Wciąż była w samej bieliźnie i jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Samochód czekał. Eddie wcisnął ją na tylne siedzenie i sam wśliznął się do środka obok niej. Na podłodze leżał koc – Eddie przykrył nim Pruit.

– Z powrotem do hotelu – rzucił do kierowcy.

Obejrzał się w stronę szpitala. Było mało prawdopodobne, że ktoś będzie ich ścigał, ale on niespokojnie wpatrywał się w drzwi.

Kierowca przyglądał się tępo swoim pasażerom.

– Już! – ryknął Eddie.

Wóz szarpnął, odrywając się od krawężnika, i popłynął ulicą.

– Eddie… – westchnęła Pruit.

Odwrócił się i pochylił nad nią.

– Pruit, co się stało?

– Jak mnie znalazłeś, Eddie? – zamruczała, wciąż w błogich objęciach środka przeciwbólowego.

– Skoro nie wracałaś i nie odbierałaś telefonu, zacząłem wydzwaniać po szpitalach. Ciężko cię opisać, wiesz? Ani biała, ani żadna inna… I dlaczego to, czego się szuka, zawsze musi być w ostatnim miejscu, które człowiek sprawdza? Dzięki Bogu, że znalazłem cię, zanim… Twoje ramię!

– Zagoi się… Zagoi…

Eddie przyciągnął ją do siebie, aby szczelniej opatulić kocem. Jej twarz i szyję szpeciły ciemne sińce.

– Pruit, kto ci to zrobił?

Walczyła z opadającymi powiekami, wiedząc, że nie wolno jej zasnąć. Coś ją niepokoiło… Przypomniała sobie. Ten człowiek Lucen śledził ją. Zmusiła się do otwarcia oczu.

– Eddie, mam w sobie nadajnik. Oznaczyli mnie…

– Kto cię oznaczył?

– Później wszystko wyjaśnię.

Trudno było jej mówić. Trudno było obronić się przed sennością.

– Poszukaj na plecach… – Prawą ręką zaczęła niezdarnie podciągać podkoszulkę.

– Poszukać czego?

– Będzie gdzieś przy kręgosłupie. Coś małego i twardego.

Luceni zwykle wszczepiali swoje lokalizatory przy kręgosłupie – Pruit pamiętała to jeszcze ze szkoleń, na których uczyła się o sposobach ich działania. W ciągu trwającej od pokoleń blokady Luceni oznaczyli w ten sposób sporą rzeszę ludzi.

Eddie nic nie zrozumiał, ale zrobił, o co prosiła, pomagając jej ściągnąć podkoszulkę i zakryć piersi kocem, aby nie wystawiać ich na widok publiczny. W Egipcie nagość nie była tolerowana. Wynajęty kierowca obejrzał się na nich, wytrzeszczając oczy.

– Patrz przed siebie! – warknął Eddie i mężczyzna wbił wzrok w drogę przed sobą.

Eddie obejrzał jej kręgosłup.

– Nic tu nie widzę.

– Spróbuj palcami. Tuż obok kręgów.

Powiódł palcami wzdłuż jej grzbietu, starannie obmacując każdą kość. Kiedy dotarł do środka pleców, wydało mu się, że wyczuwa podskórne stwardnienie.

– Coś tu chyba jest, ale nie widzę.

– Mało światła – powiedziała słabym głosem.

– Stop! Zjedź tutaj.

Samochód zatrzymał się pod latarnią i Eddie obejrzał dokładniej podejrzane miejsce na plecach Pruit. Pod skórą coś było – wskazywał na to drobny, niemal niezauważalny wzgórek.

– Chyba znalazłem.

Pruit sięgnęła ręką za plecy i odszukała wzgórek palcem.

– Tak, to jest to. Musisz wyciąć.

– Co?

– Wytnij to, Eddie. Dzięki temu mogą mnie śledzić.

– Kto taki?

– Po prostu wytnij! Mój nóż…

Ruchem głowy wskazała reklamówkę, którą kazała mu zabrać ze szpitala.

– Nie będę cię ciął!

– Musisz. Po prostu to zrób. Nie myśl. Nie, czekaj… – Wywołała pulpit endoskóry i wyłączyła ją, żeby nie próbowała interweniować podczas zabiegu. – Teraz można. No już.

Eddie ścisnął w dłoni biały nóż. Nie pozwolił sobie na luksus wahania. Przyłożył jej ostrze do pleców i otworzył krótkie nacięcie dokładnie w poprzek podejrzanego wzgórka. Pruit ścisnęła się za kolana. Środek przeciwbólowy przestawał działać. Eddie dotknął ranki palcem i pod opuszką palca wyczuł coś twardego. Pruit syknęła, kiedy podważył to czubkiem noża.

– Przepraszam…

– Wyciągaj!

Wsunął czubek noża nieco głębiej pod wzgórek i szybkim ruchem nadgarstka wypchnął nadajnik na powierzchnię. Urządzenie było małe, jajowate, wielkości kulki malutkiego łożyska. Ociekało krwią. Eddie ujął je w palce, a potem złapał podkoszulkę Pruit i przycisnął ją do ranki.

– Mam to! – Podsunął jej nadajnik pod oczy.

Spojrzała, z najwyższym trudem skupiając wzrok.

– Wyrzuć.

Eddie opuścił okno i cisnął nadajnik na ulicę.

– Dobrze – westchnęła Pruit, opadając na oparcie siedzenia, wycieńczona ponad wszelką miarę. – Dobrze…

Zamknęła oczy.

Eddie delikatnie przyciągnął ją do siebie, wciąż trzymając koszulkę na jej plecach, aby powstrzymać krwawienie. Przycisnął jej ciało do piersi. Od popołudnia przeszukał tuzin miejskich szpitali, stopniowo wpadając w coraz większą panikę. Mimo to nie uświadamiał sobie, jak bardzo mu na niej zależy, aż do tej chwili. Przytulił ją mocniej i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest dla niego cenna.

– Przy tobie nie sposób się nudzić choćby przez jedną chwilę, czyż nie, Pruit Pax z Senetianów? – wyszeptał, całując jej włosy.

Złożyła głowę na jego ramieniu, czując jego siłę i wdzięczna za nią. Zasnęła w ramionach Eddiego, jeszcze zanim samochód zdążył ruszyć w dalszą drogę.

Rozdział 39

Powoli powracając do przytomności na podłodze mieszkania Jeana-Claude'a, Adaiz spróbował się poruszyć. Przy pierwszej próbie uniemożliwił mu to ból. Lewe ramię płonęło mu żywym ogniem podobnie jak lewy bok tuż pod żebrami. Czuł, że ma poważnie uszkodzone mięśnie.

Zamknął oczy i zmusił się do przetoczenia na plecy. Ruch poraził go falą oślepiającego bólu, ale też pokazał mu granice jego cierpienia. Większa część jego ciała wciąż funkcjonowała normalnie i nie stracił nadmiernie dużo krwi. Z łaską Omaniego rekonwalescencja nie będzie zbyt długa.

Powoli podniósł się, walcząc z zawrotami głowy. Na podłodze czerniła się kałuża krwi, ale rana na jego ramieniu zasklepiła się skrzepem. Obejrzał ją, a potem rozejrzał się wokół i znalazł koszulkę, którą zdjął z niego Jean-Claude. Podniósł ją i chwytając zdrową ręką oraz zębami, metodycznie podarł na pasy. Jednym z nich owinął sobie ramię, nie bez trudności zawiązując końce w węzeł. Resztą opatrzył sobie długą ranę pod żebrami.

Z zabandażowanymi ranami zmusił się do chodzenia wokół pokoju. Kilka razy omal nie zemdlał, ale utrzymał przytomność, zwieszając nisko głowę i przytrzymując się mebli. Zbliżając się do okna wychodzącego na główną ulicę, usłyszał samochód zatrzymujący się pod budynkiem.

Powoli pokuśtykał do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył taksówkę i stojącego przy niej szaroskórego mężczyznę – tego samego, którego śledziła Pruit.

Jego ruchy nabrały życia. Adaiz odepchnął się od okna i najszybciej, jak potrafił, ruszył wzdłuż szafki w stronę starego czarnego telefonu w rogu pokoju. Podniósł słuchawkę i poczuł ulgę na dźwięk sygnału gotowości. Miał dość rozsądku, by zawczasu przećwiczyć korzystanie z telefonów i wiedział, jak działają. Szybko wykręcił numer, którego nauczył się na pamięć.

Po dwóch sygnałach słuchawka szczęknęła i odezwała się niepewnym głosem.

– Halo? – Enon-Amet wypowiedział jedno z nielicznych ziemskich słów, jakie znał, sztucznie obniżając ton głosu w imitacji ludzkiego szeptu.

– Bracie, to ja, Adaiz.

– Co się stało? Czy z tobą wszystko w porządku?

– Tak i nie – odpowiedział Adaiz. – Ale muszę się śpieszyć. Człowiek, którego śledziła Pruit, jest niedaleko, a ja mam plan.

– Gdzie jesteś?

– To później. Powiedz mi, czy wszystkie nadajniki Pruit wciąż działają?

– Zdaje się, że odkryli jeden z nich, ale drugi wydaje się nietknięty.

– Znakomicie.

– Adaiz, czy jesteś bezpieczny?

– Tak mi się wydaje, starszy bracie. I wydaje mi się jeszcze, że mam dwie karty przetargowe, które zapewnią nam sukces w obu aspektach naszej misji. Niebawem wrócę do hotelu.

Odłożył słuchawkę. Od strony schodów słychać było kroki.

Rozdział 40

Nate siedział obok Mechanika na tylnym siedzeniu taksówki sunącej wąskimi uliczkami w stronę bloku Jeana-Claude'a. Doświadczał już uczucia napiętej skóry, które zwiastowało nadejście dreszczy. Wkrótce zaczną się skurcze w żołądku i pojawi się ból. Nate zacznie jęczeć, a to zirytuje Mechanika, który za karę może odwlec podanie antidotum. Amerykanin liczył sekundy w milczeniu.

Za oknami auta migały obrazki z mrocznej części Kairu: haszyszowe mety i niezbyt starannie zamaskowane burdele. W piwnicy bloku działała dyskoteka i przed wejściem kręcił się barwny tłumek młodych ludzi. Dawno, dawno temu Nate'a pociągały takie miejsca – wspomnienie jak z poprzedniego życia.

Siedzący obok Mechanik nie odzywał się, ale Nate wiedział, że jest zadowolony. Rozmowy z potencjalnymi klientami przebiegły znakomicie. Już po kilku minutach wyszło na jaw, że Chińczycy już dogłębnie przestudiowali przykładowe wzory. Ukradli je, jak się okazało, jednemu z innych negocjujących z Mechanikiem państw. Zdążyli już dojść do wniosku, że proponowana przezeń technika jest realna i wykorzystali popołudniowe spotkanie do przedstawienia mu oferty – bardzo hojnej jak na wstępną propozycję.

Nate przewidywał, że Mechanik postawi kilka własnych warunków – na które Chińczycy bez wątpienia się zgodzą – po czym strony dobiją targu. A potem…? Co potem? Co się stanie z nim? Zmrużył oczy, czując nadchodzący pierwszy skurcz.

Być może jego los nie będzie taki zły. Ostatecznie to on zorganizował wszystko dla Mechanika: konta bankowe z dala od ciekawskich oczu i niepozorną skrytkę bankową, w której przechowywali plany. To on nalegał, aby wyłącznie Mechanik znał lokalizację skrytki. Klucz do jego przyszłego bezpieczeństwa leżał w rezygnacji z utrzymywania sekretów. Mechanik miał przekazać dokumentację w całości, po czym środek ciężkości przeniósłby się

z niego na samą nowatorską technikę. Ułatwiał to fakt, że Mechanik nie był w żadnej mierze ekspertem w dziedzinie oferowanych rozwiązań – Nate zadbał, aby każda zainteresowana strona została o tym poinformowana. Jednakże po przekazaniu towaru wciąż miał być potrzebny do tłumaczenia manuałów z haight i to miało go chronić.

Pomagając Mechanikowi w układaniu planu działania, Nate zapytał go, co zamierza osiągnąć poprzez negocjacje. Odpowiedź była prosta: „życie godne boga wśród ludzi". Poproszony o sprecyzowanie, nie potrafił dodać nic poza tym, że życzy sobie mieć do dyspozycji środki pozwalające mu mieć wszystko, czego tylko zapragnie. W swojej uporczywości, Nate znalazł sposób na włączenie tej żądzy do równania. Aby tak żyć, Mechanik potrzebował pokaźnych zasobów finansowych jak również ochrony. Tym samym negocjacje musiało wygrać państwo, które zaoferowało te dwie rzeczy w największej obfitości. Chińczycy z ich propozycją natychmiastowego załatwienia szwajcarskiego obywatelstwa – Nate nie miał pojęcia, że coś takiego jest możliwe, ale był pewien realności oferty – oraz wypłacenia określonych kwot i zapewnienia rozmaitych dodatkowych przywilejów prawdopodobnie byli faworytami w tym wyścigu.

Mimo to pozostałą część dnia poświęcili na spotkania w sprawie kolejnych trzech ofert od nowych państw – państw, które pojawiły się nie wiadomo skąd. Mechanik słuchał cierpliwie, ale Nate był prawie pewien, że podjął już decyzję.

Skurcze przybrały na sile, kiedy taksówka podjechała do krawężnika i zatrzymała się. Nie zaszczyciwszy Nate'a nawet spojrzeniem, Mechanik wysiadł i skierował się do wejścia budynku. Nate zapłacił kierowcy i ruszył za swoim panem. Przemieszkali tutaj tydzień i obaj znali wąskie, kręte schody na pamięć.

– Zobaczymy, co kurwa przywlokła do domu? – zawołał z góry Mechanik, szybko wspinając się na drugie piętro.

Korytarz, jak zwykle, zaatakował ich odorem moczu i śmieci, ale Nate czuł się już tak źle, że nawet nie pomyślał o wstrzymaniu oddechu.

Mechanik wyjął pistolet i podszedł do drzwi Jeana-Claude'a. Spostrzegł, że są uchylone i zatrzymał się. Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Pchnął drewno i drzwi skrzypnęły, odchylając się do środka.

Na jedynym krześle w pokoju siedział młody człowiek w prowizorycznych bandażach na ramieniu i torsie. W dłoni trzymał nóż, którym bawił się od niechcenia. Ani Mechanik, ani Nate nie widzieli go wcześniej, kiedy śledził Pruit. Dla nich był zupełnie obcy.

– Kim jesteś? – spytał Mechanik.

Translator przy jego szczęce przetłumaczył te słowa na angielski.

Młody człowiek uśmiechnął się w dziwny, mechaniczny sposób.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział. – Ofertę, jakiej nie przebije żaden kraj.

– Co się stało z czarną kurwą?

– Uwolniła go ta dziewczyna. I ona jest częścią mojej oferty.

Mechanik wszedł do pokoju i oparł się o niską szafkę stojącą przy jednej ze ścian. Pistolet trzymał wymierzony w młodzieńca.

– Zamieniam się w słuch – powiedział.

Nate przymusił się do zajęcia miejsca na podłodze. Złapał jedną z walających się wokół poduszek i przycisnął ją sobie do brzucha. Jego ciało próbowało skulić się z bólu. Za kilka minut zacznie głośno jęczeć. Będzie tłumił te jęki tak długo, na jak długo wystarczy mu sił. Jego ból będzie musiał zaczekać, aż oferta zostanie wysłuchana.

Rozdział 41

Rok 2590 p.n.e.
Siedemnasty rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Monarchowie [czwartej] dynastii byli bogami:
tylko im po śmierci dany był przywilej przemierzania
niebios ze swoim orszakiem na boskim korabiu.

„Starożytny Egipt: jego kultura i historia”

Bloki podstawy położono w minionych tygodniach i budowniczowie przystępowali już do układania drugiej warstwy kamieni. Fundament zajmował trzynaście akrów piaszczystej pustyni i zatopiony poniżej jej powierzchni spoczywał na skalnym podłożu. Na jego środku duże wybrzuszenie naturalnej skały wyrastało na wysokość pięćdziesięciu stóp. Miało posłużyć za dodatkowe zakotwiczenie budowli.

Warstwy bloków nad fundamentem miały zmniejszać się wraz z wysokością, tworząc czworoboczną piramidę o ścianach pochylających się pod kątem pięćdziesięciu jeden stopni, by spotkać się na czubku prawie pięciuset stóp nad pustynią.

Rozmiary poszczególnych bloków ograniczała maksymalna objętość, do jakiej kultura skalna mogła wyrosnąć bez uszczerbku dla jej spójności. Pomimo podjętych przez Kapitana wysiłków zachowania wiedzy Kinlai, większość kunsztu Inżyniera uległa zatraceniu. Nie dało się tego uniknąć w prymitywnym społeczeństwie, które przemieniło technologie w wiele zabobonnych rytuałów, bezpowrotnie rozcieńczając przy tym myśl techniczną. Teraz, jeśli użyli zbyt dużej formy, skała wyrastała nierówna, porowata, o sztucznym wyglądzie. Krytyczna objętość zależała także od kształtu, jaki należało nadać blokom w poszczególnych punktach budowli, oraz rodzaju użytej kultury skalnej. Z granitu

przeznaczonego na obudowę centralnej komory piramidy budowniczowie produkowali płyty o wadze ponad pięćdziesięciu ton. Największe bloki mogły ważyć nawet dwieście.

Kapitan stał na szczycie drewnianego rusztowania wzniesionego dla ułatwienia obserwacji postępów budowy. W ostatnich latach wyraźnie się postarzał; czas posrebrzył mu głowę i pobruździł twarz, nadając jej surowy, męski wyraz. Ubrany był w szatę z grubego, białego płótna wyszywanego złotem, oraz plecione, skórzane sandały prawdziwie misternej roboty. Włosy miał natłuszczone oliwą i splecione w warkocz na karku. Stał się swoją własną wizją boskości w ludzkiej postaci.

U jego boku stał Chufu, dwunastoletni król całego Egiptu i biologiczny syn Kapitana. Chufu miał brązową skórę matki, ale włosy jasne – choć nie można go było nazwać blondynem – zaś jego ciemnobrązowe oczy z czasem zaszły szarością. Głową sięgał już ojcu ponad ramię i był muskularny jak na swój wiek. Odziany w obcisłą, królewską spódniczkę, miał nagi tors i bose stopy. Pierś zdobił mu wspaniały pektorał z wizerunkiem sokoła, ramiona zaś złote i srebrne bransolety. Głowę chłopca okrywała królewska chusta, *nemes*; nad czołem święty wąż, Ureusz, wznosił swój wysadzany klejnotami łeb. Na młodym podbródku tkwiła długa sztuczna broda, założona specjalnie z okazji tego publicznego wystąpienia.

Snofru, formalny ojciec Chufu, zmarł przed rokiem na chorobę jelita. Chufu był niekwestionowanym następcą tronu – jego boskie pochodzenie zostało oficjalnie potwierdzone, zaś jego matka, Hetepheres, piastowała godność najwyższej królowej. Wobec młodości króla Kapitan czuł, jak wodze królestwa same układają mu się w dłoniach.

Za nimi czekały ich lektyki oraz orszak dwóch tuzinów sług i żołnierzy. Mimo wszystko była to tylko nieoficjalna wycieczka. Wielką ceremonię odprawiono przed kilkoma tygodniami, aby uczcić uformowanie pierwszego bloku.

Za rusztowaniem równina schodziła łagodnie ku Nilowi, na którym roiło się od statków i łodzi. Po drugiej stronie było Memfis.

Kapitan zbudował piramidę dla Snofru jakieś piętnaście mil na południe od miejsca, gdzie teraz wznosił swoją nową budowlę. Choć mniejsza, miała te same proporcje co budowana teraz, i posłużyła Kapitanowi jako konstrukcja pilotażowa. Egipcjanie mieli słabość do monumentalnych grobowców i wznosząc tę pierwszą piramidę, Kapitan spełnił życzenie Snofru, jednocześnie zdobywając doświadczenie przed właściwym projektem. Choć nie spełniała żadnej praktycznej funkcji, Kapitan był z niej dumny. Jej wapienna okrywa miała przepiękny czerwonawy odcień, zwłaszcza w świetle późnego popołudnia.

Jednak to nowa piramida miała wyróżniać się jako obiekt szczególnej czci i dumy niezliczonych pokoleń. Postanowił, że pokryje ją białym wapieniem. Dzięki temu będzie doskonale geometryczna i niezwykle wprost piękna. Już teraz wyobrażał sobie białe ściany błyszczące w pustynnym słońcu, widoczne z odległości setek mil.

Miała to być prawdziwie imponująca budowla, kamienna kosmiczna radiolatarnia zdolna przetrwać praktycznie dowolny fizyczny kataklizm i nadal pełnić swoją funkcję. Podzespoły transpondera miały zostać odlane ze skałometalu Inżyniera i zatopione w kamieniu wokół komory centralnej. Mechanizm nie potrzebował własnego zasilania. Rezonujące w piramidzie wibracje zewnętrznych transmisji miały dostarczyć mu dość energii, aby pobudzić go do działania.

Dla nowej piramidy Kapitan wybrał miejsce na równinie nie dalej niż pięćdziesiąt mil od bunkra śpiących – takie były wymagania Inżyniera.

– Ojcze, już zaczynają – powiedział Chufu.

Na środku fundamentu robotnicy odlewali nowy blok. Po dziesięciu minutach cienką, krystaliczną formę zdemontowano, odsłaniając coś, co do złudzenia przypominało świeżo wykuty blok brązowego granitu. Kapitan pokiwał głową z zadowoleniem. Wkrótce nakaże kilkutysięcznej armii budowniczych pracować nad projektem dzień i noc, dopóki piramida nie zostanie ukończona. Złożył Inżynierowi solenną obietnicę, że wybuduje tę stację

nawigacyjno-przekaźnikową, i przez swój szacunek dla tego człowieka zamierzał dotrzymać słowa.

Jednakże jego determinacja w kwestii realizacji tego projektu miała więcej niż jedno źródło. Drobną cząstką swojego umysłu, która wciąż trzymała się dawnej tożsamości – Kapitana, bohatera Herroda, wielokrotnie odznaczonego pilota wojskowego i dowódcy naukowej wyprawy na Ziemię – rozumiał, że budowla miała być niczym więcej, jak prostym urządzeniem komunikacyjnym. Jednak dla reszty jego duszy przedsięwzięcie nabrało nowego wymiaru. Był Ozyrysem. Był ziemskim wcieleniem boga. To, czy się nim urodził, czy nie, nie miało praktycznego znaczenia. Jak kiedyś powiedział do żony: kim jest bóg, jeśli nie kimś, kto inspiruje innych wokół siebie? Przyjmując tę definicję, już dawno niezbicie dowiódł własnej boskości – nawet samemu sobie.

Owszem, starzał się, ale czyż nie było to właściwe w wypadku boga, który przybrał ludzką postać? Dla mieszkańców Herroda nie posiadał żadnych nadprzyrodzonych zdolności. Tutaj jednak jego wiedza o świecie fizycznym i sposobach manipulacji nim nadawała mu prawdziwie boską moc w oczach otaczających go ludzi. Jako bóg myślał o piramidzie inaczej. Budowla miała utrwalić jego rolę jako centralnej postaci egipskiej religii.

– Twój geniusz w działaniu, mój panie i ojcze – powiedział Chufu, patrząc na świeżo uformowany blok.

Chłopiec był podekscytowany i miał ku temu powody. Kapitan powiedział mu, że będzie to pomnik Chufu, monument upamiętniający pierwszego faraona – władcę, w którego żyłach płynęła boska krew.

– Gdzie wyląduje? – spytał Chufu.

– Co takiego, mój synu?

– Niebiański korab, ojcze. Statek, który nas stąd zabierze.

Bo taka właśnie wizja uroiła się z czasem Kapitanowi i zakorzeniła głęboko w umyśle jego syna. Kinlajska misja ratunkowa mająca przybyć po śpiących przemieniła się w statek bogów, który miał spłynąć z nieba, aby unieść wszystkich ludzi boskiej krwi i godnych łaski wniebowstąpienia. Drobna część kapitańskiego jestestwa wiedziała, że to nieprawda, ale już dawno

przestało go to obchodzić. Był bogiem, i to jego słowo stanowiło o rzeczywistości.

– Niebiański korab wyląduje obok piramidy, która go wezwie – odpowiedział synowi.

Z wyrazem posępnego zamyślenia na młodej, przystojnej twarzy, Chufu rozglądał się po równinie, szukając wzrokiem domniemanego miejsca lądowania.

– Boję się, że nie zostanę wpuszczony na pokład – powiedział po kilku chwilach milczenia.

– Czemu tak mówisz?

– Zastanawiałem się nad tym, ojcze. Moja krew nie jest czysta. Moja matka, czcigodna Hetepheres, choć szlachetnego urodzenia, nie jest jednak boginią.

– Pozwól, że zdradzę ci sekret, Chufu – uśmiechnął się Kapitan, przysuwając do syna, aby tylko on mógł go usłyszeć. – Hetepheres jest twoją ludzką matką, która wydała cię na świat ze swego łona. Zasługuje na wszelki szacunek należny królowej i rodzicielce boga. Ale twoją prawdziwą matką, duchową matką, jest Izyda, moja żona. Dawałem ci to do zrozumienia już niejednokrotnie, ale być może będzie lepiej, jeśli wyrażę to wprost: jesteś naszym synem. Jesteś ziemskim wcieleniem Horusa.

– Ale mój przyrodni brat… Jego też nazywają Horusem.

– Lew nie zasługuje na to imię – powiedział Kapitan powoli, patrząc przed siebie.

Problem wyjaśnienia roli starszego syna – problem, który w ostatnich latach stawał się coraz bardziej palący – nagle rozwiązał się sam. W legendzie Ozyrys miał brata imieniem Set, zdrajcę, który spiskował przeciwko niemu i w końcu zamordował z zimną krwią. Set był ucieleśnieniem podłości i zdrady. A gdyby Lew nie był naprawdę jego synem? A gdyby Lew był jego bratem? To zrujnowałoby jego wiarygodność i pozwoliło Chufu na przejęcie roli Horusa.

– Prawda jest taka, że Lew nie jest moim synem – podjął Kapitan po chwili.

Angażował się wewnętrznie w nową wizję i czuł się z tym dobrze.

– W innym życiu przyjąłem go jako syna, tak, ale w rzeczywistości jest moim bratem. Jego prawdziwe imię brzmi Set. Jest tym, który czuje zawiść tam, gdzie powinien czuć miłość. W mojej miłości do niego uznałem go za własne dziecko, ale on nie okazał mi należnego szacunku, nie dochował wierności. Nie jest więc godzien tej roli.

Chufu rozważył te słowa i spojrzał na siebie.

– Czuję się zaszczycony tym, co do mnie mówisz, ojcze. Ale nie jestem pewien, czy czuję w sobie boską świętość. Być może ja także nie jestem godzien, aby być twoim synem.

Kapitan położył dłoń na jego ramieniu i uśmiechnął się.

– Sam fakt, że kwestionujesz własną godność, jest znakiem twojej wartości. Nie mam wątpliwości, na jakiego człowieka wyrośniesz. I ty ich nie miej, synu.

– Dziękuję ojcze.

Z wysokości rusztowania patrzyli, jak kolejne bloki uwalniane są z form i układane na swoich miejscach. Przed nimi bardzo powoli wielka piramida nabierała kształtu.

Rozdział 42

Czasy obecne.

Inżynier leżał na łóżku w małym pokoju biznesowego hotelu w sercu handlowej dzielnicy Kairu. Miał zamknięte oczy. Jego żona siedziała przy niewielkim stoliku w kącie, obserwując kropkę pokazującą pozycję Mechanika na monitorze, który przynieśli ze sobą z bunkra. W rzeczywistości Lekarka nie patrzyła na przyrząd częściej niż raz na kilka minut, ponieważ Mechanik już od dłuższego czasu nie opuszczał swojego aktualnego miejsca pobytu – innego hotelu w Kairze. Drobne drgnienia kropki na ekranie odpowiadały jego poruszeniom w granicach apartamentu, ale Mechanik nie opuszczał hotelu już od trzech dni. Całe szczęście, że choć sygnał nadajnika był mocny i stały.

Pruit i Eddie czekali na jego ruch, na jakikolwiek znak wskazujący, że dobił targu i szykuje się do przekazania planów. Ale on nie wykonał żadnego posunięcia od dnia, w którym Pruit została schwytana.

Pokój raził oczy krzykliwym połączeniem białego, wypolerowanego marmuru z farbowanymi na złoto i srebrno materiałami. Okna wychodziły na Nil: szeroką wstęgę brązowej wody ujętą w sieć dróg i poprzecinaną tuzinami szerokich mostów. Nowoczesne faluki sunęły w górę i w dół rzeki, wydymając trójkątne żagle ozdobione reklamami napojów i proszków do prania. Na obu brzegach wznosiły się lasy szpetnych drapaczy chmur, których przeładowane, geometryczne formy kontrastowały z minaretami i starymi kościołami.

Kair był jedną z najliczniej zamieszkanych metropolii na Ziemi i tego ciepłego dnia zanieczyszczone powietrze miasta zalegało brudną warstwą nad potokami samochodów na ulicach.

Lekarka przeglądała atlas świata, wędrując wzrokiem po fotografiach mieszkańców różnych zakątków Ziemi. Dziwnie było widzieć tę planetę, w której kulturowym dzieciństwie spędziła kilka lat, nagle tak wyrośniętą, przymierzającą się do wyruszenia na podbój kosmosu. Miała wrażenie, że znalazła się nagle w zupełnie innym miejscu, a jednak stary obóz zespołu badawczego znajdował się w punkcie odległym o zaledwie pięćdziesiąt mil od tego hotelu.

W kącie mamrotał telewizor – nie wyłączali go, bo Inżynier lubił spędzać przy nim czas. Obecnie niesłyszana przez lokatorów pokoju reporterka opowiadała o licznych wypadkach cudownego ustąpienia gorączki krwotocznej Ebola. W całej Afryce Środkowej zarażone wioski stopniowo wracały do życia.

Inżynier nie spał. Utrzymywał ciało w bezruchu w rozpaczliwej próbie zmuszenia do tego samego własnych myśli. Jego żona i dwoje nieznajomych ścigało Mechanika. Ścigali go, żeby mu coś odebrać. Inżynier wyczuwał, że powinien być w stanie im pomóc. Wiedział coś – choć nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego – co całą tę sprawę mogło uczynić o wiele łatwiejszą.

Położył dłonie na skroniach i lekko nacisnął. Myśli wynurzały się i znikały bez żadnej logiki, żadnego porządku. Musi je poukładać. Oto Mechanik… Oto Lew – ach, Lew! Wspaniały człowiek, świetny przyjaciel… A to jego ojciec i matka… Wyczuwał w nich coś odpychającego, dziwną aurę smutku i splątania. Zobaczył też statek, trzęsienie ziemi, schron – wszystko oderwane, pozbawione związku. A jego nawet tam nie było. Stał gdzieś z boku, patrząc na te myśli, rozwiewane przez wiatr.

Zatracił się znowu. Minęła dłuższa chwila, nim przypomniał sobie pokój i swoją żonę.

Rozległo się pukanie do drzwi i jego żona wpuściła Eddiego. Tak, Eddie! – Inżynier przypomniał sobie imię młodego człowieka. Eddie pochylił się nad stołem i przyjrzał prostokątnemu ekranowi, na który patrzyła też Lekarka. Zaczęli rozmawiać, choć dla Inżyniera ich słowa były pustymi dźwiękami.

– Coś się wydarzyło? – spytał Eddie.

– Nie, jeszcze nie.

– Jak tam twój mąż?

– Bez zmian – odpowiedziała głosem pozbawionym wyrazu.

Eddie ścisnął ją za ramię.

– Trzymaj, przyniosłem ci lunch. – Położył na stole torbę, którą niósł w dłoni. – Świeżutka rybka z knajpy naprzeciwko.

– Dzięki, Eddie.

Kiwnął jej głową i wyszedł z pokoju.

Kiedy się oddalił, Inżynier z wysiłkiem zwlókł się z łóżka i stanął na niepewnych nogach. Lekarka odwróciła się do niego i rozciągnęła usta w uśmiechu. Pokuśtykał w jej stronę, a kiedy dotarł do stołu, opadł ciężko na kolana. Chwycił oburącz urządzenie śledzące i potrząsnął nim, ze wszystkich sił próbując przypomnieć sobie znaczenie tego, co wiedział.

– Śledzimy Mechanika – wyjaśniła cierpliwie Lekarka.

Inżynier przez chwilę wpatrywał się w ekran, a potem przeniósł wzrok na żonę. Właśnie ujrzał coś w swoim umyśle, coś niemal sensownego i ważnego. Sięgnął po to, ale za późno – już rozpłynęło się w niepamięci. Z głośnym jękiem udręki zatopił twarz w kolanach żony.

Lekarka pochyliła się, by go przytulić.

– Już dobrze – wyszeptała czule. – Już dobrze.

Ale wcale nie było dobrze.

W sąsiednim pokoju Eddie zastał Pruit leżącą na łóżku pod kocem podciągniętym pod brodę. Miała zamknięte oczy. Od trzech dób dzień i noc skrywała się w kokonie biokombinezonu, wychodząc tylko na godzinę dziennie, żeby poćwiczyć i zmusić się do jedzenia.

Eddie usiadł obok niej na brzegu łóżka. Otworzyła oczy.

– Jak się czujesz? – spytał.

Sińce na jej twarzy i szyi zniknęły. Wyglądała niezdrowo, ale prawie normalnie.

– Lepiej – powiedziała słabym głosem.

Obróciła głowę i zsunęła koc z ramienia, aby spojrzeć na ranę od noża. Wciąż była paskudnie zaczerwieniona. Eddie delikatnie przesunął po niej palcem i Pruit syknęła.

– Wciąż boli.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Już prawie doszłam do siebie. Co z Mechanikiem?

– Nadal nic. Nie rusza się z miejsca. Chcesz wody? Coś na ząb?

– Powinnam, ale na razie nie mam ochoty.

Eddie odsunął kosmyk włosów z jej twarzy.

– Napij się wody.

Pomógł jej usiąść i przystawił jej szklankę do ust. Po kilku łykach pokręciła głową i Eddie odstawił szklankę na stolik. Pruit położyła rękę na jego kolanie, a on ujął jej drugą dłoń. Po ucieczce ze szpitala w ich wzajemne relacje wkradła się rozkoszna intymność.

Eddie poczuł ciepło ręki spoczywającej na jego udzie. Delikatnie uniósł ją i pocałował wnętrze dłoni.

– Tęsknię za tobą, kiedy tkwisz w tym wdzianku.

Spojrzała mu w oczy i dłonią musnęła policzek. W leczniczym półśnie biokombinezonu śniła o nim.

– Wiem – szepnęła.

Powiedziała to miękko i oboje uświadomili sobie, że coś między nimi się zmieniło.

– Wiesz? – spytał cicho, patrząc na nią uważnie.

– Tak – Pruit delikatnie pociągnęła go ku sobie. – Eddie…

Ich usta spotkały się i oboje zdawali sobie sprawę, że potrzebują tego kontaktu, że minione tygodnie prowadziły do tego w sposób, jakiego nie mogli przewidzieć. Zaczęli się całować, zrazu bardzo delikatnie, potem coraz namiętniej.

Pruit nie wiedziała, kiedy zaczęła myśleć o Eddiem uczuciowo. Czy było to tamtej nocy w bunkrze, kiedy ja pocieszał? A może później, kiedy wyrwał ją z rąk lekarzy w szpitalu? Nie potrafiła wskazać konkretnej chwili, ale wiedziała, że to jest dobre. Eddie miał w sobie coś uspokajającego i odczuwała przyjemność w jego obecności. Jego życie było zupełnie inne niż jej. On nigdy nie zaznał ciężaru odpowiedzialności za los swojej planety, swojej rasy. Była w nim wewnętrzna pogoda, której nie rozumiała, ale której bliskość dawała jej poczucie szczęścia. I zależało mu na niej – tego była pewna. Oderwali się od siebie i oboje uśmiechnęli do przyjemnej myśli, że ludzki pocałunek, przenikając kultury i światy, znaczy to samo dla obojga z nich.

Eddie odrzucił koc na bok i przywarł ustami do jej ciała. Pruit już ściągała koszulkę, a ciepło dotyku ich ciał wlało w nich falę

rozkoszy.

– Czy pragniesz tego równie mocno jak ja? – wyszeptał jej do ucha.

– Tak… – westchnęła.

Poruszył się ostrożnie i Pruit poczuła na sobie długość ciepłego, męskiego ciała. Wszedł w nią delikatnie, namiętnie, a intensywna przyjemność ich zespolenia wycisnęła jej łzy z oczu. Było jej smutno i dziwnie, i cudownie, i dobrze…

Później wykąpali się i wrócili do pokoju, by kochać się znowu. Wreszcie zalegli na łóżku, zmęczeni, ona z głową na jego piersi, on obejmując ją ramionami.

Eddie trwał w objęciach objawienia, które zaczęło się, kiedy wyniósł Pruit z tamtego obskurnego szpitala, ale dopiero teraz ogarnęło go z pełną mocą. Coś w jego wnętrzu zmieniło swoją bazową strukturę i Eddie nie czuł się już znudzonym obserwatorem życia. Przy Pruit spływało nań poczucie absolutu i czuł, że sam jest jego częścią.

– Pamiętasz swoje poprzednie życia? – spytał cicho.

Pruit słyszała jego głos wibrujący mu w piersi: przyjemny, intymny dźwięk. Uniosła głowę, by na niego spojrzeć. Jej rudawe włosy były potargane, twarz wyglądała na zmęczoną. Eddie pomyślał, że jest piękna.

– Czemu pytasz?

– Po prostu… Z ciekawości.

– Pamiętam pewne rzeczy – kiwnęła głową. – Ale nie wszystko.

– Na przykład co?

– To trochę jak wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Długie okresy pustki, a między nimi kilka jasnych, wyrazistych obrazów.

– Opowiedz coś.

Zamyśliła się, wertując w głowie prastare wspomnienia. Było ich tak wiele i tkwiły tam zawsze, nawet kiedy była dzieckiem, zapis niej samej w jej niezliczonych wcieleniach. Dorastała, mając je za rzecz oczywistą – każdy miał takie wspomnienia. Jednak na Ziemi taka samowiedza nie była akceptowana przez wiele religii. Widziała, że Eddie próbuje zrozumieć.

Kiedy znalazła odpowiednie wspomnienie, jej twarz zmieniła się, stała się oddalona.

– Pamiętam jaskinie, zanim zbudowaliśmy kopuły – powiedziała z namysłem. – Czułam, jak powoli zjada mnie promieniowanie. Wszyscy to czuliśmy. Umieraliśmy. Umieraliśmy od wielu miesięcy. Bolała mnie szczęka, miałam ściśnięty żołądek, moje kości kruszyły się i obracały w pył. Jedliśmy wszystko, co dało się pogryźć… Później, może setki lat później, pamiętam walkę o utrzymanie przy życiu nowo narodzonych dzieci. Był długi okres, podczas którego naprawdę groziło nam wyginięcie. Inkubatory nie działały za dobrze, śmiertelność była wysoka… Pamiętam dziecko, które umarło mi na rękach. Przez kilka minut po narodzinach nic mu nie było, a potem jego narządy po prostu przestały działać…

Eddie patrzył jej w oczy, w których zaszkliły się łzy.

– No i w końcu umarło – podjęła, pociągając nosem. – A ja trzymałam je i płakałam i myślałam, dlaczego to musi być takie trudne…? Pamiętam lot zwiadowczy. Mieliśmy statek zdolny do poruszania się w kosmosie, ale okropnie powolny. Rozpędzał się całe wieki. Luceni odcięli naszą planetę, a nas posłano, abyśmy spróbowali przeniknąć blokadę… Byłam wówczas mężczyzną, niskim, ale bardzo przystojnym…

Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech szybko zgasł.

– Trafili nas. Trzy strzały musnęły kadłub, czwarty nas załatwił. Ich statki były o wiele lepsze… Pamiętam kulę ognia rozrastającą się w małej kabince. Umierałam i myślałam: „nie wygraliście, nie wygracie”.

Przy tych słowach twarz Pruit przybrała surowy, zdeterminowany wyraz, jaki Eddie widział już wiele razy.

– Nie wygracie – szepnęła jeszcze raz.

Potrząsnęła głową i spojrzała na Eddiego. Jej wzrok stopniowo wracał do teraźniejszości.

– Mam więcej wspomnień, ale te są najsilniejsze.

Eddie pogładził jej policzek.

– Pruit, kocham cię. – Właściwie to nie planował tych słów; wypowiedziały się same.

Pruit spojrzała na niego, jego przystojna twarz zwróciła się ku niej. Ich ciała stykały się ze sobą. Dobrze było usłyszeć, że ją kocha, ale nie mogła odwdzięczyć się podobnym wyznaniem. Bardzo zależało jej na Eddiem, ale słowa „kocham cię” mógł usłyszeć od niej tylko Niks.

– Dlaczego?

– Bo jesteś dziewczyną, która nigdy się nie poddaje.

– Nie mam wyboru.

– Zabierzesz mnie ze sobą na spotkanie z Mechanikiem?

– Tak – powiedziała to bez namysłu.

Eddie poszedł za nią, kiedy porwał ją Jean-Claude. Przetrząsnął pół miasta, a potem wyciągnął ją ze szpitala. Zasługiwał na jej zaufanie i jeśli życzył sobie być jej partnerem w tej misji, to ona chętnie zabierze go ze sobą.

– Świetnie.

Pogłaskał ją po głowie i pocałował w czoło. Nie mógł znieść myśli, że musiałaby stawić czoło Mechanikowi albo Lucenom samotnie. Wciąż dręczyło go powracające wspomnienie o niej, nieprzytomnej, leżącej na stole w tym brudnym szpitalu. Była dziewczyną, która nigdy się nie poddaje, a on będzie biegł za nią, chroniąc ją, jak tylko mógł.

Rozdział 43

Targowisko Chan al-Chalili było gęstym zbiorowiskiem starych budynków zajmującym ponad dwadzieścia akrów ziemi po wschodniej stronie Kairu o jakąś milę od rzeki. Budynki stały w labiryncie alejek brukowanych kocimi łbami, wąskich ziemnych pasaży, sklepionych przejść wiodących na zrujnowane podwórka i tuzinów cementowych deptaków. Każdego dnia z wyjątkiem niedzieli – która dla większości handlarzy była dniem odpoczynku – bazar kipiał ludźmi. W soboty przyciągał głównie turystów, ale w dni powszednie należał do miejscowych. Dolne kondygnacje budynków wypełniały sklepy, na zewnątrz stały stragany, wpychające się bezczelnie na chodniki. Wyższe piętra zajmowały zrujnowane mieszkania oraz biura ściśnięte w malutkich, gorących pokoikach, często z balkonami wychodzącymi na bazar. Architektonicznie był to groch z kapustą, jak cały Kair – trochę cegieł, trochę drewna, trochę tynku, większość zabudowań w opłakanym stanie, ale jakimś cudem wciąż trzymająca pion. Z góry patrzyło na to wszystko błękitnobure niebo duszące się spalinami z niekończących się korków otaczających bazar ze wszystkich stron.

Pruit i Eddie przeciskali się przez tłum, podążając za kropką na monitorze, który Eddie ukrywał w dłoni. Mechanik nareszcie wykonał swój ruch. Od godziny szli za rwącym się sygnałem i teraz zbliżali się do celu. Sygnał był silniejszy, odkąd weszli na bazar – w tym nietechnicznym środowisku niewiele było urządzeń łączności elektronicznej, które mogłyby zakłócić pracę lokalizatora.

– W lewo – powiedział Eddie, kiedy doszli do skrzyżowania kilku uliczek.

Skręcili w lewo, wkraczając pod kryte arkady, gdzie sprzedawcy ryb prezentowali poranny połów na tacach z lodem. Pomimo wczesnej godziny panował nieznośny upał i chłód podcieni przyniósł

im ulgę. Kobiety w chustach na głowie pochylały się nad towarem, targując o cenę.

Pruit ubrała się na modłę miejscowych kobiet: w luźną, czarną bawełnianą suknię i gruby biały hidżab, który owinęła sobie wokół głowy i ramion. Eddie wystarał się dla niej o brązowe soczewki kontaktowe. Dzięki szkłom maskującym jej błękitne oczy i szalowi zakrywającemu włosy nie różniła się niczym od tysięcy kobiet tłoczących się na Chan al-Chalili. Długie rozcięcia w bokach sukni zapewniały jej szybki dostęp do miotacza i noża przypiętych poniżej żeber.

Eddie miał na sobie szarą galabiję i małą, białą myckę. Opalony podczas pracy na pustyni on także przy pobieżnych oględzinach mógł uchodzić za tubylca.

Podcienia wyprowadziły ich na szeroką, brukowaną ulicę, gdzie handlowano głównie damskimi ubraniami. Towar wisiał w bramach i u dołu balkonów, leżał na składanych stolikach i kocach rozłożonych bezpośrednio na bruku. Znów uderzyła w nich fala upału. Ubrania kleiły im się do skóry i Pruit otarła czoło rękawem. Rozejrzała się. Na krótką chwilę tłum przed nią zrzedniał i mogła sięgnąć wzrokiem daleko przed siebie. Sto jardów dalej ujrzała Mechanika.

– Widzę go, Eddie – powiedziała, wskazując kierunek ruchem głowy.

Eddie także go zobaczył. Mechanikowi towarzyszył niski Amerykanin, z którym Pruit widziała go wcześniej, oraz wysoki, barczysty biały mężczyzna po pięćdziesiątce, który najwyraźniej zastępował Jeana-Claude'a. Otaczała ich eskorta złożona z trzech miejscowych policjantów w niebieskich mundurach, uzbrojonych w karabiny maszynowe. Pruit i Eddie patrzyli, jak cała grupa skręca za róg na końcu ulicy i znika z pola widzenia.

Pruit szybko sprawdziła broń, po czym odwróciła się do Eddiego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Eddie, nie mam pojęcia, co tutaj się stanie. Jeżeli ma plany przy sobie, muszę je zdobyć. Może dojść do walki, nie wiem. Jeżeli są tu Luceni, będę musiała ich zabić.

– Jestem gotowy – odpowiedział.

Czuł strach, ale też uniesienie. W swoim wnętrzu wyczuwał twardy rdzeń zaangażowania, nowe doznanie, które dodawało mu sił. Ścisnął dłoń Pruit, a potem schował lokalizator do plecaka i sprawdził własną broń: nóż i pistolet przypięte do jego łydek.

– Pamiętaj, żeby wypatrywać Lucenów: albo ludzi wyglądających jak ja, albo prawdziwych Lucenów. Jeśli tu są, to pewnie w ubraniu zakrywającym wszystko.

Eddie skinął głową i pobiegli w ślad za swoim celem. Z brukowanej ulicy wbiegli na szeroki, betonowy dziedziniec – jeden z centralnych punktów bazaru. Plac był zastawiony straganami, między którymi kłębił się gwarny tłum. Na krótką chwilę Pruit utknęła za grupą starszych kobiet z wnukami, nieśpiesznie spacerujących między straganami i blokujących jej drogę. Ominęła je, prześlizgując się za sprzedawcą owoców, i znowu ujrzała Mechanika. Szedł w stronę drugiego końca placu.

Pruit obejrzała się na Eddiego i spostrzegła, że został w tyle. Porozumieli się wzrokiem, po czym zasygnalizowała mu gestami, że powinni się rozdzielić i ruszyć naprzód po przeciwnych stronach placu. Skinął głową na znak, że zrozumiał, i zanurkował w tłum. Mechanik był zaledwie pięćdziesiąt jardów przed nimi.

Mechanik zbliżał się do miejsca spotkania w otoczeniu swojej eskorty. Po zniknięciu Jeana-Claude'a Nate pomógł mu w zdobyciu nowego niewolnika, Marcusa. Marcus był Niemcem, mężczyzną w średnim wieku zbudowanym jak stary dąb. Trzeba było pokaźnej ilości specjalnej mikstury Mechanika, aby go zniewolić, ale łaknienie zostało w końcu wywołane i Marcus tracił całą właściwą sobie hardość, kiedy działanie antidotum ustawało.

Choć sam pocił się w porannym upale, Mechanik czerpał perwersyjną przyjemność z tego, że Nate praktycznie tonął we własnym pocie. Jego ciemną marynarkę można było wyżymać. Towarzyszyli im – zgodnie z sugestią Nate'a – trzej wynajęci funkcjonariusze kairskiej policji.

Nate odradzał mu to spotkanie, ale Mechanik zignorował ostrzeżenie. Był bardziej niż lekko zaintrygowany ofertą Adaiza.

Młodzieniec zaproponował mu dwie rzeczy. Po pierwsze, przyrzekł Mechanikowi Kinlai, która śledziła go i która uwolniła Jeana-Claude'a. Według Adaiza dziewczyna przyleciała na Ziemię z Herroda. Za jej sprawą przeszłość mogła powrócić, aby ścigać Mechanika i wziąć na nim odwet za kradzież techniki Eschlessa. Adaiz miał wydać ją Mechanikowi, aby ten mógł się jej pozbyć, a tym samym uniknąć kary. Był to gest dobrej woli, którym Adaiz pokazywał, że jest poważny w swojej propozycji negocjacji.

Po drugie, Adaiz zaoferował Mechanikowi mobilność, jakiej nie mógł mu dać rząd żadnego ziemskiego państwa. Zasugerował, że da mu transportowiec, który pozwoli Mechanikowi na podróżowanie poza planetę. Oczywiście Nate nie uwierzył w realność tej propozycji, ale Mechanik wiedział lepiej. Tak jak dziewczyna, Adaiz przybył na Ziemię skądinąd. Choć nie podał szczegółów dotyczących miejsca swojego pochodzenia, Mechanik założył, że była to jakaś kinlajska kolonia, która rozrosła się w ciągu minionych pięciu tysięcy lat. Pojazd kosmiczny mógł uczynić wiele dobrego dla bezpieczeństwa Mechanika.

A najbardziej kuszące było to, że Adaiz nie żądał wyłącznych praw do kupowanej techniki. Mechanik mógł swobodnie sprzedać ją po raz drugi wybranemu krajowi. W oczach Mechanika taka oferta była jak najbardziej warta spotkania. Przystał jednak na obecność eskorty, na wypadek gdyby Adaiz okazał się niebezpieczny. Kiedy usiądą do negocjowania warunków, znajdzie jakiś sposób na pozbycie się tych ludzi.

Zbliżali się do maleńkiej kawiarenki, w której mieli umówione spotkanie. Mieściła się w budzie wciśniętej pomiędzy dwa wyższe budynki, ocienionej przez zwisającą nisko markizę. Przed wejściem stali dwaj mężczyźni w długich burnusach. Jednym z nich był Adaiz, który stał z odkrytą głową, z kapturem zsuniętym na plecy. Drugi, wyższy człowiek, miał kaptur nasunięty w taki sposób, że skrywał mu całą twarz. Kojarzył się Mechanikowi z koczowniczymi plemionami, jakie zespół badawczy spotkał na egipskiej pustyni. Patrząc na niego, poczuł ukłucie niepokoju. Było coś złowrogiego w tej zakapturzonej anonimowości. Czy nie za wiele ryzykował?

Adaiz-Ari i Enon-Amet stali przed niewielkim lokalem, który wybrali na miejsce spotkania, i obserwowali zbliżający się orszak Mechanika. W kawiarni za nimi nie było klientów. Samotny kucharz i kelner stali w cieniu, czekając cierpliwie na ludzi, którzy wynajęli lokal na to popołudnie. Adaiz wybrał go ze względu na małe rozmiary oraz tylne wyjście wychodzące na wąską, ale pustą uliczkę, którą mogli szybko ewakuować się z Chan al-Chalili, gdyby okazało się to konieczne.

Adaiz stał sztywno, wciąż obolały pomimo częściowo zagojonych ran. Codziennie odprawiał uzdrawiające medytacje, ale choć te bardzo mu pomogły, jego ciało wciąż potrzebowało czasu na regenerację. Czuł się niepewnie zarówno z powodu fizycznego osłabienia, jak i braku broni. Swój własny miotacz i ulubiony nóż stracił w mieszkaniu Jeana-Claude'a. W tej chwili miał przy sobie tylko zapasowy sztylet. Enon jednakże był doskonale uzbrojony.

Zerknął pod rękaw burnusa, gdzie przymocował cienki ekran namiernika, śledzącego pozostały nadajnik Pruit. Była coraz bliżej. Na monitorze widział, jak dociera do bazaru, a potem w ciągu dziesięciu minut powoli odnajduje drogę do kawiarni. Jej obecność na spotkaniu miała kluczowe znaczenie dla jego planów. Odnalazł słabość Mechanika. Ten człowiek był przerażony tym, kim był we własnej przeszłości. Adaiz wykorzystał to, tworząc w jego umyśle obraz Pruit jako kinlajskiego żołnierza, który nie spocznie, dopóki nie osądzi Mechanika za jego dawne zbrodnie i ukarze go za kradzież techniki Eschlessa. Przeraził go w wystarczającym stopniu, by namówienie go do zabicia Pruit stało się błahostką. Jej śmierć miała przysłużyć się im obu. Kinlai na zawsze straciliby pompę Eschlessa, zaś Adaiz byłby wolny od pytań, które spędzały mu sen z powiek.

Była najwyżej pięćdziesiąt jardów od nich. Adaiz jakby od niechcenia obrócił głowę w lewo i jął ukradkiem przepatrywać tłum. Nie było jej nigdzie w zasięgu wzroku. Poczekał, aż Mechanik trochę się zbliży, po czym znów zaczął przyglądać się twarzom, dbając przy tym, aby nie dać po sobie poznać, że jest na czymś skupiony.

Zobaczył ją. Była przebrana za zamężną Egipcjankę i stała przed straganem z afrykańskimi koralikami, zwrócona do niego profilem.

Po drugiej strony placu skradał się Eddie. Mechanik i jego ludzie szli odwróceni do niego plecami. Eddie przeciskał się przez tłum, stopniowo skracając dystans. Widział już, dokąd zmierzają.

Podszedł bliżej. Przed wejściem kawiarni ujrzał dwie postacie w długich szatach. Jedną z nich był młody mężczyzna z odsłoniętą głową, który mógłby uchodzić za brata bliźniaka Pruit. Drugi człowiek, wysoki i szczupły, skrywał twarz pod kapturem. Eddie przełknął ślinę. Czy patrzył na Lucena?

Spostrzegł, że Adaiz, Lucen człowiek, wpatruje się w tłum. Czego mógł szukać?

Tłum zrzedniał, zanim Mechanik dotarł do kawiarenki. Tę część placu zajmowały mniej popularne sklepy i główny nurt ruchu pieszego w większości mijał je w drodze do drugiej części.

Kiedy Mechanik wyłonił się z tłumu, ze swoją strażą za sobą, Adaiz wystąpił naprzód, by go powitać.

– Witaj, przyjacielu – powiedział. – Pozwól, że przedstawię ci mojego partnera, Enona.

Mechanik wyciągnął dłoń, ale Enon wciąż trzymał ręce złożone przed sobą – prawe przedramię w lewym rękawie, lewe w prawym. Zamiast uścisnąć dłoń przybyszowi, skłonił się lekko w jego stronę.

– Wejdziemy do środka? Straszny upał – powiedział Mechanik, a urządzenie przy jego policzku natychmiast przetłumaczyło słowa.

Adaiz zerknął pod rękaw. Pruit była zaledwie dwadzieścia jardów od niego. Nie śmiał na nią spojrzeć, ponieważ był pewien, że go obserwuje.

– Zanim wejdziemy – powiedział – chciałbym zrealizować pierwszy punkt mojej oferty.

– Znakomicie.

Adaiz zwrócił się do trzech policjantów.

– Nie patrzcie w tej chwili – powiedział. – Dwadzieścia jardów stąd, po mojej lewej stronie, stoi młoda kobieta ubrana na czarno, w białej chuście na głowie. Jeśli przejdziecie przez kawiarnię na tylną uliczkę, możecie zaskoczyć ją, wychodząc ze sklepu za nią. Należy ją zaaresztować i zatrzymać.

Policjanci spojrzeli na Mechanika w oczekiwaniu potwierdzenia. Adaiz z zadowoleniem zauważył, że wszyscy trzej byli wystarczająco dobrze wyszkoleni, by nie zdradzić się ukradkowym zerkaniem w stronę Pruit. Mechanik skinął głową i policjanci zniknęli we wnętrzu kawiarni.

Pruit odprowadziła wzrokiem odchodzących policjantów, po czym znów spojrzała na Adaiza i Mechanika. Nie uszło jej uwadze, że Adaiz wciąż nie doszedł do siebie po ich walce. Przysunęła się bliżej, stając w osłoniętym miejscu za jednym ze straganów. Była zbyt daleko, by słyszeć ich rozmowy, ale nie mogła podejść bliżej, nie odsłaniając się.

Pięćdziesiąt jardów od niej Eddie także obserwował zniknięcie policjantów, ale szybko przeniósł uwagę z powrotem na Adaiza i jego towarzysza. Nie wykonali żadnego ruchu w stronę zacisznego wnętrza kawiarenki. Wydawali się ukontentowani – jak dotąd – miejscem, w którym stali przy gwarnej ulicy. Eddie zastanawiał się, dlaczego.

Po minucie lub dwóch, z ciasnego przejścia między dwoma budynkami wyłonili się nagle trzej policjanci i ruszyli w stronę Pruit.

Eddie zobaczył ich i poczuł, że jego nogi same podrywają się do biegu. Chwilę później stragan, za którym ukrywała się Pruit, runął naprzód, odsłaniając ją, trzymaną przez trzech mężczyzn, wierzgającą wściekle i usiłującą wyswobodzić ręce z ich uścisku.

Odpychając ludzi z drogi, Eddie przeciskał się w jej stronę.

Lucen i Mechanik odwrócili się, by oglądać walkę. Mechanik gładził rękojeść pistoletu, który ukrywał pod lnianą marynarką. Marcus napinał i rozluźniał mięśnie, gotowy w każdej chwili sięgnąć po własną broń.

Przechodnie zatrzymywali się, aby popatrzeć na widowisko. Pruit zdołała wyszarpnąć rękę i z rozmachem uderzyła jednego z napastników w szyję. Mężczyzna stęknął i złapał się za gardło.

Jego kolega złapał ją za prawe ramię i włosy, brutalnie pociągając do tyłu.

Eddie był coraz bliżej. Przemknęło mu przez głowę, że Pruit może jeszcze wygrać to starcie. Oto właśnie wykorzystała uchwyt jednego z policjantów na własnej nodze jako punkt podparcia i wolną stopą kopnęła go potężnie, rozpościerając plackiem na ziemi. Eddie był pod wrażeniem jej umiejętności.

Człowiek, którego uderzyła w krtań, sięgał po pistolet. Zaraz ją postrzeli, być może nie śmiertelnie, ale to wystarczy, aby ją zatrzymać. Pruit błyskawicznie owinęła nogę wokół mężczyzny za sobą i powaliła go w przód, rzucając na policjanta z bronią. Uwolniwszy obie ręce, wyjęła swój miotacz.

Mogła wygrać – Eddie był tego pewien – ale tylko obezwładniając tych mężczyzn, a jeśli to zrobi, będzie miała na karku każdego policjanta w Kairze.

Tłum gapiów gęstniał; ludzie patrzyli oniemiali ze zdumienia. Enon-Amet niecierpliwił się. Chciał szybko załatwić tę sprawę i przejść do omawiania interesów w zaciszu kawiarni. Adaizowi równie mocno zależało na jak najszybszym zabraniu brata z widoku publicznego. Policjanci byli niekompetentni. Chwilowo nie mając własnej broni, Adaiz zwrócił się do wysokiego ochroniarza Mechanika.

– Zakończ to z łaski swojej.

Marcus skinął głową i sięgnął po pistolet.

Biegnąc, Eddie uświadomił sobie, że istnieje tylko jeden sposób na ocalenie Pruit. Bez namysłu skręcił w stronę Mechanika i jego towarzyszy. Wokół zebrało się już sporo gapiów i musiał brutalnie przepychać się przez tłum.

Wyłonił się z ciżby trzydzieści stóp za Lucenami i przekradł się za nich. Wszyscy patrzyli na Pruit. Jeden z policjantów strzelił do niej. Uskoczyła w bok, odpowiadając strzałem i trafiając policjanta w nogę. Pozostali dwaj rzucili się na nią.

Eddie stanął za zakapturzonym Lucenem, ściskając w dłoni nóż. W szybkiej sekwencji ruchów pochylił się, złapał za dolny brzeg burnusa i pionowym cięciem od dołu do samej góry rozdzielił materiał na pół. W następnej chwili obiema rękami złapał postrzępione krawędzie burnusa i rzucił je do przodu.

Szata opadła, odsłaniając srebrzystą skórę i nieziemską postać Enona-Ameta. Jego nagi tors i ramiona lśniły w porannym słońcu. Wydłużona twarz wodziła wzrokiem po placu. Enon był zupełnie zaskoczony.

Przez kilka chwil nie działo się wiele, a czas jakby zwolnił biegu. Przestrzeń wypełniał gwar tłumu; wszyscy patrzyli w stronę Pruit. Nagle rozległ się długi, piskliwy krzyk – to jakieś dziecko ujrzało Lucena. Głowy odwróciły się.

Adaiz spostrzegł, że jego brat stoi odsłonięty. Enon był sparaliżowany. Oto ziścił się najgorszy koszmar, jakiego obawiali się, odkąd przybyli na Ziemię: został zdemaskowany jako obcy przed oceanem barbarzyńskiej ludzkości.

Nawet policjanci wpatrywali się w srebrnego Lucena, kompletnie zapomniawszy o Pruit.

Enon rozejrzał się wokół otępiałym wzrokiem.

– Adaiz… – jęknął cicho. – Adaiz! – Potrzebował pomocy.

Adaiz nie miał pojęcia, jak będzie wyglądać reakcja tłumu albo policjantów. Wiedział jednak, że nie będą gapić się w milczeniu przez wieczność. Lada chwila ruszą do działania. Musiał zabrać stąd brata najszybciej, jak to możliwe.

– Uciekaj! – powiedział w avani, popychając Enona w stronę kawiarni. – Uciekaj! Znasz drogę awaryjną!

Czas przyśpieszył. Enon-Amet odwrócił się w stronę kawiarni, ale w jego stronę biegła już Pruit, próbując odciąć mu drogę. Wymierzyła weń miotacz, celując w miękkie ciało na szyi, jeden z najwrażliwszych punktów na ciele Lucena. Strzeliła i Enon poczuł, jak pocisk prawie ociera mu się o głowę.

Strzeliła jeszcze raz, chybiając, kiedy Enon nagle zmienił kurs. Nie mógł skorzystać z ustalonej drogi. Zamiast tego pobiegł wzdłuż

krawędzi placu, odprowadzany wzrokiem wciąż oszołomionych gapiów. Przy położonych dalej straganach ludzie wciąż przebierali towar i targowali się, nieświadomi rozgrywającego się dramatu. Po krótkiej chwili Enon znalazł się wśród nich. Złapał jakąś kobietę za ramiona i odepchnął na bok, gnając co tchu w stronę drugiego końca placu.

Przed sobą zobaczył wylot małej bocznej uliczki. Pognał w jej stronę, jednocześnie dobywając broni. Widząc, że drogę zagradza mu spora grupa ludzi, zaczął strzelać, siejąc na oślep błyskami lasera. Tłum rozpierzchł się, ale kilka osób runęło bezwładnie na ziemię.

Pruit biegła za nim. Przecisnęła się między ludźmi gorączkowo usiłującymi zejść jej z drogi i puściła się sprintem za zbiegiem.

Dwaj z trójki policjantów wyszli ze starcia z Pruit bez szwanku. Widok srebrzystej istoty siejącej spustoszenie wśród tłumu postawił ich na nogi. Byli stróżami prawa, to było ich miasto i bez względu na to, z jak fantastycznym stworzeniem mieli do czynienia, ich obowiązkiem było powstrzymanie go i – w miarę możliwości – schwytanie. Jeśli tego nie zrobią, znajdą się tysiące świadków gotowych wytknąć im porażkę.

– Za nim! – krzyknął starszy i ruszyli biegiem, ściskając w dłoniach pistolety automatyczne.

Adaiz patrzył na ucieczkę Enona, rozglądając się niespokojnie i próbując obmyślić nowy plan. Musiał znaleźć sposób na ocalenie brata. Wypchnął ze świadomości ból swoich ran i wyrwał pistolet Marcusowi, jednocześnie odpychając wielkiego Niemca na bok. W następnej chwili biegł śladem Enona.

Enon skręcił w kolejną uliczkę, która okazała się wypełniona ludźmi. Strzałami i ciosami utorował sobie drogę przez tłum. Pruit wbiegła tam w chwilę później, prosto w chaos krzyczących ludzi, uciekających w panice i tratujących ciała uśmierconych przez

luceńską broń. Jej wzrok przemknął nad małym chłopcem, który płakał, szarpiąc rękaw martwej mamy. Tuż obok młoda kobieta wpatrywała się w szoku w ciało zabitego męża.

Pruit wskoczyła na stragan, uchwyciła się krawędzi balkonu ponad sobą i podciągnęła w górę, wydobywając się z tumultu. Z wysokości spojrzała na chaos balkonów i dachów ponad trasą prowadzącą z bazaru w stronę miasta. Skoczyła na kolejny taras, zaskakując dwoje dzieci drzemiących w cieniu parasola, po czym chwyciła się gzymsu i podciągnęła na dach. Stanęła na pofalowanej blasze, gorącej i gładkiej.

Spojrzawszy w dół, ujrzała Enona, który wciąż torował sobie drogę przez tłum, strzelając nawet wtedy, kiedy ludzie w panice usuwali mu się z drogi. Swój hidżab zgubiła już dawno, a teraz zdarła z siebie krępującą ruchy czarną szatę, pozostając jedynie w lekkich spodniach i cienkiej bluzce. Poczuwszy natychmiastową ulgę od gorąca, pobiegła dalej, balansując na nierównych dachach, przeskakując z jednego budynku na drugi.

Na krótką chwilę straciła Enona z oczu. Nagle znów się pojawił – wspinał się na dach budynku naprzeciwko niej. Niewiele myśląc, strzeliła w jego stronę z miotacza pocisków. Źle wymierzona kula poleciała w bok, zrykoszetowała od nieczynnego neonu i gwizdnęła nad uliczką. Pruit przyklękła na jedno kolano, wycelowała staranniej i wystrzeliła ponownie. Chybiła o centymetry.

Enon był już na dachu. Poruszał się szybko, pozwalając, by jego długie nogi niosły go w niekończącej się serii susów. Bez najmniejszego wysiłku przesadził przerwę między budynkami i nie zatrzymując się oddał kilka nieprecyzyjnych strzałów w stronę Pruit, przypalając dach o kilka jardów od niej.

Uliczką poniżej biegli policjanci, pokazując sobie palcami dach. Oni także otworzyli ogień do Lucena, używając szybkostrzelnej broni, która kompensowała swoją marną celność ogromną liczbą miotanych pocisków. Enon przechylił głowę, chroniąc ją przed kulami za swoim wysokim obojczykiem, ale nie mógł utrzymać tej pozycji długo, ponieważ uniemożliwiała mu patrzenie przed siebie.

Wreszcie Enon oberwał. Pruit widziała, jak szarpnął się do przodu, jak gdyby pchnięty niewidzialną ręką, a na górnej części

grzbietu rozkwitły mu dwie brązowe plamy. Nie zatrzymał się jednak, a Pruit znała anatomię Lucenów na tyle dobrze, by wiedzieć, że kostne tarcze osłaniające jego tors musiały uchronić go przed poważnym zranieniem.

Nagle poczuła i usłyszała, jak kula przecina powietrze tuż obok jej głowy. Obejrzała się, by na dachu za sobą ujrzeć Adaiza, gnającego w pełnym biegu wprost na nią. Tak jak Lucen, biegł długimi, potężnymi susami. Rany na jego boku i ramieniu otworzyły się na nowo, zalewając go świeżą krwią. Nie zwracał na to uwagi, całkowicie pochłonięty pościgiem. Strzeliła do niego, zrywając się do biegu, i chybiła.

Pruit przeskoczyła przerwę między budynkami i wylądowała ciężko po drugiej stronie. Promień lasera przeorał blachę tuż przed jej dłońmi – Lucen znów do niej strzelał. Niemal w tej samej chwili kula Adaiza drasnęła jej lewe ramię. Poderwała się do biegu, a dwa kolejne strzały z lasera przeorały dach tuż za nią.

Adaiz wiedział, że jego broń ma tylko dwanaście nabojów. Zużył już dwa. Ale nie miało to znaczenia; był pewien, że dopadnie Pruit. Podczas pościgu zaszła w nim jakaś zmiana. Odkrył, że jest raczej podekscytowany niż wściekły. Choć był świadomy ognia płonącego w jego ranach, nie przejmował się bólem. Nadarzała się sposobność dokończenia tego, co zaczął w mieszkaniu Jeana-Claude'a, a on zamierzał ją wykorzystać. I tym razem nie pozwoli się omamić.

Pruit zeskoczyła na dach niższego budynku i na chwilę zniknęła Adaizowi z oczu. Jeden z policjantów wspiął się na dach za Lucenem, zdecydowany za wszelką cenę dopaść srebrzystą istotę. Biegnąc, posłał za ściganym serię z karabinu i Pruit ujrzała, jak kilka kolejnych pocisków plami krwią plecy Enona.

Enon zachwiał się i tracąc równowagę, obrócił i wypalił do policjanta. Mężczyzna runął jak podcięty, trafiony w nogę. Enon strzelił jeszcze raz, a w tym samym momencie Pruit opadła na kolano i wymierzyła doń z miotacza – pod uniesioną głowę, w chwilowo odsłoniętą szyję. Musnęła kciukiem spust i strzeliła.

Enon uniósł ręce do gardła, a Pruit uderzył w uszy jego krzyk: sykliwy i wstrętny.

Adaiz obrócił głowę akurat na czas, by zobaczyć upadek brata. Enon zrobił kilka chwiejnych kroków, jakby odzyskiwał kontrolę nad ciałem, ale po chwili nogi ugięły się pod nim i osunął się w półobrocie na dach. Upadł na samą krawędź i przewaliwszy się przez nią, runął bezwładnie na ulicę poniżej.

Na ulicy panował chaos. Na bruku leżały dwa tuziny trupów. Dzieci płakały, rozpaczający mężczyźni przenosili ciała swoich bliskich. Kilkoro nieszczęśników pełzało w kółko w otępieniu, ściskając rany od lasera, które wkrótce miały ich zabić. Przerażeni ludzie tłoczyli się w bramach i wejściach sklepów. Z dali dobiegało zawodzenie syren zbliżających się do bazaru.

Pruit obejrzała się na Adaiza wpatrującego się w szoku w martwego Lucena. Strzeliła do niego, ale dostrzegł jej ruch kątem oka i przypadł brzuchem do dachu, co musiało porazić go bólem otwartych ran. Pobiegła w jego stronę, a on wypalił do niej pomimo swojej niewygodnej pozycji. Uskoczyła w bok i oboje usłyszeli, jak pocisk odbija się dźwięcznie od blachy.

Adaiz chciał strzelić znowu, ale magazynek był pusty. Przetoczył się na krawędź dachu i zsunął w dół. Wylądował na balkonie, szybko przerzucił nogi nad barierką i zeskoczył na dół, na ulicę.

Wciąż było tam dużo ludzi, przycupniętych w drzwiach, wpatrujących się w zwłoki Enona, które już powlekały się mętną szarością, poprzecinaną brązowymi smugami krwi, schnącej szybko w słonecznej spiekocie.

Adaiz wylądował na dwóch nogach i natychmiast zanurkował pod osłonę balkonu. Rana w jego boku obficie krwawiła, a ból łamał go wpół. Kolejny strzał Pruit rozłupał mu kamień brukowy pod stopą.

Pruit zeskoczyła na balkon, omiatając wzrokiem ulicę i budynki naprzeciwko siebie. Ostatni z trzech policjantów klęczał nad ciałem

Lucena, szukając jakichkolwiek oznak życia.

Ujrzała Adaiza, który pobiegł na drugą stronę ulicy, by zniknąć w mrocznej bramie. Był nieuzbrojony – jak uświadomiła sobie Pruit – a zatem będzie szukał broni. Zeskoczyła z balkonu i wylądowała, przykucając na bruku. Ludzie stłoczeni w pobliskim sklepie patrzyli na nią przerażonym wzrokiem. Rzuciła im przelotne spojrzenie i skupiła się na bramie, w którą wbiegł Adaiz. Ruszyła w jej stronę, trzymając nóż i miotacz w gotowości.

Adaiz wśliznął się za bramę i skręcił na oślep w głąb korytarza. Okna zabite arkuszami taniej płyty wiórowej wpuszczały do środka tylko wąskie ostrza słonecznego blasku. Przez szczelinę pod jedną z płyt ujrzał Pruit – szła w jego stronę.

Psychicznie zdołał zneutralizować ból w boku. Potknął się o trzech żebraków, którzy ucięli sobie drzemkę w dusznym korytarzu, nie mając pojęcia o toczącej się na zewnątrz bitwie. Przeszedł nad nimi i znalazł drugie wyjście prowadzące z powrotem na ulicę. Tuż za wyjściem ujrzał policjanta, pochylającego się nad ciałem jego brata. Enon był martwy, co do tego Adaiz nie miał wątpliwości, ale czas na opłakiwanie miał przyjść później. Spojrzał na Pruit i odkrył, że wciąż czuje bitewne podniecenie. Ona tu była, on tu był; wiedział, co ma robić.

Ocenił odległość, a kiedy zobaczył, że Pruit utkwiła wzrok w bramie, w której zniknął wcześniej, zmusił nogi do ruchu, wybiegając z mrocznego przejścia powrotem w blask słońca. Nad Enonem klęczał policjant. Miał dwie sztuki broni. Dużą trzymał w rękach przed sobą; mniejsza – pistolet – tkwiła w kaburze u jego boku.

Pruit spostrzegła Adaiza, wybiegającego z powrotem na ulicę. Skręciła w jego stronę, ich oczy spotkały się i w chwili, kiedy to się stało, umysł Adaiza został wykatapultowany w świadomość egani-tah. Zobaczył siebie, zobaczył ulicę, zobaczył ją.

Pruit spojrzała na niego i omal nie upadła, wytrącona z równowagi uczuciem eksplodującej na zewnątrz świadomości.

Zrazu nie mogła się w niej odnaleźć. Poruszała się, choć była nieruchoma. Była większa niż jej osoba. Była w więcej niż jednym miejscu.

I nagle pojęła: była nie tylko sobą. Była też nim. Jego jaźń wchłonęła ją. Patrzyli na siebie nawzajem, a ona widziała obie strony ulicy. Miała dwa umysły. Nagle pojawiły się myśli, które wlewały się w nią i wypływały z jej wnętrza. Nie potrafiła nad nimi zapanować. To on stworzył ich połączenie i ona mogła najwyżej go doświadczać.

Teraz go zabiję.

Teraz ją zabiję.

Zabiła mojego drogiego brata. Sam muszę dokończyć to zadanie. Wypełnię je i zaniosę do domu mój łup – plany tej techniki. I za kilka lat po Trucicielach nie będzie już śladu.

On poświęci mnie i całą moją rasę.

I wtedy ich umysły połączyły się w pełni i została w nich tylko jedna myśl, którą dzielili między sobą po równo: „nigdy nie odejdziesz stąd z życiem”.

Pruit uniosła miotacz. Adaiz złapał policjanta od tyłu, wyszarpnął mu pistolet z kabury i w tym samym płynnym ruchu odepchnął go na bok. On i Pruit stanęli naprzeciwko siebie.

Pruit strzeliła. Adaiz strzelił. Oboje razem i każde z osobna było świadome swoich dłoni na rękojeściach broni i nacisku palców na spust. Broń wypaliła.

Adaiz poczuł, jak kciuk Pruit dusi przycisk miotacza, ujrzał linię jej celowania, i już wykręcał ciało w gwałtownym uniku.

Pruit poczuła, jak palec wskazujący Adaiza pociąga za spust pistoletu. Jego oczami zobaczyła broń i punkt, w który celował. Ujrzała własną twarz na przedłużeniu lufy i już padała na ziemię, aby oszukać kulę.

I wtedy, dokładnie w chwili, w której uderzyli o ziemię, więź egani-tah została przerwana i znów byli osobnymi jestestwami.

Policjant rzucił się na Adaiza, unosząc przed sobą karabin. Już po chwili Adaiz był uwikłany w kolejną walkę o życie i chwilowo stracił zainteresowanie Pruit.

Eddie przypadł do niej i próbował dźwignąć ją na nogi.

– Eddie? Eddie?

Nie była pewna, gdzie jest, ani nawet kim.

– Wszędzie policja! – wysyczał ostrzegawczo, łapiąc ją wpół i zarzucając sobie na ramię.

Jego słowa nie dotarły jednak do jej świadomości. Przepełniały ją uczucia lęku i smutku.

Eddie zaczął biec. Odgłos syren przycichł, ale na teren bazaru wlewały się oddziały setek policjantów. Eddie od kilku minut pracowicie wyprowadzał ich w pole, ale teraz widział, jak wbiegają na ulicę z obu jej końców. Zanurkował do sklepu, rozpychając wystraszonych ludzi, którzy siedzieli na podłodze czekając na przybycie pomocy.

Pruit nieco otrzeźwiała.

– Mogę biec – oznajmiła.

Postawił ją na podłodze i razem wybiegli tylnym wyjściem na ciasną uliczkę za sklepem. Usłyszeli jeszcze okrzyki policjantów zbierających się nad zwłokami Lucena.

Przeszli uliczką kilkadziesiąt jardów, zanim znaleźli kolejny zaułek ukryty między budynkami, jeszcze bardziej oddalający ich od zamieszania.

– Zabiliśmy go – wyszeptała Pruit.

– Lucena?

– Enona-Ameta – imię uformowało się jej na języku z taką łatwością, jakby wypowiadała je przez całe życie.

Enon-Amet miał osobowość, a ona ją znała. Miał swoje mocne i słabe strony. Miał poczucie honoru i głód oświecenia, a ona była ich świadoma.

– Zabiliśmy go…

– Pruit, nie mieliśmy wyjścia.

Wiedziała, że to także jest prawdą. Nie mieli wyboru.

– Wiem – powiedziała. – Chciałabym tylko…

Czego właściwie by chciała? Pomyślała o potencjale Enona-Ameta, niezłomnego i skrupulatnego dowódcy, kochającego brata, osoby ze wszech miar godnej podziwu. Przepadł. Koniec. Pruit potarła dłońmi skronie i wyszeptała:

– Słodkie życie, co się ze mną dzieje?

Rozdział 44

Kaplica miała ściany z desek pomalowanych na oślepiająco biały kolor. Stała na szczycie skały, z której roztaczał się widok na łagodne wody Morza Śródziemnego. Znajdowała się na zachód od Aleksandrii przycupnięta przy granicy pomiędzy żyzną krainą delty Nilu a pustynnym pustkowiem ciągnącym się tysiącami mil przez całą północną Afrykę.

Kaplica była pierwszą rzeczą, jaką Jean-Claude zobaczył w Egipcie. Ujrzał ją bladym świtem z pokładu statku handlowego, który przywiózł go z Francji i właśnie płynął wzdłuż afrykańskiego wybrzeża, zmierzając do portu w Aleksandrii. Budynek odcinał się na tle jaśniejącego nieba niczym milczący przybysz z innego świata otoczony łanem wysokich traw. Jean-Claude patrzył na niego przez kilka minut – młody chłopak oparty o reling statku, mrużący oczy w promieniach wschodzącego słońca.

Teraz odnalazł drogę do tego miejsca w nadziei odzyskania choćby cząstki tamtego piętnastoletniego chłopca, który wciąż miał w sobie jakiś strzęp godności.

Wszedłszy do kaplicy, Jean-Claude ukląkł przed małym kamiennym posążkiem Matki Boskiej. Zapalił dla niej pięć świec i pochylił głowę w pokłonie. Tego ranka wyspowiadał się księdzu ze wszystkich grzechów. Jeśli kapłan był zaskoczony głębokością jego upadku, to nie dał tego po sobie poznać, za co Jean-Claude był mu ogromnie wdzięczny. Teraz, skoro odzyskał spokój duszy, nadszedł czas, aby skupił się na czekającym go zadaniu.

– Ojcze przenajświętszy – modlił się, pławiąc w czystości serca, dzięki której znowu mógł swobodnie przemawiać do Boga. – Ojcze, odrodziłem się jako nowy człowiek. Spowiednik odpuścił mi moje grzechy i czuję, że muszę spłacić dług tego przebaczenia. Proszę, Panie, daj mi siłę, abym nie dbał o własne życie. Jest tylko jedno życie, które teraz się liczy. A ja go znajdę…

Dłoń Jeana-Claude'a zacisnęła się na złotym krzyżyku na jego szyi. W sercu czuł Boga i zamiast wstydu przepełniała go duma.

– Nate? – Jean-Claude szturchnął brudny koc, zwinięty w kłąb przed dawnym blokiem Jeana-Claude'a w Kairze.

Spod koca widać było tylko mały fragment twarzy Nate'a śpiącego z policzkiem przyciśniętym do chodnika. Był już prawie wieczór. Słońce skryło się za budynkami na zachodzie i ulica tonęła w cieniu. Jean-Claude wyruszył z Aleksandrii tego ranka i po długiej podróży autobusem właśnie dotarł do Kairu.

Z ust Nate'a wydobył się niski, przeciągły jęk.

– Nate? – Jean-Claude szturchnął go znowu.

Nate poderwał się i usiadł, wymachując kończynami. Otworzył oczy.

– Co…? Co…?

Twarz miał białą jak śnieg.

Jean-Claude przykucnął obok i ich twarze znalazły się na jednej wysokości.

– To ja, Jean-Claude.

– Jean-Claude… – wypowiedział to imię tak, jakby rozpaczliwie łapał coś, co próbowało mu umknąć.

– Tak. Co z tobą? Co się stało?

Nate wygiął się nagle w chwilowej, niekontrolowanej konwulsji. Jęk bólu przeszedł w chorobliwy chichot.

– Nic, nic… Postrzelili mnie. Na suku. Zabłąkana kula, rozumiesz…

Jean-Claude sięgnął do marynarki Nate'a, przepoconej i lepkiej od brudu, i odciągnął klapę na bok. Na niebieskiej koszuli pod spodem była plama krwi, w większości zaschniętej, ale po czarnym skrzepie spływała strużka świeżej czerwieni. Postrzelono go w pierś obok lewego ramienia.

– Zaniosę cię do szpitala.

Przysunął się bliżej, aby pomóc mu wstać.

– Po co? – spytał Nate, unosząc głowę, słabymi rękami usiłując odepchnąć od siebie niechcianą pomoc. Targnął nim kolejny skurcz.

– Oni nie mają tego, czego mi trzeba.

– Wstrzymał ci antidotum?

Nate zaśmiał się znowu; zaniósł się cienkim, radosnym chichotem, który wydawał się odłączony od jego ciała. Prawą ręką pogmerał pod kocem i wydobył stamtąd strzykawkę.

– Mam własne.

Głowa opadła mu na pierś. Jean-Claude obejrzał strzykawkę. Heroina. Wstrzykiwał ją sobie, aby zabić ból głodu antidotum. Nate skulił się w spazmie i Jean-Claude zauważył, ze heroina rzeczywiście tłumiła konwulsje, choć w niewielkim stopniu.

– Mam tego więcej – wykrztusił Nate. – Dużo więcej. Dość, żeby się zabić.

– Zostawił cię tutaj?

– Ma teraz Marcusa! A ja, głupi, wszystko mu objaśniłem. – Słowa padały w mechanicznym pośpiechu, tłocząc się i popychając nawzajem. – Chciałem, żeby zrobiło mu się mnie żal; zrobiłem wszystko, jak chciał. Więcej: zorganizowałem to idealnie; sam siebie uczyniłem zbędnym.

Znowu rozległ się śmiech pomieszany z kaszlem, a ciało nieszczęśnika skręcało się w skurczach.

– Zabiorę cię do szpitala – powtórzył Jean-Claude, pochylając się nad nim.

Nate odsunął się nerwowym ruchem. Z jego rany pociekło więcej krwi.

– Nie waż się mnie tknąć! – Jego słowa były teraz spójniejsze. – Chcę tu umrzeć. Teraz. To jest… mój wybór.

Jean-Claude spojrzał mu w twarz. Nate nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, ale wyglądał na sześćdziesiąt. Bez antidotum Mechanika albo magicznych sztuczek skóry Pruit jego ciało miało powoli zadręczyć się na śmierć bolesnymi skurczami. Skoro Nate postanowił pozwolić na to, rezygnując z walki, Jean-Claude przypuszczał, że miał do tego prawo. Nie będzie sprzeciwiał się ostatniemu aktowi wolnej woli tego człowieka. Nate już raz poprosił go o śmierć, a on odmówił. Tym razem tego nie zrobi.

– Dobrze – powiedział cicho.

Nate skinął głową i ścisnął dłonią krwawiące ramię. Zaczął się śmiać, ale śmiech szybko przerodził się w łkanie i Amerykanin sięgnął po swoją drugą strzykawkę – tę, która wciąż była pełna.

– Gdzie on teraz jest? – spytał Jean-Claude, okrywając go kocem i wyjmując z dłoni strzykawkę.

Starannie wystukał bąbelki, myśląc o bezsensie tej czynności w obecnych okolicznościach. Odsłonił prawe ramię Nate'a. Wokół bicepsu miał owinięty pasek pełniący funkcję krępulca. Był to własny pasek Nate'a, który niegdyś podtrzymywał jego eleganckie spodnie, zrobiony z kosztownej skóry teraz spękanej i postrzępionej. Jean-Claude zacisnął go i zatopił igłę strzykawki w tętnicy ramiennej Amerykanina.

Nate położył się na wznak, czekając, aż narkotyk zacznie działać. Miał nadzieję, że będzie to już ostatnia dawka. Dawka, która zakończy jego mękę.

– Gdzie on jest? – spytał jeszcze raz Jean-Claude.

– W Montreux – szepnął Nate.

Nazwa błysnęła wspomnieniem z innego życia. Był tam kiedyś, z rodzicami, jako nastolatek. Pamiętał deszcz i słońce, jezioro i góry. Zwiedzali słynny zamek w Chillon. Nate niecierpliwił się w kolejce turystów. Czy to naprawdę był on?

– Montreux. W Szwajcarii – powtórzył.

– Odnajdę go – obiecał Jean-Claude. – Odnajdę i zrobię coś znacznie gorszego niż on tobie.

Patrząc na Nate'a, Jean-Claude miał jednak poważne wątpliwości co do tego, czy cokolwiek mogło być gorsze.

– Nieważne… – wymamrotał Nate. – Nieważne…

Zamknął oczy. Dawka była stanowczo zbyt silna, ale w tej chwili pozwalał się nieść szarej chmurze narkotycznej błogości. Jean-Claude patrzył, jak jego dawny towarzysz odpływa w swój ostatni haj. Cicho, niemal bezgłośnie, powiedział:

– Dla mnie ważne.

Rozdział 45

Rok 2589 p.n.e.
Osiemnasty rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

Najpoważniejszym przewrotem […] była bratobójcza wojna pomiędzy Ozyrysem a Setem […]. Z owych […] zmagań […] zwycięsko wyszły siły zamordowanego Ozyrysa prowadzone przez jego syna Horusa. Horus, mściciel swojego ojca, został wyniesiony do roli wzorca dobrego syna, i to Horus pod koniec swojego życia pozostawił koronę Egiptu w spadku linii ludzkich faraonów.

Starożytny Egipt: jego kultura i historia

Dom był parterowy, zbudowany z drewna – najlepszego cedru sprowadzanego przez kupców z delty. Rozłożysta budowla zawierała kilka zamkniętych podwórców. Dach przykryto przepołowionymi pniami palm i wylepiono masą z mułu, trawy i piasku. Więźbę oparto na wysokich drewnianych słupach, wyrzeźbionych na kształt stylizowanych sykomor, zaś poniżej dachu, na północnej ścianie, pozostawiono otwarty pas, wpuszczający do wnętrza orzeźwiający północny wiatr. Dom miał też wiele okien wykonanych z przejrzystych arkuszy kryształu zabranych z dawnego obozu zespołu badawczego, wprawionych w ramy, które pozwalały na ich otwieranie i zamykanie. Okna należały do nielicznych zachowanych pamiątek po obozie. W ciągu minionych lat zdemontowano i wywieziono stamtąd niemal wszystko.

Wewnątrz domu były tuziny przyjemnych, chłodnych pomieszczeń, większość o kamiennej lub ceglanej posadzce. Meble były egipskie, ale wygodę leżanek i krzeseł poprawiono, przykrywając je grubymi puchowymi poduchami. Były łazienki, szalenie rzadkie w tym kraju, skąd specjalne rynny odprowadzały

ścieki, kierując je do prostego układu oczyszczalni. Ogólnie był to cudowny dom. Stał na granicy rozległego gospodarstwa rolnego i należał do Lwa.

Tego popołudnia Lew wracał do domu przez pola jęczmienia i winnice, otrzepując swój kombinezon z pyłu. Dobiegał już czterdziestki. Twarz miał ogorzałą i pooraną zmarszczkami od lat pracy na słońcu, ale poza tym nie wykazywał zbyt wielu oznak starzenia się. Barki miał równie szerokie, a talię tak samo wąską jak w młodości. Włosy strzygł na krótko – dla ochrony przed skwarem – i dbał, aby zawsze mieć gładko wygolone policzki.

Lew przeniósł się na wieś, aby założyć farmę, która miała być wzorem dla przyszłych pokoleń. Maszerując w stronę domu, toczył wzrokiem po polach uprawnych poprzecinanych kanałami systemu nawadniania, którego budowa zajęła mu lata. Do tej pory Egipcjanie budowali kanały wyłącznie dla ułatwienia sobie transportu. On pierwszy zaczął je kopać wyłącznie dla irygacji. Pomysłowe koła czerpakowe podnosiły dostarczaną przez nie wodę i wlewały do glinianych rynien, które z kolei rozprowadzały ją równomiernie wśród pól. Robotnicy doglądali upraw, ale nie musieli tracić większości czasu na ręczne czerpanie i roznoszenie wody, wskutek czego mogli uprawiać znacząco większy areał. Lew miał za sobą ponad dziesięć sezonów znakomitych plonów utrzymujących wysoki poziom nawet w latach, gdy zasięg okresowych wylewów Nilu nie spełniał oczekiwań rolników.

Dom stał na zachodniej granicy farmy niedaleko Nilu, usytuowany pośrodku ogromnego ogrodu pełnego drzew, kwiatów i sadzawek z krystaliczną wodą, będącego dziełem i dumą Ipwet. Lew dotarł do wysokiego muru okalającego ogród wraz z domem, i spostrzegł, że brama jest uchylona. Było to dość dziwne, ale nie niesłychane i Lew wstąpił w cień drzew, nie poświęcając odkryciu dalszej uwagi.

Idąc przez ogród, pomyślał, że ich dwaj ogrodnicy musieli już skończyć pracę i wrócić do domów. Absolutną ciszę burzył jedynie nieśmiały trel kilku ptaków, kryjących się w koronach figowców. Lew dotarł do tylnej werandy – tu także drzwi były otwarte. Wstąpił w przyjemną, chłodną ciszę domostwa. Nikt ze służby nie wyszedł

mu na spotkanie. To było dziwne, ale jego żona czasem odprawiała ich do domu, do ich własnych chatek nad rzeką, kiedy miała ochotę na samotne popołudnie z synem i małżonkiem. Lew uśmiechnął się do siebie. Nie znał nic przyjemniejszego nad powrót do pustego domu z sześcioletnim synem pogrążonym w popołudniowej drzemce i żoną czekającą na niego w słonecznej sypialni z dzbanem schłodzonej herbaty.

– Ipwet! – zawołał, ale niezbyt głośno, żeby nie obudzić Ishy.

Odpowiedzi nie było. Lew przekroczył próg i skierował się do pokoju biesiadnego, obszernego pomieszczenia z kilkoma oknami i poduszkami do siedzenia na podłodze. Kilka poduszek leżało w nieładzie, jakby ktoś je roztrącił, pośpiesznie wstając z miejsca.

– Ipwet! – zawołał jeszcze raz.

Przeszedł przez pokój, by wyjść na drugi ganek, gdzie błękitny baldachim wisiał nad chłodną ceglaną posadzką. Było to jedno z ulubionych miejsc zabaw Ishy, ale teraz świeciło pustkami.

– Ipwet? Isha?

Nikt nie odpowiadał. Lew przemierzył ganek, podchodząc do kolejnych drzwi, prowadzących z powrotem do wnętrza domu. Przed progiem zauważył porzuconą lalkę-krokodyla, ulubioną zabawkę swojego syna. Podniósł ją i uśmiechnął się. Zrobił ją dla Ishy własnoręcznie. Krokodyl był z drewna, miał otwieraną paszczę i jeszcze wysuwał się z niej język. Już miał wepchnąć zabawkę do kieszeni kombinezonu, kiedy zauważył czerwoną smużkę na swoim palcu. Przyjrzał się jej z bliska, pocierając palcem o palec. To była krew. Obrócił zabawkę w dłoni i pod drewnianym brzuchem krokodyla odkrył dużą czerwoną plamę. Nagły skurcz ścisnął mu żołądek. Podniósł wzrok, by spojrzeć do wnętrza pokoju i ku swemu przerażeniu zobaczył kolejne plamy krwi, rozsmarowanej na podłodze za progiem. Wbiegł do środka i podążając za krwawym szlakiem, wpadł do pokoju dziecinnego. Ujrzał tam ślady walki. Na podłodze leżały szczątki rozbitej ceramicznej wazy i przewrócone drewniane krzesło.

– Ipwet! – krzyknął łamiącym się głosem. – Isha!

Wbiegł do pokoju niani. Był pusty, więc wybiegł z powrotem i pognał szerokim korytarzem do własnej części domu. W salonie

znalazł kolejne ślady walki i małą kałużę krwi na podłodze. Praktycznie staranował drzwi po drugiej stronie pokoju i wparował do sypialni.

Tam ich odnalazł. Leżeli na podłodze, ułożeni obok siebie, z krwawymi ranami na gardłach, w kałużach krwi wokół siebie, z krwią na odzieniu. Piękne czarne włosy jego żony były zlepione w krwawy strąk. Lew opadł na kolana między nimi. Wsunął dłoń pod głowę Ipwet i zaczął gorączkowo szukać pulsu na jej szyi. Była już zimna.

– Ipwet! Ipwet!

Odwrócił się do syna. Twarz chłopca była szara. Lew sprawdził puls, ale widać był, że chłopiec nie żyje już od dłuższego czasu.

– Isha!

Zgarnął z podłogi bezwładne ciałko i mocno przytulił. Zimny policzek chłopca dotknął jego szyi i Lew poczuł, jak rozpacz ściska mu gardło. Zagryzł wargę, patrząc na ich twarze. Nie mógł uwierzyć, że ich stracił; nie mógł uwierzyć, że zostali zamordowani, podczas gdy on pracował na najdalszym polu; nie mógł uwierzyć, że nie czuł żadnego lęku ani zagrożenia, gdy oni umierali; że wszedł do domu zaledwie minuty temu, pewien, że zaraz uściska żonę. Zgiął się wpół i zaszlochał.

– Ipwet!

Ściskał jej włosy, czując na czole chłodny dotyk kamiennej posadzki. Na skórze miał jej krew. Była na całym jego ubraniu, a teraz także we włosach.

Jakiś czas później uświadomił sobie, że stoi i wpatruje się w ścianę. Wisiał na niej długi zwój papirusu, przybity nożem, na którego klindze widniały smugi zaschniętej krwi. Przyjrzał się piktogramom:

Ś	I	Z	W	I	Z
M		A	I	C	A
I	S	B	E	H	
E	Y	R	L		B
R	N	A	K	Ś	L
T		N	I	M	U

E	P	I	E	I	Ź
L	Ó		G	E	N
N	Ł	N	O	R	I
A	K	A		Ć	E
	R		O		R
K	W	R	Z	Z	S
O	I	O	Y	A	T
B		Z	R	P	W
I		K	Y	Ł	O
E		A	S	A	
T		Z	A	T	
A				Ą	

Wpatrywał się w zwój przez kilka długich minut. Nareszcie z jego ust spłynęło jedno słowo:

– Ojciec…

Następnego ranka Lew wkroczył do sali audiencyjnej Kapitana w pałacu w Memfis. Była to wielka, przestronna komnata z wysokimi oknami i malowidłami przedstawiającymi Ozyrysa zdobiącymi otynkowane ściany. Lew starannie wykąpał się i ogolił przed wizytą. Odział się na tubyliczą modłę: w krótką spódniczkę z białego płótna, skromnie nieozdobioną, lamparcią skórę przykrywającą mu ramiona i pierś, dwa małe srebrne naszyjniki i kilka bransolet na ramionach. Założył też odświętną perukę w kolorze jasnobrązowym, której proste tresy ułożono tak, aby okalały mu twarz i opadały poniżej ramion. Oczy uczernił kohlem na wzór szlachetnie urodzonych, zmiękczając tym rysy swojej przystojnej twarzy. Jeśli nie liczyć jego jaśniejszej karnacji i błękitnych oczu, wyglądał jak typowy egipski arystokrata.

Jego ojciec jeszcze nie przybył, ale Lew już klęczał na podłodze, z rozpostartymi ramionami i czołem dociśniętym do posadzki w pozycji całkowitej uległości.

Trwał tak w absolutnym bezruchu, ściągając na siebie niepewne spojrzenia strażników. Nie takiej postawy się spodziewali.

Po długim oczekiwaniu Lew usłyszał odgłos kroków. Po drugiej stronie komnaty otworzyły się drzwi i wyszły z nich stopy – czterej żołnierze i jego ojciec. Lew patrzył, jak stopy ojca zbliżają się i zatrzymują o kilka kroków przed nim. Z głową przy podłodze nie mógł widzieć twarzy Kapitana, ale mógł go sobie doskonale wyobrazić, stojącego z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrzącego z góry na swojego syna.

Nie patrząc w górę, Lew zawołał:

– Ojcze! Co uczyniłem, by zasłużyć sobie na twój tak straszny gniew?

Mówił w miejscowym języku, ale ojciec odpowiedział mu w mowie Kinlai, aby strażnicy nie mogli go zrozumieć.

– Co zrobiłeś, pytasz? Co zrobiłeś?! – warknął, nieco zbity z tropu.

Spodziewał się, że Lew rzuci się na niego w furii. Nie był przygotowany na uległość.

– W ubiegłym tygodniu do twoich drzwi zastukała grupa pielgrzymów. Przyszli za twoim pochodzeniem. Prosili o audiencję u mojego syna. Ty odesłałeś ich z kwitkiem, mówiąc, że się pomylili! Radziłeś im, żeby uważniej przyjrzeli się swoim bogom!

– Powiedziałem tylko prawdę, jaką znam – odpowiedział Lew, znów w miejscowym języku, trzymając głowę przy podłodze. – Dlaczego ukarałeś mnie tak okrutnie?

Fakt, że Lew uparcie używał egipskiej mowy, nie godząc się na utrzymanie rozmowy w tajemnicy przed strażą, w połączeniu ze wspomnieniem tego, co powiedział pielgrzymom, napełnił jego ojca świeżym gniewem. Kapitan schylił się, zdarł perukę z głowy syna i chwyciwszy pełną garść jego naturalnych włosów, zmusił do spojrzenia na siebie. Lew zauważył, że Kapitan wciąż występuje w wizerunku, jaki upodobał sobie wiele lat temu: w białej szacie wyszywanej złotem, z siwymi włosami natłuszczonymi i splecionymi za głową. Ostatnio przybrał na wadze.

Ich twarze dzieliły tylko centymetry, kiedy Kapitan wysyczał:

– Ostrzegałem cię. Tyle razy! Twoja matka cię ostrzegała. Nie zostawiłeś mi wyboru.

Lew odpowiedział hardym spojrzeniem, choć głowę unieruchamiała mu pięść, ciasno owinięta grubym puklem jego

włosów. Powoli, tym razem w języku Kinlai, Lew powiedział:

– A ty nie pozostawiasz wyboru mnie.

Zanim Kapitan zdążył zareagować, Lew przeniósł ciężar ciała do tyłu, pociągając Kapitana na siebie i pozbawiając go równowagi. Kapitan runął na swojego syna, a ten ścisnął go dłonią za gardło.

Żołnierze skoczyli naprzód, podrywając się do ataku, ale napastnik był całkowicie zakryty ciałem ich władcy. Lew sięgnął wolną dłonią za pas swojej spódniczki i wyjął miotacz przeoczony przez strażników Kapitana. Urządzenie było dość małe, by swobodnie mieścić mu się w dłoni. Była to jedna z kilku sztuk broni, jakie przed laty potajemnie przemycił z obozu i ukrył z myślą o niepewnej przyszłości.

Strażnicy zatrzymali się, niepewni, jak poważne rany mógłby zadać Kapitanowi jego syn, a w tej samej chwili Lew wysunął dłoń z miotaczem zza pleców ojca i wciąż przykryty nim jak tarczą, nacisnął spust. Trzasnęło. Płomień elektrycznego błękitu przeszył powietrze, ze śmiercionośną precyzją odnajdując serce żołnierza. Jeszcze nie zdążył upaść, kiedy dłoń Lwa zatoczyła łuk w stronę następnego celu. Strażnicy rzucili się do ucieczki, ale powalił wszystkich sześciu, zanim zrobili pięć kroków.

Lew ścisnął ojca mocniej i potężnym skrętem ciała obrócił ich obu, przyszpilając Kapitana do podłogi.

– Jak śmiesz… – zaczął Kapitan.

Lew wbił mu pięść w szyję, odbierając głos i pozostawiając w paroksyzmie charkotliwych wdechów. Potem poderwał się na nogi i przypadłszy do wejścia, przesunął ciężką sztabę, aby zablokować drzwi. Słysząc tupot nadbiegających żołnierzy, pośpiesznie przebiegł przez salę i zamknął drugie drzwi.

Wtedy odwrócił się i spostrzegł, że Kapitan wstaje. W dłoni trzymał nóż, który wydobył spod szaty. Powoli wyprostował się, patrząc synowi w oczy.

– Nie zrobisz tego – powiedział.

Lew poczuł, że furia prawie go oślepia. Skoczył naprzód i z rozpędu wbił ramię w brzuch ojca, odrzucając go w tył, na ścianę. Kapitan machnął nożem, ale lata bycia bogiem nie przysłużyły się jego sile ani szybkości. Lew niedbałym ruchem

wytrącił mu ostrze z dłoni, a potem złapał ojca za ramiona i grzmotnął nim o ścianę.

– Ależ zrobię to! – wrzasnął mu prosto w twarz. – Właśnie że zrobię! Stałem bezczynnie przez wszystkie te lata. Łudziłem się, że można cię po prostu zignorować. Szukałem usprawiedliwień dla twojego obłędu. Byłem tchórzem!

Z zewnątrz dobiegały okrzyki żołnierzy. Drzwi zatrzęsły się od uderzenia – próbowali je wyważyć.

– Zaraz tu wejdą! Jesteś trupem!

Lew wyrżnął go pięścią w twarz.

– Zabiłeś moją żonę i mojego syna! Swojego własnego wnuka! Wróciłem do domu, by znaleźć ich martwych, leżących w kałuży własnej krwi. Był tylko dzieckiem…

Huknęło i drzwi zadygotały znowu. Kapitan broczył krwią z nosa, ale uniósł głowę i splunął synowi w twarz.

– Sprzeciwiłeś się mnie. Mnie! Myślisz, że łatwo jest utrzymać moją pozycję? Jedyne, o co cię prosiłem, to lojalność.

– Lojalność? I to mówi człowiek, który posyła morderców, aby zabili syna jego syna!

Po policzkach spływały mu łzy. Drzwi trzęsły się już po obu stronach komnaty.

– Musiałeś zapłacić za swoje czyny.

Lew złapał ojca za szyję i znów uderzył jego głową o ścianę.

– Pamiętasz mnie, kiedy miałem sześć lat? Tato? Wiem, że mnie wtedy kochałeś. Czy pamiętasz, jak to jest, tak kochać?

Kapitan dusił się. Przez ściśnięte gardło wykrztusił:

– Nie możesz mnie zabić, Lew. – W jego głosie pobrzmiewała spokojna pewność siebie człowieka, któremu nigdy nie odmówiono spełniania żadnej zachcianki.

– Jesteś człowiekiem, tato! – ryknął Lew.

Wierchem dłoni starł trochę krwi z ust Kapitana i podsunął mu plamę pod oczy.

– Krew, widzisz? Twoja krew. Ludzka krew. Czerwona, jak moja. Jak mojego syna. Jak każdego. Nie jesteś żadnym bogiem.

Drzwi zatrzęsły się znowu wśród naglących okrzyków żołnierzy.

– Ależ jestem bogiem – powiedział Kapitan.

W tamtej chwili nie czuł już strachu. Nie czuł zagrożenia. Był Ozyrysem, bogiem, istotą nieśmiertelną.

– A zatem bóg umrze! – Lew wtłoczył lufę miotacza w szyję Kapitana i wdusił spust, jednocześnie zwalniając uchwyt drugiej ręki.

Miejsce, gdzie lufa stykała się ze skórą, rozjarzyło się niebieskim światłem, a ciało Kapitana zadygotało w serii chaotycznych, gwałtownych podrygów. Twarz wykręcił mu straszliwy grymas. Lew trzymał palec na spuście, rażąc ojca ciągłym strumieniem elektryczności. Sekunda lub dwie wystarczyłyby do zabicia najsilniejszego z ludzi, ale on nie zwalniał nacisku przez całą minutę. Dopiero, kiedy ujrzał dym, a w nozdrza uderzył go mokry swąd spalenizny, zdołał zmusić się do opuszczenia broni.

Oczy Kapitana były otwarte, pozbawione życia, ale wciąż lekko drżące. Kiedy Lew odjął miotacz od szyi ojca, ten osunął się po ścianie i opadł bezwładnie na podłogę. Lew ukląkł obok, szukając oddechu i tętna. Nie znalazłszy ich, spojrzał na Kapitana, myśląc o tym, jak rozczarowująco prozaiczny spotkał go koniec. Po latach dramatów piętrzących się ku tej chwili wszystko rozwiązało się w tak prosty i szybki sposób. I właściwy. Na ścianie ponad martwym ciałem siedział wielki malowany Ozyrys o twarzy Kapitana, patrzący z nieskończonym spokojem na wszystkich, którzy go mijali.

Lew odwrócił się od ojca. Teraz łomot dobiegał tylko od jednych drzwi. Strażnicy skoncentrowali wysiłki. Lew sprawdził broń. Ładowana energią kinetyczną ruchów użytkownika oraz światłem słońca, wciąż miała niemal pełny magazynek. Ten i inne miotacze ukryte przez Lwa były jedynymi, jakie pozostały z oryginalnego arsenału zespołu badawczego. Resztę wykorzystywano przez kilka lat, aż z czasem wszystkie zużyły się lub uległy uszkodzeniu i w końcu zostały wyrzucone. W tej chwili oznaczało to tyle, że Lew był uzbrojony znacznie lepiej niż ktokolwiek, kto mógł stać za drzwiami.

Podczas gdy drzwi po dalszej stronie komnaty trzęsły się od uderzeń z zewnątrz, Lew złapał za szatę ojca i zawlókł jego ciało do drugiego wyjścia. Stękając z wysiłku, uniósł zwłoki i ustawił

pionowo przed sobą. Najciszej, jak tylko potrafił, jedną ręką trzymając ciało, drugą odsunął sztabę i otworzył drzwi.

Przejścia pilnowali czterej strażnicy, po dwóch z każdej strony. Odwróciwszy się, ujrzeli swojego pana, Ozyrysa, stojącego w progu z przerażająco wykrzywioną twarzą. Zanim otrząsnęli się na tyle, by się poruszyć lub odezwać, Lew zastrzelił wszystkich. Reszta żołnierzy wciąż atakowała drzwi po drugiej stronie komnaty audiencyjnej. Lew puścił zwłoki, poprawił na sobie ubranie i puścił się biegiem pustym korytarzem przed sobą. Zanim reszta pałacowej służby pojęła, co się wydarzyło, był już na zewnątrz, biegnąc co tchu przez ogrody.

Gobeliny płonęły. Świątynne sale wypełniał żar, a pod stropami toczyły się kłęby dymu. Strażnicy biegali jak opętani, próbując ratować innych albo szukając ocalenia dla siebie. Te kapłanki, które zachowały trzeźwość, krzyczały i także próbowały uciekać. Wiele kobiet i mężczyzn podduszonych dymem leżało bez ruchu bądź pełzało po podłodze. Inni leżeli na łożach i poduszkach wciąż pogrążeni w narkotycznym zwidzie, niezdolni do skojarzenia gorąca i dymu z realnym zagrożeniem.

Lew chodził od komnaty do komnaty z pochodnią w dłoni, podkładając ogień pod wszystko, co mogło się palić. Memfis nie znało środków szybkiej łączności dalekodystansowej, dzięki czemu Lew mógł przebiec z pałacu do świątyni swojej matki daleko poza miastem, zanim dotarły tam wieści o śmierci Ozyrysa. Przy bramie świątyni i w środku zabił kilku strażników, po czym przystąpił do podpalania. Zaczął od komnat na obwodzie budynku, przesuwając się ku środkowi. W walce zdarto mu z piersi lamparcią skórę. Jego krótkie jasne włosy były pozlepiane potem i sterczały dziko we wszystkie strony. Bosy i z nagim torsem, w samej tylko spódniczce, przemierzał świątynne korytarze, niosąc śmierć i zniszczenie.

Gdzieś przed nim ktoś krzyczał ze strachu. Pchnął wielkie miedziane drzwi, na których jego podobiznę zastąpiono twarzą jego przyrodniego brata Chufu, i wkroczył do sypialni swojej matki.

Leżała na swoim łożu, płacząc. Komnatę powoli wypełniał dym, wkradający się z sąsiednich pomieszczeń. W kącie kilka młodych kobiet zanosiło się krzykiem. Wszystkie były odurzone narkotykiem, w ich piskliwych wrzaskach pobrzmiewał obłęd. Lew przytknął pochodnię do najbliższego gobelinu, kunsztownego dzieła, na którym jego matka i ojciec obejmowali się, czuli kochankowie. Po chwili stanęli w płomieniach. Na widok ognia jedna z krzyczących dziewcząt jakby trochę otrzeźwiała. Szarpnęła za rękę drugą, nakłaniając ją do ucieczki, a skoro ta nie reagowała, pobiegła sama, otwierając drzwi prowadzące do komnaty obok. Z otworu buchnął gorący oddech pożaru, ale skoczyła weń mimo wszystko, sądząc, że odnajdzie wyjście.

Lew podszedł do łoża matki. Podniosła nań wzrok; po policzkach spływały jej łzy narkotycznego pomieszania.

– Nie mogę oddychać – poskarżyła się, próbując skupić wzrok na liżących ściany płomieniach. – Synu? – powiedziała, nagle go rozpoznając. – Nie mogę oddychać.

– Zgodziłaś się, że powinni umrzeć, czyż nie, matko? Znam go dobrze. Nie podjąłby takiej decyzji bez twojego poparcia.

Skinęła głową, dziwnie przytomnie.

– Tak. Nie mieliśmy wyboru.

Lew czuł w oczach piekące łzy. Cisnął pochodnią w ścianę, podpalając kolejne tkaniny, i zgarnął swoją matkę z łoża, zarzucając ją sobie na ramię. Nie opierała się.

Wybiegł z sypialni i poniósł ją przez płonące pokoje. Ściany promieniowały obezwładniającym żarem, dym palił oczy i krtań. Lew poczuł się, że płuca odmawiają mu posłuszeństwa. Ignorując ból, biegł dalej, mijając nieprzytomnych ludzi, poczerniałe freski i tlące się meble.

Dotarł do wysokiej bramy, która tym razem stała otworem, plując kłębami dymu w słoneczne niebo. Na zewnątrz byli ludzie, którzy uciekli z pożogi. Leżeli oszołomieni, krztusząc się i kaszląc.

Położył swoją matkę na ziemi. Nie próbowała uciekać. Kilkaset jardów dalej ujrzał nadbiegający oddział żołnierzy. Zbliżali się od strony miasta.

Opadł na ziemię, siadając obok niej. Oczy miała otwarte, wzrok utkwiony w nim, wciąż zamglony narkotycznym otępieniem.

– Powiedz mi jedno, matko – wyszeptał w haight, języku, którego nauczył się od niej, kiedy był dzieckiem. – Czy naprawdę zgodziłaś się z nim? Naprawdę chciałaś tego wszystkiego?

Jej oczy zaszkliły się i odwróciła głowę tak, aby nie widział jej twarzy. Odpowiedziała w tym samym języku, odzywając się w nim po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat.

– Nie miałam wyboru – powiedziała miękko.

Lew opuścił głowę, kryjąc twarz w dłoniach.

– To nasza pani, Izyda, o najjaśniejszy! – zawołał ktoś.

Lew spojrzał w górę. Oddział żołnierzy przybył. Było ich trzydziestu. Dyszeli ciężko po długim sprincie, wszyscy uzbrojeni w długie noże i włócznie. Patrzyli w oszołomieniu na dym bijący z wnętrza świątyni i leżących wokół ludzi. Prowadził ich Chufu, teraz postawny, trzynastoletni młodzieniec o dumnej twarzy.

Młody król uniósł dłoń i żołnierze zatrzymali się. Lew patrzył na nich, ale nie wykonał żadnego ruchu.

– Brać go! – krzyknął Chufu, wskazując na przyrodniego brata.

Lew wciąż trzymał swój miotacz, ale odrzucił go na bok, pozwalając schwytać się żołnierzom. Nie będzie go potrzebował.

Chufu ukląkł przy matce Lwa i czułym gestem przyłożył dłoń do jej policzka.

– Czy jesteś ranna, moja boska matko? – spytał.

– Nie, mój synu – odpowiedziała, ocierając łzy.

Ujęła go za rękę.

– Teraz jestem bezpieczna.

Chufu pstryknął palcami i kilku żołnierzy przyskoczyło, by usługiwać bogini. Król podszedł do swojego przyrodniego brata. Lew, którego siłą postawiono na nogach, zmierzył go obojętnym spojrzeniem.

– Zamordowałeś boga – powiedział młody król, a jego oczy nabiegły wilgocią. – Zabiłeś mojego ojca.

– Był także moim ojcem.

Chufu zaśmiał się szyderczo.

– Wyświechtane łgarstwo! Mój ojciec zdradził mi, kim jesteś naprawdę, i opowiedział o twojej niewierności.

Był to najwyraźniej nowy zwrot w historii Kapitana. Nie miało to już znaczenia.

– Przywłaszczyłeś sobie mój tytuł – ciągnął Chufu. – Twierdziłeś, że jesteś Horusem.

Lew patrzył na chłopca w milczeniu. Nie było potrzeby odpowiadać. Chufu mówił dalej.

– Twoje życie jest bez znaczenia i nie mogłoby stanowić odkupienia za śmierć boga. Mimo to zamierzam złożyć je jako drobną ofiarę na ołtarzu umiłowanego Ozyrysa. Het!

Ostatnie słowa były rozkazem i pięciu wojowników szybko ustawiło się w szeregu przed Lwem, wznosząc włócznie do ciosu.

– Jestem tylko człowiekiem, jak mój ojciec – powiedział cicho Lew. – Jeden grot wystarczy.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Chufu machnął dłonią w dół, dając sygnał żołnierzom. Włócznie uderzyły z wielką mocą, zagłębiając się w torsie Lwa. Impet uderzenia odrzucił go w tył, wyrywając z ramion tych, którzy go trzymali. Upadł na wznak, z pięcioma drzewcami sterczącymi z ciała. Z ust wyrwało mu się pojedyncze, przeciągłe westchnienie. Potem znieruchomiał.

Lew miał tylko nadzieję, że dokądkolwiek trafi w tym życiu, spotka tam żonę i syna, zaś jego ojciec po prostu nie będzie istniał. Nie, niech będzie też ojciec, ale ten prawdziwy – mężczyzna, który wychował go na Herrodzie; dzielny, uczciwy człowiek, którego w dzieciństwie czcił jak bohatera. W chwili swojej śmierci zdążył jeszcze pomyśleć – „Nareszcie. Koniec”.

Rozdział 46

Czasy obecne.

Mechanik i Marcus szli szeroką promenadą nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Kierowali się na południowy wschód, mając jezioro po prawej stronie, po lewej zaś ulicę obstawioną gęstym ciągiem kawiarni i restauracji. Mechanik szedł powoli ze wzrokiem utkwionym w chodniku wciąż pokrytym ciemnymi plamami wilgoci, pozostałością po porannym deszczu. Marcus rozglądał się, prześlizgując wzrokiem po schludnych budynkach, starych i nowych, składających się na miasto Montreux. Ponad dachami widać było góry, na wpół skryte we mgle. Dzień był pochmurny, ale tu i tam blask słońca odnajdywał drogę do ziemi, okraszając pejzaż bogactwem kontrastów i barwiąc szarą gładź jeziora maźnięciami błękitu.

W przyulicznych lokalach kręciło się trochę klientów, większość w środku i tylko nieliczni śmiałkowie rzucali wyzwanie chłodowi tarasów. Przechodnie dreptali w górę i w dół chodnika ubrani w lekkie kurtki i czapki.

Mechanik zerknął na zegarek. Miał na sobie elegancki garnitur z czarnej wełny, który sprawił sobie jeszcze w Kairze. Głowę okrywał mu filcowy kapelusz z wąskim rondem, który ocieniał mu twarz, dzięki czemu osobliwy odcień jego cery nie rzucał się tak bardzo w oczy. Wyglądał jak typowy szwajcarski biznesmen na popołudniowym spacerze. Idący obok niego Marcus także był w ciemnym garniturze, ale głowę pozostawił odkrytą, aby nie ograniczać sobie pola widzenia. Wysoki, barczysty, ze swoją pobrużdżoną twarzą, wyglądał groźnie nawet w swoim cywilizowanym stroju.

Już prawie nadszedł czas. Mechanik miał przekazać dwa manuały: jedyne istniejące plany pompy Eschlessa. Kiedy je odda,

cała ta afera nareszcie się skończy, a on rozpocznie nowe życie. Po awanturze na bazarze uświadomił sobie, że haniebnie zaniedbał kwestię własnego bezpieczeństwa. Odkąd obudził się z hibernacji, miał w głowie tylko jeden cel: zapewnić sobie luksusowe życie, życie co najmniej tak dobre, jakim cieszył się Kapitan, może lepsze. Najwyższa pora, aby dobił targu i zostawił niebezpieczeństwa za sobą – tak jak radził mu Nate. Mechanik poleciał do Genewy niemal prosto z bazaru, przerzucony przez Chińczyków, których pośpiesznie poinformował o ich wygranej w przetargu.

Oparł się pokusie spojrzenia na zegarek jeszcze raz. W okolicy na pewno roiło się od chińskich agentów. Odwrócił głowę, by spojrzeć na jezioro. Prawdopodobnie byli nawet tam, obserwując go z pokładu jednej z łodzi. Nie wolno mu okazać zdenerwowania. Mechanik wtłoczył ręce do kieszeni płaszcza i spojrzał przed siebie z miną bez wyrazu.

– Widzisz coś nowego? – spytał głos Eddiego rozbrzmiewający w uchu Pruit.

– Nie. Jest tylko on i ten duży. Spacerują – odpowiedziała.

Porozumiewała się z nim przez miniaturowy komunikator, z mikrofonem ukrytym przy szyi i słuchawką w uchu. Przynieśli dwa takie urządzenia ze schronu śpiących. Ich zasięg był niewielki, ale wystarczający dla dzisiejszego zadania.

Pruit szła ulicą prostopadłą do brzegu jeziora, z której widziała Mechanika i jego goryla, przechadzających się promenadą. Wszystko wskazywało na to, że Mechanik wciąż nie ma planów przy sobie. Odkąd przyjechał z Genewy, nie zatrzymał się nigdzie oprócz swojego hotelu, a nie przywiózł ze sobą niczego o tak dużych rozmiarach. Marcus też nie. Gdzie zatem były?

Eddie był na ulicy równoległej do brzegu, ale drugiej od jeziora, sunąc powoli wynajętym samochodem w tempie kroków Mechanika. Przed akcją nalegał, aby to on wyruszył pieszo ze względu na poważne niebezpieczeństwo, że Pruit zostanie rozpoznana. Ona jednak słusznie zauważyła, że trudno ją nazwać wprawnym

kierowcą, za to w posługiwaniu się bronią była znacznie lepsza od niego. Eddie w końcu się zgodził. W nowym wcieleniu, ubrana w bluzę od dresu i spodnie do joggingu, Pruit w niczym nie przypominała tamtej ciemnookiej muzułmanki z bazaru.

Idąc łagodnie schodzącą w dół ulicą w stronę jeziora, Pruit czuła tępy ból w lędźwiach. Adaiz najwyraźniej spodziewał się jej na bazarze, co prowadziło do oczywistego wniosku, że Luceni umieścili w niej drugi nadajnik lokalizatora. Eddie zmitrężył pół godziny, zanim znalazł pluskwę ukrytą przy dolnej części kręgosłupa. Mimo trudności zdołał ją wydobyć, zaś dokładne oględziny nie wykazały obecności kolejnych.

Mechanik opuścił Kair niemal natychmiast, nie pozostawiając Pruit czasu na regeneracyjny sen w biokombinezonie. Jednak podczas lotu do Szwajcarii to nie rana, ale myśl o Enonie-Amecie nie dawała jej spokoju. Tam, gdzie kiedyś widziała tylko różnice dzielące jej rasę od Lucenów, teraz jej umysł wypełniły podobieństwa. Mieli podobne wierzenia, podobną wiedzę o swojej duchowej naturze. Co jeszcze mogło ich łączyć? I dlaczego nie potrafiła już ich nienawidzić?

Eddie minął skrzyżowanie z ulicą, którą szła Pruit, i ujrzał ją od tyłu, idącą w stronę jeziora. W myśli wykonał przegląd uzbrojenia: pistolet na prawej łydce, nóż na lewej. Wystarczy sięgnąć.

Jean-Claude siedział na ławce wpatrzony w dal ponad taflą Jeziora Genewskiego. Kępa iglastych drzew pomiędzy chodnikiem a barierką nad brzegiem chroniła go przed wzrokiem przechodniów. Jego czarna skóra wyróżniała się tutaj, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Spotykał tu samych tolerancyjnych ludzi, którzy cieszyli się, kiedy odkrywali, że mówi po francusku, i to pomimo jego paryskiego akcentu.

Tego dnia założył porządne ubranie. Za pasem, ukryte pod długim płaszczem, czekały trzy rzeczy, których niebawem będzie potrzebował.

Po jego prawej stronie, kilkaset jardów dalej, Mechanik powoli szedł w jego stronę. Jean-Claude obserwował go od ćwierci mili, ale wkrótce odkrył, że nie musi już patrzeć, by wiedzieć, gdzie jest. Wyczuwał bliskość tego człowieka niczym gorącą lampę palącą mu skórę.

„Palącą…" – Pomyślał, bawiąc się skojarzeniem.

Już prawie nadszedł czas. Postanowił sobie, że nie wykona ruchu, póki nie zobaczy planów. Te księgi były źródłem władzy Mechanika i cierpień jego niewolników. One także musiały zniknąć.

– Ojcze, mój czas jest bliski – wyszeptał. – Jeśli udasz się na wojnę przeciw twemu wrogowi, nie lękaj się, gdyż z tobą jest Pan, Bóg twój…

To był cytat z Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział dwudziesty, werset pierwszy. Czytał go raz za razem w tamtej kaplicy nad brzegiem Morza Śródziemnego, wypowiadając na głos słowa, dopóki nie zrozumiał wszystkich.

– Nie lękam się, Ojcze. Nie lękam się…

Pruit doszła do ulicy biegnącej wzdłuż brzegu jeziora i skręciła w nią, mijając taras kawiarni. Pięćdziesiąt jardów przed sobą, po drugiej stronie ulicy, widziała Mechanika i Marcusa, wciąż idących nieśpiesznie na wschód wokół jeziora. Niedaleko za nimi barierka biegnąca nad brzegiem jeziora odbijała od chodnika w stronę wody, by objąć nieduży placyk z rosnącymi na nim kilkoma drzewami. Pozostając po swojej stronie ulicy, Pruit przyśpieszyła kroku.

– Znowu patrzy na zegarek, Eddie – wyszeptała.

– Zjeżdżam na twoją ulicę – powiedział Eddie.

– W porządku.

Daleko przed Pruit czarny sedan zaparkował po jej stronie ulicy w pewnej odległości przed Mechanikiem. Z tylnego miejsca wyszedł drobny Azjata w szarym, prążkowanym garniturze. Przeszedł przez ulicę i ruszył promenadą w stronę idącego z naprzeciwka Mechanika. Dzieliło ich jakieś sto stóp chodnika.

– Zaczyna się, Eddie – powiedziała Pruit cicho.

Po chwili samochód Eddiego wyjechał na ulicę za jej plecami. Pruit przyśpieszyła kroku, przechodząc do swobodnego truchtu. Gdzie plany?

Mechanik spostrzegł zbliżającego się Azjatę. Mężczyzna nie spojrzał na niego, choć nie można było powiedzieć, że unika jego wzroku. Jego zachowanie sugerowało, że jest zainteresowany wyłącznie świeżym powietrzem i widokami.

Gdzie ten posłaniec? Już czas. Mechanik i Marcus kontynuowali marsz w stronę Azjaty, zbliżając się do kępy drzew po ich prawej stronie.

Nagle, za sobą, Mechanik usłyszał cichy, przyjemny dźwięk dzwonka. Obejrzał się jednocześnie z Marcusem i odetchnął z ulgą. W jego stronę pędził młody chłopak na rowerze, ubrany w niebieską kurtkę z nazwą lokalnej firmy kurierskiej na plecach. Rowerzysta zadzwonił jeszcze raz.

– Halo, proszę pana! – zawołał po francusku, hamując. – Mam dla pana przesyłkę.

W dłoni trzymał grubą brązową kopertę. Mechanik odwrócił się i zaczekał, aż kurier zatrzyma się przed nim. Wziął podaną kopertę i skinął głową.

– Zapłacone – oznajmił chłopak i ruszył w dalszą drogę, przejeżdżając przez ulicę i dalej, w stronę centrum miasta.

– Ma plany! – szepnęła Pruit. – Szykuj się!

– Jestem gotowy. Jadę za tobą.

Był tuż za nią w swoim samochodzie. Pruit przyśpieszyła jeszcze bardziej, kierując się w stronę Mechanika, udając amatorkę joggingu na przebieżce wzdłuż jeziora.

Mechanik ściskał w dłoni kopertę. Azjata zbliżył się, przyjaźnie uśmiechnięty. Podali sobie dłonie.

– Bardzo mi miło – powiedział Azjata po angielsku, a jego wzrok przelotnie musnął kopertę.

– To dla pana – powiedział Mechanik, podając mu paczkę.

Ale zanim zdążył przekazać towar, rozległ się wrzask. Azjata runął na ziemię, odtrącony w bok, zaś Marcus opadł na kolana, ściskając dłońmi czerwoną plamę na brzuchu. Mechanik ujrzał przed sobą twarz Jeana-Claude'a, który musiał wyskoczyć z drzew po prawej stronie. Młodzieniec ściskał w dłoni długi, zakrzywiony nóż o klindze czerwonej od krwi Marcusa.

Twój czas nadszedł! – krzyknął Jean-Claude po francusku, po czym wyrzucił dłoń do przodu, zatapiając ostrze noża w ciele Mechanika.

Czuł, jak klinga zagłębia się po samą rękojeść. Wyrwał nóż i wtedy jego ciałem targnął dziwny skurcz. Ktoś go postrzelił. W następnej chwili nadleciały kolejne pociski z kilku stron naraz. Jedna noga eksplodowała bólem i złamała się pod nim, ale Jean-Claude nie przejął się tym. Jego życie nie miało znaczenia. Liczyło się życie tylko jednego człowieka, a on właśnie je odbierał.

Uniósł butlę z benzyną do zapalniczek, którą trzymał ukrytą pod płaszczem i ściskając ją obiema dłońmi, zaczął oblewać płynem Mechanika, który tymczasem padł na kolana i okropnie rzęził, nie mogąc złapać tchu. Benzyna szybko wsiąkała w jego marynarkę i kopertę w jego dłoni.

Pruit była już całkiem blisko.

– Nie! – krzyknęła. – Nie!

Jean-Claude poczuł, jak kolejne dwa pociski rozszarpują mu ciało. Dostał w pierś. Nie przeżyje tego. Ale jego ręka odszukała trzeci przedmiot u pasa: zapalniczkę. Pstryknął nią i płonącą rzucił w Mechanika. Buchnął ogień.

Jean-Claude usiadł ciężko, czując żar płomieni na twarzy, a w sobie ból umierającego ciała.

– Twój czas nadszedł – powiedział jeszcze raz, próbując krzyknąć, ale z jego ust popłynął tylko chrapliwy szept.

Kolejny pocisk odnalazł drogę do jego głowy. Jean-Claude szarpnął się dzikim skrętem ciała i upadł, nieruchomiejąc na dobre.

Tuż obok płonął Mechanik. Przez jakiś czas żył jeszcze, próbując oddychać, próbując krzyczeć, ale ogień wkrótce go pokonał i po kilku chwilach na chodnik runęło martwe truchło.

Azjata bez namysłu wziął nogi za pas. Jego samochód sprawnie podjechał do krawężnika, a on wskoczył na tylne siedzenie i już po chwili oddalali się w prawdziwie wyścigowym tempie. W jego zawodzie takie rzeczy zdarzały się bez przerwy. Ileż to razy pozwalano mu podejść blisko czegoś wielkiego tylko po to, by w ostatniej chwili sprzątnąć mu to sprzed nosa. Rozczarowanie było częścią jego profesji i nauczył się z nim żyć. Przez tylną szybę auta patrzył na płonącego Mechanika i kopertę wciąż tkwiącą w jego dłoni.

Pruit podbiegła do zwłok, rozglądając się panicznie za kopertą. Po chwili dołączył do niej Eddie. W miejscu, w którym przed chwilą był plik dokumentów, leżała sterta cienkich jak włos arkuszy popiołu. Pruit zastygła w bezruchu. Wydało jej się, że na arkuszach widzi słabe ślady znaków. Tak, wzory wciąż były widoczne.

– Czekaj, Eddie! – wstrzymała oddech.

Eddie znieruchomiał.

I wtedy podmuch od strony jeziora porwał spopielone strony i rozwiał na milion płatków czarnego śniegu. Pruit i Eddie padli na kolana, próbując łapać strzępy, potrącając martwe ciała Mechanika, Jean-Claude'a i Marcusa.

Wokół zbierali się gapie. Grupa klientów pobliskiej restauracji wstała od swoich stolików i ruszyła na drugą stronę ulicy. W oddali zawyła syrena radiowozu.

Pruit zacisnęła dłoń na popiołach, czując jak gniotą się w jej pięści i przemieniają w pył.

Rozdział 47

Oficer Adaiz-Ari powinien być zagubiony. Jego brat i dowódca misji zginął. Ciało Enona-Ameta zostało zabrane i miało zostać – jak przypuszczał – poćwiartowane i zbadane przez ziemskich naukowców. Pruit zdołała usunąć drugi nadajnik i nie miał pojęcia, gdzie teraz jest. Powinien czuć gorycz porażki, ale nie czuł. Dwa dni po awanturze na bazarze szedł przez Kair i przepełniało go wyraźne poczucie celu.

Pomimo niewesołych okoliczności utrwaliło się w nim poczucie dumy ze świeżo odkrytej zdolności wchodzenia w egani-tah podczas prawdziwej walki. Stan ów nie był w pełni pod jego kontrolą – gdyby był, Adaiz byłby w stanie panować nie tylko nad swoimi ruchami, ale też nad ruchami Pruit – ale mimo wszystko osiągnął go, narzucając przeciwnikowi połączenie świadomości. Większość mistrzów egani-tah zdobywała tę umiejętność dopiero w znacznie późniejszym wieku.

Wtedy, podczas walki, na kilka ulotnych chwil stał się Pruit. Jej umysł był jego własnym. Teraz jego świadomość była pełna ludzi, których nigdy nie spotkał, oraz doświadczeń, jakich nie mógłby sobie nawet wyobrazić. Posiadał wspomnienia z czasu szkoleń w Czuwających; pamiętał bezkresne równiny toksycznego szkła otaczające miasta, które chroniły się pod kopułami. Pamiętał młodego mężczyznę imieniem Niks i doświadczenia fizycznej miłości. Poznał wspomnienia Pruit z podróży na Ziemię i jej obezwładniający ból po utracie ukochanego. Czuł nienawiść, jaką żywiła wobec jego rasy.

Było niemal tak, jakby Pruit żyła w jego wnętrzu. Choć wiele z tych wspomnień zaczęło już blaknąć, kurczowo trzymał się garstki tych, które wydały mu się ważne. Będzie musiał poświęcić trochę czasu na ich zapisanie. Dadzą Lucenom wiele użytecznych informacji.

Choć nie było to łatwe, starał się nie ulegać wpływowi zawartości umysłu Pruit. Bez względu na to, jak dziwne i potencjalnie wytrącające z równowagi były wizje w jej głowie, zmuszał się do klasyfikowania zdobytych informacji wyłącznie pod kątem własnych celów.

W głowie miał teraz jedną twarz, która się liczyła – twarz człowieka zwanego Inżynierem. Pruit myślała o nim jak o skarbnicy mądrości, wprawdzie zamkniętej na głucho, ale wiedza, jaką mu przypisywała, była olbrzymia.

Po kolejnej półgodzinie marszu – niełatwego przy jego sztywnych mięśniach – Adaiz przedostał się przez handlową część Kairu i dotarł do wysokiego hotelu dla biznesmenów. Szybka winda zawiozła go na górę i już kilka chwil później stał pod drzwiami Inżyniera. Zapukał.

– Kto tam? – spytał kobiecy głos.

Adaiz znał jego brzmienie ze wspomnień Pruit. To była Lekarka.

– Jestem przyjacielem Pruit – powiedział po angielsku.

Zgrzytnęła unoszona klapka judasza. Adaiz stał wyprostowany z przyjaznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Z typu urody tak bardzo przypominał Pruit, iż nie miał wątpliwości, że zostanie wpuszczony.

Po kilku chwilach łańcuch został odpięty i Lekarka uchyliła drzwi na kilka cali. Adaiz przeżył mały szok, widząc po raz pierwszy w życiu kobietę, której twarz tak dobrze znał z cudzych wspomnień.

– Dzień dobry – powiedział, zauważając mikrofon translatora przy policzku Lekarki. – Mam na imię Niks. Przybyłem z drugą misją Kinlai. Pruit poprosiła mnie, abym sprawdził, czy mógłbym w jakikolwiek sposób pomóc twojemu mężowi.

– Nie mówisz w haight?

– Obawiam się, że nie. – Wykorzystując wiedzę, jaką zdobył, obserwując ludzi, Adaiz starał się promieniować aurą przyjaźni i otwartości. Poświęcił wiele godzin na wyćwiczenie ludzkich gestów i min. – Niestety, nie przeszedłem kursów tego języka. Mam jednak inne… specjalności.

Trzeba było dobrych kilku minut przekonywania, ale w końcu Lekarka cofnęła się i wpuściła Adaiza do apartamentu. Inżynier stał

oparty o ścianę i obserwował wchodzącego gościa. Lekarka wyjaśniła mu, z kim mam do czynienia, ale z twarzy Inżyniera nie spływał wyraz udręczonej konfuzji. Adaiz podszedł doń, czując szczere współczucie dla tego człowieka w jego straszliwym stanie umysłowego splątania.

– Przyszedłem tu dla ciebie – powiedział łagodnym tonem.

– Możliwe, że cię nie rozumie – wtrąciła Lekarka.

Adaiz uśmiechnął się i ujął dłonie Inżyniera w swoje własne. Wciąż zaskakiwało go uczucie, jakiego doznawał dotykając ludzkiego ciała. Było inne niż ciało Lucena: nieznacznie cieplejsze i mniej sprężyste. Nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić.

– To nieistotne. Słowa są jednym z najniższych poziomów komunikacji. Chodź.

Pociągnął Inżyniera na środek pokoju i pomógł mu usiąść na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Sam zajął taką samą pozycję naprzeciwko. Lekarka obserwowała to wszystko, zaskoczona gotowością swojego męża do spełniania poleceń tego obcego człowieka.

– Musisz się odprężyć – powiedział Adaiz, a potem, przypomniawszy sobie, że Inżynier może go nie rozumieć, sięgnął przed siebie i delikatnie zamknął mu powieki.

Adaiz rozpoczął rytuał oddychania, przechodząc przez kolejne stopnie Otwarcia. Po dziesięciu minutach zdołał wypełnić przestrzeń pomiędzy sobą a Inżynierem. Sięgnął po iskrę, którą ujrzał przed sobą, po czym skoczył naprzód, nurkując w chorym umyśle.

Natychmiast porwał go wir. Miotał się w huraganie fragmentów rozszczepionych myśli, które wpadały na siebie i splatały się, tworząc zgęstki niemal trzeźwej logiki tylko po to, by zaraz znów rozproszyć się w chaosie. Na krótką chwilę Adaiz stracił poczucie własnego ja. Stał się ruchem, obłędem, opętańczą pogonią za myślami. Z ogromnym wysiłkiem wydobył się z powrotem do obiektywności i przyjrzał się temu, co zobaczył.

Ciało Inżyniera doznało straszliwego, niemal śmiertelnego urazu, wskutek którego jego zdolność do kojarzenia i formułowania myśli została poważnie upośledzona, prawie zniszczona. Myśli i wiedza wciąż w nim trwały, ale każda próba przekazania jej albo

racjonalnej analizy wywoływała huragan. Adaiz posłał Inżynierowi uczucie spokoju.

„Widzę cię – pomyślał. – Widzę cię i nie mylę z rozstrojonymi funkcjami twojego umysłu, z którymi musisz żyć".

W odpowiedzi zalała go fala wdzięczności.

„Przykro mi, że musisz tak cierpieć. Pozwól mi posłużyć, jako kanał komunikacji".

Znowu wdzięczność, a potem gorliwa chęć, aby coś powiedzieć. Ta gorliwość obruszyła kolejną lawinę niepowiązanych obrazów.

„Spokojnie". – Pomyślał Adaiz. – „Poczekaj, sam zajrzę".

Huragan jakby przycichł. Adaiz wniknął głębiej w umysł Inżyniera. Musiał przedzierać się przez obrazy bólu, budzenia się z tysiącletniego snu, braku powietrza i pierwszego ataku splątania. Przeniósł się do wcześniejszych wspomnień i ujrzał budowę bunkra, ustawione w szeregu komory stazy, a także Mechanika, do którego doczepione było uczucie nieufności. Był też inny mężczyzna, młodzieniec o bujnej złotej grzywie opadającej aż na ramiona. Byli też mężczyzna i kobieta, którzy w pewnym sensie byli bogami, choć przy tym nie przestali być zwykłymi ludźmi.

Adaiz czuł, że uwaga Inżyniera nasila się i nabiera ostrości. Odnalazł obraz jego żony pakującej swoje rzeczy, a potem złotowłosy mężczyzna przed czymś ich przestrzegł. Adaiz był blisko czegoś istotnego. Czuł, że Inżynier ponagla go, ale wtedy obrazy zaczęły gubić porządek, rozsypywać się…

„Spokojnie". – Pomyślał Adaiz. Inżynier rozluźnił się jeszcze raz i Adaiz wrócił do grzebania w przeszłości. Pod wszystkimi zwykłymi obrazami, które zdawały się mieszać ze sobą, zataczając powolne, przypadkowe kręgi, wyczuł coś jeszcze: centralną ideę. Sięgnął po nią. Przyklejone do niej było figlarne uczucie, psotna satysfakcja z przechytrzenia kogoś. Adaiz przyciągnął to bliżej. Nareszcie ujrzał obraz wyraźnie i zrozumiał go. Nie otwierając oczu, uśmiechnął się. Po raz pierwszy w życiu ten ludzki grymas wydobył się z niego całkowicie naturalnie.

Otworzył oczy. Inżynier też.

„Bardzo dobrze. – Pomyślał Adaiz. – Rozumiem".

Inżynier poczuł jego słowa. Jego własny umysł nie był ani trochę czystszy, ale Inżynier wiedział, że ten człowiek znalazł w nim myśl, która jest ważna. Uśmiechnął się do niego.

Adaiz delikatnie przerwał połączenie pomiędzy nimi i pozwolił sobie na chwilę delektowania się poczuciem triumfu. Ukradnie pompę Eschlessa! Sprzątnie ją Pruit sprzed nosa! Ukradnie ją i dostarczy do domu, a wtedy Luceni zostaną władcami kosmosu i wszystkiego, co się w nim znajduje. Zgładzą Trucicieli raz na zawsze i niepowstrzymani ruszą na podbój galaktyki. A on wykarczuje pytania, jakie Pruit zasadziła w jego umyśle. Odkupi śmierć brata, przynosząc tej misji sukces, o jakim nikt nie śmiał nawet marzyć. Enon-Amet będzie czczony jako bohater.

Poderwał się na równe nogi. Lekarka patrzyła na niego wyczekująco.

– Twój mąż próbował ci coś powiedzieć, Lekarko – powiedział powoli. – Jest pewna ważna rzecz, którą musimy zrobić. I musimy ją zrobić teraz.

Lekarka spojrzała na Inżyniera, który wyglądał na spokojniejszego, niemal szczęśliwego. Przeniosła wzrok z powrotem na Adaiza.

– Co mamy zrobić?

– Pójdę po samochód – odpowiedział. – Przejedziemy się.

Rozdział 48

Adaiz siedział za kierownicą swojego zielonego jeepa, lawirując w gęstym kairskim ruchu. Jechali ulicą biegnącą wzdłuż Nilu otoczeni mrowiem autobusów i taksówek pracowicie pompujących atmosferę spalinami. Lekarka siedziała na miejscu pasażera, zaś Inżynier z tyłu obok rzeczy, które Adaiz w pośpiechu wrzucił do samochodu.

– Jesteś pewien, że Pruit będzie wiedziała, gdzie jesteśmy? – niepokoiła się Lekarka.

– Spotkamy się z nią na miejscu – odpowiedział Adaiz stanowczym, uspokajającym tonem.

Lekarka wydawała się usatysfakcjonowana odpowiedzią. Chciała ufać Adaizowi nie tylko z powodu jego podobieństwa do Pruit, ale przede wszystkim dlatego, że Inżynier najwyraźniej go polubił. Po raz pierwszy od przebudzenia widziała męża tak zadowolonego. Z rozpostartą na kolanach mapą pełniła funkcję pilota. Na razie jednak nie poruszali się zbyt szybko. Był szczyt pory lunchu i zator, w którym utknęli, poruszał się w żółwim tempie.

– Musimy skręcić w prawo na następnym dużym skrzyżowaniu – wskazała dłonią przed sobie. – Tak dojedziemy do wylotówki.

Adaiz przesuwał samochód po kilka cali na raz. Piesi swobodnie przechadzali się między samochodami. Sygnalizacja świetlna zdawała się nie mieć żadnego związku z rytmem przepływu ruchu. Jeep był mały, a bijące weń z góry promienie słońca przemieniały go w piec na kołach.

Nareszcie w szeregu pojazdów przed nimi nastąpiło poruszenie i cały pas ruszył naprzód na zielonym świetle. Adaiz wcisnął gaz.

Jednak zanim dotarli do skrzyżowania, światło znów zmieniło się na czerwone. Samochody z poprzecznych ulic zaczęły ruszać, ale Adaiz wciąż nie hamował.

– Stój! – krzyknęła Lekarka.

Adaiz wdusił hamulec. Samochód szarpnął, zapierając się kołami o asfalt, i zatrzymał w samą porę, by nie wbić się w potok aut nadjeżdżających z boku.

– Przepraszam – powiedział Adaiz; rozpraszały go myśli o bunkrze. – To wciąż dla mnie nowa rzecz.

Lekarka odpowiedziała uśmiechem.

– Dla mnie też.

Ludzie okrążali samochód z przodu i z tyłu, przeciskając się na drugą stronę ulicy. Adaiz ujrzał grupę uczennic w jednakowych mundurkach, dziewcząt o długich czarnych włosach i ciemnych oczach. Grupę prowadziły dwie kobiety w długich szatach i chustach na głowie. Mężczyźni w galabijach i kufi dźwigali jakieś skrzynie. Za nimi szły nastoletnie dziewczyny w zachodnich ubraniach. Adaiz patrzył na nich wszystkich, nie widząc ich naprawdę.

„To nie jest mój lud. – Powtórzył w myśli kilka razy. – Oni mnie nie obchodzą".

Światło zmieniło się na żółte w przygotowaniu do zielonego. Na chodniku mały chłopiec puścił rękę mamy i wybiegł na skrzyżowanie, zapatrzony w podskakującą na nich ziębę. Matka zorientowała się, że jej synek znikł, o krótką chwilę za późno. Malec kluczył między samochodami. Był tak niski, że kierowcom trudno go było dojrzeć. Ptak, którego śledził, wciąż nie odlatywał. Podskakiwał uciesznie na asfalcie, przebierając w okruchach porzuconego jedzenia, nie zwracając uwagi na samochody i ludzi.

Zapłonęło zielone światło i Adaiz wcisnął gaz. Dokładnie w tej samej chwili chłopiec wskoczył przed jeepa, naśladując zabawne ruchy ptaka. Kiedy tylko jego stopy uderzyły o ziemię, malec zorientował się w swoim błędzie i obejrzał się na samochód, strwożony i zaskoczony. Przez ułamek sekundy Adaiz i chłopiec patrzyli sobie w oczy. Samochód skoczył do przodu, ale w tym samym momencie Adaiz obiema stopami wbił hamulec w podłogę. Wóz stanął dęba, ciskając pasażerów w przód, potem w tył, ale na szczęście zatrzymali się przed chłopcem. Za nimi zapiszczały opony następnego auta, które ledwie uniknęło wjechania im w tył.

Chłopiec stał w absolutnym bezruchu, wpatrzony w Adaiza, sparaliżowany świadomością swojej pomyłki. Zderzak jeepa zatrzymał się cale od jego ciała. Matka podbiegła szybki i zgarnęła go w ramiona. Przytuliła malca mocno do piersi, zatapiając twarz w jego szyi i tak poniosła z powrotem na chodnik. Chłopiec objął ją małymi rączkami i wybuchł płaczem.

Wokół jeepa zaczęły ruszać samochody, ale Adaiz wciąż nie zdejmował stóp z hamulca. Wzrokiem podążał za matką i chłopcem. Patrzył i tym razem widział wszystko. Widział, w jaki sposób kobieta stawia syna na chodniku; jak przykuca, aby spojrzeć mu w twarz; jak przygładza mu włosy i całuje w policzek. Był dla niej bezcenny i właśnie zdała sobie z tego sprawę na nowo. Co więcej, chłopiec był bezcenny także dla Adaiza. W tamtej chwili nic na świecie nie było dla niego ważniejsze od ocalenia go.

– Niks? – zagadnęła Lekarka. – Możemy jechać.

Za nimi ryczał chór klaksonów, ale Adaiz niczego nie słyszał. Próbował dojść do siebie. Siedział w jeepie; byli z nim Inżynier i Lekarka. Był na Ziemi, planecie ludzi, osiemnaście lat podróży od domu. Umiejscowiwszy się w przestrzeni, uświadomił sobie nagle, że w jego wnętrzu coś się zmieniło. Właśnie doświadczał, długo po samym akcie, skutków swojego egani-tah z Pruit. Starał się odrzucić obrazy, które od niej przejął; trzymać je z daleka od siebie; nie dopuszczać, aby stały się inspiracją dla myśli i uczuć. Nagle nie potrafił już tego robić. Ten mały chłopiec zburzył w nim jakiś mur, zaś doświadczenia Pruit – i każde uczucie, jakie wywołała w nim, odkąd ujrzał ją po raz pierwszy – zobaczył teraz w zupełnie nowym świetle. Ludzie nie byli jego ludem, to wciąż było prawdą, ale nie miało już znaczenia. Byli tacy sami. Ludzie, Luceni czy jakakolwiek inna wciąż nieodkryta rasa, wszyscy byli tacy sami. Nie potrafił już dłużej udawać, że jest inaczej. Każda rasa starała się przetrwać. Dzieci takie jak ten chłopiec, jak każde luceńskie dziecko, były cenne. Każda rasa miała nadzieję poprawić byt swoich przyszłych pokoleń. Owszem, ludzie przez większą część swojego czasu błądzili. Tak jak Luceni często podejmowali niewłaściwe decyzje. Nie miało to znaczenia. Wszyscy pragnęli tego samego: życia.

– Niks – powtórzyła Lekarka. – Musimy jechać.

Adaiz odwrócił się do niej. Ściskał kurczowo kierownicę, a jego twarz przybrała zupełnie nowy wyraz.

– Nie nazywam się Niks – powiedział.

Rozdział 49

Pruit siedziała na krawędzi łóżka, opierając stopy na podłodze, a głowę na dłoniach. Miała pustą minę i czuła się pusta w środku. Porażka. Tak właśnie smakuje. Zimna martwota. Nie była w stanie płakać, krzyczeć ani robić czegokolwiek innego w celu rozładowania emocji, ponieważ nie było w niej emocji do rozładowania. Była tylko groza, którą czuła od zawsze.

Cały lot z Genewy przesiedziała w tępym odrętwieniu. Eddie zostawił ją w spokoju. Teraz byli w hotelowym pokoju w Kairze i Eddie powoli chodził przed nią tam i z powrotem. Nie zwracała na niego uwagi.

Straciła pompę Eschlessa. Była tam, w rękach Mechanika, zaledwie jardy od niej, a ona ją straciła. Jedyny egzemplarz najsekretniejszego z sekretów spłonął na jej oczach, a ona nie mogła temu zapobiec. Co gorsza, sama sprowadziła na siebie tę klęskę, ponieważ to ona uwolniła Jeana-Claude'a i dała mu siłę do dokonania swojej zemsty.

Daleko stąd na Herrodzie ludzie kopali głębsze nory, aby ukryć się w nich, kiedy zaatakują Luceni. Jej ojciec, matka, brat – czy wiedzieli już o ataku? Czy Czuwający zaczęli informować ludność o czekającym ich losie? O tym, że za kilka lat wszyscy będą martwi? Chciała poczuć w sobie energetyzujący płomień nienawiści do Lucenów, ale nawet to zostało jej odebrane.

Nagle Eddie zatrzymał się i przykucnął przed Pruit, kładąc dłonie na jej kolanach i zmuszając ją, aby na niego spojrzała.

– Pruit, to nie był jedyny egzemplarz planów.

Minęła dłuższa chwila, nim przestawiła głowę na angielski i uświadomiła sobie znaczenie tych słów.

– Co?

– Inżynier! On wie wszystko o pompie Eschlessa. To on zbudował statek, którym tu przylecieli. Ostatnia kopia jest w jego głowie.

– Już o tym myślałam, Eddie. W jego stanie nie będzie z niego pożytku. – Jej głos był suchy.

– Może… może da się go wyleczyć? Na twoim statku?

– O tym też myślałam – odparła. – Ale nie mam dostępu do statku. Mój lądownik jest rozbity.

– Dostaniemy się do twojego statku – powiedział z przekonaniem. – Coś wymyślimy. Wysyłaliśmy już sondy na Marsa. Sięgniemy i Jowisza.

– Kiedy? – spytała, choć tak naprawdę nie była zainteresowana. Wiedziała, jak prymitywna jest ziemska technika astronautyczna.

– Za jakieś… nie wiem, dziesięć lat? Amerykanie rzucą się na ten temat, kiedy tylko dowiedzą się o twoim statku. Callen nam pomoże; pogadamy z moim ojcem. Pokażemy twój biokombinezon na dowód, że jesteś…

– Ja nie mam dziesięciu lat, Eddie! – ucięła, nareszcie unosząc się gniewem. – Do inwazji Lucenów zostało piętnaście lat! Nawet jeśli dostaniemy się na Jowisza, nawet jeśli wyleczymy Inżyniera, nie wystarczy nam czasu na dostarczenie tych informacji do domu.

Eddie przyglądał się jej przez chwilę, a potem wstał i wymierzył jej trzeźwiący policzek. Wstrząśnięta Pruit wytrzeszczyła na niego oczy.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyknął.

Pruit patrzyła na niego, podnosząc dłoń do piekącego policzka.

– Znajdziemy sposób! – krzyczał Eddie. – Znajdziemy, słyszysz? Opamiętaj się! Jesteś Pruit Pax! Nie poddajesz się!

Spojrzała na niego i ujrzała odmienionego człowieka. Gdzie się podział ten wesołkowaty, leniwy dyletant, którego spotkała na lotnisku w Kairze? Znikł bez śladu, zastąpiony przez tego człowieka, jej partnera w zadaniu. Nagle Pruit parsknęła śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – naburmuszył się Eddie, wciąż zły.

– Nie wiem.

Zaśmiała się znowu. Groza rozwiewała się. Już nie musiała mierzyć się z nią sama. Był z nią Eddie.

Eddie popatrzył na nią i jego gniew ulotnił się w jednej chwili. Uśmiechnął się szeroko. Usiadł na łóżku obok niej i wziął ją w ramiona.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, jak się śmiejesz – wyszeptał.

– Cóż, jeszcze nigdy nie próbowałeś mnie karcić – zauważyła, przytulając go mocno.

Eddie uśmiechnął się do jej szyi.

– Znajdziemy jakiś sposób.

– Wiem. – Odchyliła się do tyłu, żeby spojrzeć mu w twarz. – Wiem.

Pocałowali się delikatnie.

Przerwało im pukanie do drzwi. Powoli, wzdychając, oderwali się od siebie, oboje niechętni przerwaniu pieszczoty. Pruit przeszłą przez pokój i przyłożyła oko do wizjera, spodziewając się pokojówki. Zamiast niej zobaczyła Adaiza. Odskoczyła od drzwi.

– Kto to? – szepnął Eddie, zaniepokojony wyrazem jej twarzy.

Pruit po cichu podeszła do stołu, wzięła jeden z miotaczy i nasunęła go sobie na dłoń.

– Człowiek Lucen. Czego chcesz? – zawołała w soulene.

– Chciałbym przedstawić ci propozycję – odpowiedział Adaiz w tym samym języku, zniekształcając słowa lekkim seplenieniem.

Pruit jeszcze raz spojrzała przez judasz. Zobaczyła dwie wypukłości koszuli przy jego pasie: pistolet i nóż. Ale sama też była dobrze uzbrojona. Była w głowie tego człowieka i miała trudności z podtrzymaniem uczucia wrogości. Mogła go zabić, gdyby zaszła taka konieczność, ale najpierw chciała go wysłuchać. Za jej plecami Eddie podniósł własny pistolet i nóż. Otworzyła drzwi.

Adaiz stał na korytarzu, opierając się ręką o framugę i patrząc na Pruit. Skinieniem uzbrojonej dłoni zaprosiła go do środka i kopnięciem zamknęła za nim drzwi. Adaiz rozejrzał się, omiatając Eddiego, Pruit i umeblowanie jednym pobieżnym spojrzeniem. Powoli podszedł do łóżka i usiadł ciężko na krawędzi, dokładnie tam, gdzie przed chwilą siedziała Pruit. Przeczesał dłonią swoje krótkie włosy, westchnął i spojrzał na Pruit.

– Mam to, czego chcesz – oznajmił. – A przynajmniej wiem, gdzie to jest. Mogę ci to dać. Ja, Lucen, oddam to tobie, mojemu kinlajskiemu wrogowi. Ale najpierw chciałbym wiedzieć, co masz do zaoferowania mnie.

Pruit przyjrzała mu się badawczo. Nie proponował jej zdrady. Sugerował coś innego. Znała odpowiedź; wiedziała dokładnie, czego chce, co mogła mu dać. Pragnęła tego samego od chwili, kiedy ich umysły się połączyły.

– Mogę zaoferować ci zrozumienie – powiedziała. – Dla ciebie, dla mnie. Dla obu naszych ras.

Adaiz uśmiechnął się kolejnym w swoim życiu naturalnym, ludzkim uśmiechem. Tym razem w jego grymasie zmęczenie mieszało się z satysfakcją.

– Dobrze – kiwnął głową. – Dokładnie na to liczyłem.

Rozdział 50

Pruit, Eddie, Adaiz-Ari, Lekarka i Inżynier przeszli przez podziemny korytarz prowadzący do bunkra śpiących. Przybyli tam razem po całodziennej jeździe przez pustynię. Na końcu przejścia Pruit wprowadziła kombinację i podwójne drzwi śluzy wpuściły ich do właściwego schronu. Na ścianach zapłonęły lampy, zalewając pomieszczenie żółtym światłem. Adaiz wyszedł przed Pruit i rozejrzał się ciekawie, zatrzymując wzrok na trumnokształtnych komorach stazy. Wskazał na jedną z nich.

– W tym tutaj spał Inżynier – było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak – potwierdziła Pruit.

Adaiz podszedł do zbiornika i obejrzał go. Za jego plecami Inżynier zaczął w podnieceniu przestępować z nogi na nogę. Adaiz odwrócił się i uśmiechnął do niego.

– Inżynier został ostrzeżony przez… młodzieńca o jasnych włosach… – zaczął Adaiz.

– Przez Lwa? – spytała Lekarka.

– Tak, przez Lwa. Lew powiedział mu, że kryształy pamięci będą kuszącym zasobem.

Ukląkł przy komorze i zaczął badać duży, ciemny postument, na którym spoczywała.

– Był też inny człowiek. Człowiek, który w jakimś sensie był… bogiem? – słowa te brzmiały śmiesznie, wypowiedziane na głos, ale wiedział, że mówią prawdę.

– Kapitan – ożywiła się Lekarka.

– Tak, Kapitan. Inżynier podejrzewał, że może spróbować wedrzeć się do bunkra, dlatego zachował w tajemnicy kody wejściowe. Miał je tylko statek kurierski posłany na Herroda.

Adaiz powiódł dłonią po krawędzi postumentu pod komorą. Pruit podeszła do niego i uklękła obok.

– Lew przestrzegł ich też przed Mechanikiem. Dlatego Inżynier dopilnował, by Mechanik nie budził się z hibernacji. – Adaiz

przerwał i spojrzał na Lekarkę. – Jak to się stało, że Mechanik zdołał się obudzić?

– Zmienił program. Musiał to zrobić tuż przed naszym wejściem w stan stazy. W jakiś sposób udało mu się zmienić numer wybudzanej komory.

– Ach, wielka szkoda – Adaiz powiedział to szczerze.

Widział umysł Inżyniera i wiedział, że człowiek ten byłby niepocieszony, wiedząc, że nie zdołał zapobiec tej małej, ale znaczącej zdradzie.

Jego dłonie badały teraz brzegi postumentu.

– W każdym razie Inżynier wiedział, że kryształy muszą być dobrze chronione. Gdyby ratunek nie nadszedł, potrzebowali ich, aby móc zacząć nowe życie. A gdyby nadszedł, to przecież wojna mogła pozbawić Kinlai części ich zdobyczy technicznych, a wtedy kryształy mogłyby wypełnić luki. Tak czy owak, wolał dopilnować, aby kryształy pozostały w bunkrze.

Adaiz przesunął dłońmi wzdłuż linii, gdzie skałometalowy postument stykał się ze skałometalową posadzką. Nagle zatrzymał się. Nacisnął bok postumentu, nieznacznie poruszając dłońmi tam i z powrotem.

Pruit patrzyła w zdumieniu, jak długa część boku postumentu zdaje się cofać o ułamek cala, a potem gładka powierzchnia odskakuje w górę. Pruit wstrzymała oddech. Otwarta klapa mierzyła około trzech stóp długości i stopę szerokości. Tuż za nią widać było kilka szeregów małych skrzynek.

– Dlatego sporządził kopie wszystkich kryształów – podjął Adaiz. – W tajemnicy. Nawet jego żona niczego nie wiedziała.

Wysunął jedną ze skrzynek ze schowka i wręczył ją Pruit.

Ujęła ją i nacisnęła wieko przy szwie biegnącym wzdłuż boku. Wieko odchyliło się miękko, odsłaniając szereg kryształów pamięci, schludnie poukładanych w osobnych przegródkach.

– Słodkie życie! – wyrwało się Pruit. – Mieliśmy je tuż pod nosem!

Pomogła Adaizowi wydobyć resztę skrzynek ze schowka. Naliczyli ich dwadzieścia. Pod wiekiem każdej z nich zapisano nazwę dziedziny, której dotyczyły zapisane w kryształach informacje. Pruit

otwierała je po kolei, aż znalazła tę, której szukała. Napis pod jej pokrywką brzmiał: „systemy statku”. Pruit uśmiechnęła się.

Rozdział 51

Rok 2564 p.n.e.
Czterdziesty trzeci rok kinlajskiej ekspedycji na Ziemi.

…oby znalazło się dla mnie miejsce w słonecznej barce, w dniu boskiej przeprawy, i obym został przyjęty przed oblicze Ozyrysa w Krainie Oczyszczenia…

Egipska Księga Umarłych

Król Chufu leżał na swoim łożu zgięty wpół, z pościelą zwiniętą w kłąb wokół nóg. Było mu gorąco i zimno jednocześnie – dwie uciążliwości zdawały się zmagać o to, która dokuczy mu bardziej. Skórę miał lepką, a mięśnie zwiotczałe, strawione trwającą od miesięcy gorączką.

Miał trzydzieści osiem lat, zdobywca i siewca pokoju; człowiek, dla którego własna sprawność fizyczna zawsze była źródłem ogromnej dumy. Kondycją dorównywał najlepszym żołnierzom swoich armii – aż do ubiegłego roku. Wtedy to, po wojskowej wyprawie na Synaj, dopadła go choroba żołądka. Jego lekarze próbowali wszelkich znanych sobie środków, ale żaden nie przynosił efektów poza być może krótkotrwałym zmniejszeniem bólu.

W ostatnich miesiącach choroba rozprzestrzeniła się, siejąc spustoszenie w całym układzie pokarmowym i atakując płuca. Oddychał z najwyższym wysiłkiem i zdawał sobie sprawę, że znalazł się u kresu swojego życia. Było kwestią najwyżej dni, zanim wyzionie ducha.

– Panie, wszystko gotowe.

Głos zaskoczył Chufu, który był pewien, że jest w komnacie sam. Z wysiłkiem obrócił głowę, by ujrzeć swojego osobistego sługę,

stojącego u stóp łoża, odzianego w długą, ceremonialną szatę. Tuż za nim czekali dwaj posługacze, również odświętnie wystrojeni, trzymający szaty dla króla i jego paradną sztuczną brodę.

Chufu skinął głową.

– Tak… – wykrztusił i rozkaszlał się, czując gorące igły bólu w piersi. – Już czas. Odprawcie mnie.

Posługacze owinęli go w szaty i przytwierdzili sztuczną brodę do królewskiego podbródka. Pierwszy sługa umieścił mu na głowie wysoką, podwójną koronę, symbol panowania nad oboma królestwami Egiptu. Wydała mu się zbyt ciężka.

Potem ułożyli go w lektyce i cicho ponieśli przez pałac. Napotykani ludzie kłaniali się w milczeniu. Nikt się nie odzywał. Dwór miał już za sobą pożegnania. Koronację królewskiego syna zaplanowano miesiące temu, zaś Chufu uczynił go regentem, kiedy tylko zauważył postępy swojej choroby. Żona Chufu i kobiety z jego haremu opłakiwały go już od pewnego czasu.

Na zewnątrz Chufu powitał oddział straży honorowej i pozwolił przenieść się do większej lektyki podróżnej. Na przemian tracącego i odzyskującego przytomność poniesiono go przez pałacowe ogrody, ulice Memfis i wreszcie otwartą przestrzeń za miastem.

Wczesnym popołudniem dotarli do piramidy – pomnika, który wybudował dla niego jego ojciec; latarnię, która miała sprowadzić gwiezdną barkę na miejsce lądowania. Ktoś rozsunął zasłony lektyki i Chufu zmrużył oczy, porażony ostrym blaskiem słońca. Piramida stała przed nim, samotna na wielkiej równinie, białe gmaszysko zwieńczone złotym piramidionem. Stanowiła najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek widział, zapierające mu dech za każdym razem, kiedy na nie spoglądał. Jej piękno psuł jedynie brązowy pas, szpecący jedną ze ścian w miejscu, gdzie tymczasowo usunięto warstwę kamiennej okrywy, aby umożliwić dostęp do wnętrza.

Piramida była gotowa od ponad dwudziestu pięciu lat. Była symbolem władzy Chufu, dokładnie tak, jak obiecał mu ojciec. Po śmierci Ozyrysa Chufu nakazał, aby budowę kontynuowano zgodnie z planem. Wprowadził tylko jedną zmianę: umieścił kamienny sarkofag w centralnej komorze budowli. Miało to być jego własne miejsce ostatniego spoczynku.

Kapłani Ozyrysa wraz z kapłankami Izydy utworzyli długi szpaler prowadzący od królewskiej lektyki aż do rusztowania przed piramidą. Żegnali władcę inkantacjami, śpiewając zaklęte słowa, które będzie musiał wygłosić, aby zostać wpuszczonym na pokład niebiańskiego korabia. Idąc powoli wzdłuż szpaleru, Chufu mamrotał te same słowa do siebie.

Nie zaprosił rodziny na tę uroczystość, ponieważ chciał, aby patrzyli wyłącznie naprzód, w chwalebną przyszłość rodu, a nie rozpamiętywali smutek tego dnia. Nie życzył sobie też zawiłych rytuałów typowego królewskiego pogrzebu, jako że nie umierał – zaledwie układał się do snu. Ci, którzy przyszli, byli jedynie przyjaciółmi, wyprawiającymi go w daleką podróż.

Rusztowanie sięgało od podstawy piramidy do punktu na środku ściany. Tam, w miejscu tymczasowo usuniętych płyt okrywy, otwierało się przejście wiodące do centralnej komory. Słudzy wnieśli Chufu na szczyt rusztowania, a następnie pomogli mu przejść po drewnianej rampie do wnętrza piramidy.

Chufu wkroczył do środka i atmosfera zmieniła się w jednej chwili. Żar upalnego dnia znikł, jakby ktoś zgasił słońce. Korytarz oświetlały tylko pełgające płomyki lampek oliwnych, dymiące sadzą w i tak zatęchłym powietrzu.

„Nie szkodzi” – pomyślał Chufu. Miał potrzebować powietrza najwyżej przez kilka minut.

Poprowadzono go długimi korytarzami do centralnej komory. Sarkofag stał na końcu wysokiego pomieszczenia, prosty, pozbawiony ozdób. Wypełniony był płynem, który miał utrzymać go przy życiu. Ciemną ciecz przygotowano według wskazówek pozostawionych przez Inżyniera. Był to człowiek, o którym ojciec często mu opowiadał. Sekret Śpiących – bogów, którzy udali się na długi spoczynek, aby oczekiwać przybycia statku, mającego zawieźć ich do domu – nie pozostał tajemnicą zbyt długo. Nie było wiadomo, gdzie się schronili – Ozyrys nigdy o tym nie wspominał, nawet własnemu synowi; opowiadał za to legendy o tym, co się tam wydarzyło. Bogowie ułożyli się do snu śmierci, aby oczekiwać wskrzeszenia. A Chufu odnalazł przepis na miksturę, dzięki której było to możliwe.

Jego kapłani nie mieli wszystkich potrzebnych składników, ale to, czego im brakowało, zastąpili eliksirami pierwszorzędnej jakości – substancjami, które troskliwie przechowywano od czasu przybycia jego ojca. W celu zagwarantowania ich potencji, wszystkie składniki zostały wielokrotnie pobłogosławione przez kapłanów służących jego ojcu, Ozyrysowi, oraz kapłanki służące matce – Izydzie. Ich moc nie budziła wątpliwości, a mimo to, patrząc na sarkofag, Chufu poczuł wzbierającą w nim falę lęku. Jakie to będzie uczucie? Czy będzie śnił, czy raczej trwał w otchłannej ciszy?

Tuż obok, oparte o ścianę, stało wieko sarkofagu, wykonane z najlepszego drewna. Chufu nie chciał kamienia, rzecz jasna, ze względu na jego ciężar – zbyt wielki dla lokatora grobowca. Wieko zostało zaimpregnowane na całe pokolenia i było dość lekkie, aby Chufu mógł zepchnąć je na bok.

Przy ścianach komory stały szeregi kapłanów i kapłanek. Kiedy Chufu zrobił pierwszy krok w stronę sarkofagu, zebrani zaczęli śpiewać:

– On przekracza granice światów. On wstępuje do nieba. Jemu dane jest nowe życie.

Ich głosy brzmiały dziwacznie w tym pomieszczeniu; rezonując milionowym echem, wprawiały ściany w drżenie. Było to niemal przerażające.

Chufu podszedł do sarkofagu bez pomocy. Dotarłszy do kamiennej skrzyni, oparł ręce na jej krawędzi, pozwalając, by podtrzymywały ciężar jego ciała. Wewnątrz połyskiwał czarny płyn. Nadszedł czas. Płomyk życia w jego ciele ledwie się tlił. Teraz położy się w sarkofagu i czas zatrzyma się dla niego aż do momentu, w którym bogowie przybędą, aby zabrać go ze sobą. Uzdrowią go i otrzyma drugie życie wśród nich.

– Jestem gotów, kapłanie.

Rozdziali go, a potem unieśli wymizerowane ciało i ostrożnie opuścili do płynu. Był nieprzyjemnie zimny. Chufu zanurzył się w nim po szyję, a potem odchylił głowę do tyłu, powoli ją zanurzając. Poczuł, jak płyn wlewa mu się do uszu, zalewa twarz. Poczuł, jak ręce kapłanów wpychają go głębiej pod powierzchnię. Jego plecy oparły się o zimny kamień. Musiał zaczerpnąć tchu

płynem – wiedział o tym. Musiał wciągnąć miksturę do płuc, tak jak śpiący. Będzie się czuł, jakby tonął, ale to nie będzie śmierć, tylko sen.

Zwlekał. A co, jeśli się pomylił? A jeśli ten płyn to tylko jakaś głupia mikstura? Było za późno. Trzymali go. Nakazał im, aby nie pozwolili mu się wynurzyć, nawet gdyby się szamotał. To był akt wiary.

Zaciągnął się. Płyn wlał mu się do płuc, wypełniając je ogniem. Tonął. Umierał. Szarpnął się, ale kapłani mocno dociskali go do dna. Chciał wypluć płyn, ale tylko nabrał go więcej. Miał zwiotczałe mięśnie. Nie było w nich siły. Trzymali go i nie miał już czym oddychać. Płuca protestowały, ciało protestowało, Chufu wygiął się w ostatniej konwulsji bólu… i umarł.

Kiedy król zwiotczał im pod dłońmi, kapłani zaintonowali długą inkantację pożegnalną. Następnie sarkofag przykryto wiekiem i cały orszak wyszedł na zewnątrz. Robotnicy szykowali się do zamurowania wejścia hodowanym kamieniem – wnętrze piramidy było mieszkaniem Chufu i nikogo więcej.

W ciągu następnych tygodni wyhodowano nową okrywę i wkrótce piramida lśniła nieskazitelną bielą w blasku pustynnego słońca. W jej wnętrzu ciało Chufu stopniowo rozpuszczało się w płynie – miksturze, która tylko w połowie miała właściwy skład. Bez maszynerii komór stazy i przewodów odżywiających organizm nie było nadziei dla króla. W ciągu miesiąca ciało zostało strawione i nie pozostał po nim żaden ślad. Także drewniane wieko miało w końcu ulec rozkładowi.

Nikt tego jednak nie wiedział i pogrzeb Chufu w sarkofagu dał początek wyrafinowanemu kultowi królewskiej śmierci. Przez tysiące lat kolejne pokolenia usiłowały go naśladować, opracowując zawiłe techniki balsamowania, aby martwe ciała władców mogły doczekać następnego życia.

Technika budowy piramid pozostała w użyciu bez modyfikacji przez kilka pokoleń, a potem została utracona na zawsze, rozwodniona przez kapłanów, którzy zastąpili naukę religią, zapomniana przez mistyków, którzy szukali tylko obiektu czci.

Rozdział 52

Czasy obecne.

Luceński lądownik był taki, jakim wyobrażała go sobie Pruit. Ściany lśniły srebrzystym, wypolerowanym metalem, przywodzącym na myśl skórę Lucena. Pulpity sterujące wprawiono w te ściany schludnymi szeregami ekranów i świateł. Kabina miała kształt pękatego cylindra, z trzema fotelami zgrupowanymi na środku oparciami do siebie na podobieństwo płatków kwiatu. Pruit, Adaiz i Inżynier przewędrowali Afrykę Środkową, by dotrzeć do gór na krawędzi sawanny i w porastającym je lesie odnaleźć pojazd, który Adaiz i Enon ukryli tam przed kilkoma tygodniami.

Adaiz-Ari zasiadł na jedynym fotelu, który przystosowano do ludzkiej anatomii – tylko z tego miejsca mógł sterować statkiem. Przypięci do pozostałych foteli Pruit i Inżynier byli zaledwie pasażerami i cierpieli katusze na siedziskach kompletnie niedopasowanych do ich grzbietów. Pojazd wytwarzał umiarkowaną grawitację, wystarczającą, aby po odpięciu pasów nie odlecieli ze swoich miejsc.

Ze swojego miejsca Pruit mogła kątem oka dojrzeć monitory trajektorii lotu. Byli w ostatniej fazie hamowania i szykowali się do dokowania przy jej własnym statku.

– Adaiz, śluza jest po drugiej stronie – powiedziała.

Adaiz poruszył sterami, korygując tor lotu. Statki zbliżały się do siebie. Adaiz ustawił port dokujący, pozwalając mu rozciągnąć się i dopasować do krzywizny kinlajskiego kadłuba.

Przycumowali bez niespodzianek; zaledwie lekki wstrząs zasugerował połączenie się zamków cumowniczych. Pruit patrzyła, jak Adaiz uruchamia wysuwany kanał, tworząc most pomiędzy włazami obu statków. Podała mu kod do dokowania i po chwili jej statek był gotowy do ich przyjęcia.

– Tunel zabezpieczony – powiedział Adaiz, kiedy na pulpicie zapłonęły lampki gotowości śluzy.

Odpięli się od foteli. Inżynier próbował zrobić to samo, ale nie mógł sobie poradzić z klamrą. Pruit uwolniła go od pasów i pomogła wstać. Na ramię zarzuciła mały plecak, w którym schowała bezcenne kryształy.

Pomogła Inżynierowi przecisnąć się przez okrągły właz nad stropem kabiny. Ponad sobą mieli przejście prowadzące przez brzuch jej statku. Otworzyła luk i wspięła się do środka. Tam, ponad nią, było znajome pomieszczenie – jej dom przez prawie dwadzieścia lat. Pruit przeprowadziła Inżyniera po szczeblach śluzy i wkrótce oboje stali w kabinie. Po chwili dołączył do nich Adaiz.

– Witaj, Centrala – powiedziała Pruit.

– Witaj, Pruit – odpowiedział statek, natychmiast budząc się do życia, jakby nie było jej najwyżej kilka minut.

Ze ścian przemówił Niks. Pruit zapomniała, że tak będzie, i zaskoczyła ją gwałtowność smutku, jaki spłynął na nią wraz z tym dawno niesłyszanym głosem.

– Centrala, uruchom komputer układów podtrzymania życia. Mam do niego pilną sprawę – powiedziała, zmuszając się do opanowania.

Rozejrzała się, przesuwając wzrokiem po kojcach, które z odsuniętymi pokrywami i suchymi wyściółkami czekały cierpliwie na swoich pasażerów na drogę powrotną. W kabinie znajdowały się też dwa stanowiska sterowania, kącik treningowy, stacje medyczna i żywieniowa oraz komora sensoryczna – wszystko sprawne.

– Adaiz, pomóż mi wsadzić go do kojca.

Razem doprowadzili Inżyniera do kojca Niksa i rozebrali go. Pruit kazała Centrali napełnić zbiornik i biofluid zaczął wlewać się do środka, nasączając biowyściółkę, która nabrzmiała, stając się gąbczastą, pomarańczową tkanką. Pruit szybko zaprogramowała kojec na badanie medyczne zamiast stazy.

– Pomogę ci wejść do kojca – powiedziała do Inżyniera w haight.

Naśladując Lekarkę, pilnowała się, aby nie traktować go protekcjonalnie. Wskazała gestem na biofluid i wydało jej się, że Inżynier rozumie jej zamiary. Wraz z Adaizem pomogli mu wejść do

kojca. Biopędy zaczęły wyrastać z wyściółki, szukając jego ciała. Inżynier szarpnął się, próbując się od nich odsunąć, ale Pruit uspokajająco ścisnęła go za ramię.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Myślę, że to może ci pomóc.

W miarę jak przybywało biofluidu, Inżynier powoli rozluźnił się i ułożył w kojcu. Biopęd powietrzny odnalazł drogę w głąb jego tchawicy. Inżynier przeląkł się dławiącego uczucia, ale zaraz uspokoił. Po chwili opuścił głowę pod powierzchnię biofluidu. Adaiz patrzył zafascynowany na tę demonstrację kinlajskiej techniki. „Kinlai" – powtórzył w myśli. Po raz pierwszy nie pomyślał o nich odruchowo jako o „Trucicielach". Potrzebował czasu na przyzwyczajenie się do tej zmiany, ale był gotów spróbować.

Pruit podeszła do jednego z pulpitów sterowania, włożyła dłoń w manipulator i wywołała komputer układów podtrzymania życia. Adaiz patrzył na ekrany, na których zmiennobarwne komórki formowały się i przekształcały w ciągu nanosekund, malując żądane obrazy.

– Centrala, zsynchronizuj się z systemem podtrzymania życia i daj mi ocenę stanu człowieka w kojcu Niksa – powiedziała Pruit.

Czekała, aż statek przeprowadzi gruntowne badanie Inżyniera. Wreszcie Centrala odezwała się:

– Podstawowym problemem jest funkcjonowanie mózgu, Pru.

Pruit odepchnęła od siebie emocje, jakie wzbudził w niej poufały ton komputera.

– Widoczne są rozległe zmiany spowodowane niedoborem tlenu – ciągnęła Centrala. – Problem jest strukturalny. Całe klastry komórek zostały zniszczone w stopniu uniemożliwiającym autoregenerację.

– Możemy to naprawić?

– Jest to możliwe. Będzie to kwestią wyprodukowania dopasowanych komórek i poinstruowania jego ciała, gdzie ma je podłączyć. Ma nietypową grupę krwi, ale statek powinien sobie z tym poradzić.

– Zmobilizuj, proszę, wszelkie dostępne zasoby. Musisz go uleczyć.

– Spróbuję. Proces będzie długotrwały.

Układy podtrzymania życia na rozkaz Centrali rozpoczęły pracę.

Następną godzinę Pruit spędziła na wkładaniu i wyjmowaniu kryształów z czytnika wbudowanego w konsolę sterowania – wprowadzała dane o pompie Eschlessa do pamięci statku. Gdy pracowała, Adaiz usiadł na podłodze w pozycji medytacyjnej i zamknął oczy. Myślał o Enonie-Amecie; próbował go odnaleźć. Wydało mu się, że go wyczuwa, jego ducha, w domu, gotowego do rozpoczęcia nowego życia na pięknej Galei. W swojej niefizycznej formie Enon błyskawicznie przemierzył dystans, jakiego pokonanie zajęłoby materialnemu ciału dwadzieścia lat.

– Żegnaj, miły bracie – powiedział do Adaiza. – Oby spotkał mnie zaszczyt poznania ciebie znowu.

Skończywszy pracę z kryształami, Pruit bezwiednie podeszła do komory sensorycznej. Myślała o przyszłości. Jakże miło byłoby ułożyć się w komorze i przegadać sprawy z Niksem. Opowiedziałaby mu o wszystkim, co się wydarzyło. Opowiedziałaby o swoim planie i o nowej szansie na wyzwolenie Kinlai. Powiedziałaby mu o Eddiem i spytała, czy ma coś przeciwko temu, że znalazła sobie kogoś. Spytałaby, czy przeszkadza mu, że zależy jej na Eddiem. Opowiedziałaby o tym wszystkim, a potem zapytałaby o przyszłość i razem snuliby plany.

Tyle że w komorze nie byłoby Niksa. Byłby komputer mówiący jego głosem. Niksa już nie było, a przyszłość zależała od niej. Położyła dłoń na czarnej skrzyni komory i pomyślała o nim – o tym, jak wyglądał, jak żartował, jak kochał. Odkryła, że nie potrzebuje już płakać. Te rzeczy wciąż miała w sobie. Uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

– Żegnaj, Niks.

Po trzech godzinach nadzorowania pracy komputera układów życiowych Centrala odezwała się:

– Pasażer kojca jest gotowy do wybudzenia.

– Jak poszło? – spytała Pruit.

– Strukturalnie mózg wygląda na naprawiony. Powinien odzyskać wszystkie funkcje i podjąć normalne działanie. Jednak mógł nie

zachować pełnej pamięci.

Pruit podeszła do kojca w chwili, gdy szkłotworowa pokrywa odsuwała się, a poziom biofluidu zaczął szybko opadać. Kiedy biopędy uwolniły Inżyniera, wycofując się w głąb wyściółki, ujęła go za rękę i pomogła usiąść. Uniósł dłonie do twarzy i przetarł powieki. Otworzył oczy i zakaszlał. Spojrzał na Pruit, a potem na stojącego obok niej Adaiza.

– Pamiętasz, jak się nazywasz? – spytała Pruit łagodnym tonem.

Mówiła w haight.

– Inżynier – wykrztusił chrapliwie.

Pruit uśmiechnęła się.

– Zgadza się. Pamiętasz, jak przyszedłeś tu ze mną?

Inżynier zacisnął powieki.

– Tak – odpowiedział, krzywiąc się, jakby to wspomnienie poraziło go bólem. – Oczywiście. Ja byłem… Przez te ostatnie tygodnie żyłem w sennym koszmarze.

Nagle otworzył oczy i ujął Pruit za rękę.

– Dziękuję ci.

Podała mu koc. Inżynier wstał i owinął się nim.

– Pamiętasz pompę Eschlessa? – spytała.

– Masz coś do pisania?

Pruit znalazła mu tabliczkę do pisania i rysik. Wziął je i usiadł na podłodze. Szybko nakreślił tuzin długich wzorów matematycznych, po czym rozwiązał kilka próbnych równań. Były skomplikowane, więc zajęło mu to ładnych kilka minut. Teraz on się uśmiechnął.

– Podstawowe wzory znam na pamięć – oznajmił. – Resztę na pewno zdołam odtworzyć.

– Mamy wasze kryształy pamięci – powiedziała Pruit.

Inżynier znów się uśmiechnął.

– A zatem pompa jest bezpieczna.

Pruit odpowiedziała uśmiechem i zaprowadziła go do kabiny prysznicowej, aby wykąpał się i ubrał. Sama podeszła do Adaiza przy stanowisku sterowania.

– Zbuduje dla mnie ten statek – powiedziała. – Możemy zaczynać?

– Tak – odpowiedział Adaiz.

Pruit wywołała interfejs pokładowych układów łączności. Statek miał nadajnik radiowy wielkiej mocy, którym mógł przesłać plany pompy Eschlessa z powrotem na Herroda. Wybór takiej drogi przekazania informacji oznaczał, że mógł ją odebrać każdy, dlatego komputer szyfrował dane za pomocą niebywale zawiłych algorytmów, jednak w tej chwili Pruit nie martwiła się perspektywą przechwycenia planów przez Lucenów i złamania przez nich szyfru. Prawdopodobnie przy masach szpiegów, jakimi zasypywali Herroda, było to tak czy owak nieuniknione. Miała inny plan, który uzgodnili razem z Adaizem.

Przy pomocy Centrali Pruit ustawiła antenę i przygotowała statek do transmisji planów. Kiedy wszystko było gotowe, jeszcze raz spojrzała na Adaiza.

– Jesteś gotowy?

Adaiz odpowiedział po chwili wahania.

– Tak. W domu mogą okrzyknąć mnie za to zdrajcą, ale postępuję w zgodzie ze swoim sumieniem i jestem gotów ponieść ten ciężar.

– Nie jesteś zdrajcą. To są nowe czasy i reguły gry się zmieniły. Damy pompę Eschlessa obu rasom. Wszyscy dostaną równe szanse.

– Obyś miała rację.

Odwróciła się do ekranu i jeszcze raz przejrzała polecenia. Dane miały zostać pchnięte przez osiem lat świetlnych przestrzeni kosmicznej, by wylądować prosto w jej układzie planetarnym. Pruit posyłała je także na Ziemię, gdzie miały dotrzeć z kilkudziesięciominutowym opóźnieniem.

– No to zaczynamy – powiedziała. – Centrala, nadawaj.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Centrala wykonywała polecenie.

– Zrobione, Pruit – zameldowała w końcu.

Pruit i Adaiz nie patrzyli na siebie. Myśleli o niewidzialnych wiązkach informacji mknących z prędkością światła, gnających niepowstrzymanie przez bezkresną przestrzeń w stronę domu. A tutaj, w bliskim sąsiedztwie, odbiorniki w każdym kraju na Ziemi miały wkrótce odebrać wiadomość, która zmieni bieg cywilizacji.

Pruit uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze i zaczerpnęła kolejny haust. Pomyślała, że zapamięta ten oddech na lata – pierwszy oddech nowego życia.

– Coś się zmieniło – powiedział cicho Adaiz, a Pruit natychmiast zrozumiała, co miał na myśli.

– Tak. – Pokiwała głową. – Wszystko się zmieniło.

Rozdział 53

Autobus miał klimatyzację i jego chłodne wnętrze było cudowną odmianą po wyczekiwaniu w spiekocie na betonowym peronie. Adaiz zarzucił na ramię małą torbę ze swoimi rzeczami i spojrzał wzdłuż przejścia między fotelami, omiatając wzrokiem twarze siedzących po obu stronach ludzi.

Ze wszystkich miejsc w pojeździe zajęta była najwyżej połowa. Byli tam mężczyźni i kobiety w rozmaitym wieku, niektórzy siedzący w grupach, inni samotnie. Kilka osób zerknęło w jego stronę, ale większość patrzyła przez okna. Wyczuwał ich zapach – nie był nieprzyjemny, po prostu ludzki zapach ciał, w większości umytych. Mieszał się z chemiczną nutką sączącą się z toalety z tyłu kabiny.

Adaiz pokazał swój bilet kierowcy i ruszył wzdłuż przejścia. Zajął miejsce prawie na samym tyle, gdzie wciąż było pusto. Położył torbę pod nogami i spojrzał za okno. Autobus wydał sykliwe westchnienie i zgrzytnął włączanym biegiem.

Był w stanie Nowy Jork, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, na planecie Ziemia. Było lato i Adaiz wybierał się w podróż z jednego wybrzeża kontynentu na drugie. Miały minąć tygodnie, zanim przybędzie do celu podróży i spotka się z Pruit.

Choć z wychowania i przekonania był Lucenem, Adaiz miał ludzkie ciało i już nie opierał się temu. Chciał doświadczyć ludzkości, poczuć się jej częścią, być może nawet dowiedzieć się czegoś o sobie i poszerzyć wiedzę swoich luceńskich braci. Prawdziwe oświecenie – jak uważał – miało w sobie dość miejsca dla wszystkich istot.

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Obrócił głowę i napotkał spojrzenie młodej kobiety siedzącej po przeciwnej stronie autobusu. Spłoszona opuściła oczy, ale jej usta zadrżały zalążkiem uśmiechu. Pomyślał, że wygląda ładnie ze swoimi ciemnymi włosami i jasną skórą, ale

w sposobie, w jaki się uśmiechała, było coś szczególnego. W nagłym błysku zrozumienia Adaiz pojął, że dziewczyna z nim flirtuje.

Poczuł dziwne łaskotanie w żołądku. Zaobserwował w sobie narastającą potrzebę zbliżenia do tej kobiety oraz ekscytację związanej z perspektywą kontaktu. Odwrócił głowę, niepewny, czy chce tych uczuć. Po chwili uświadomił sobie, że chce. Stanowiły część bycia człowiekiem i nie zamierzał sprzeciwiać się im.

Dziewczyna znów na niego patrzyła. Adaiz obrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Powoli rozciągnął usta w uśmiechu. Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem i Adaiz poczuł, że trudno o coś bardziej naturalnego niż ta milcząca wymiana komunikatów.

Jego ulubiona pieśń z Katalla-Oman wdarła mu się do głowy nieproszona, ale ze zmienionymi słowami, aby opisać ścieżkę, którą teraz podążał:

Ten świat istnieje
Otacza mnie
Ja go przeniknę
Aby stać się
Świadomością
Światłem
Wierzchołkiem wiedzy

Rozdział 54

Chata stała na szczycie wzgórza w północnej Kalifornii wśród starych dębów i jodeł. Był to duży dom z rozległym otwartym parterem łączącym kuchnię, jadalnię i salon. Powyżej tej przestrzeni biegła galeria prowadząca do kilku sypialni. Duże podwójne drzwi łączyły salon z garażem, który przerobiono na warsztat.

Dom należał do Eddiego, który otrzymał go w spadku po babci, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Wiązały się z nim jego najcieplejsze wspomnienia z dzieciństwa, z letnich wyjazdów, które spędzał tu z rodziną, marząc o wszystkim, czego pragnął.

Nadszedł już wieczór i przez okna wpadał do środka rześki podmuch. Eddie był w warsztacie z Inżynierem i Lekarką, ustawiając stoły i sprzęt według wskazówek Inżyniera.

Callen przyjechała tego popołudnia razem ze swoim narzeczonym. Młody mężczyzna w eleganckim garniturze siedział teraz na barowym stołku z lekko ogłupiałą miną. Callen stała w kuchni, rozmawiając przez naścienny telefon i zerkając na telewizor, który gadał w salonie. Nastawiony był na telewizję informacyjną, której komentatorzy – jak nieprzerwanie od blisko miesiąca – mówili o transmisji z Jowisza.

– Rząd Japonii podał dziś do wiadomości, że uruchamia program badawczy w celu rozszyfrowania i znalezienia potencjalnych zastosowań dla formuł matematycznych nadanych w kierunku Ziemi trzy tygodnie temu. Japonia jest czwartym krajem, który złożył podobne oświadczenie, za Stanami Zjednoczonymi, Chinami i Niemcami. Źródło transmisji, które wydaje się ulokowane w pobliżu Jowisza, wciąż pozostaje nieznane…

Callen mówiła do słuchawki, podnosząc głos, aby przekrzyczeć dwóch pozostałych rozmówców na połączeniu konferencyjnym.

– Tato, panie DeLacy, ja wiem, że treść przekazu możecie sobie ściągnąć z netu, ale Eddie zna… Nie, momencik! Eddie zna dwoje ludzi, którzy mogą was wypchnąć przed wszystkich innych,

rozumiecie? Wszyscy spodziewają się, że minie co najmniej dekada, zanim uda się to rozpracować. Wy moglibyście zbudować statek w ciągu trzech lat.

To zamknęło im usta.

– Tak, kosmiczny. A myślicie, że co wisi tam w górze i nadaje…? Tak, to jego kumple – przewróciła oczami na kolejny komentarz ojca Eddiego. – Trzy lata. Jesteśmy w domku letniskowym. Przyjedźcie, to sami zobaczycie.

Pruit rozpakowywała plecak w sypialni, którą dzieliła z Eddiem, rozmyślając o przyszłości. Inżynier zbuduje dla niej statek z pompą Eschlessa, zaś Eddie i Callen zapewnią pomoc koncernu lotniczo-astronautycznego Bannon-DeLacy. Ci na pewno nie odmówią skuszeni pełnym dostępem do wiedzy Inżyniera. Transmisja danych o pompie Eschlessa była wabikiem, mającym zagwarantować ich zainteresowanie i wsparcie.

Statek będzie gotowy za trzy lata – według zapewnień Inżyniera – zaś podróż nim na Herroda nie potrwa dłużej niż kilka miesięcy. Pruit przybędzie do domu na długo przed atakiem Lucenów z pełnosprawnym statkiem i planami umożliwiającymi budowę następnych. Kinlai otrzymają do ręki broń – zdolność do zagrożenia Lucenom w dostatecznym stopniu, aby zniechęcić ich do ataku. Być może nawet zdobędą możliwość przeniesienia całej populacji Herroda na inną planetę.

Za osiem lat – pięć lat po jej powrocie do domu – transmisja z Jowisza dotrze na Herroda, ale także na Galeę, luceńską stolicę. Dane zostały solidnie zabezpieczone i Luceni będą potrzebowali kilku lat na złamanie szyfru, lecz prędzej czy później oni także zdobędą dostęp do danych o pompie Eschlessa. Tym samym Kinlai nie będą mieli sposobności do odwrócenia ról i przemienienia się w agresorów. Szanse zostaną wyrównane, zaś obie rasy będą musiały nauczyć się koegzystować.

Tej samej nocy, kiedy Inżynier i Lekarka byli zajęci pracą w warsztacie, a Callen i jej narzeczony siedzieli w kuchni,

opracowując wspólną strategię przed wizytą ojców Callen i Eddiego, Eddie chyłkiem wyciągnął Pruit z domu.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Zobaczysz – odpowiedział Eddie z nutką wesołości w głosie.

Trzymając ją za rękę, szedł przodem, brnąc przez wysoką trawę i klucząc między drzewami. Noc była ciepła pomimo późnej godziny. Księżyc zbliżał się do pełni i świecił dość jasno, by na ziemi kładły się długie, upiorne cienie. Dziesięć minut później wyszli spomiędzy drzew, by po kilku chwilach dotrzeć do szerokiej szosy. Minęła północ i na drodze nie było żadnych aut.

– To kalifornijska stanówka numer jeden, Autostrada Pacyficzna – powiedział Eddie, pociągając Pruit na drugą stronę. – Prowadzi do samych dobrych miejsc.

– Czyli?

– Zobaczysz.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie drogi, Eddie zakrył oczy Pruit dłonią.

– Co ty kombin…?

– Przestań ciągle gadać! – roześmiał się Eddie.

Poprowadził ją w dół łagodnego zbocza, a potem Pruit poczuła pod stopami kamienie. Przestrzeń przed nią wypełniał dźwięk rytmicznych westchnień, które prawie rozpoznawała.

– No dobrze – powiedział Eddie i zabrał rękę.

Przed Pruit rozciągał się nocny bezmiar Oceanu Spokojnego. Był granatowoczarny, pod niebem o nieco jaśniejszym odcieniu, przecięty szerokim pasem księżycowego blasku. Stała na niskiej skale ponad wodą, patrząc na grzywacze wytrwale liżące piasek kilkadziesiąt stóp poniżej.

– Ocean… – westchnęła.

Po raz pierwszy widziała ocean na własne oczy i z bliska. Nawet podczas lotów samolotem chmury albo ciemność zwykle zasłaniały jej widok. Teraz, nareszcie, zobaczyła go – woda po kraj świata.

– Jest piękny.

Usiedli razem na kamieniach, by patrzeć na odpływ. Eddie położył się na plecaku i spojrzał w gwiazdy. Pomimo jasnego księżyca widzieli ich setki, ponieważ znajdowali się z dala od miast.

Eddie ujął jej dłoń i pocałował. Pruit rozmyślała o naturze miłości. Czy było możliwe, aby naprawdę kochała dwie tak różne osoby, jak Niks i Eddie? Pochyliła się nad nim i delikatnie pocałowała. Najwyraźniej było.

Położyła się obok niego na kamieniach i pomyślała o Herrodzie, o jego miastach pod kopułami, o Czuwających i swojej rodzinie. A jednak zobaczy ich znowu. Wkrótce. I przyniesie im nadzieję.

– To będzie nowy świat – powiedział Eddie cicho.

Pruit uniosła wzrok do gwiazd. W ciągu jednego pokolenia znajdą się w zasięgu trzech jakże różnych światów.

– Nowy wszechświat – powiedziała.

Doznawała dziwnego fizycznego uczucia. W brzuchu łaskotała ją nerwowość, która jednak łączyła się z czymś na kształt euforii. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś takiego, nie w takiej sile.

Eddie spostrzegł jej minę.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Czuję się… dziwnie. Jakby ciężar został zdjęty i otworzyła się przyszłość. Jakby… Jakbym nie miała już przed sobą wytyczonego szlaku. Zamiast niego są możliwości i jest ich nieskończenie wiele.

Eddie roześmiał się, a potem objął ją i mocno przytulił.

– Pruit – wyszeptał. – Jesteś szczęśliwa.

Uśmiechnęła się, patrząc na horyzont, gdzie ocean stykał się z niebem. Czuła ciepło jego ciała, czuła życie w sobie i życie przed sobą. Pocałowała go i odpowiedziała szeptem:

– Może i jestem.

KONIEC

O autorce

Arwen Elys Dayton przyszła na świat na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych jako córka profesora matematyki i romantycznej matki, którzy nadali jej imię półelfki z *Władcy Pierścieni*. Arwen mieszka na południu Kalifornii z mężem i trojgiem dzieci.

Dramatis personae/słownik

Adaiz-Ari (oficer misji Adaiz-Ari): dwadzieścia dwa lata, mężczyzna, Kinlai sklonowany ze skradzionego materiału genetycznego i urodzony w luceńskim laboratorium. Uważa się za Lucena. Członek Klanu Wojowników i Klanu Opatrzności. Brat pełnej krwi obu klanów. Wychowany w luceńskiej rodzinie jako młodszy brat Enona-Ameta.

Archeolog: czterdzieści osiem lat, kobieta, starożytna Kinlai. Archeolog z zawodu, członkini zespołu badawczego Kinlai. Żona Kapitana.

Avani: nowoczesny język Lucenów.

Biolog: trzydzieści pięć lat, kobieta, starożytna Kinlai. Biolog z zawodu, członkini zespołu badawczego Kinlai.

Callen St. John: trzydzieści dwa lata, kobieta, Ziemianka, typ kaukaski. Przyjaciółka z dzieciństwa Eddiego.

Czuwający: elitarna formacja wojskowa obarczona odpowiedzialnością za przyszłość rasy Kinlai.

Czwarta dynastia: 2613–2498 r. p.n.e.

Eddie (Harris Edward DeLacy III): trzydzieści dwa lata, mężczyzna, Ziemianin, typ kaukaski.

Egani-tah: forma Otwarcia praktykowana przez członków Klanu Opatrzności. Jej głównym elementem jest rytualna walka, podczas której przeciwnicy pozostają w pełnej duchowej łączności ze sobą nawzajem. Wysocy mistrzowie egani-tah potrafią wymusić ten stan podczas prawdziwej walki w celu odcięcia wroga w głębi własnej jaźni.

Eimiza: ojczysta planeta Lucenów, obecnie nienadająca się do zamieszkania przez nich. Położona w układzie planetarnym sąsiadującym z układem Herroda, ojczystej planety Kinlai.

Endoskóra: warstwa komórek żyjących w górnych warstwach skóry gospodarza. Komórki mogą cofać się w głąb ciała bądź, w razie

potrzeby, wyrastać na zewnątrz, by utworzyć dodatkową powłokę chroniącą przed mikroorganizmami i toksynami.

Enon-Amet (Lider misji Enon-Amet): dwadzieścia osiem lat, mężczyzna, Lucen, członek Klanu Wojowników i Klanu Opatrzności. Starszy brat Adaiza-Ari i dowódca luceńskiej wyprawy na Ziemię.

Galea: ogromna planetoida, główna kolonia Lucenów położona na granicy układu planetarnego Kinlai.

Haight (czyt. hajt): starożytny język Kinlai, w pewnym okresie dominujący język nauki.

Herrod: ojczysta planeta Kinlai w układzie planetarnym sąsiadującym z układem Eimizy, niegdyś ojczystej planety Lucenów.

Horus: egipski bóg, syn Ozyrysa i Izydy. Pomścił śmierć swojego ojca, zabijając Seta (stoczyli wiele legendarnych bitew). Władał Egiptem, zaś pod koniec swojego panowania przekazał koronę linii ludzkich faraonów.

Inżynier: czterdzieści lat, mężczyzna, starożytny Kinlai. Członek zespołu badawczego Kinlai i budowniczy „Zwycięzcy", statku napędzanego pompą Eschlessa, którym zespół badawczy poleciał na Ziemię. Mąż Lekarki.

Izyda: egipska bogini-matka. Żona Ozyrysa i matka Horusa.

Jean-Claude: osiemnaście lat, mężczyzna, Ziemianin, typ afrykański. Francuska męska prostytutka pracująca w slumsach Kairu.

Kapitan: człowiek, pięćdziesiąt lat, mężczyzna, Kinlai. Pilot wojskowy mający też wykształcenie medyczne. Dowódca wyprawy badawczej Kinlai na Ziemię. Mąż Archeolog.

Katalla-Oman: zbiór luceńskich nauk religijnych podkreślających wrodzoną zdolność osoby do osiągania stanu jedności z innymi wokół siebie, jak również z całym wszechświatem. Większość tekstów Katalla-Oman przypisuje się Omaniemu, bogowi mądrości.

Kinlai: ludzcy mieszkańcy planety Herrod. We wcześniejszym wcieleniu swojego społeczeństwa byli ogromnie zróżnicowani w swoim fenotypie, dzieląc się na ponad tuzin ras. Jednak po

Wielkiej Wojnie drastyczne zmniejszenie puli genowej spowodowało ujednolicony typ urody ze wspólnym dla wszystkich kolorem skóry i podobną budową kostną. Współczesny Kinlai ma skórę o miedzianym zabarwieniu, włosy, których kolor może się wahać od ciemnobrązowego do rudobrązowego, oraz niebieskie, zielone lub szare oczy.

Klan Opatrzności: formacja wojskowa Lucenów.

Lekarka: czterdzieści lat, kobieta, starożytna Kinlai. Lekarka i członek zespołu badawczego Kinlai. Żona Inżyniera.

Lew: dwadzieścia jeden lat, mężczyzna, starożytny Kinlai. Zoolog i członek ekspedycji badawczej Kinlai na Ziemi. Nazwany Lwem przez tubylców ze względu na włosy upodabniające go do tego zwierzęcia. Syn Kapitana i Archeolog.

Luceni: niehumanoidalna rasa ssaków, która wyewoluowała w układzie planetarnym sąsiadującym z układem Herroda. Do charakterystycznych cech ich wyglądu należy srebrzysta skóra, która wystawiona na promienie słońca nabiera lustrzanego połysku; trójkątny, nieco insektopodobny kształt głowy; szerokie tarcze kostne chroniące tors oraz podwójne stawy kolanowe, jeden zginający się w przód, drugi w tył, dzięki czemu ich nogi są w stanie zamortyzować skok ze znacznie większej wysokości, niż byłyby w stanie wytrzymać nogi człowieka. Pierwotnie zamieszkiwali Eimizę, ale po Wielkiej Wojnie ich ojczysta planeta została zatruta i odtąd społeczeństwo Lucenów rozwijało się na Galei i innych planetoidach okrążających słońce Herroda.

Matka: najważniejsze bóstwo w wierzeniach starożytnych Kinlai. Jej imię słychać w wykrzyknikach, takich jak „na miłość matczyną”, „słodka matko” i „matko świata”.

Mechanik: czterdzieści trzy lata, mężczyzna, starożytny Kinlai, członek ekspedycji badawczej Kinlai na Ziemi.

Nate Douglas: trzydzieści lat, mężczyzna, Ziemianin, typ kaukaski. Pracownik amerykańskiej ambasady w Kairze.

Niks (Czuwający Obrońca Niks Arras z Teliveinów): dwadzieścia pięć lat, mężczyzna, Kinlai, dowódca dwuosobowego zespołu wysłanego z Herroda na Ziemię.

Ojcze odrodzenia: nowoczesny wykrzyknik Kinlai. Słowo „ojciec” odnosi się do starożytnego genetyka, który po wielkiej wojnie pracował nad odrodzeniem rasy.

Omani: luceński bóg mądrości i jedności ze światem.

Otwarcie: rytualna medytacja i mentalne ćwiczenie Lucenów. Pozwala na rozszerzenie duchowej jaźni medytującego na otaczające go środowisko, a czasem także na umysł innej osoby.

Ozyrys: egipski bóg, który ostatecznie stał się bogiem umarłych. Był także – jak wierzyli jego wyznawcy – pierwszą mumią. Ozyrys został zamordowany przez swojego brata, Seta, a potem pomszczony przez syna, Horusa. Jego siostrą i żoną była Izyda.

Piąta dynastia: 2498–2345 r. p.n.e.

Pomór: luceńska nazwa konfliktu pomiędzy Lucenami i Kinlai. Nazwa wzięła się od ostatniej akcji bojowej Kinlai, którzy rozpylili w atmosferze Eimizy zarazki choroby stworzonej, by uśmiercała Lucenów. Zaraza zgładziła wszystkich mieszkańców planety, pozostawiając przy życiu tylko tych, którzy w czasie ataku przebywali w koloniach na planetoidach.

Pompa Eschlessa: rodzaj napędu umożliwiający statkowi kosmicznemu podróżowanie z szybkością nadświetlną. Opracowany na Herrodzie i wykorzystany do napędu statku badawczego Kinlai, który wylądował na Ziemi w trzecim tysiącleciu przed naszą erą.

Pruit (Czuwająca Obrończyni Pruit Pax z Senetianów): dwadzieścia pięć lat, kobieta, Kinlai. Członek dwuosobowego zespołu posłanego z Herroda na Ziemię.

Rączka: czterdzieści dwa lata, mężczyzna, starożytny Kinlai, członek zespołu badawczego Kinlai na Ziemi. Specjalista w wielu dziedzinach nauki, w tym klimatologii oraz interakcji człowieka ze środowiskiem. Znany jako Złota Rączka.

Set: egipski bóg, brat Ozyrysa, którego zdradził i zamordował.

Słodkie życie (lub błogosławione życie): nowoczesny wykrzyknik Kinlai, wywodzący się z czasu po Wielkiej Wojnie, kiedy niedobitki Kinlai walczyły o przetrwanie własnej rasy.

Soulene: nowoczesny język Kinlai.

Stare królestwo: okres w historii starożytnego Egiptu obejmujący dynastie od trzeciej do szóstej (w przybliżeniu 2600–2200 r. p.n.e.).

Truciciele: luceńskie określenie Kinlai, zob. **Pomór**.

Wielka Wojna: kinlajska nazwa konfliktu pomiędzy Lucenami a Kinlai, który omal nie zakończył się zagładą obu ras. Luceni nazywają ją **Pomorem**.

„Zwycięzca”: statek zespołu badawczego Kinlai.

[1] Wszystkie cytaty biblijne za: Biblia Tysiąclecia, oprac. zespół biblistów polskich, Poznań – Warszawa 1984.

Przekład: Bartłomiej Ulatowski
Redakcja: Jerzy Wachowski
Korekta: Anna Chmielewska, Hanna Szamalin
Fotografie wykorzystane na I stronie okładki: © Nadya Lukic / Istockphoto.com, © Oksana Churakova – Fotolia.com, © Johan Swanepoel – Fotolia.com, © Vlastimil Šesták – Fotolia.com
Projekt okładki: Paweł Rosołek

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
e-mail: biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-420-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Krzysztof Talarek, Artur Wiktorowicz / Virtualo Sp. z o.o.